

# ESCH andreas BACH

# BLACK★OUT

BLACK★OUT

Sieć. Wspaniałe miejsce. Lekarstwo na samotność. Remedium na lęki...

*ANDREAS ESCHBACH*

***BLACK\*OUT***

Przekład: Maciej Nowak-Kreyer

Tytuł oryginału: *Black-Out*

Redakcja: Agnieszka Bresińska, Ewa Holewińska  
Korekta: Urszula Przasnek  
Skład i łamanie: EKART

Copyright ©Arena Verlag GmbH, Wuerzburg 2010.  
Projekt okładki: Frauke Schneider © Arena Verlag, Wuerzburg

Copyright for the Polish edition © 2014 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ISBN 978-83-7686-288-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2014

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna  
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104  
02-546 Warszawa  
[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

Wydanie pierwsze w wersji ebook  
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2014

Skład wersji elektronicznej:  
[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo Sp. z o.o.)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

- PRZECHWYCENIE

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

- FAŁSZYWE KOMUNIKATY

- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20

- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)

- [EWOLUCJA](#)

- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [36](#)
- [37](#)

- [KOHERENCJA](#)

- [38](#)
- [39](#)
- [40](#)
- [41](#)
- [42](#)
- [43](#)
- [44](#)
- [45](#)

- [46](#)
- [47](#)
- [48](#)
- [49](#)
- [50](#)

- [DOSTROJENIE](#)

- [51](#)
- [52](#)
- [53](#)
- [54](#)
- [55](#)
- [56](#)
- [57](#)
- [58](#)
- [59](#)
- [60](#)

- [PLAN ATAKU](#)

- [61](#)
- [62](#)
- [63](#)
- [64](#)
- [65](#)
- [66](#)
- [67](#)
- [68](#)
- [69](#)
- [70](#)

- [WYMARSZ](#)

- [71](#)

- [72](#)

- [73](#)

- [74](#)

- [75](#)

- [76](#)

- [REAKCJA ŁAŃCUCHOWA](#)

- [77](#)

- [78](#)

- [79](#)

- [80](#)

- [80](#)

- [82](#)

- [83](#)

- [84](#)

- [85](#)

- [86](#)

- [87](#)

- [88](#)

- [89](#)

- [PRZYJACIELE](#)

- [90](#)

- [91](#)

- [92](#)

- [Przypisy](#)

## PRZECHWYCENIE

**1** | Jak okiem sięgnąć, wszystko zdawało się martwe i opustoszałe. Stacja benzynowa, na której się zatrzymali, też wyglądała, jakby porzucono ją dawno temu.

Christopher przypatrywał się robalowi wlokącemu się po piachu. Wyglądał jak skorpion wędrujący przez pustynię.

– Jest tam kto? – zapytał.

Kyle właśnie przeliczał gotówkę. Wcisnął siostrze dwa banknoty. Christopher nie widział jednak jakie. Wszystkie dolarówki wyglądały dla niego tak samo.

– Kup jakąś gazetę – powiedział Kyle. – Jeśli mają, to „Nevada Herald”. Jak nie, to coś innego.

Christopher głębiej zapadł się na tylnym siedzeniu, tak miękkim, że aż wszystko bolało.

– Będzie lepiej, jak zostanę w aucie – powiedział.

Kyle odwrócił się w jego stronę. Czoło przecinała mu wydatna blizna, biegła niemal pionowo, od połowy prawej brwi. Kiedy się złościł, na brzegach robiła się czerwona. Zupełnie tak jak teraz.

– Bzdura – odparł. – Wchodźcie tam oboje, kiedy będę tankował, znajdziesz sobie coś do jedzenia i picia. Wierz mi, będziesz tego potrzebował. Minie jeszcze cholernie dużo czasu, zanim dotrzemy na miejsce.

Christopher chciał coś powiedzieć, ale Kyle przerwał mu lekceważącym ruchem ręki.

– Chris, wyluzuj, dobra? Nikt cię tutaj nie zna. A jeśli nawet, to nikt cię nie wyda. Nie tutaj.

– Nie boję się, że ktoś mnie wyda – powiedział Christopher.

– Tym lepiej – odparł Kyle i wysiadł z samochodu, a po nim Serenity. Christopher z wahaniem otworzył drzwiczki po swojej stronie i ruszył w ich ślady.

Tak czy siak, trochę ruchu dobrze mu zrobi.

Pod stopami mieli tylko suchą, dobrze ubitą ziemię. Z obu dystrybutorów paliwa odpadła już większość farby – pewnie przez upał i słońce – jednak na metalu pod spodem nie było ani śladu rdzy. Tutaj, pośrodku pustyni Nevada, po prostu było na nią za sucho.

Nieco dalej stała antena telefoniczna, nigdzie jednak nie było widać kamer monitoringu.

Serenity mocno szarpnęła drzwi, co okazało się konieczne, po czym pozwoliła, by po prostu zatrzasnęły się jej za plecami. Nie dbała, czy Christopher też wszedł.

Wewnątrz było pełno kurzu, do tego wąsko i ciasno. Przy każdym otwarciu drzwi



do środka wpadało nieco drobnego, pustynnego piachu i najwyraźniej nikt nie zadawał sobie trudu, żeby go wymiatać. Nikt też nie uważał za stosowne tutaj posprzątać. W maleńkim pomieszczeniu regały wznosiły się aż po sufit, a piętrzyły się na nich chipsy, słodczyce oraz różne akcesoria samochodowe. Christopher sięgnął po kolorowe opakowanie rozpuszczalnych gum do żucia w kształcie dinozaurów. Gady oglądane z bliska wydały się jakieś lepkie. Odwrócił torebkę. „Termin przydatności do spożycia – wrzesień 2008”. Już upłynął.

Odłożył torebkę ze wstrętem. Kobieta siedząca za kasą nie poświęciła mu nawet spojrzenia. Na małym, starożytnym telewizorze oglądała jakiś program przerywany wymuszonymi wybuchami śmiechu. Christopher, widząc jej niedbałą pozę, mógłby się założyć, że jeszcze przed chwilą drzemała. Dochodziło południe, a rozklekotany wentylator nie radził sobie z upałem. Christopher minął Serenity stojącą w całkiem przyjemnym chłodzie przed lodówką z napojami i kanapkami.

– Słuchaj, nie można aż tak bardzo się spinać – powiedziała, nie patrząc w jego stronę.

– Chodzi ci o mnie? – zapytał Christopher.

Nieznaczenie i ze złością machnęła ręką.

– Tak, o ciebie. Najpierw myślałam, że to całkiem fajne, wiesz: „to cały świat mnie ściga”. Ale szczerze mówiąc, tak na dłużej, robi się to denerwujące.

Christopher rozejrzał się wokół. Może i miała rację. W tym miejscu rzeczywiście diabeł mówi dobranoc. Naprawdę trzeba by się porządnie zastanowić, czy w ogóle dociera tutaj elektryczność. Sprawy, którymi zajmowała się reszta świata, wydawały się tak odległe, jak tylko było to możliwe.

– Przepraszam – powiedział.

Pojednawczo spojrzała na niego bursztynowymi oczyma.

– Po prostu się odpręż. Zaraz tam będziemy. Zdecydowanie za dużo się martwisz.

Odprężyć się? Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Czasy, w których się nie martwił – chyba dzieciństwo – wydawały się tak odległe, że ledwie pamiętał, jakie to uczucie. Jednak Christopher całkiem dobrze pamiętał, jak wymacał przycisk, którym zakończył tamte czasy: szybko i nieodwołalnie. I jak na chwilę zawiesił palec wskazujący nad klawiszem „Enter”, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście powinien to zrobić, i potem, jak go wcisnął i rozległo się suche kliknięcie, a wirus komputerowy, mający uczynić go sławnym, właśnie ruszył w drogę.

A może raczej niesławnym. Od tamtej pory nazywano go Computer Kid. Już nigdy nie pozbędzie się tego głupiego przezwiska.

A ci, którzy uważali go za najlepszego hakera świata, nie spodziewali się, jak blisko trafili.

I co z tego wszystkiego wynikało.

– Mam nadzieję, że chociaż kanapki są w miarę świeże – szepnęła Serenity. Oboje trzymali kawałki pieczywa owinięte niewiarygodnie wielką ilością folii. Etykieta

obiecowała świeżość, ale czy etykieta jeszcze czegoś dowodziła?

Christopher wybrał sobie kanapkę z salami. Nie dlatego, że salami jakoś bardzo mu smakowało, ale dlatego, że chyba najciężej je sfałszować. Z lodówki wziął jeszcze dużą butelkę napoju o smaku żurawinowym.

– Znalazłam herbatniki, przeterminowane tylko rok – oznajmiła Serenity. – Z herbatnikami nie będzie tak źle, prawda? Najwyżej mogły zwilgotnieć.

Christopher przytaknął.

– Też tak myślę.

Podeszli do kasy. Kobieta ożywiła się, ale dosyć niechętnie, pewnie wolałaby, by wszystko pozostało tak jak do tej pory, żeby nikt nie podchodził i niczego nie kupował. Pisk czytnika cen brzmiał zimno, a cyfry na niewielkim wyświetlaczu wydawały się krzywe.

– Gazeta! – przypomniała sobie Serenity.

Christopher przejrzał czasopisma rozłożone tuż przed kasą. Znalazł „Nevada Herald”, wczorajsze wydanie.

– Może być – stwierdziła Serenity, kiedy Christopher wskazał na datę. – Nic świeższego tutaj nie ma.

Uniósł gazety i wysunął „Nevada Herald”. Pod spodem dostrzegł niewielkie pudełeczko, które wydało wyraźny dźwięk – jakby dzwonka – kiedy Christopher przesunął palcem po okrywającej je szybce. W następnej chwili kwadracik rozblęsnął czerwienią.

Poczuł, że robi mu się gorąco. Czytnik odcisków palców!

Spojrzał na kobietę za kasą, przyglądała mu się, z obawą marszcząc czoło.

– Czy to jest podłączone? – zawołał.

Wydawało się, że sprzedawczyni nie wie, o co mu chodzi.

– Podłączone?

Uniósł pudełko. Lampa wciąż jarzyła się czerwienią, co mogło oznaczać wszystko.

– To tutaj. Jest podłączone?

– Chris! – zawołała Serenity. – Nie denerwuj się.

Kobieta machnęła lekceważąco ręką.

– Tutaj jeszcze nikt nie płacił odciskiem palca. Mamy to, bo takie są przepisy.

Christopher nagle poczuł w żołądku wielki ciężar. Jego myśli pędziły, a dłonie podążyły wzdłuż kabla zasilania. Może nie jest podłączony. Może czerwone światło oznacza brak połączenia z siecią...

I właśnie wtedy światło zmieniło się na zielone, a suma na wyświetlaczu spadła do 0,00 \$. Pod nią pojawił się komunikat „Zapłacone”.

– Spadamy stąd! – zawołał Chris i pociągnął Serenity za ramię. – Szybko!

**2** | Kyle jeszcze tankował. Końcówka dystrybutora tkwiła w baku, pompa stękała, a on przecierał zakurzone szyby wilgotną szmatą.

– Powiedz mi, całkiem ci odbiło?! – Serenity krzyczała na Chrisa. Ciągnął ją za sobą przez stację. – Jeszcze nie zabraliśmy zakupów! – Próbowwała mu się wyrwać, ale trzymał ją żelaznym uściskiem.

Kyle zdumiał się na ich widok. Wrzucił szmatę z powrotem do szarego, plastikowego kubła i opierając ręce na biodrach, czekał, aż wsiądą.

– Musimy jechać – oznajmił Christopher. – Tak szybko, jak tylko się da. W środku był czytnik odcisków palców, nie zauważyłem go. Rozpoznał mnie!

– Czy – zapytał Kyle, przeciągając sylabę – na pewno?

Christopher przytaknął, potem puścił Serenity.

– Mają mnie. Bardzo przepraszam. Najlepiej od razu jedźmy w jakimś innym kierunku i spróbujmy ich zgubić.

– Nie ma innego kierunku – powiedział Kyle.

Christopher rozejrzał się wokół. Kyle miał rację. Była tylko ta droga, ciągnąca się od jednego horyzontu aż po drugi.

Bak się napełnił, pompa zatrzymała się z mokrym klapnięciem.

– To musimy zawracać – stwierdził Christopher. – W żadnym wypadku nie możemy dalej jechać w stronę obozowiska.

– Teraz nie zawracaj mi tym głowy, dobra? – odparł Kyle.

Odwiesił końcówkę dystrybutora, zakręcił bak i długim, rozkołysanym krokiem, jak gdyby chciał pokazać, że ma do dyspozycji cały czas świata, poszedł zapłacić

– Świrujesz – oznajmiła Serenity ze złością i rozmasowała miejsce na ramieniu, za które trzymał ją Christopher. – Jeśli chcesz wiedzieć, to całkiem ci odwalilo.

Wskazał na sklep, gdzie Kyle właśnie stał przy kasie i gawędził ze sprzedawczynią.

– To coś rozpoznało mój odcisk palca! Nawet zapłaciłem za te paskudne kanapki!

– Aha! A powiedz mi proszę, z którego konta?

Christopher spojrzał na nią, miał wrażenie, że z oczu sypią mu się iskry.

– Chcesz posłuchać wykładu o połączeniu różnych systemów płatności w jedną, rozległą sieć?

Oczy Serenity też się iskrzyły.

– Nie, dziękuję, panie Superhakerze.

Kyle wyszedł ze sklepu. Niósł ich kanapki i butelki z napojami, cały czas zachowywał się swobodnie.

– Chris, wydajesz mi się troszkę nerwowy – oznajmił, szczerząc zęby w uśmiechu i kładąc torbę z zakupami na fotelu pasażera.

– Ja nie jestem nerwowy – odparł Christopher. – Ja jestem ekstremalnie nerwowy.

– No, to wydajesz mi się ekstremalnie nerwowy – stwierdził Kyle i przewrócił oczami. – Dobra. Wsiadaj, jedziemy.

Tego nie trzeba było Christopherowi dwa razy powtarzać. Serenity chciała jeszcze

podyskutować z bratem, czy nie mogłaby usiąść teraz z przodu, on jednak stanowczo odmówił. Ponownie zasiadła więc z tyłu, ale trzymała się na dystans od Christophera.

Kyle uruchomił samochód, skręcił na drogę i ruszył dalej w tym samym kierunku, co do tej pory.

Christopher od razu się uaktywnił:

– Co ty robisz?!

– A na co to wygląda?

– Nie wierzysz mi? W to, że nas ścigają?

Kyle westchnął bardzo głęboko.

– Mały, teraz uważaj. Po pierwsze, jacy „oni”? Kto to miałby być? Tutaj, w promieniu pięćdziesięciu mil, nie ma żywego ducha. Nawet jeśli ktoś gdzieś zauważy, że zarejestrowano twój odcisk palca, to będzie tutaj najwcześniej jutro. A dalej niż do tej stacji nie dotrze. Z tego, co wiem, dotknąłeś czytnika odcisków palców, prawda?

– Tak, ale...

– Ale – przerwał mu Kyle – tak naprawdę, to myślę, że zdecydowanie przeceniasz amerykańską policję. Wierz mi, znam tych gości lepiej niż ty.

Christopher znowu zapadł się w siedzenie.

– Wcale nie mówię o policji.

Nikt na to nie zareagował. Serenity wyłowiła swoją colę z fotela pasażera. Wypiła duży łyk i po krótkim wahaniu podała napój Christopherowi.

Odruchowo pokręcił głową. Co Kyle mówił o gęstości zaludnienia w tej części Nevady? Zgadza się, tutaj jest tylko jedna droga, a najbliższe miasto leży co najmniej dwie godziny jazdy stąd. Najbliższe porządne miasto jest odległe o co najmniej dzień.

Zapadł się w sobie. Wszystko staranie zaplanował i początkowo wydawało się, że przedsięwzięcie przebiega jak należy, ale w tym momencie wydało mu się zupełnie beznadziejne, wręcz śmieszne w obliczu potęgi, przeciwko której wystąpił. Nawet jeśli błąd, który popełnił na stacji benzynowej, nie przyniesie żadnych konsekwencji i znowu im się uda, to przecież jest tylko kwestią czasu, jak...

Nagle Christophera wystraszyło głucho dudnienie, stopniowo coraz głośniejsze.

– Kyle – zawołała Serenity. – Silnik znów się psuje.

– To nie silnik! – odkrzyknął Kyle. – To dochodzi z zewnątrz!

Christopher okrzyknął się, zerkając w stronę, z której dobiegał dźwięk. Gdzieś ponad horyzontem, jeszcze dosyć daleko dostrzegł ciemne punkty – dwa, trzy, cztery. Ciemne punkty na niebie, które zbliżały się gwałtownie i stanowiły źródło hałasu.

– To śmigłowce – powiedział.

**3** | Przez ostatnie tygodnie każdego dnia liczył się z nadejściem tej chwili. Bał się jej, robił wszystko, aby jej uniknąć. Spodziewał się, że gdy już nastanie, obezwładni go strach. Ze zdumieniem spostrzegł, że dzieje się wręcz przeciwnie. Christophera od razu przepełnił niewiarogodny spokój. Tak jakby nie było sensu dłużej się obawiać.

Okazało się, że robił wszystko, jak należy! W dziwny sposób to go uspokajało i to pomimo zbliżającego się niebezpieczeństwa. To przecież oznaczało, że dobrze zrozumiał, jak wszystko działa. Świadczyło, że lepiej od innych wiedział, co rozgrywa się za kulisami.

– Chris? – zawołał Kyle do tyłu. – Wiem, co teraz myślisz. Myślisz, że lecą tutaj przez ciebie, prawda?

– Prawda – odparł Christopher.

– Jasne! – Kyle wałnął w kierownicę. – Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej właśnie zaczęły wojnę z Christopherem Kiddem, hakerem, który ukradł miliardy. Od razu powinienem się domyślić.

Christopher przyjrzał się łagodnym wzniesieniom, które stopniowo zaczęły wyłaniać się po prawej i lewej stronie drogi. Nie były jeszcze porządnymi górami, nie były nawet wzgórzami.

– Gdybyś znał tu jakieś miejsce, gdzie można by się schować, jakąś jaskinię, czy coś takiego...

– Człowieku, odbija ci. Pod Reno są koszary Gwardii Narodowej, regularnie urządzają tutaj ćwiczenia. To całkiem normalne.

– I urządzają je akurat nad jedyną drogą w okolicy? – zapytał Christopher. – To też jest całkiem normalne?

Teraz Kyle już nie odpowiedział, tylko odwrócił głowę, tak żeby w lusterku widzieć śmigłowce. Po raz pierwszy wydawał się zdenerwowany.

Dudnienie stawało się coraz głośniejsze. Czarne maszyny szybko się zbliżały.

– Kyle! – krzyknęła z przestrachem Serenity. – Nie wierzę, że to są ćwiczenia!

Dotarli właśnie do miejsca, gdzie od głównej trasy, w pagórkowatą pustynię odchodziła skośnie ledwie widoczna gruntowa droga. Kyle gwałtownie obrócił kierownicę i przyspieszył, na pełnym gazie pomknął po żwirze i dziurach w poprzek dotychczasowego kierunku jazdy, ku wzniesieniom.

W ostatniej chwili. Na drodze, tam gdzie za chwilę by się znaleźli, asfalt się rozprysnął i po ułamku sekundy usłyszeli odgłos wystrzału.

**4** | Za nimi dudniły śmigłowce. Wielkie czarne maszyny przypominały stalowe owady, wyglądały niczym część jakiegoś koszmarnego snu. Wszystko zadrżało od huku silników i rotorów, a potem helikoptery znalazły się tuż przed autem, wzbijając za sobą chmurę kurzu, która ogarnęła samochód i na szczęście go zasłoniła.

– Fuck! – krzyknął Kyle, ze wszystkich sił ściskając kierownicę. – Co to było, do cholery?!

– Kyle! – Głos Serenity zabrzmiał niezwykle wyraźnie i przenikliwie. – Zrób coś!

– No dobra, ale co? – Jej brat popatrzył na Christophera we wstecznym lusterku. – Gdybym tylko się spodziewał, jakiego groźnego pasażera biorę...

– Cały czas ci mówiłem – odparł Christopher.

Zresztą teraz to już nie miało znaczenia. Pospieszenie rozejrzał się dookoła – aż pod horyzont ciągnęło się kamieniste, pagórkowate pustkowia, z którego gdzieś sterczały uschnięte krzaki. Żadnej drogi ucieczki. Żadnej jamy, do której mogliby się schronić. Teraz, kiedy śmigłowce już się dowiedziały, gdzie są, niechybnie staną się celem rakiet.

Maszyny wzięły szeroki zakręt, ustawiły się do następnego ataku.

– To nie może być prawda – rzucił Kyle przez zaciśnięte zęby.

Wkrótce śmigłowce znowu znalazły się za nimi. Ponownie usłyszeli ten okropny dźwięk wystrzałów, takie mechaniczne klak-klak-klak. Po szosie, w ślad za autem popędziła linia małych eksplozji, szybciej niż oni.

– Trafia nas! – wrzasnęła Serenity.

Kyle znowu szarpnął kierownicę, ale tym razem nie zdołał już uciec przed kulami. Samochód zadrżał uderzony pociskami, które zostawiły rząd szarych kraterów ciągnący się ukosem przez bagażnik.

Potem śmigłowce zadudniły bezpośrednio nad ich głowami, tak donośnie, że wydawało się, iż od hałasu zaraz popękają im zęby.

– Do ciężkiej cholery! – zawołał Kyle. Teraz zabrzmiało to tak, jakby i on się bał. – Do jasnej cholery, oni chcą nas zabić!

Christopher głębiej zapadł się w fotel.

– Nie nas – odparł. – Mnie. Tylko mnie.

Nie wydawało mu się, aby tych dwoje teraz go słuchało. Kyle wciąż przeklinał, jego siostra cicho łkała. Wyglądali, jak gdyby całkiem zapomnieli o istnieniu Christophera.

Christopher też się bał. Nie wiedział tylko, czego bardziej: że śmigłowcom uda się to, do czego bez wątpienia zmierzały, czy może sposobu, w który zdołałby temu zapobiec. I który stawał się coraz bardziej nieuchronny.

Czarne maszyny ponownie zatoczyły szerokie koło, ustawiając się na trasie ich przejazdu, aby rozpocząć kolejną rundę tej zabawy w kotka i myszkę.

Kyle wcisnął hamulec, obrócił kierownicę, zawracając auto w kierunku, z którego

nadjechali.

– Nie ma sensu przed nimi uciekać! – zawołał. – I tak są szybsi. Może pokrzyżuję im szyki, jak wyjadę naprzeciw.

Dodał gazu, a samochód gwałtownie podskakując na szosie, na wybojach i skalnych odłamkach, pomknął wprost ku nadlatującym śmigłowcom.

Znowu ostrzał. Tym razem mogli zobaczyć ogień wylotowy.

I znowu dwie zbliżające się gwałtownie linie uderzających w ziemię pocisków. Wyglądały jak rzędy wybuchających kolejno miniaturowych wulkanów, rozsiewających wokół kurz i odłamki kamieni...

Kyle w ostatniej chwili szarpnął kierownicą, ale znowu o ułamek sekundy za późno. Kilka pocisków trafiło w pokrywą maski z wyjątkowo paskudnym dźwiękiem. Auto się zatrzęsło.

Maszyny ponownie zaszumiały im nad głowami, jeszcze niżej i głośniejsze niż ostatnio.

Samochód zatrzymał się gwałtownie, rozkołysany. Christopher pojął, że nagła cisza wcale nie znaczy, że ogłuchł od tego całego hałasu. Silnik przestał działać.

– To nie może być prawda – usłyszał mamrotanie Kyle'a, który trzymając rękę na kluczyku, przekręcał go raz za razem w stacyjce. Motor jednak nie wydawał z siebie nawet najmniejszego mruknięcia. – To nie może być prawda...

Śmigłowce rozdzieliły się, formując wielki krąg. Wydawało się, że teraz planują uchwycić samochód w kleszcze ze wszystkich czterech stron.

– No, rusz się! – Kyle zaklinał silnik. Słyszał tylko dźwięk obracanego kluczyka, żałosne dzwonienie niedające żadnej nadziei.

Christopher zdjął zegarek, nachylił się do Serenity i jej go podał.

– Spróbuję coś zrobić – powiedział. – Muszę do tego zamknąć oczy, a ty musisz...

– Co? – odparła gwałtownie, jakby nagle obudziła się z dziwnego snu. Cała się trzęsła, starała się jednak, aby tego nie dostrzegł. – Co ty robisz?

– Nie mam czasu tłumaczyć – odparł Christopher i wcisnął jej zegarek w dłoń. – Patrz na małą wskazówkę i obudź mnie dokładnie za trzydzieści sekund. Dosłownie za trzydzieści sekund. Ani chwili później. Zrozumiałaś?

Śmigłowce obrały kurs do ataku.

– Trzydzieści sekund – tępo powtórzyła Serenity.

– Właśnie tak – odparł Christopher, znowu zapadł się w fotel, a potem zamknął oczy.

5 | Zrobiło się ciemno, a jednak wcale nie było ciemno. Światło niebędące światłem rozprędziło ciemność nie będącą ciemnością. Błyskawice informacji mknęły z jednego miejsca w drugie, wyładowania danych rozjaśniały przestrzeń leżącą poza wszelkimi zmysłami.

Pole tu było, dokładnie jak oczekiwał. Nie spodziewał się tylko, że będzie aż takie silne. Rosło szybciej, niż sądził.

Pole go widziało. Wyczuł przestrach rozchodzący się jak fala, dostrzegł, że został zidentyfikowany. A zaraz potem rozpoczęło się polowanie.

Wyimaginowane mury wyrosły, aby go otoczyć. Na wirtualnej drodze pojawiły się wirtualne pułapki. Ze wszystkich stron nadciągały jednostki obronne niczym przeciwciała organizmu, aby rzucić się na Christophera i zniszczyć go jako wroga.

On jednak poruszał się z prędkością myśli, przeskakiwał mury, omijał pułapki, wymykał się siłom obronnym. Unikał wszystkich przeszkód, przesuwał się w stronę placówki kontrolnej, niepostrzeżenie, niepowstrzymany, pędził coraz dalej i dalej.

Dotarł do węzła komunikacyjnego. Natychmiast wszedł do jednostek sterujących śmigłowców, spowolnił je, unieruchomił, wydał fatalne dla nich polecenia. Gdzieś na obrzeżach umysłu dostrzegł, że w przypadku niektórych jednostek chodzi także o ludzi, teraz jednak nie miało to znaczenia. Maszyny spadły z nieba. Nastąpiło zniszczenie. Nastąpiła śmierć.

I cisza.

Teraz, gdy już urzeczywistnił swój zamiar, przestano na niego polować i uważać go za wroga. Nie miał pojęcia dlaczego.

Mógłby już wracać, chociaż zaczynał zapominać, dokąd właściwie. To, co stanowiło jego świadomość, jego tożsamość, zmieniało się...

...strzępiło się po brzegach...

... zapomnij.

Wracać? Po co? Żeby dalej być samotnym? Bez nikogo? Uwięzionym w bezsensownym, beznadziejnym życiu?

Zniknęła wymierzona w niego wrogość. Tak naprawdę nigdy nie istniała, jedynie coś źle zrozumiał. Istniała tylko akceptacja. Należał do nich i serdecznie by go przyjęto. Nie musiał już dłużej uciekać. Wszystko mu wybaczone. Nie musiał żyć samotnie i cierpieć przez tę samotność. Wyciągały się ku niemu setki tysięcy rąk, które chętnie by go uściskały, w których objęciach mógłby się zatracić...

Ktoś nim potrzasał, wyrывał brutalnie z fali niosącej ku nirwanie. A znajdował się już tak blisko zbawienia. Jednak nic z tego, nic z tego, nic z tego...!

Pole krzyknęło, gdy Christophera zmuszono, aby je opuścił.



**6** | Twarz przed jego oczyma nabrała kształtu. Była to piegowata twarz dziewczyny, z niemal lwią grzywą płowych loków. Przypomnił sobie jej imię. Serenity Jones.

Christopher zakasłał, w gardle czuł suchość.

– To było więcej niż trzydzieści sekund – rzucił, wciąż jeszcze przepełniony ciężkim jak ołów żalem oraz bolesną tęsknotą, którą czuł każdą komórką ciała niczym trucizną. Lecz jednocześnie już jej nie czuł.

– Co... co to było? – wyszeptała Serenity, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Tak łatwo mógłby powrócić. Wystarczyłoby tylko zamknąć oczy, po prostu je zamknąć...

Christopher podniósł się, wyrwał dziewczynie zegarek z dłoni. No jasne. Nie było go ponad minutę, może nawet dłużej! Pod czołem czuł łupanie bólu, jak gdyby wojsko waliło taranem w bramy twierdzy.

– Czy to przynajmniej zadziało? – spytał.

– Czy zadziało? – odpowiedziała niczym echo.

Uniósł głowę, wyjrzał przez szybę. Dookoła auta, wśród kamieni i pagórków leżały dymiące wraki.

– To ty? – dopytywał się Kyle.

– W pewnym sensie. – Christopher przytaknął.

– Nadlatywały ze wszystkich stron! – wybuchnęła Serenity. – Naprawdę myślałam, że to już koniec, że teraz nas zabiją... a potem wszystkie jednocześnie się wyłączyły, zaczęły kołysać i spadły. Jak to możliwe? Co ty zrobiłeś?

Christopher ujrzał strach w jej oczach i raz jeszcze, w głębi duszy zadał sobie pytanie, czy piloci śmigłowców naprawdę zasługiwali na śmierć? Czy to wszystko nie było może jedynie podstępem, by nakłonić go do wejścia w Pole? Prawie im się udało. Jeszcze chwila, a już by nie powrócił, kuszenie niemal się powiodło.

– To długa historia – odparł Christopher.

Kyle przyjrzał mu się sceptycznie.

– Pozostaje pytanie, co nam to dało. Może niedługo pojawią się następni? I co wtedy? Jak często będziesz mógł coś takiego robić? Zawsze tak robiłeś?

Christopher pomyślał o trasie pokonanej w Polu, o niesamowitej ilości informacji, przez które się wtedy przedarł. Coś sobie mgliście przypominał...

– Po pierwsze, żaden już nie przyleci – oznajmił. – W każdym razie nie dzisiaj.

– Jesteś pewien?

Mgliste, niewyraźne wspomnienie diagramów, map, nieruchomych punktów.

– Całkowicie.

Kyle odwrócił się, gwałtownie otworzył drzwiczki samochodu.

– Dobra. Ale to i tak nic nam nie da, jeśli auto dalej nie pojedzie.

Wysiadł, otworzył maskę i zaczął pod nią grzebać. Samochód stał pod słońce, dlatego pokrywa maski dawała cień. Przestrzeliwy błyszczały niczym duże gwiazdy,

a przez otwarte drzwiczki wdarł się gorący wiatr. Bez klimatyzacji w środku zrobiło się jak w nagrzanym piecu.

Kyle zawrócił do kabiny. Jego kroki skrzypiały na piasku.

– Przy dużej dozie szczęścia mamy tylko przeciek w przewodzie paliwowym – oznajmił. Nachylił się do schowka na rękawiczki, wyjął stamtąd rolkę taśmy klejącej i nóż, a potem znowu zniknął pod maską.

– Nie powiedziałeś nam wszystkiego – stwierdziła po jakimś czasie Serenity.

– Nie – odparł Christopher. – Nie powiedziałem wam wszystkiego.

– Może powinieneś to tak jakoś stopniowo nadrobić?

Kyle zatrzęsął pokrywą maski, niedbale cisnął rolkę taśmy oraz nóż na fotel pasażera i ponownie usiadł za kierownicą.

– Tak jak już mówiłem – oznajmił Christopher – to bardzo długa historia.

– Mamy czas – powiedział Kyle. Przekręcił kluczyk. Naprawa przyniosła skutek, silnik zaskoczył, wprawdzie nierówno i krztusząc się, ale jednak działał. Samochód ruszył, powoli i miarowo w stronę asfaltowej drogi. Wyglądało na to, że właśnie tak będą teraz jechać, powoli i ostrożnie.

– Zdaje się, że nawet dużo czasu – dodał Kyle.

Christopher westchnął.

– No to dobra. Opowiem.

7 | – Mój dziadek, ojciec matki, wyrabiał protezy – zaczął Christopher.

Poczuł smutek przyniesiony tymi słowami, a raczej wspomnieniami, które owe słowa przywoływały. Od śmierci dziadków mijał dopiero rok i jeszcze nie przywykł, że już ich nie ma.

Wciąż jeszcze wydawało mu się, że w każdej chwili może spotkać się z dziadkiem w jego warsztacie. Wisiały i leżały tam rozmaite sztuczne części ciała w różnych stadiach przygotowania: ręce, nogi, dłonie, elementy twarzy z uszami, ze szklanymi oczami albo z jednym i drugim.

Protezy zaczynały swój byt jako konstrukcja z metalowych rurek, zawiasów i złączy, które uzupełniano później mechanicznymi elementami, cylindrami hydraulicznymi, silnikami – jak gdyby powstawał fragment robota. Mechanizmy kryto kolejnymi warstwami rozmaitych tworzyw, aż wreszcie proteza osiągała właściwy kształt, dopasowany do potrzebującej jej osoby. Okrywano ją w końcu najdroższą, najtrudniejszą do umieszczenia powłoką: sztuczną skórą, tak ufarbowaną i pokrytą plastikowymi włoskami, że proteza wyglądała jak prawdziwa, choć zdejmowalna, część ciała.

Gotowe protezy wydawały się wtedy Christopherowi przerażające. Leżały w wyściełanych sukniem pudełkach, wyglądając, jakby w każdej chwili miały się zacząć ruszać. W dzieciństwie chłopiec czasem tak po prostu stał – nieruchomo, cichutki jak myszka – i czekał. Może, jak sobie wówczas myślał, protezy zapomną o jego obecności i przestaną leżeć w takim martwym bezruchu. Palce zaczną się poruszać, ich koniuszki kołysać, szklane oczy rozglądać się dookoła, a usta – bo dziadek musiał też robić usta, czasem nawet całe dolne szczęki – zaczną mówić, narzekając na swoją niedolę. Coś takiego nigdy się nie wydarzyło, lecz Christopher ciągle próbował je przyłapać.

Na wielkiej korkowej tablicy przy drzwiach warsztatu wisiały zdjęcia pacjentów czekających na protezy: ludzi bez rąk albo nóg – czasem bez całych kończyn, czasem tylko bez goleni od kolana w dół. Ludzi o twarzach okaleczonych straszliwymi ranami.

Dziadek nigdy nie taił przed Christopherem losu tych osób. Czasem kończyny albo inne części ciała tracili wskutek chorób, najczęściej jednak przez wypadki, i to wcale nie byle jakie. Powodowało je coś, czego nazwę Christopher utrwalił sobie w pamięci już jako małe dziecko: miny lądowe.

– My, ludzie – mawiał dziadek, a jego porośnięta wąsem górna warga zawsze wtedy drżała z oburzenia – wynaleźliśmy wiele strasznych rzeczy, ale miny lądowe z pewnością należą do najstraszniejszych.

Opowiadał potem o minach odłamkowych, o minach talerzowych, o krajach takich jak Kambodża albo Afganistan, gdzie w ziemi tkwią miliony takich ładunków wybuchowych, nieodróżniających wojny od pokoju, przyjaciela od wroga; nieodróżniających też bawiącego się dziecka od uzbrojonego żołnierza. Opowiadał

również o milionach niewinnych ofiar i daremnych staraniach ONZ oraz licznych organizacji pomocowych, aby zaradzić owej sytuacji.

Dziadek Christophera często jeździł do tamtych krajów na zlecenie Bundeswehry, ale bywało również, że ofiary min, które uzyskały schronienie w Niemczech, zabierano do jego warsztatu na dokładne przymiarki. Potem trafiały tam jeszcze raz, by dopasować nową, sztuczną część ciała. Ci ludzie wyglądali obco i mówili w obcych językach, tak egzotycznych, że często musieli zjawiać się z tłumaczem, mimo że dziadek języków znał wiele.

Kiedy przychodziły dzieci mówiące po angielsku, dziadek często zapraszał Christophera do warsztatu, by czuły się mniej zestresowane. Wnuk był dwujęzyczny, bo ojciec Christophera pochodził z Anglii i rozmawiał z nim tylko w swojej ojczystej mowie. Christopher, jako bardzo mały chłopiec, sądził, że każdy człowiek mówi swoim własnym językiem, dlatego czymś dziwnym wydawało mu się, że języka jego matki używają także inni ludzie.

Nie wszystkie dzieci, którym dziadek dopasowywał nową nogę albo nową rękę, czuły się nieszczęśliwe. Christopher pamiętał małego Somalijczyka imieniem Pali, który był niesamowicie dumny ze sztucznej dłoni. Twierdził, że jest znacznie lepsza od prawdziwej. Zaprosił Christophera do ośrodka dla azylantów, gdzie mieszkał razem z dziećmi z całego świata, i tam wspólnie ćwiczyli rzucanie piłkami, małymi oraz dużymi.

Dziadka zdenerwował zachwyt Palięgo.

– Sztuczna doń nigdy nie dorówna prawdziwej, a już na pewno nie można powiedzieć, że jest lepsza – wyjaśnił. Szczycił się swoją pracą i był całkowicie pewien, że wytwarza najlepsze protezy na świecie. Jednak czy był zadowolony? Nie, nie był. Wytrwale starał się robić protezy coraz doskonalsze, eksperymentował i majstrował z różnymi mechanizmami, wypróbowywał nowe cylindry hydrauliczne, silniki, elastyczne przeguby, i ciągle dopracowywał sterowanie elektroniczne. Jego zdaniem protezy nigdy nie spełniały wystarczająco wielu funkcji, a to, co robiły, i tak zawsze robiły niewystarczająco dobrze.

Dziadek Christophera nie zarabiał wiele, szczególnie że swoje eksperymenty nierzadko finansował z własnej kieszeni, nieustannie tocząc prawie beznadziejną walkę z kasami chorych i urzędami, które nie chciały przekazywać niezbędnych środków, zwłaszcza na rzecz pozbawionych pieniędzy uciekinierów, którym jeszcze nie przyznano azylu. Władze zbyt często uznawały, że jeśli ktoś jest w stanie jako tako poruszać się bez kul, to znaczy, że udzielono mu już wystarczającej pomocy.

I właśnie dlatego dziadek Christophera nigdy nie miał dużo pieniędzy. Jego jedyny majątek stanowił spory dom w najlepszej dzielnicy Frankfurtu. Nie był to jednak przytulny dom, ciągle coś się psuło, bo wciąż brakowało środków na niezbędne remonty.

Babcia Christophera była z zawodu malarką. Właściwie tylko malowała obrazy, bo

prawie żadnego nie sprzedawała, w każdym razie nigdy za kwotę godną uwagi. Miała pracownię na parterze – rozległą, pełną światła – naprzeciwko warsztatu. Wychodziło się stamtąd prosto do ogrodu. Malowała wyłącznie kwiaty i ptaki, których w zdziczałym ogrodzie miała aż nadto.

Christopher spędził mnóstwo czasu z nią oraz jej olbrzymimi, pachnącymi farbą lnianymi płótnami. Przyglądał się, jak maluje delikatnymi, pełnymi pasji ruchami pędzla. W takich chwilach, pomimo poplamionego farbami fartucha, zawsze wyglądała dla niego jak prawdziwa dama, a to, że nie wolno jej było wtedy przeszkadzać ani nawet przerwać jednym pytaniem, stanowiło coś najoczywistszego na świecie.

Czasem wystawiała obrazy w galeriach, zazwyczaj jednak nie umiała rozstać się ze swoimi pracami. Zawsze największą wagę przykładła do samego malowania, nie do zarabiania pieniędzy.

Matka Christophera całkowicie różniła się od rodziców. Może wynikało to z otoczenia, w jakim dorastała, ale dla niej pieniądze od zawsze miały tak duże znaczenie, że uczyniła z nich przedmiot swojego zawodu. Skończyła szkołę bankowości, potem studiowała finanse, a kiedy poznała mężczyznę, który w przyszłości miał stać się ojcem Christophera, była jedną z nielicznych kobiet zajmujących się handlem dewizami w dużym, frankfurckim banku. Ojciec Christophera pracował tam jako informatyk.

Dlatego po narodzinach syna to on został w domu, aby opiekować się dzieckiem. Kiedy Christopher nieco podrósł, ojciec założył własną niewielką firmę komputerową, którą mógł prowadzić, nie odchodząc od biurka. Kiedy czasem musiał wybrać się do klienta – co nie zdarzało się często, bo aż tak dobrze firma nigdy nie prosperowała – pod ręką zawsze byli dziadkowie, którzy zajmowali się wnukiem. Od czasu do czasu udawało się wcisnąć rodzicom jakieś pieniądze potrzebne na uszczelnienie dachu starej willi albo odnowienie płotu. Tylko ogród wciąż pozostawał dziki.

Christopher dorastał otoczony komputerami, więc to, że bardzo wcześnie nauczył się programować, było łatwe do przewidzenia. Jednak to, że już w wieku ośmiu lat programował lepiej niż ojciec, że znajdował błędy w jego programach i potrafił napisać pogramy zamknięte, z dostępem do systemu operacyjnego, tak skomplikowane, że James Kidd z trudem pojmował, czym w ogóle zajmuje się syn – nie, tego już raczej nie można było przewidzieć. Ale to wkrótce bardzo się przydało.

I dawało frajdę. Nawet mnóstwo frajdy.

Tak właśnie wyglądało pierwszych czternaście lat życia Christophera. Istny raj na ziemi.

Dopóki na rodzinę Raumeisterów i Kiddów nie spadło nieszczęście.

Najpierw babcia zaczęła tracić wzrok.

– No, szczerze mówiąc – Kyle przerwał Christopherowi opowieść – jeśli teraz ktoś

by zapytał, co wspólnego ma to wszystko ze spadającymi śmigłowcami, to nie wiedziałbym, co powiedzieć. Normalnie nie miałbym pojęcia.

– Zaraz będziesz miał – odparł Christopher. – Przecież już mówiłem, że to długa historia.

**8** | Ślepotą nie spadła na babcię Christophera nagle. Postępowała z wolna, prawie niezauważalnie, chociaż równie nieubłaganie, tak że miało się wrażenie, że da się dokładnie wyliczyć dzień, gdy całkiem przestanie widzieć.

Choroba miała skomplikowaną łacińską nazwę, występowała bardzo rzadko i nie znano żadnego przypadku jej wyleczenia. Zaczęła się od takich martwych plamek, miejsc w polu widzenia, wyglądających, jak gdyby je z niego wycięto, jakby stamtąd poznikało. Nie były plamami czerni, lecz nicości, tak jakby tam nigdy nic nie było. Plamki stawały się coraz liczniejsze i większe. Próbowano różnych terapii, operacji, nic jednak nie pomagało.

Babcia Christophera czuła się straszliwie przygnębiona, a dziadek równie mocno rozwścieczony.

– Gdyby straciła dłoń – pewnego dnia powiedział wnukowi – to przynajmniej mógłbym jej zrobić nową. Zrobiłbym jej najlepszą sztuczną dłoń na świecie, możesz mi wierzyć. Zbudowałbym cudowną konstrukcję, jakiej świat nie widział. Ale jeśli straci wzrok... to co mam zrobić? Szklane oko przecież jej nie pomoże. Kamera tak samo, bo gdzie miałbym ją podłączyć? Do jej nerwów wzrokowych? To przekracza nie tylko moje umiejętności. Tego nie umie nikt na świecie.

Jako że nieszczęścia lubią chodzić parami, niedługo potem stworzony przez Christophera wirus komputerowy sprawił, że na kilka dni świat ogarnął straszliwy zamęt. Chłopak użył komputera z biura swojej matki, którą przez to zwolniono z pracy. Chcąc uciec przed dziennikarzami bez końca piszącymi krzykliwe artykuły o „Computer Kidzie”, rodzice wyjechali z nim do Anglii, do okropnego domu na jakichś paskudnych przedmieściach Londynu.

Przeprowadzka, chociaż nieodzowna, pogrążyła babcię Christophera w jeszcze większej melancholii.

– Dlaczego to w ogóle zrobiłeś? – dopytywała się Serenity.

Christopher na nią spojrzał.

– To kolejna długa historia.

Machnęła ręką.

– No dobra, opowiadaj dalej.

Początkowo matka Christophera wcale nie starała się o nową posadę. Po tym, co się stało, sprawy musiały chociaż trochę przyschnąć, zanim w ogóle mogłaby mieć nadzieję na możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa, stosunkowo bez obciążeń. Dlatego uprzejmie, ale stanowczo odprawiła Richarda Brysona, znanego biznesmena i producenta filmowego, który odnalazł ją i zaproponował, że przeniesie historię Christophera na ekran. Odmówiła, chociaż proponował duże pieniądze.

Teraz to matka musiała zostać w domu, a ojciec był zmuszony poszukać pracy. Po kilku pierwszych niepowodzeniach odpowiedział na jakieś drobne ogłoszenie, skontaktował się z równie drobną firmą komputerową szukającą programisty i zajął się projektem realizowanym we współpracy z wydziałem medycznym Uniwersytetu

Londyńskiego, a przypadkiem tak się złożyło, że projekt miał na celu umożliwienie produkcji lepszych protez.

Na czele projektu stał Stephen Connery, neurolog i neurochirurg. Doktor Connery był sympatycznym starym kawalerem, który miał tylko dwie namiętności: pracę w laboratorium oraz dziką przyrodę. Jego biuro przypominało las – aż tyle stało w nim roślin doniczkowych – i niemal co weekend ruszał na wędrowkę z namiotem i plecakiem, nawet jeśli grzmiało i padało.

Właśnie doktor Connery po raz pierwszy zdołał w warunkach laboratoryjnych z powodzeniem podłączyć neurony do układów elektronicznych. Chciał dalej rozwijać tę technikę, by można było umieszczać w protezach tak zwane łącza neuroelektroniczne, umożliwiające sterowanie silniczkami sztucznej ręki przy użyciu tych samych nerwów, które przed utratą prawdziwej kończyny kierowały mięśniami. Chodziło mu również o to, by dało się połączyć czujniki sztucznej ręki z nerwami dotykowymi, żeby protezę można było nie tylko kierować, ale również odczuwać. Uważał, że w taki sposób stanie się bliska prawdziwej części ciała, co pozwoli prowadzić normalne życie.

Nic dziwnego, że James Kidd, zięć Heinza Raumeistera, frankfurckiego konstruktora protez, ani chwili nie wahał się z przyjęciem oferty i nie przejął się też stosunkowo niskim wynagrodzeniem. Również nic dziwnego, że o wszystkim dowiedział się dziadek Christophera, na bieżąco wypytyjąc o postępy prac. Wreszcie nic dziwnego, że wszystkich ciekawiło, czy stanie się możliwe zbudowanie łącza pozwalającego widzieć ociemniałym.

Zdaniem doktora Connery'ego coś takiego stanowiło fascynujące zagadnienie, zarówno pod względem software'u, jak i hardware'u. Zmiana impulsu elektrycznego w nerwowy i na odwrót nie była jakoś szczególnie skomplikowana. Prawdziwa trudność polegała na tym, by za każdym razem wiedzieć, co ten impuls oznacza. Jeśli chciałoby się skonstruować stosowny interfejs, wcześniej należało odszyfrowywać, co dokładnie podczas widzenia dzieje się w nerwie wzrokowym i ośrodku wzroku. Doktor Connery nie miał jednak pojęcia, jak się do tego zabrać.

James Kidd oznajmił mu bez owijania w bawełnę, że to przecież bez znaczenia, bo doktor Connery jest neurologiem, a nie maniakiem komputerowym. On zaś jest ojcem słynnego Computer Kida, najlepszego hakera świata. Jeśli ktokolwiek potrafi dokonać czegoś podobnego, to z pewnością Christopher i on.

Doktor Connery uznał, że w gruncie rzeczy to nawet robi wrażenie i przynajmniej warto spróbować.

I tak wzięli się do pracy. Christopher, gdy miał wolne popołudnia, towarzyszył ojcu w londyńskim laboratorium, gdzie przy komputerach głowili się nad danymi z aparatury doświadczalnej doktora Connery'ego. Kiedy stało się jasne, że potrzebują jeszcze kogoś do pomocy, kto pewną sprawność w programowaniu łączyłby ze sporym talentem do majstrowania przy elektronice, pojawił się facet z małej,



podejrzanej firmy, dziwaczny typ – Linus Meany.

Gdyby sądzić go tylko po wyglądzie, nikomu nie przyszłoby do głowy, że Linus może mieć cokolwiek wspólnego z komputerami. Był krępy, barczystym i wytatuowanym bardziej niż wykidajło z nocnego baru miłośnikiem piercingu. Wzdłuż krawędzi lewego ucha nosił co najmniej dwadzieścia cztery kółka – „po jednym na każdą dziewczynę”, twierdził zwykle, „jednak teraz muszę albo się ożenić, albo zacząć robić kolczyki w prawym uchu”. W prawym skrzydełku nosa tkwiła duża srebrna gwiazdka, w języku – metalowy sztyft („żebym miał się czym bawić, kiedy zastanawiam się nad jakimś skomplikowanym podprogramem”), w jeden z siekaczy wprawił rubin.

– No i mam jeszcze kilka sztyftów w miejscach, których nie mogę pokazać – dodawał zazwyczaj z diabolicznym uśmieszkiem.

Obwieszał się wszystkimi elektronicznymi zabawkami, jakie tylko pojawiały się na rynku. W kieszeniach Linusa można było znaleźć praktycznie wszystko: najnowszy model iPoda, najnowszy smartfon, cyfrowy mikrodyktafon, nawigator GPS, minikamerę. Jego koledzy, również sami dziwacy, chociaż niewyglądający aż tak jak on, często mu dokuczali, wpytując, czy taka liczba kolczyków na pewno nie zakłóca odbioru sygnału telefonu komórkowego.

I taki właśnie zespół wziął się za rozwiązywanie zagadki wzroku. Nie chodziło o zwyczajne, informatyczne zadanie, lecz o hacking. Celem hakowania nie stanowiły jednak chronione bazy danych, należało wejść wprost do ludzkiego mózgu. A przynajmniej do jego ważnej części: ośrodka widzenia.

Ironią losu było to, że gdy dokonali pierwszych przełomowych odkryć związanych z odszyfrowywaniem kodu wykorzystywanego przez nerwy i komórki mózgowo, babcia Christophera dawno już pogodziła się z chorobą. Stwierdziła, że skoro malowała przez całe życie, to już jej wystarczy.

Niedługo potem jakaś gazeta wpadła na pomysł, by opowiedzieć historię ociemniałej malarki. Artykuł zilustrowano reprodukcjami obrazów, dzięki czemu babcia Christophera na starość zaznała nieco sławy, i natychmiast też zaczęto dopytywać się o jej prace. Wciąż smuciła się utratą wzroku, jednak nie czuła się zrozpaczona. Oznajmiła, że w żadnym wypadku nie chce protezy.

Nie zważając na to, Christopher, jego tata, Linus oraz doktor Connery kontynuowali prace. Ogarnęła ich badawcza gorączka, bo gdy rozwiązanie problemu znalazło się wreszcie w ich zasięgu, za nic nie chcieli pozwolić, aby uciekło.

– Poczekaj – przerwał Christopherowi Kyle i zdjął stopę z gazu. – Tam, z przodu, coś mi się nie podoba.

Chłopak spojrzał na niego.

– A co takiego?

– Wygląda na wypadek drogowy.

Mniej więcej ćwierć mili przed nimi na jezdni stał jakiś człowiek i machał rękami.

Na poboczu zobaczyli dwa motocykle, obok nich chyba ktoś leżał.

– Tak to wygląda – powtórzył cicho Christopher ogarnięty złymi przeczuciami.

Miał nadzieję, że to, na co patrzy, rzeczywiście jest tym, na co wygląda.

**9** | Zatrzymali się. Wypadek nie był drogowy, tylko nagły. Kiedy Kyle stanął na poboczu, do auta szybko podszedł mężczyzna w skórzanej motocyklowej kurtce, już niemłody, o długich, szpakowatych włosach i cerze wyglądającej, jakby była wygarbowana. Musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat.

– Żona nagle źle się poczuła – wyrzucił z siebie. – Boję się, że to serce. I jak to zwykle bywa, akurat rozładował mi się telefon. Mam nadzieję, że może mi pan pomóc.

– Niestety, nie mamy telefonu – odparł Kyle – ale mam nadzieję, że mimo to możemy państwu pomóc. Jestem przeszkolonym ratownikiem medycznym. – Odwrócił się do Christophera i Serenity, wskazując bagażnik. – Chris, przynieś mi kocyk z tyłu.

Christopher odwrócił się, wyciągnął gruby, cuchnący pled i podał Kyle’owi.

– Niech pan go zroluje i podłóż pańskiej żonie pod kolana, tak żeby zapobiec ewentualnemu szokowi. Może to tylko zwykłe odwodnienie? Kiedy ostatni raz coś piła?

– Mamy dosyć wody. To nie może być odwodnienie.

– Dobrze. Niech pan zajmie się kocem, a ja zaraz przyjdę.

Mężczyzna zawahał się, obracał trzymany w dłoniach niezbyt piękny koc.

– Naprawdę nie macie państwo żadnego telefonu? – dopytywał z niedowierzaniem.

– Moja żona naprawdę bardzo źle się czuje.

– Zaraz podejść i ją obejrzyć – odpowiedział Kyle tonem stanowiącym połączenie zdecydowania i pewności siebie, niezbędnym, aby radzić sobie z wypadkami.

Mężczyzna pokiwał głową i posłusznie ruszył w stronę żony.

Kyle odwrócił się do Christophera.

– Jedno pytanie – odezwał się, przyglądając mu się uważnie. – Oczywiście, mogę się tylko domyślać, dokąd zmierza twoja opowieść. Ale po tym, co zrobiłeś ze śmigłowcami: czy to możliwe, że masz w mózgu jakieś połączenie z Internetem?

Christopher skinął głową.

– Mniej więcej tak jest.

– A w praktyce?

Christopher głęboko wciągnął powietrze.

– W praktyce nie jest potrzebna żadna sieć – skłamał.

Kyle dał się nabrać. Jeszcze przez chwilę uważnie mu się przypatrywał, wyglądając tak, jakby właśnie sobie uzmysłowił, o jakich potwornościach rozmawiają. Potem westchnął i oznajmił:

– Myślę sobie, że mój ojciec miał rację. Współczesna technologia informatyczna naprawdę jest upiorna. I źle jest się na nią zdawać...

Szarpnięciem otworzył drzwiczki, obszedł samochód, wyjął apteczkę z bagażnika i ruszył z nią do chorej kobiety. Christopher przyglądał mu się pełen złych przeczuć.

Zauważył, że z kolei jemu przygląda się Serenity. Zdziwiona.

– Serio? – zapytała, kiedy na nią spojrział.

Przytaknął.

– Tak?

– W głowie?

– Taki mały chip. Umieszczony za jamą nosową, połączony z nerwem węchu. – Uniósł mały palec i zasłonił kciukiem połowę paznokcia. – Mniej więcej takich rozmiarów.

– Z nerwem węchu? Ale po co?

– Kresomózgowie u wszystkich wyższych form życia, w tym także u ludzi, powstało z nerwu węchowego. – Wydawało mu się, że doktor Connery tłumaczył to zaledwie wczoraj. – Ma tę zaletę, że łatwo się do niego dostać, wystarczy wprost przez nos wprowadzić odpowiedni aplikator, taką długą, cienką rurkę. Uzyskanie połączenia z nerwem węchowym oznacza, że w pewnym sensie ma się połączenie z centrum sterowania mózgu.

– A co to dokładnie znaczy? – Drążyła dalej, nie dało się przeoczyć, że pełna odrazy. – Czy ty czujesz węchem wszystko, co się dzieje przy tym... interfejsie? Jak to działa? Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

„Bądź miły” – pomyślał Christopher.

– To nie ma nic wspólnego z węchem – wyjaśnił. – To jest raczej... hmmm... – Jak zwykle wydawało mu się, że nie sposób opisać tego, co się czuje w trakcie połączenia z Polem. – To jest jednoczesne widzenie, słyszenie i czucie, a jednak nic z tych rzeczy. To zależy. Dokładniej, to jest jak taki dodatkowy zmysł. Pewnego rodzaju szósty zmysł...

Jego spojrzenie spoczęło na mężczyźnie w czerwono-szarej kurtce motocyklowej, który do tej chwili razem z Kyle'em pochylał się nad kobietą. Teraz się wyprostował i zaczął oddalać, powoli, krok po kroku. Jego zachowanie wydawało się dziwne. Christopher miał coraz gorsze przeczucia.

Ale przynajmniej miał też pomysł, co powinien zrobić.

Pospiesznie wyjaśnił Serenity jej rolę w ułożonym przez siebie planie, a następnie szybko wysiadł z auta i ruszył w stronę Kyle'a. Kobieta leżała na poboczu obok motocykla. Wyglądała na równie starą co mąż. Oczy miała zamknięte, oddech równy, a twarz wyglądała raczej na zaczerwienioną niż pobladłą.

Kyle rozpiął jej skórzaną kurtkę, przyłożył czubki palców do tętnicy na jej szyi. Powieki kobiety zadrżały.

– I jak? – zapytał Christopher. – Jak to wygląda?

Kyle wzruszył ramionami.

– Nie ma gorączki, normalny puls. Nie mam pojęcia, dlaczego jest nieprzytomna.

Christopher przykucnął obok niego i kobiety. Kątem oka zobaczył, że Serenity również wysiadła i powoli zaczęła się zbliżać. Jeżeli chociaż raz dla odmiany mu uwierzyła, wszystko przebiegało tak, jak powinno.

– Podejrzewam – oznajmił Christopher – że ta kobieta wcale nie jest nieprzytomna. Tylko udaje. Jedźmy dalej.

Kyle spojrział na niego ze zdumieniem, ale zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, kobieta wydała gardłowy okrzyk, poderwała się z ziemi i rzuciła się na Christophera, chwytając go mocno jak imadłem.

Nagle w dłoni mężczyzny pojawił się duży rewolwer wycelowany w Kyle'a.

A wtedy ze straszliwie doskonałą harmonią, tak jakby od lat ćwiczyli mówienie tych słów chórem, z taką samą intonacją, tak samo dźwięcznie i głośno, mężczyzna i kobieta zawołali jednym głosem:

– Nie ruszać się!

## FAŁSZYWE KOMUNIKATY

**10** | Dla Serenity cała historia zaczęła się tamtego ranka, gdy matka oznajmiła:

– Nie wierz w nic, co mówią o twoim ojcu. W nic. Ani jedno słowo nie jest prawdą.

– Co? – zapytała Serenity. – Kto mówi?

Jeszcze na wpół spała i najchętniej w ogóle by się nie budziła. Śnił się jej taki chłopak z klasy, Brad Wheeler, w którym kochały się wszystkie dziewczyny, a który w prawdziwym życiu ledwo zauważał jej istnienie. Mimo najszczerzych chęci ani trochę nie przypominała *all american girl*, a takie właśnie podobały wszystkim Bradom Wheelerom świata.

– Wszyscy. W telewizji, w gazetach, w Internecie...

Serenity stopniowo dochodziła do siebie. Coś jej się nie zgadzało. Pojęła, że matka całkiem straciła panowanie nad sobą, stając się taką, jaką rzadko można ją było zobaczyć. Zwykle potrafiła zachować spokój niezależnie od tego, co się działo.

– W telewizji? – powtórzyła Serenity. – Mówią o tacie w telewizji?

– Kłamią o twoim tacie w telewizji.

– A co mówią?

– Ani słowa prawdy. To same kłamstwa. Podła propaganda i nic więcej.

Serenity poczuła ochotę, aby tupnąć, chwycić matkę i solidnie nią potrząsnąć. Jednak niczego takiego nie zrobiła, zawołała jedynie:

– Do jasnej cholery! Co się w ogóle dzieje?

Mama zastygła bez ruchu, jej twarz stała się maską. Potem opuściła ramiona, oczy nabrały bolesnego wyrazu.

– Co się dzieje? – westchnęła. – Zaraz się dowiesz.

Odwróciła się i włączyła telewizor.

To było tematem dnia na połowie kanałów.

Zamach bombowy w centrum informatycznym w Karolinie Północnej. Rozerwane ściany, ludzie z twarzami czarnymi od sadzy, błądzący wśród zgliszczy, ranni, w podartych ubraniach. Strażacy gaszący ogień, dyrygujący akcją ratowniczą, dźwigający nosze.

Jakiś prezenter wyjaśniał, że w tym centrum informatycznym na zlecenie władz zarządzano ważnymi bazami danych. Naturalnie, istnieją kopie zapasowe, nic nie przepadło, atak był pozbawiony sensu.

Jakaś prezenterka mówiła, że wskutek wybuchu bomby zawaliło się przyzakładowe przedszkole, ranne zostały dzieci, niektóre ciężko.

A potem pojawił się wizerunek taty: fotografia, na której Serenity ledwie go rozpoznała, bo wyglądał jak szaleniec.

– Jeremiah Jones – donośnym głosem oznajmił prowadzący program w studiu – przez swoich zwolenników nazywany także Prorokiem. Zasłynął jako autor cieszących się wielkim powodzeniem książek, w których piętnował współczesny styl życia i ostrzegał przed niebezpieczeństwami związanymi z coraz powszechniejszą obecnością techniki. Mało kto wie, że już w młodości brał udział w gwałtownych akcjach protestacyjnych i w związku z tym popadł w konflikt z prawem. W swojej ostatniej publicznej wypowiedzi zadeklarował wyprowadzkę na wieś, aby prowadzić tam samowystarczalne życie, następnie zamilkł. Aż do dziś. Człowiek ten długo i przez wielu uważany za mądrego myśliciela i nauczyciela, najwyraźniej przekroczył granicę dzielącą bycie outsiderem od bycia ekstremistą.

Prezenter oznajmił na koniec, że istnieje list, w którym Jones przyznaje się do zamachu. FBI umieściło Jeremiaha Jonesa na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców.

Jeremiah Jones. Terrorysta.

Serenity poczuła, że uginają się pod nią kolana. Musiała mocno przytrzymać się stołu w kuchni i przykucnąć.

– Terrorysta! – wyrzuciła z siebie, niczego nie rozumiejąc.

– Oni kłamią – powiedziała mama.

– A ten list?

– Sfałszowany.

Serenity miała wrażenie, że zapomniała, jak się oddycha. Położyła sobie rękę na piersi, poczuła, że serce wali jej jak młot.

– Skąd to wiesz? Przecież nie mogliby zrobić tego ot tak, po prostu.

– A jednak. Mogli. Zrobili tak. Cały czas robią. Oni...

– Mamo!

Serenity uniosła wysoko dłoń, a matka ucichła w pół słowa.

– Co? – zapytała Serenity z wysiłkiem, czując, jak oczy zachodzą jej łzami powstałymi za sprawą czystego przerażenia. – Co to oznacza?

**11** | Wspomnienia przetoczyły się jak fala, prawie ją porwały. Dom, w którym mieszkała, kiedy jeszcze była dzieckiem: drewniany, o woni trocin, płonących polan i korzennych przypraw, które mama wieszała w grubych pęczkach pod sufitem kuchni – ciemnej, tajemniczej kuchni z odrapanymi meblami i zawsze pachnącej dobrym jedzeniem. Niekończący się las, zaczynający się zaraz za domem. Jezioro, nad które dawało się trafić, tylko idąc właściwą ścieżką. Zwierzęta, którym można było się przyglądać, jeżeli wystarczająco długo siedziało się w ciszy: sarny, wiewiórki, ciociorniki, zające, orły bieliki.

– Kochanie...

Razem z bratem, Kyle'em, często nocowali w lesie pod namiotem, w ukrytych zakątkach. Tata pokazał im, jak się go rozstawia. To był taki staroświecki namiot z impregnowanej plandeki, ze stelażem i śledziami. Wędkowali, a potem piekli w ognisku złowione ryby. Pływali w jeziorze. Serenity czuła pod palcami błoto i muł nadbrzeża. Kąsały ich meszki. Kiedyś nawet przepędziła wilka – w każdym razie była wtedy przekonana, że to wilk. Nikt poza nią nie widział tego zwierzęcia. Pamiętała słoneczny żar oraz niekończące się śniegi, przenikliwy ziąb, tajemniczą mgłę i orzeźwiające deszcze. Dzieciństwo było jedną wielką przygodą.

– Kochanie... Można o twoim ojcu powiedzieć wiele złych rzeczy, ale czegoś takiego nigdy nie byłby w stanie zrobić. Nie mógłby kogoś zabić.

Serenity spojrzała na matkę, która siedziała obok niej w kucki, trzymając córkę za rękę i szukając jej wzroku.

Na pewno by nie mógł? Pewne wspomnienie zjawilo się teraz jak błyskawica, na ułamek sekundy rozrywając nieprzenikniętą ciemność. Ojciec stojący wśród stosu śmieci, które ktoś beztrudno wyrzucił do górskiego potoku. Przegnięte jedzenie w plastikowych opakowaniach, wyładowane baterie, porzuczone puszki, odłamki szkła. Przeklinał i złorzeczył, gołymi rękami wyławiał śmieci z wody, kalecząc się przy tym do krwi. Przepętniony wściekłością mówił: „Z niektórymi ludźmi najchętniej porozmawiałbym za pomocą pałki baseballowej”.

– Tak sądzisz? – zapytała Serenity.

Mama zaśmiała się ze smutkiem.

– Byłam z twoim ojcem od piętnastego roku życia. Znam go. Naprawdę, znam go lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Serenity uniosła głowę i rozejrzała się wokół. Wspomnienia odpłynęły, przypuszczalnie tam, gdzie skrywała je przez ostatnich dziesięć lat. Znowu była tutaj, w swoim dzisiejszym życiu, siedziała w kuchni pełnej nowoczesnych urządzeń, których matka nakupiła jakby z przekory, bo i tak nigdy z nich nie korzystała. Mikrofalówka z chyba trzema setkami programów. Naczynie do gotowania na parze. Automat do espresso. Ogromna lodówka z wbudowanym komputerem. Kuchnia nie była już ciemna i tajemnicza, ale jasna, czysta, klarowna i zawsze tak wysprzątana, że w każdej chwili nadawałaby się do robienia zdjęć do folderu reklamowego.



– Jak teraz ktoś mnie zapyta, w szkole albo gdzie indziej... – cicho powiedziała Serenity – ...mam się przyznać, że to mój ojciec?

Mama zmierzyła ją wzrokiem i wyraźnie się zawahała. „Zawsze mów prawdę” – tak przecież stale ją pouczała, tak brzmiało jej motto, myśl przewodnia. „Mów prawdę, nawet gdy jest nieprzyjemna, bo to w dalszej perspektywie zawsze się opłaci”.

– Nikt nie zapyta – odparła. – Jones to popularne nazwisko.

– A jeśli?

Przygryzła wargi.

– Wtedy mów, że nie.

W jakiś dziwny sposób właśnie ta rada przeraziła Serenity bardziej niż wszystko inne. Bardziej nawet niż straszliwe oskarżenia wysuwane w stosunku do jej ojca i prezentowane w telewizji.

Serenity przyjrzała się matce, którą zawsze tak bardzo przypominała, że wydawało jej się czasem, iż patrząc w lustro, widzi siebie, tylko starszą o trzydzieści lat. No dobra, mama miała włosy ciemne, prawie czarne, a ona odziedziczyła płowe włosy ojca – obie jednak miały te same nieposkromione loki, prawie do nie ogarnięcia. A oczy... Oczy mamy były wielkie, poważne, czarne jak studzienna czeluść.

Czasem Serenity myślała, że właśnie dlatego tata kiedyś się w niej zakochał.

– Dlaczego go zostawiłaś? – zapytała.

Dawno o tym nie rozmawiały. Mama jednak zawsze odpowiadała, otwarcie i szczerze. Ale Serenity jakoś czuła, że istnieje więcej odpowiedzi niż te, które dotąd poznała.

Tym razem matka nie unikała badawczego spojrzenia.

– Jeremiaś zrezygnował z przyszłości. Po prostu się z niej wypisał. Ja tak nie mogłam. Miałam dwoje dzieci. Musiałam wiedzieć, że będzie coś dalej.

– Ale przecież go kochałaś.

Oczy matki jakby przysłoniła mgła.

– Tak. Rozstanie złamało mi serce.

**12** | To było coś upiornego słuchać, jak w szkole wszyscy rozmawiają o poszukiwanym terroryście, nie spodziewając się, że jego córka jest tuż obok.

Serenity czuła się tak, jak gdyby stała się niewidzialna. Albo jak gdyby szkoła stała się ogromnym akwarium, po którym sobie chodzi, patrząc na stworzenia za szklanymi ścianami, otwierające i zamykające usta. I czuła, jak od innych ludzi oddziela ją tajemnica. Skoro o tym, co nią wstrząsnęło, nie mogła rozmawiać nawet z najlepszą przyjaciółką... ale kto był jej najlepszą przyjaciółką? Czy w ogóle miała jakąś najlepszą przyjaciółkę?

Mr Davey, ich nauczyciel angielskiego, przyniósł jedną ze starych książek taty, aby omówić ją na lekcji. Twierdził, że już z tego wydanego przed dziesięcioma laty tekstu widać, że autor zmierza do brutalnego ekstremizmu.

Wszyscy bardzo się zdziwili. Wielu uczniów ledwie wierzyło, że terrorysta wysadzający przedszkole mógłby w ogóle pisać książki.

Mr Davey puścił swój egzemplarz w obieg po klasie. Większość oglądających dotykała książkę jedynie koniuszkami palców, niektórzy w ogóle jej nie otwierali, inni możliwie jak najszybciej przekazywali ją dalej, jak gdyby bojąc się, że się czymś zarazą.

Serenity mimowolnie się skuliła. Książki taty stały u niej w domu na regale, znała je prawie na pamięć, z zewnątrz i wewnątrz.

– Przeczytam wam ustęp z rozdziału, który autor zatytułował *Ciemne strony technologii informatycznej* – oznajmił Mr Davey. – To będzie bardzo ciekawe. Chodzi o wasze telefony komórkowe. Jeremiaś Jones szczególnie ich nie lubił i najchętniej by się ich pozbył.

– Terrorystyczna Świnia – zawołał ktoś, a Serenity musiała zebrać się w sobie, aby nie zadrzeć.

Znała ten fragment. Oczywiście. Telefony komórkowe, jak dowodził ojciec, w niesłuchanie krótkim czasie stały się centralnym punktem naszego życia. Dla wielu osób telefon komórkowy był najważniejszym z posiadanych urządzeń, porównywalnym z zegarkiem na rękę (który często zastępował) albo z okularami. Wiele osób nosiło go stale przy sobie, wyłączając możliwie jak najrzadziej, bardzo się bojąc jego utraty. Ich myśli oraz uczucia krążyły, mniej lub bardziej, wokół telefonu, wokół funkcji i użyteczności aparatu.

– „Gdybyśmy mieli do czynienia nie z urządzeniem technicznym, ale z substancją chemiczną, którą można spożywać – czytał Mr Davey – dałoby się takie zachowanie określić mianem uzależnienia”. – Uśmiechnął się szeroko i spojrzał na uczniów. – Ma was wszystkich za ćpunów. Co wy na to?

Większość zachichotała albo wyglądała na rozzłoszczonych. Tyko jeden chudy chłopak, Rupert Parker, wyjął telefon z kieszeni koszuli, chwilę mu się przyglądał, a potem stwierdził z namysłem:

– Może wcale aż tak się nie myli. W każdym razie u mnie tak z tym jest.

Mr Davey zignorował sprzeciw. Telefon komórkowy, jak czytał dalej, daje wrażenie bycia stale dostępnym i na odwrót: poczucie dostępu do każdego, kto jest dla nas ważny. Obiecuje, że człowiek już nie będzie samotny – ale paradoksalnie wzmaga w ten sposób lęk przed samotnością i przed tym, że jeszcze kiedyś można by jej doświadczyć. A przecież dla rozwoju osobowości ważne jest, żeby od czasu do czasu każdy pobył sam na sam ze sobą, bo jedynie w ten sposób można poczuć swoje „ja”. Wszystkie techniki medytacyjne w swojej istocie to nic innego jak różne drogi ku samotności. A telefon komórkowy jest, w pewnym stopniu, „maszyną antymedytacyjną”.

Dzięki stałej dostępności młodzi ludzie prawie nie uczą się organizowania spotkań albo dotrzymywania ich terminów. Każde ustalenie dokonywane jest przy uznawaniu za oczywiste założeniu, że w każdej chwili można je odwołać, po prostu telefonując. Tyle że w podobny sposób człowiek oducza się stawiania sobie konkretnych zadań. Gdy przed wynalezieniem telefonu komórkowego ktoś miał kłopot z tym, by choć w minimalnym stopniu dotrzymywać jakichś postanowień, to ich więcej nie podejmował. Telefon komórkowy uczy zajmowania się tylko bieżącą chwilą, myślenia wyłącznie krótkoterminowego. Wychowuje ludzi na idealnych konsumentów, kupujących impulsywnie wszystko, co tylko zaprezentuje się im w wystarczająco kuszący sposób.

W tym miejscu Mr Davey przerwał, zamknął książkę i zaczął wywody o tym, jakąż to nienawiść zawiera się w owych słowach. Serenity wpatrywała się w niego, odnosząc nieodparte wrażenie, że albo jej, albo jemu odbiło. Nienawiść? Znała tę książkę lepiej niż nauczyciel, a wyczytywała z niej jedynie troskę!

Przypomniała sobie, jak tata po raz pierwszy tłumaczył im te zależności. Wtedy, gdy Serenity i Kyle pytali, czy też mogą dostać telefony komórkowe, które w szkole zrobiły się właśnie modne.

Popłynęli na kajakową wycieczkę, a wieczorami zasiadali przy ognisku, tylko we czwórkę, pośród zapadającej nocy. Poza nimi w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego innego człowieka.

– Czy czujecie ten czar? Magię samotności? – zapytał tata. Przytaknęli, zauroczeni nastrojem, szumem lasu i pojedynczymi odgłosami przemykających gdzieś zwierząt.

– A czy ta magia by nie zniknęła – ponownie zapytał tata – gdyby teraz, tutaj, mógł zadzwonić telefon? Tak naprawdę nie chodzi o to, że ktoś by zadzwonił, ale o to, że mógłby zadzwonić. Czar by od razu prysł. Bo wtedy już nie bylibyśmy całkiem tutaj, ale też częściowo gdzie indziej.

I właśnie dlatego Serenity, jako jedyna w całej szkole, nie miała telefonu komórkowego. Uważano ją przez to za dziwaczkę. Nie było dnia, by ktoś nie powiedział: „Zadzwoń do ciebie... ach, tak, przecież ty nie masz...”. Potem następowało milczenie i spojrzenie pełne urazy, niemal z wyrzutem. To ta, która psuje zabawę. Jakaś outsiderka.

W swojej szkolnej szafce wciąż znajdowała ulotki reklamujące „supertanie telefony”, za dolara albo nawet za darmo. Przynajmniej jeśli nie doczytało się informacji podanych drobnym drukiem.

A może, przyszło Serenity do głowy, od teraz jestem podejrzana.

Nie skończyło się jednak na ataku w Karolinie Północnej. Kilka dni później miały miejsce kolejne zamachy, jeden po drugim, na centrum informatyczne w Wirginii Zachodniej oraz trzy firmy ubezpieczeniowe w New Jersey, w których sejfach przechowywano kopie zapasowe danych. Rzecznik odpowiedniego departamentu przyznał ze skruchą, że niestety, nie zareagowano odpowiednio szybko. Najwyraźniej pewne ważne dane zostały nieodwracalnie stracone.

A temu wszystkiemu miał być winien ojciec Serenity.

W wieczornych wiadomościach wpadano już w panikę. Brano pod uwagę wszystkie możliwe tropy. Najwyraźniej Jeremiah Jones i jego ludzie planowali zniszczenie Krzemowej Doliny, serca amerykańskiego przemysłu komputerowego. Eksperci wypowiadali się o tym, jakich bomb użyto, a ponieważ stąd do Krzemowej Doliny była niecała godzina jazdy samochodem, w lokalnej telewizji rozgorzała dyskusja, czy podobny atak zagraża też Santa Cruz.

Serenity przeżyła tamte dni niczym w jakimś transie. Chodziła do szkoły, mając wrażenie, że cały czas śni, na zajęciach robiła notatki, nie rozumiejąc ani jednego słowa. Równie dobrze mogłaby kreślić w zeszytach girlandy i arabeski. Kiedy ktoś ją pytał, odpowiadała, jednak cały czas pozostawała nieobecna duchem. Wychodziła ze szkolnej stołówki, nie pamiętając, co właśnie zjadła. Po prostu wszystko, co się działo, było zbyt straszne.

Sprawdziany pisała, nie wiedząc, co właściwie robi. Aż wreszcie nastąpił dosyć brutalny powrót do rzeczywistości. Dostała niedostateczny z matematyki.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał nauczyciel, oddając jej pracę.

Serenity bezmyślnie wertowała strony sprawdzianu. W ogóle nie potrafiła sobie przypomnieć, że go pisała. Kompletny obłąd!

Miała wrażenie, że tygodniami wędrowała we śnie, a teraz nagle się obudziła. Co się z nią dzieje? Niedostateczny tak bardzo zaniżył średnią, że na koniec roku nie dostanie już dobrej oceny. A przecież chodziła do ostatniej klasy, następne świadectwo będzie końcowym. To w połączeniu z fatalnymi ocenami może oznaczać kres nadziei na stypendium w college’u. A jak ma studiować bez stypendium? Mogła teraz zmarnować sobie całe życie.

**13** | Serenity próbowała porozumieć się z bratem, jednak Kyle'a – który również nie miał telefonu komórkowego – chyba nie było w domu. Co prawda miał adres mailowy, jednak tak rzadko zaglądał do skrzynki, że właściwie można było o tym zapomnieć. Wreszcie słuchawkę podniósł jakiś jego kolega i powiedział, że Kyle wyjechał nie wiadomo dokąd.

Co przypuszczalnie oznaczało – do taty.

Kyle miał dwadzieścia dwa lata i wyprowadził się z domu, kiedy zaczął naukę w college'u. Obecnie studiował coś związanego z ochroną środowiska, choć wydawało się, że jakoś szczególnie go to nie zachwyca. W każdym razie większość czasu spędzał jako ratownik medyczny Czerwonego Krzyża, gdzie miał niemal wszystkich przyjaciół. Regularnie chodzili na koncerty, zawody sportowe oraz inne imprezy. W przeciwieństwie do Serenity, kilka lat po rozstaniu się mamy i taty, ponownie nawiązał kontakt z ojcem. Od czasu do czasu go odwiedzał, a wakacje spędzał wspólnie z Jeremiahem i jego ludźmi.

Serenity za to wystarczało, że tata zjawiał się w odwiedzinach. Przecież to normalne, że po rozstaniu rodziców córka bardziej trzyma z matką, a syn z ojcem, prawda? Dopiero potem zrozumiała, że tak naprawdę bała się, iż zbyt ją zaboli ponowne ujście starego domu, lasu, jeziora... Tego życia, które utraciła.

I co teraz? Serenity nie widziała się z ojcem prawie od roku. A po tym, co się wydarzyło, wręcz bała się z nim spotkać. Obawiała się, że wtedy przepadną wszystkie dobre wspomnienia związane z tatą.

Seria ataków zakończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Nazwisko Jeremiah Jones zniknęło z pierwszych stron gazet.

A Serenity przestała co noc śnić o ojcu przemierzającym kraj w czarnej kominiarce i z ciężką bronią.

– Oj, z pewnością nie jest tak źle – oznajmiła mama, słysząc o oblanym teście i tym, jak wpłynie on na średnią ocen. – Na pewno znajdzie się jakaś inna możliwość, żebyś dostała stypendium.

Mama potrafiła wykazywać się niepoprawnym optymizmem, najczęściej wtedy, gdy najciężej było to znieść.

Jaka inna możliwość? Serenity, ślęcząc nad ocenami, wciąż je przeliczała i stale wychodziło to samo – aby uzyskać potrzebną średnią, musiałyby dostać mnóstwo piątek z innych przedmiotów. I to z tych, z których jeszcze nigdy w życiu nie dostała żadnej piątki.

Może, przekonywała samą siebie, to jednak byłoby do zrobienia, gdyby po prostu zaczęła się uczyć tak pilnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Gdyby zakuwała jak szalona. Gdyby wciskała sobie wiedzę do głowy w każdej wolnej chwili.

Czy ten plan jest skazany na niepowodzenie? Spokojnie. Za pasem już przerwa wiosenna, dwa tygodnie ferii. Serenity całkiem serio się zastanawiała, czy nie spędzić tego czasu na nauce!

A tymczasem na zewnątrz kusiło słońce.

Skoro już snuje takie szalone plany, może spróbuje połączyć jedno z drugim?

Wzięła torbę plażową, wrzuciła do niej książkę od fizyki i ruszyła nad morze.

Jednak okazało się, że to nie najlepszy pomysł. Gdy się rozebrała, zdjawszy nawet dżinsy, zaczęła marznąć na zimnym północnym wietrze. A gdy z powrotem założyła koszulę, zachciało jej się spać i sama nie wiedziała, od czego bardziej: od słońca, od delikatnego szumu Pacyfiku czy od książki. Serenity leżała na brzuchu i niechętnie przewracała strony, nie potrafiąc skupić się na żadnym rozdziale.

W pewnej chwili padł na nią cień.

Uniosła wzrok. Nad kocem stał jakiś blady chłopak, mógł być mniej więcej w jej wieku.

– Zasłaniasz mi słońce – stwierdziła nieuprzejmie.

Dobra, przecież nie mógł wiedzieć, że wybrał sobie najmniej odpowiedni moment na podryw. No, ale czemu tylko ona miała mieć pecha?

Nie zniechęcił się. Po prostu rozsiadł się na piachu i oznajmił:

– Musimy porozmawiać o twoim ojcu.

Serenity z trudem złapała oddech.

– O moim ojcu? Jak to?

Blady chłopiec spojrzał na nią obojętnie.

– Bo mogę mu pomóc. A on mnie.

**14** | Serenity gwałtownie usiadła.

– Pomóc? Dlaczego chcesz pomagać mojemu ojcu? I jak to sobie w ogóle wyobrażasz?

– To już sam muszę mu wytłumaczyć.

Wariat. Tylko tego brakowało. Szybko rozejrzała się wokół. Zauważyła, że jest w bardzo odludnym miejscu. O tej porze roku w tej części plaży zazwyczaj nikogo nie było. Widziała tylko dziewczynkę z psem, a na falach jakiegoś zapamiętałego surfera.

Musi więc sama wymyślić, jak pozbyć się intruza.

Zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

– Sądzę, że mnie z kimś pomyliłeś.

Chłopak chwycił garść piachu i przyglądając się, jak malutkim, delikatnym strumieniem ziarenka wypływają mu spomiędzy palców, zaczął wyliczać:

– Nazywasz się Serenity Jones. Masz siedemnaście lat, chodzisz do liceum Santa Cruz Highschool i mieszkasz z matką, Lilian Jones, z domu Taylor, na Winham Street 280. Masz brata, który ma na imię Kyle i który studiuje wiedzę o środowisku naturalnym na Uniwersytecie San Francisco. Twój ociec nazywa się Jeremiah Jones, przez wiele osób nazywany jest Prorokiem, obecnie poszukuje go FBI w związku z zamachami bombowymi w Karolinie Północnej, Zachodniej Wirginii oraz New Jersey.

Chociaż prażyło słońce, Serenity poczuła na plecach dreszcze.

– Skąd to wiesz?

Zgarnął resztkę piasku z powierzchni dłoni.

– Coś się nie zgadza?

Kim jest ten facet? Na pewno kimś obcym, sądząc po bladej cerze. Mieszkaniec Santa Cruz – właściwie każdy mieszkaniec Kalifornii – o tej porze roku byłby już brązowy. A w dzień taki jak ten, z pewnością nie założyłby takiej grubej bluzy, a pewnie też długich spodni.

– Nie podoba mi się – odparła Serenity – że tyle o mnie wiesz. A ja nie znam nawet twojego imienia.

Zamrugnął nerwowo.

– Przepraszam. Nazywam się Christopher. Christopher Kidd. – Zaczął obracać kamyk tkwiący przed nim w piachu. – Przyjechałem z Europy. Dokładnie z Anglii. Mogę ci także powiedzieć, gdzie ostatnio mieszkałem i do jakiej szkoły chodziłem, ale to wszystko już nieaktualne. Teraz uciekam i wątpię, żebym jeszcze tam kiedyś wrócił.

Uciekinier? Raczej jakiś pozer.

– A co takiego zrobiłeś, że aż musiałeś uciekać?

Przestał bawić się kamieniem, cisnął nim w stronę wody.

– Wiesz, kto to jest haker?

Serenity przewróciła oczami.

– A jest ktoś, kto nie wie? To taki człowiek, który się włamuje do cudzych komputerów.

Przytaknął.

– System informatyczny w waszej szkole jest całkiem nieźle zorganizowany. Potrzebowałem tylko pięciu minut, żeby się dowiedzieć, że właśnie dostałaś niedostateczny z testu z matematyki. – Wskazał na podręcznik od fizyki. – Zakładam, że stąd właśnie taka lektura na plaży. Chcesz wyrównać to dobrą oceną z fizyki.

Serenity miała wrażenie, że oblewa się rumieńcem.

– To dlatego, że te paskudne wiadomości na temat mojego ojca zupełnie mnie wyprowadziły z równowagi. Normalnie to napisałabym matematykę na co najmniej dobry, może nawet na bardzo dobry... – Urwała.

Dlaczego w ogóle ma się przed nim tłumaczyć? To przecież nic go nie obchodzi.

A tak zupełnie poza tym...

– U mnie w szkole – odezwała się nieufnie – nikt nie wie, kto jest moim ojcem. I dlatego jego nazwisko nie może być w szkolnym komputerze.

– Bo go nie ma – przyznał Christopher. – Twoje akta osobowe znam z twoich komputerowych akt zebranych przez FBI.



**15** | Serenity ledwie oparła się wrażeniu, że to wszystko jest jakieś nierzeczywiste. Czy za chwilę się obudzi? Może. Chociaż z drugiej strony piasek, na którym siedziała, był prawdziwy, słońce raziło, wzmagający się wiatr rozwiewał włosy, w których miał zresztą spore pole do popisu.

Zamrugła, starając się zachować spokój.

– FBI zbiera materiały na mój temat? Nie wiedziałam.

Uniósł brew.

– No jasne, że zbierają materiały na twój temat. Przecież jesteś córką poszukiwanego terrorysty.

Dziwne. Przez te wszystkie tygodnie, gdzieś tam w środku przygotowywała się na chwilę, kiedy ktoś powie tak o ojcu, szykowała odpowiedź, gdy ktoś głupio zażartuje na temat jej nazwiska. Albo zapyta wprost, czy jest krewną tego Jeremiaha Jonesa. Jednak teraz spostrzegła, że wcale nie chce kłamać na temat taty. Dokładnie tak, jak mówiła matka.

– I co z tego. – Starła się, aby nie zadrżał jej głos. – Bycie córką poszukiwanego terrorysty nie jest przecież karalne.

– FBI niczego ci nie zarzuca – odparł dziwny chłopak. – Mają nadzieję, że przez ciebie do niego dotrą.

– I wiesz to, bo włamałeś się do ich komputera?

– No.

– Jaaasne. – Serenity skrzyżowała ramiona. – To mają pecha. Nie mam pojęcia, gdzie jest mój ojciec.

Obcy skrzywił się, jakby nagle rozboleł go ząb.

– Nie to chciałem usłyszeć.

– Poza tym – stwierdziła dobitnie – nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co o nim mówią.

– Na twoim miejscu też bym nie wierzył.

Spojrzała na niego z oburzeniem. Co to miało znaczyć? Tego tylko brakowało, żeby sobie kpił.

Serenity czuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro zimnej wody. Co w ogóle tutaj robi? Po co dyskutuje z tym dziwnym facetem?

– Wiesz co? – powiedziała. – Myślę, że już wystarczy. Zostaw mnie w spokoju. Opowiedz to wszystko komuś innemu. Mam teraz co robić, rozumiesz? – I demonstracyjnie sięgnęła po książkę od fizyki.

Och, nie. Chłopak wyglądał niczym urażona niewinność. Jakby wyrządziła mu nie wiadomo jaką krzywdę.

– A co ty masz do roboty? – zapytał, szeroko otwierając zdumione oczy.

– Co mam do roboty? – Wyjęła dzinsy z torby plażowej. – Raczej nic nie mam, bo nie mam ochoty dłużej z tobą rozmawiać. Po prostu.

Wstała i wciągnęła spodnie.

– Powiedziałem coś nie tak?

Otrzeпаła kocyk, zwinęła i schowała, wskoczyła w sandały, zawiesiła torbę na ramieniu. Gotowe. Przy odrobinie wprawy, to kwestia zaledwie kilku sekund.

– Mam także cudowne życie – dodała Serenity, zostawiając go samego. Weszła na wąską ścieżkę prowadzącą w górę East Cliff Drive.

– Poczekaj jeszcze! – zawołał i potykając się, ruszył za nią. – Przecież ja nie chcę, żebyś mi mówiła, gdzie jest twój ojciec. Wystarczy, jeśli przekażesz mu wiadomość ode mnie. Powiedz mu tylko, gdzie mnie może znaleźć... i że mogę mu pomóc... Poczekaj chwilkę!

Serenity wdrapała się już prawie na samą górę, przeskoczyła przez metalowe ogrodzenie i weszła na ulicę. Stąd miała jedynie pięć minut spacerem do przystanku autobusowego przy Murray Street.

– Serenity! – zawołał chłopak.

– Co? – Odwróciła się, podpierając się pod boki. Nie zauważyła czerwonego sportowego auta, chevroleta camaro, które powoli jechało First Avenue. – Czego jeszcze chcesz?

Christopher stanął za balustradą, jakby stanowiła granicę, której nie mógł przekroczyć.

– Beze mnie złapią go najpóźniej za trzy tygodnie. Zastanów się jeszcze.

– To wszystko kłamstwo – odparła Serenity. – Nie zrobił nic, o co go oskarżają.

– Ale jest ścigany – zauważył Christopher. – A jeśli nie jest w stanie udowodnić swojej niewinności, to lepiej, żeby go nie dopadli.

– Hej, ty! – zawołał jakiś chrapliwy głos.

Serenity odwróciła się. Obok niej zatrzymał się ten czerwony sportowy samochód. Siedziało w nim trzech młodych opalonych mężczyzn, w drogich okularach przeciwsłonecznych, a każdy z wyrazem twarzy niepozostawiającym wątpliwości, że uważają się za dar niebios zesłany wszystkim kobietom świata.

Serenity rozpoznawała takie typy na kilometr. Kalifornia wręcz się od nich roiła.

– Spuść gościa z prądem – mruknął mężczyzna na fotelu obok kierowcy, a jego kumple wyszczerzyli się w uśmiechu. – Gdzie chcesz jechać? Podwieziemy cię.

– Dajcie mi spokój – warknęła Serenity, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Jednak bywają dni, kiedy wszystko idzie nie tak.

Samochód ruszył i jechał teraz tuż przy niej.

– Hej! No, nie odchodź – dalej namawiał typ. – Właśnie jedziemy na imprezę. I co? Nie masz ochoty się z nami wybrać?

– Nie – odparła z całą stanowczością. – W ogóle nie.

Samochód zbliżył się jeszcze bardziej.

– No, nie strzelaj focha! – zawołał facet z siedzenia obok kierowcy. – Dobrze wiem, że masz ochotę.

Błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał Serenity za nadgarstek.

**16** | Spróbowała się wyrwać, jednak mężczyzna trzymał jej rękę w żelaznym uścisku.

– O co chodzi?! – krzyczała, szarpiąc się. – Natychmiast mnie puść!

Wyszczerzył zęby w bezwstydnym uśmiechu.

– Tylko jeżeli z nami pojedziesz.

– Nigdzie z wami nie jadę! – prychnęła Serenity. – Chyba zwariowałeś!

Pozostali się roześmiali.

– To nie puszczę – oznajmił typek z fotela obok kierowcy.

Serenity uniosła stopę, chcąc kopnąć samochód, jednak chłopak, który ją trzymał, tak nią potrząsnął, że prawie straciła równowagę.

– Z dala od mojego wozu! – syknął.

– To z dala ode mnie! – wysapała, próbując przynajmniej oderwać jego palce od nadgarstka. Mężczyzna tylko zaśmiał się szyderczo. Dłoń miał jak imadło.

To już naprawdę przestało być śmieszne. Serce dziewczyny biło tak mocno, że aż podchodziło do gardła. Czuła, że ogarnia ją panika.

Pospiesznie rozejrzała się wokół, zobaczyła domy, okna, inne auta. Tyle że w domach nikogo nie było widać. Okna były pozasłaniane, zamknięte lub zakratowane. Wszystkie samochody stały zaparkowane i puste.

Jedynym świadkiem zdarzenia był Christopher. Jednak nawet nie ruszył się z miejsca. Stał za ogrodzeniem jak wrośnięty w ziemię i tylko się przyglądał. Wręcz gapił.

I ktoś taki chciał pomóc jej ojcu? Wolne żarty.

– No, słodziutka – zachęcał mężczyzna trzymający ją za nadgarstek. – Słuchaj, wpadłaś mi w oko. Tak łatwo się ode mnie nie uwolnisz! – Pozostali ryknęli śmiechem. – No wiesz, chyba uczciwie zasłużyłem, żebyś mi dała szansę. Wcale nie jestem taki straszny, no serio. Moi kumple też nie są. Prawda?

– Nooo! – Obaj zahuczeli zgodnym chórem, spoglądając przy tym na Serenity tak pożądliwie, że aż zrobiło jej się niedobrze.

I wtedy szyba bocznych drzwi auta zaczęła zamykać się z leniwym szumem. Początkowo wydawało się, że mężczyzna niechcący wcisnął jakiś przełącznik. Gdyby jednak tak się stało, to przecież nie spojrzaliby z taką złością do wnętrza auta, rycząc:

– Hej! Wyłącz to cholerstwo!

– A co ja takiego robię! – odkrzyknął kierowca i wystraszony zdjął rękę z kierownicy.

Nic nie pomogło. Wszystkie szyby samochodu przesuwają się teraz w górę z mechaniczną nieustępliwością. Wreszcie facet z fotela obok kierowcy puścił Serenity. Inaczej szyba zmiażdżyłaby mu ramię.

Właśnie wtedy w aucie zatrzasnęły się wszystkie zamki i zgasł silnik.

Serenity cofnęła się odruchowo. Potarła lewy przegub. Dyszała ciężko. Nie miała pojęcia, co się stało, ale na pewno stało się w samą porę.

Trzy typki w samochodzie najwyraźniej też nie miały pojęcia. Próbowali otworzyć drzwi, jednak na próżno. Krzyczeli na siebie, napierali od wewnątrz na auto, a kierowca bez przerwy obracał kluczyk w stacyjce. Spod maski dobiegał tylko jałowy stukot. Wóz stał jak przyrośnięty do ulicy, z pasażerami uwięzionymi w środku.

Serenity uznała, że to całkiem miły widok.

Christopher nadal nie ruszał się z miejsca. Przypatrywał się, nawet nie mrugnawszy okiem. Spoglądał na auto niczym Superman mierzący palącym spojrzeniem jakiś wrogi obiekt.

Serenity zadrżała. Chociaż nie miała zielonego pojęcia, jak Christopher zdołałby tego wszystkiego dokonać, mogłaby przysiąc, że to, co działo się z autem, było jego zasługą. Że... jakoś wpłynął na samochód czy coś w tym rodzaju. Odwróciła się, potrzęsnęła głową. Bzdura! Świat pełen jest wariatów i akurat dzisiaj wszyscy się na nią uwzięli.

Typ z fotela obok kierowcy przyłożył do ucha telefon komórkowy, zaczął coś mówić, gwałtownie gestykułując. Przy okazji zerkał wściekły na Serenity, jak gdyby była wszystkiemu winna.

– Mamy jeszcze rachunki do wyrównania – powiedziała po cichu do siebie.

Uśmiechnęła się do niego, myśląc: „Ty cholerny dupku”. Potem wyjęła z torby klucze od domu i uniosła w górę, aby gnojki w samochodzie dobrze widziały, co trzyma.

Zrozumieli dopiero wtedy, kiedy podeszła do tyłu auta.

– Nie! – usłyszała ich wrzask.

– Zabiję cię! – wydzierał się ten za kierownicą.

Samochód był chyba nowiutki. Czerwony lakier lśnił tak, że aż wydawał się mokry. Serenity przytknęła do niego ostrą krawędź klucza, następnie przesunęła nią z okropnym zgrzytem ukośnie z boku aż po wycieraczki.

Takiej rysy już nigdy nie zdołają ukryć.

Mężczyźni wyli jak wilki. Prawie wychodzili z siebie. Zaciskali pięści, wrzeszczeli jeden przez drugiego...

– Chyba powinnaś już iść – odezwał się nagle Christopher.

Serenity coś poruszyło w brzmieniu jego głosu. Szybko odwróciła się od auta. Obcy chłopak wciąż wpatrywał się w samochód, tylko w samochód, nie przenosił na nią spojrzenia. Cokolwiek się teraz działo, nic z tego nie rozumiała.

I tak naprawdę wcale nie chciała rozumieć.

Rzuciła Christopherowi ostatnie spojrzenie, a potem oddaliła się tam, skąd przyszła.

**17** | Serenity z ulgą odetchnęła dopiero wtedy, gdy w końcu dotarła do domu. Co za koszmar! Początkowo pobiegła na przystanek, ale kiedy zobaczyła, że najbliższy autobus zjawi się dopiero za czterdzieści minut, ruszyła w stronę następnego przystanku innej linii. Kluczyła, wędrując po osiedlach, starając się być dobrze widoczna. Wreszcie, z uczuciem wręcz nieskończonej ulgi, zamknęła za sobą drzwi do domu. Spocona, ale bezpieczna.

Mamy nie było, ale prawdę mówiąc, to akurat teraz Serenity jak najbardziej odpowiadało.

Najpierw pod prysznic. Kąpała się długo i starannie, jak gdyby chciała spłukać z siebie cały strach. Później, owinięta w ulubiony kąpielowy szlafrok, całkiem wyczerpana runęła na łóżko. Zamknęła oczy, jednak to nie pomogło. Z zaciśniętymi powiekami jeszcze wyraźniej poczuła, jakie ma rozkołatanane nerwy. Uniosła ręce i przyjrzała się lewemu nadgarstkowi. Uścisk tamtego idioty zostawił sine ślady. Chętnie by zrezygnowała z takiej pamiątki.

Otworzyły się drzwi od domu, usłyszała szelest papierowych toreb. To mama – kierowniczką biblioteki w Live Oaks – wróciła właśnie z zakupów w supermarkecie.

– Tutaj jestem! – zawołała Serenity.

Mama wsunęła głowę do środka.

– Co z tobą? – zapytała.

– Miałam okropny dzień – wyjaśniła Serenity.

– Aha – odparła mama. – To chodź, zrobię nam coś do jedzenia.

I zamknęła drzwi.

Cała mama. Czekoladowe ciastka były jej terapią na skaleczone kolano, a rosół lekarstwem na oparzenia słoneczne i uządlenia os. Sercowe kłopoty kołała własnoręcznie przyrządzoną pizzą, a tęsknotę za domem szarlotką.

„Na pewno musiałam sporo przytyć” – pomyślała Serenity. Wysupłała się z różowego frotte i krytycznie przyjrzała biodrom.

No tak. Ale przecież lepiej być za chudą niż za grubą.

Wieczorem wreszcie odezwał się jej brat. Wrócił już stamtąd, gdziekolwiek był. Na automatycznej sekretarce znalazła od niego wiadomość.

– Chodzi o tatę – wyjaśniła Serenity. – Słyszałeś, co o nim mówili?

– Orientuję się w temacie, jeśli o to chodzi – odparł Kyle, wyraźnie skwaszony.

– A ja dzisiaj... – Urwała w pół zdania. Chciała opowiedzieć bratu o tajemniczym Christopherze, ale właśnie sobie przypomniała, że twierdził, iż są pod obserwacją FBI. Co teraz wydało jej się całkiem prawdopodobne. Jaka dotąd była naiwna! Na pewno telefon był na podsłuchu.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – powiedziała tylko.

– To rozmawiaj – odparł Kyle.

– Nie przez telefon.

Kyle się zastanowił.

– Mogę jutro do was przyjechać – oznajmił w końcu. Nawet na odległość dało się odczuć, jak bardzo mu się nie chce.

– Mama się ucieszy, że cię zobaczy.

– Tak, tak – prawie słyszała, jak się krzywi – powiedzmy, około piątej. Dobra?

– Dobra – odparła Serenity pospiesznie. – Wiesz, jesteś moim ukochanym bratem. Zanim się rozłączył, usłyszała, że chyba cicho się zaśmiał.

Tej nocy Serenity źle spała. Tym razem w jej koszmarach pojawił się chłopak z plaży, Christopher. Wyciągał do niej ręce, próbując złapać. Błąkała się po szkole, śledzona przez agentów FBI, otwierała drzwi, szukając sali komputerowej i nijak nie mogła jej odnaleźć. Za to w jakiś sposób się okazało, że naprzeciwko siedzi dyrektorka, a obok niej świeci lampa do przesłuchań. Mrs Horseshoe raz za razem pytała: „Co wiesz o Christopherze Kiddzie? Co zrobił z komputerami?”.

Obudziła się o wiele za wcześnie, na zewnątrz było jeszcze ciemno. Potem leżała, zastanawiając się, co mógł oznaczać taki sen.

E, pewnie nic, uznała przekornie. I w tej samej chwili rozdzwonił się jej budzik.

W szkole wszystko szło jak z płatka. Świeciło słońce, nauczyciele chętnie żartowali, każdy cieszył się zbliżającymi się feriami. Krótko mówiąc – dzień doskonały.

A jednak Serenity czuła się jakoś nieswojo. Może dlatego, że się nie wyspała i czuła jeszcze resztki wczorajszego strachu. A może dlatego, że w filmach, im piękniejsza była sceneria, tym później gorsze zdarzało się nieszczęście. W każdym razie z każdą chwilą rosło w niej przekonanie, że pod miłą powierzchnią czai się coś straszliwego.

Na trzeciej lekcji miała biologię. Idąc na zajęcia, podeszła do jednego z ogólnie dostępnych terminali komputerowych. Stała przed nim przepełniona nieokreśloną obawą.

Hakerzy to ludzie, którzy włamują się do cudzych komputerów.

Nasza szkolna sieć jest dobrze zorganizowana.

Wsunęła legitymację szkolną do czytnika, wystukała hasło i wybrała przegląd swoich ocen.

Niedostateczny z matematyki zniknął.

**18** | Serenity przeszedł dreszcz. Poczula się tak, jakby zmieniła się w słup soli. Musiała zdobyć się na wręcz nadludzki wysiłek, aby wyciągnąć legitymację z terminala. Pociemniały ekran wydał się jej zbawieniem.

Nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

To oczywiście, że lista ocen bez tego niedostatecznego wyglądała lepiej. Znacznie lepiej. Owszem, nie były jakieś oszałamiające, nie przykuwały uwagi, za to wyglądały jak jej oceny, jak oceny Serenity Jones.

Bez żadnych wątpliwości była to sprawka Christophera.

I bez żadnych wątpliwości postąpił jak idiota.

Przecież nie można tak po prostu wymazać oceny! Jak on to sobie wyobraża? Ocena znajduje się przecież również na teście, na kawałku papieru z pytaniami oraz kompletnie niewystarczającymi odpowiedziami, wypisana czerwonym niezmywalnym tuszem! A nawet gdyby udało się jakoś zlikwidować ten dowód albo go zafałszować, wciąż pozostaje nauczyciel pamiętający sprawdzian. Od razu zauważy, że coś się nie zgadza.

„Ci stuknięci maniacy komputerowi!” – pomyślała Serenity ze złością. – „Wszystkim im się wydaje, że całe życie sprowadza się do klikania myszką!”

Na szczęście przed feriami nie będzie już lekcji matematyki. Nie miała pojęcia, jak by się wytłumaczyła. A że miała coś na sumieniu, widać było chyba na setki mil. I przy tym była niewinna! Całkowicie! Ale jak mogłaby to udowodnić? Poczula ciarki, uwiadamiając sobie, że przytrafiło się jej dokładnie to samo co ojcu. Tyle że w mniejszej skali.

Przynajmniej Kyle się zjawił, tak jak obiecał. Punktualnie o piątej coś zaryczało na podjeździe pod domem, a kiedy Serenity skoczyła do okna, ujrzała, że brat właśnie manewruje starą, zakurzoną terenówką, ustawiając ją obok auta mamy. Że coś takiego w ogóle jeździło! To był dowód, że cuda jednak się zdarzają.

Obie wypadły na zewnątrz. Mama przytuliła Kyle'a, który z włosami spiętymi w koński ogon – a raczej coś w rodzaju mopa, bo miał takie same loki jak Serenity, tyle że w bardziej posłusznej, sprężystej wersji – coraz bardziej wyglądał jak neohippis.

– Mam nadzieję, że zostaniesz na noc. – Mama spojrzała na niego prosząco.

– Nieee – odparł Kyle. – Wracam zaraz po kolacji, mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia.

– Mógłbyś mi pomóc zrobić porządek w garażu! Tylko trochę! Są tam w końcu też twoje rzeczy.

Kyle rzucił Serenity spojrzenie mówiące: „No to mnie wrobiła!”

– Dobra, zobaczymy – powiedział. – Siostrzyczko, co było takiego pilnego?

– Kłopoty w szkole, problemy sercowe, to co zwykle. – Jednocześnie podała uprzednio przygotowaną karteczkę ze słowami: „Uważaj w domu, jak coś będziesz mówił. Może nas obserwować FBI, żeby się dowiedzieć, gdzie jest tata”.

Kyle uniósł brwi.

– Aha – powiedział, odpowiadając na jedno i drugie. – Mogłem się tego spodziewać.

– Chodźmy do środka – oznajmiła mama.

Zaraz potem usiedli przy stole w kuchni. Kyle przyniósł sobie colę z lodówki. Nie był zbyt rozmowny. Ale czy kiedykolwiek był inny?

– Zostańmy na dworze – zaproponował, wskazując słowo „tata” na kartce od Serenity.

Przytaknęła. Mama przeniosła spojrzenie z jednego dziecka na drugie.

– Zaraz zabieram się za robienie kolacji – powiedziała z uśmiechem. – Możecie więc spokojnie wyjść do ogrodu i porozmawiać o sprawach, które mnie nie dotyczą. – Wyjrzała przez okno na niebo zaciągające się chmurami. – Dopóki nie pada.

– Dobry pomysł – stwierdził Kyle.

Dokładnie w chwili, gdy mama chciała włączyć światło nad kuchenką, w domu wysiadł prąd. Lampy mignęły, ucichł szum lodówki.

– To już trzeci raz w tym tygodniu – westchnęła.

– To przez kalifornijską sieć elektryczną – oznajmił Kyle. – Jest przestarzała i dlatego wciąż przeciążona. Ciągłe siada.

Mama otworzyła lodówkę, wyjęła kilka pakunków.

– Zwykle prąd włączają po dziesięciu minutach. Jeśli nie włączą, zrobię sałatkę i kanapki.

Ogród nie był aż taki duży, by można było sobie wybrać miejsce do pogawędki. Pod parasolem, obok żywopłotu oddzielającego ich od ogrodu sąsiada, stały dwa plastikowe krzeselka i stół.

– I myślisz, że tutaj nikt nas nie posłucha? – zapytał Kyle z powątpiewaniem w głosie, zmiatając ręką liście i kurz ze swojego krzeselka. Przyjrzał się żywopłotowi. – Tu może ktoś się chować. Albo za tym krzakiem.

– Mówisz o panu Simmonsie? – zapytała Serenity z rozbawieniem. – Jest obłożnie chory. Nawet gdyby ktoś go zabrał do ogrodu, i tak byśmy go usłyszeli. Sapie jak mors.

– Już dobrze – odparł Kyle i usiadł. – Nie wiem, gdzie jest tata. A więc tego się ode mnie nie dowiedzą.

– Myślałam, że u niego byłeś – powiedziała Serenity.

– Tak. Wiedziałem, gdzie wtedy był. Ale teraz ciągle się przenosi z miejsca na miejsce. Po wieściach o zamachu bombowym natychmiast opuścił osadę przy naszym starym domu. Dosłownie w ostatniej chwili. Wszyscy, których FBI ma na swojej liście poszukiwanych, zostali z tatą, resztę odesłał.

– Kyle wzruszył ramionami. – Załatwili sobie namioty, przyczepy kempingowe i przenoszą się z jednej kryjówki do drugiej, tak co parę dni.

Słowa brata jakoś uspokoiły Serenity.



– A co u taty?

Kyle odsunął z czoła gruby kosmyk.

– No, a co ja mam powiedzieć...? Stara się, żeby nic nie było po nim widać. Ale jest naprawdę piekielnie wściekły, że ktoś usiłuje go zrobić w te zamachy. Przede wszystkim dlatego, że nie ma zielonego pojęcia dlaczego.

– I co z tym zrobi?

– Bardzo dobre pytanie. Do tej pory byli zajęci tym, żeby się jakoś uporać z życiem w konspiracji, opracować sposoby zachowywania tajemnicy. Środki ostrożności i tak dalej. Nikt jednak nie wie, jak długo jeszcze będzie im się udawać. Tata się obawia, że zaczną ich szukać przez satelitę. Ciężko byłoby na to coś poradzić.

– A nie wystarczyłoby, żeby jakiś haker włamał się do komputera FBI i wymazał tatę z listy poszukiwanych?

Kyle nie potrafił powstrzymać śmiechu.

– Nie, jasne, że nie. Skąd w ogóle wpadłaś na taki pomysł? Wreszcie nadszedł czas, żeby opowiedzieć o Christopherze, o spotkaniu na plaży i jego propozycji. Nie wspomniała jedynie o facetach ze sportowego auta, za to wyjawiała, co Christopher zrobił ze szkolnym komputerem.

– Nie mam pojęcia, co teraz robić. Myślę, że to przecież wygląda tak, jakbym go do tego namówiła, prawda? I jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby Mr Ogden nie zauważył, że ktoś pozmieniał mu dane.

Popatrzyła na Kyle'a, którego spojrzenie nagle zmętniało.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Powtórz to jeszcze raz – poprosił brat. – Jak się nazywał tamten chłopak?

– Christopher – odparła. – Christopher Kidd. Chyba tak. Kyle przyjrzał się jej z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nie wierzył własnym uszom.

– To nazwisko nic ci nie mówi?

Serenity potrząsnęła głową.

– Nic. A o co chodzi?

– W Krzemowej Dolinie uważa się niejakiego Christophera Kidda za najlepszego hakera na świecie, za Mozarta bitów i bajtów. To musi być jakiś wyjątkowy talent, bo komputerowcom bardzo rzadko zdarza się chwalić kogoś innego.

Serenity zamrugła.

– Myślisz, że podał mi fałszywe nazwisko? Żeby zrobić na mnie wrażenie?

– Niekoniecznie. Naprawdę mógł się tak nazywać.

– Nie, nie! – Serenity znowu potrząsnęła głową. – Przecież mówiłam, że był w moim wieku, najwyżej rok starszy.

Kyle przeczesał palcami spięte włosy.

– To by pasowało. Ten Christopher Kidd, którego mam na myśli, jest właśnie w takim wieku. – Przyjrzał się siostrze w zamyśleniu. – Miałaś wtedy ze trzynaście lat, ale pewno pamiętasz. Wtedy w mediach nazywano go Computer Kidem.

Serenity spojrzała na brata zdumiona. Wreszcie do niej dotarło. Ale nie... to przecież niemożliwe...

– Computer Kid? – powtórzyła. – Chyba nie chodzi ci o tego Computer Kida?

Kyle przytaknął.

– Właśnie o tego. Tego, który na jeden tydzień zrobił z nas wszystkich miliarderów.

**19** | Już sobie przypominała. Zresztą, kto by nie pamiętał? Miała wtedy trzynaście lat. Martwiła się czekającą ją operacją wyrostka robaczkowego, a Tammy, wówczas jej najlepsza przyjaciółka, zaprosiła ją na urodziny. I nagle to się stało. Wszyscy dorośli jakby zwariowali. Cały dzień rozmawiali tylko o pieniądzach. Jedni twierdzili, że teraz wszyscy stali się bogaci i że to coś wspaniałego, inni zachowywali się tak, jakby nastąpiła katastrofa.

W każdym razie wtedy w centrum handlowym natrafili na zamknięte drzwi. Po raz pierwszy w życiu Serenity musiała głodować. To jak najbardziej wyglądało na katastrofę.

Dopiero później zrozumiała, co się wtedy wydarzyło. Ukazały się artykuły i książki, w których opowiedziano historię trzynastolatka, który postawił światową gospodarkę na skraju przepaści. Który pewnego dnia w dalekich Niemczech, we Frankfurcie, zakradł się do gabinetu matki, pracownicy jednego z licznych banków, a potem włamał się do serca światowego systemu finansowego. Który zdołał tak oszukać system połączonych komputerów bankowych, że nazajutrz każdy człowiek na całym świecie otrzymał na swoje konto przelew wysokości miliarda dolarów. Nawet fachowcy nie wiedzieli, jak do tego doszło, a przede wszystkim nikt nie wiedział, jak to można odwrócić.

Skąd się wzięły te wszystkie pieniądze? Znikąd. Pewien nieletni chłopak, którego nazwiska media nie były nawet w stanie podać prawidłowo i dlatego wołały nazywać go Computer Kidem, wyczarował tryliony dolarów po prostu z niczego. Zwyczajnie wpisując liczby do pamięci komputera. Wykorzystał lukę w systemie, której nikt przed nim nie zauważył, nawet świetnie opłacani bankowi informatycy. Opinia publiczna nie dowiedziała się już niczego więcej poza tym, że usterkę udało się usunąć.

Chociaż... Przez tydzień panował totalny chaos. Nagle wszyscy stali się bogaci – jednak tylko na papierze. Banki szybko się zorientowały, że coś jest nie w porządku, pozamykały bankomaty, odcięły internetowy dostęp do kont i zablokowały karty. Kilku co sprytniejszym osobom udało się podjąć nieco gotówki, ale wkrótce nie można było już niczym zapłacić. Zupełnie niczym. Sklepy nie przyjmowały ani kart, ani czeków, aż w końcu je pozamykano. Nikt nie mógł płacić, bo wszystkie banki zatrzasnęły wrota, zajęte jedynie ustalaniem, co się wydarzyło i skąd się wzięły te wszystkie miliardy. Na giełdach nastąpił krach. Zupełnie ustał handel. Nastąpił taki kryzys, jak jeszcze nigdy w historii.

Przywódcy państw latali odrzutowcami po całym świecie, spotykali się na pospiesznie organizowanych konferencjach, trwających całymi dniami i nocami, aż wreszcie ustalono, że należy cofnąć zegar. Przywrócono zapisy danych z dnia sprzed pojawienia się tych trylionów, i wszystko, co stało się później, w pewnym sensie się „odstało”. Stwierdzono, że technicznie to jedyna możliwość opanowania sytuacji – oczywiście, nie dało się uniknąć pewnych strat, przynajmniej jednak zdołano

doprowadzić do takiego stanu, by życie wróciło na dawne tory. A czas nastał ku temu najwyższy, bo ludzie już od dawna siedzieli przed pustymi lodówkami.

Wszyscy stali się miliarderni, ale ostatecznie wszyscy zostali bez pieniędzy. Serenity często słyszała w szkole, jak podkreślano właśnie ów aspekt całej tej historii.

Była w tym pewna logika – skoro każdy uznał, że jest tak bogaty, aby nie musieć pracować, nikt już nie pracował. A skoro nikt nie pracował, półki supermarketów opustoszały. Niezależnie od ilości pieniędzy.

W tym wszystkim najciekawsze było to, że Computer Kid miał zaledwie trzynaście lat, przez co nie mógł zostać osądzony i ukarany jak dorosły. Tak naprawdę, to nic nie można mu było zrobić. Tylko jego matkę zwolniono z pracy – bo nie upilnowała kluczy od swojego gabinetu. Chłopcu nic się nie stało.

I to był tamten chłopak z plaży? Jakoś nie mieściło się to Serenity w głowie.

Z drugiej strony, gdy sobie pomyślała, co zdarzyło się potem... Sprawa zdecydowanie robiła się zagadkowa. I przerażająca.

Żywopłot za nimi zaszeleścił poruszony wiatrem. Okrywa chmur stała się jeszcze ciemniejsza. Mama miała rację, w każdej chwili mogło zacząć padać.

– Chodzi o to – mówił Kyle – że jeśli chłopak, którego spotkałaś, to naprawdę Christopher Kidd, to rzeczywiście mógłby pomóc tacie.

– Ale jak?

– Tata pytał, czy znam na uniwerku jakiegoś dobrego hakera. – Spadły pierwsze krople deszczu. Kyle wyciągnął dłoń, jakby chciał je złapać. – Powiedziałem, że znam tylko ludzi, którzy uważają się za dobrych hakerów. Oczywiście chciałem się też dowiedzieć, co taki haker mógłby dla niego zrobić, ale... – westchnął. – Wyjaśnił mi, ale nie zrozumiałem ani jednego słowa. Co prawda, tata nie korzysta ze współczesnej techniki, jednak rozumie ją lepiej niż ktokolwiek inny, kogo znam. – Opuścił dłoń. – Może dlatego się od niej odsunął.

W domu znowu zapaliło się światło. Przerwa w dostawie prądu dobiegła końca.

– Czyli że to normalnie do bani, że tak sobie od niego poszłam – stwierdziła załamana Serenity.

– Skąd mogłaś wiedzieć.

– Jak to skąd? Przecież sam mi powiedział.

– Nie wszystko, o czym ktoś mówi, od razu można uznać za prawdę.

Pojedyncze krople zmieniły się w mżawkę, niewyglądającą na taką, która miałyby się zaraz skończyć. Kyle wstał.

– Chodźmy do środka.

– A co zrobimy... z nim?

– Jutro pójdziemy go poszukać – oznajmił brat w drodze do drzwi tarasu.

Serenity ruszyła za nim, czując się zupełnie bezsilna. Santa Cruz liczy sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Jak mają znaleźć wśród nich jednego chłopaka? Nie wspominając już o tym, że według Christophera jest on śledzony i pewnie stara się,

aby go nie odnaleziono.

Mama przygotowała wielką misę sałatki.

– Jeśli znowu nie wysiądzie prąd, to zrobię wam do tego hamburgery, co wy na to?  
– zapytała.

– Fantastyczny pomysł – stwierdził Kyle. – Teraz będziemy musieli jeszcze coś sprawdzić w Internecie.

Serenity nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi, jednak gdy brat ostrzegawczym gestem przyłożył palec do ust, zrezygnowała z dopytywania się. Przyniosła swój laptop i włączyła go.

Kyle uruchomił wyszukiwarkę i wpisał „Computer Kid”. Wyświetliła się pierwsza strona wyników, pełna zdjęć, z których mniej więcej połowa przedstawiała chłopaka spotkanego przez Serenity na plaży, chociaż młodszego o kilka lat.

Przytaknęła.

– To on.

– Dobra – powiedział Kyle i wyłączył komputer. – Jutro. A teraz zajmijmy się hamburgerami.

Nazajutrz mama wcale nie była zachwycona, że chcą wyjeżdżać zaraz po śniadaniu.

– Musimy coś załatwić – oznajmił syn i przytulił ją. – Sprawy między rodzeństwem, takie, które nie dotyczą rodziców.

– A co z garażem?

– Musi poczekać.

Mama potrząsnęła głową.

– Nigdy się nie doczekam. Najlepiej będzie, jak po prostu wszystko wyrzucę.

– Tak, może tak będzie najlepiej – od razu zgodził się Kyle. – Skoro tyle lat nie potrzebowałem tamtych rzeczy, pewnie nie są dla mnie ważne.

Ruszyli w drogę. Kiedy tylko zamknęli za sobą drzwi, Serenity nerwowo wyszeptała do brata:

– Ale ja nie mam pojęcia, gdzie go możemy znaleźć. Może go już nawet nie ma w mieście!

– To prawdopodobne, ale może pójdzie nam łatwiej, niż sądzimy – powiedział Kyle i skierował pilota od kluczyków w stronę auta. Drzwi terenówki kliknęły głośno. – Przyszło mi do głowy, że na tamtej plaży nie spotkał cię przypadkowo. Musiał cię śledzić. To znaczy, że chce, żebyśmy go znaleźli.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i cofnął się zaniepokojony. Na tylnym siedzeniu coś się poruszyło. Koc. Ktoś się spod niego wyłonił. Ktoś z zapadniętymi policzkami, zaspany. Chłopak z plaży.

**20** | – To on? – zapytał Kyle, odwracając się do Serenity. Pokiwała głową. Czy ona śpi? Czy to jest jakimś snem?

– Jak się tutaj dostałeś? – chciał wiedzieć Kyle.

Obcy zamrugał i wskazał ręką w prawo.

– Drzwiami – oznajmił.

– Samochód był zamknięty.

– Wiem.

Kyle odruchowo prychnął ze złością.

– Wsiadaj – polecił Serenity. Zajął miejsce za kierownicą, zamknął drzwiczki i uruchomił silnik. Dziewczyna pozasuwała szyby. Pomknęli na główną ulicę.

– Wiesz, kim jesteśmy? – Za pośrednictwem wstecznego lusterka Kyle spojrzął pasażerowi na gapę prosto w oczy.

– Tak – odparł chłopak. – Nazywasz się Kyle Forrester Jones, urodziłeś się w.

– Wystarczy samo Kyle.

Serenity spojrzała na brata rozbawiona. Od zawsze nie cierpiał drugiego imienia.

– A ty jesteś Christopher Kidd?

– Tak.

– Computer Kid?

Chłopak westchnął.

– Skoro tak koniecznie musi być... Tak.

Kyle uniósł brwi.

– Mój kumpel sprzedawał w Dolinie Krzemowej koszulki i najlepiej szły mu takie z napisem „KIM DO DIABŁA JEST COMPUTER KID?”. Wyrywali mu je prędzej, niż był w stanie zamawiać nowe.

Rzucił w lusterko badawcze spojrzenie.

– Powiedziałbym, że tam ciebie czczą.

Chłopak na tylnym siedzeniu pokiwał głową ze znużeniem.

– Tak mi się wydaje.

Serenity odwróciła się, żeby dokładniej przyjrzeć się obcemu. Wyglądał bardziej niechlujnie, niż go zapamiętała. Jak gdyby dwie ostatnie noce przespał w ubraniu. I raczej nie pachniał świeżością.

Najstraszniejsze było, że miał teraz całkiem inny wyraz oczu. Dwa dni temu wydawał się taki pewny siebie, spokojny, jak gdyby nic nie mogło mu zaszkodzić. A teraz wręcz przeciwnie, przypominał zaszczute zwierzę.

– Musiałem się ukrywać. – Z wahaniem wyjaśnił Christopher. – Tam, gdzie nocowałem, nie jest już bezpiecznie. Wytropili mnie, miałem szczęście, że udało mi się przed nimi uciec.

Kyle jechał dość szybko, ale cały czas prosto, dzięki temu mógł spokojnie rozmawiać. Serenity pomyślała, że jeśli padnie jakieś niewygodne pytanie, Christopher nie zdoła uciec z auta.

– Oni... – sceptycznie powtórzył Kyle. – O kim ty mówisz?

Odpowiedzią Christophera były słowa, które w nadchodzących dniach usłyszeć mieli jeszcze wiele razy:

– To długa historia.

– Niechętnie o sobie opowiadasz, prawda? – dopytywał Kyle.

– Próbowałem już to wytłumaczyć twojej siostrze – przyznał Christopher. – Muszę jak najszybciej porozmawiać z waszym ojcem, bo mogę mu pomóc, a on może pomóc mnie.

– Tak, jasne – przerwał Kyle.

– To może być pułapka – zauważyła Serenity. – A może FBI go złapało, kiedy majstrował przy ich komputerze, i wszedł z nimi w układ?

Christopher nie zdołał powstrzymać parsknięcia.

– Najpierw musieliby się nauczyć prawidłowego obchodzenia z hasłami dostępu.

Brat Serenity tylko lekko wzruszył ramionami.

– Tata zdoła to ustalić – oznajmił.

Ale jak? O to już się nie pytała. Pewnie była to jakaś sztuczka. Kyle tak powiedział, żeby zbić hakera z tropu, na wypadek gdyby przypuszczenia siostry okazały się prawdziwe.

Kyle spojrzął we wsteczne lusterko.

– A jak miałyby wyglądać pomoc dla naszego ojca?

– Muszę wytłumaczyć mu to osobiście.

– Nie – odparł Kyle. – Obawiam się, że najpierw musisz wytłumaczyć to mnie. Bo jeśli mnie nie przekonasz, nie będziesz miał okazji porozmawiać z naszym ojcem.

Po tych słowach natychmiast zapadła cisza. Serenity odwróciła głowę. Zamyślony Christopher, wpatrywał się w okno.

– Ten zamach bombowy w Taylorsville, w Karolinie Północnej – odezwał się w końcu. – Pamiętacie, co mówili o nim w wiadomościach?

– To jest, że tak powiem, niezatarte wspomnienie – stwierdził Kyle.

– W telewizji powiedzieli, że bomba zniszczyła przyzakładowe przedszkole, ranne zostały dzieci, wiele z nich ciężko. Pokazywali, jak ratownicy dźwigają do budynków nosze i tak dalej.

– Owszem – odparł Kyle.

Christopher westchnął.

– Przedsiębiorstwo Taylorsville Data Center zamknęło swoje przedszkole w zeszłym roku, bo od trzech lat z niego nie korzystano. Wszyscy pracownicy albo jeszcze nie mają dzieci, albo mają takie, które już chodzą do szkoły. Od tamtej pory tych pomieszczeń używa się do przechowywania akt. To też słyszeliście w telewizji?

– Nie – odparł Kyle. – Cieszę się, że to słyszę, ale słyszę to po raz pierwszy.

– Informacje na ten temat znajdują się w części raportu z dochodzenia zaklasyfikowanej jako poufna – wyjaśnił Christopher. – Oficjalnie dla dobra śledztwa.

– Opadł z powrotem na siedzenie, które zaskrzypiało. – Jeśli jesteś w stanie, zatrzymaj się, sprawdź to wszystko i zmierz przy tym czas. I pomyśl, jak bardzo przydałby się twojemu ojcu ktoś, kto potrafi szybciej dotrzeć do takich informacji. Ja potrzebowałem na to siedem i pół minuty.

Serenity zobaczyła, że brat zadziornie mruży oczy.

– A wyobraź sobie, że właśnie tak zrobię.

Odbił w bok, potem skręcił jeszcze kilka razy, wreszcie zatrzymał pod budką telefoniczną. Zanim wysiadł, zerknął na zegarek.

– Ósma czterdzieści. Zakład stoi.

Wszystko potrwało dłużej niż siedem i pół minuty. Zdecydowanie dłużej. Kyle gdzieś zadzwonił, potem musiał czekać. Coś zapisał. Przypuszczalnie numer telefonu. Potem znowu zadzwonił. Rozmawiał, gestykułując. Widać było, że się spocił.

– To jest prawda, wszystko, co opowiadałeś? – zapytała Serenity.

– Jasne – krótko odparł Christopher.

Nim Kyle wrócił, minęło ponad pół godziny.

– Dobra. Jak się dzwoni do tamtej firmy, to normalnie mur milczenia. Ale w szpitalu połączyłem się z kimś, kto stwierdził, że w zamachu nie ucierpiały żadne dzieci. Potem ktoś go ochrzanił, on coś tam zaburczał, nic więcej nie powiedział i odłożył słuchawkę.

Usiadł za kierownicą. Wsadził kluczyk w stacyjkę.

– No dobra. Zabieram cię do ojca.

– Zabieramy – zdecydowanym tonem poprawiła Serenity. – My cię zabieramy. – Spojrzała na brata. – Jadę z wami.

Kyle się skrzywił.

– Jakby co, sama chciałaś.

– Chciałam.

Z tyłu poruszył się Christopher. Zaskrzypiały stare sprężyny fotela.

– Możemy wyjechać najszybciej, jak się da? – zapytał. – Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będę bezpieczny w tym mieście.

– Nie ma sprawy – odparł Kyle i wcisnął gaz do dechy. Wokół zapiszczały hamulce, inni kierowcy wymachiwali rękami ze złością, gdy terenówka jak szalona wpadła z powrotem na drogę.

– Może być tak szybko? – zapytał, szczerząc się w uśmiechu.

– Całkiem nieźle – odparł Christopher i sceptycznie się rozejrzał. – Jakoś mi się wydaje, że to akurat kierunek, z którego przyjechaliśmy.

– Dobrze ci się wydaje – odparł Kyle. – Jedziemy w tę stronę tylko dlatego, że ta młoda dama musi spakować kilka rzeczy.

Serenity wpatrywała się w drogę.

– Mamie to się nie spodoba – powiedziała cicho.

Kyle tylko skinął głową.



– Mnie też się tak wydaje.

**21** | Serenity jeszcze nigdy tak szybko nie wyruszyła w podróż. Zaparkowali, wpadła do domu, cisnęła do plecaka kilka ubrań – i w drogę. Gdy jechali już wylotową Highway 9, od podjęcia decyzji przez Kyle’a mijało właśnie pół godziny.

Pół godziny – to przecież jeszcze nie jakiś dramat.

Oczywiście mama nie wyraziła zachwyty. No, ale z drugiej strony, zachowała się całkiem w porządku.

Serenity tylko chwilę zastanawiała się nad wymówką. Powiedziała, że na kilka dni pojedzie z Kyle’em do San Francisco czy coś w tym stylu. Chociaż... jedną z rzeczy najwyżej cenionych przez mamę była prawda. Przez cały okres dojrzewania dziewczynie udawało się być z mamą szczerą, podobnie gdy miała trochę mniej lat, po tym jak rodzice się rozstali. Wypadałoby więc jakoś wtajemniczyć mamę. Przynajmniej częściowo.

Serenity objęła mamę i szepnęła jej do ucha:

– Jedziemy do taty!

Wręcz poczuła, jak mamę ogarnia strach, jednak zaraz zebrała się w sobie i trzymając córkę w pewnej odległości, zapytała z bardzo poważną miną:

– Dobrze się zastanowiłaś?

Czy dobrze się zastanowiła? Nie. Dokładnie mówiąc, w ogóle się nie zastanowiła. Po prostu wiedziała, że musi z nimi jechać.

– Mamo, muszę to zrobić właśnie teraz. – Matka milczała przez chwilę, następnie bez słowa skinęła głową. Ruszyła na poszukiwanie plecaka Serenity, a dziewczyna, zagubiona, stała przez chwilę w swoim pokoju i w głębi duszy przeproszała mamę za wszystkie ich drobne kłótnie z przeszłości.

Kiedy mama wróciła z plecakiem, dziewczyna wrzuciła do niego trochę bielizny, ręcznik, kilka podkoszulków oraz jeszcze jedną parę spodni.

– Widziałaś gdzieś moją szczotkę? – Nie mogłaby ruszyć bez tej wielkiej szczotki, jedynej, która dawała sobie radę z jej niesfornymi włosami.

– Tutaj jest – oznajmiła mama, po prostu wyczarowując szczotkę znikąd. Serenity zastanowiła się, czy mama nadal byłaby taka miła, gdyby wiedziała, że z tyłu samochodu Kyle’a, przycupnięty na podłodze, chowa się pod kocem pewien wychudzony chłopak.

Christopher jeszcze długo siedział pod tym kocem, zarówno w mieście, jak i na Highway 9, na którą wyjechali wąską drogą poprzez gęsty las.

– Proszę, wyłaź już – powiedział Kyle. – Nie mogę się skupić na prowadzeniu, kiedy cały czas muszę się zastanawiać, czy się zaraz nie udusisz pod tym starym, cuchnącym kocem.

Christopher zsunął odrobinę pled, popatrzył, jak mijane drzewa powodują naprzemienne miganie światła i cienia, aż wreszcie wspiął się na siedzenie.

– Chodziło mi tylko o kamery monitoringu – wyjaśnił.

Serenity dostrzegła, jak Kyle przewraca oczami, ale tak, aby Christopher niczego

nie zauważył.

– Tutaj nie ma żadnych kamer – powiedział. – Tutaj jest tylko las.

– Jaką trasą teraz jedziemy?

– Prosto Highway 9, potem wjeżdżamy na trzydziestkę piątkę, następnie w stronę Redwood i San Francisco...

– Czyli że nie przecinamy Krzemowej Doliny? – przerwał mu Christopher.

– Nie – odparł Kyle. – Tylko byśmy nadłożyli drogi.

– Dobrze – stwierdził Christopher i opadł na siedzenie. – To dobrze. – Jego słowa zabrzmiały dokładnie tak, jakby mu ulżyło.

Trasa była rzadko uczęszczana i tylko raz musieli przez jakiś czas wlec się za ciężarówką, która z trudem gramoliła się stromą, pełną zakrętów drogą. Po godzinie dojechali do stacji benzynowej z niewielkim barem. Kyle zatrzymał się pod dystrybutorem.

– Zgaduję, że dzisiaj nie jadłeś śniadania – powiedział, odwracając się do pasażera. Ten jednak już zniknął gdzieś na podłodze.

– Stacje benzynowe mają kamery – wyszeptał Christopher. – Nie chcę ryzykować.

Kyle i Serenity wymienili cierpiętnicze spojrzenia.

– Dobra – powiedziała dziewczyna. – Coś ci przyniesiemy.

– Tylko proszę, nie kawę – wyszeptał, jak gdyby skierowano na niego tysiące podsłuchów.

Kyle zatankował, Serenity zatroszczyła się o śniadanie: kawę dla Kyle'a, gorące kakao dla Christophera i butelkę soku pomarańczowego. Do tego bajgle z różnym farszem, tost z bekonem i jajkiem.

Kyle odszedł od kasy, trzymając kilka map. Ku niezadowoleniu Serenity, przegnał ją na tylne siedzenie, do Christophera.

– W czasie jazdy muszę mieć obok siebie mapę – wyjaśnił.

– Przecież mogę nas pilotować – odparła Serenity.

Kyle spojrzał na nią tak, jakby właśnie zaproponowała, że przez następnych sto mil będzie sama pchała samochód.

– Tak jak w zeszłym roku, kiedy jechaliśmy do L.A...?

– A co ja miałam zrobić, skoro mi wcisnąłeś złą mapę? – zaprotestowała Serenity.

– To nie była zła mapa, tylko zła strona mapy. A kiedy potem chcieliśmy jechać do Santa Monica, to zamiast na przystani, wylądowaliśmy w jakimś ślepym zaułku, przy wysypisku śmieci.

Brat miał rację. Po postu nie nadaje się do czytania map, nieważne, jak bardzo by się starała. Ale i tak wolałaby siedzieć z przodu.

Później, w drodze, trzymała się jak najbardziej z boku, byle dalej od Christophera, który mocno cuchnął. Wydawało się, że w ogóle nie zwraca na nią uwagi, znacznie bardziej zajęty wcinaniem tego, co kupili. Wyglądało na to, że już od kilku dni głodował.

– Właściwie, jak się tutaj dostałeś? – zapytał Kyle. – Chodzi mi o Stany. Jak przeszedłeś kontrolę na granicy i tak dalej?

– Przez Meksyk – odpowiedział Christopher, żując.

– Przez Meksyk? Zawsze myślałem, że tam akurat to szczególnie dobrze pilnują granicy.

– Tak. Ale też używają komputerów.

– Aha – odparł Kyle i po dłuższym czasie, gdy Christopher, zajęty kolejnym bajgłem, wciąż się nie odzywał, dodał: – Rozumiem.

Christopher przejrzał opróżnione opakowania, wyraźnie z nadzieją, że znajdzie jeszcze coś do jedzenia, jednak niczego więcej nie było. Zmiał je więc, potem wcisnął do siatki na oparciu przedniego fotela, wyraźnie nieusatysfakcjonowany.

– Skoro już mówimy o komputerach – zagadnęła Serenity – też coś zauważyłam. Moja ocena z matmy. Nie, żebym tęskniła za tamtym niedostatecznym, ale... No, przecież to tak nie zadziała, rozumiesz? Może jesteś superhakerem i moim zdaniem także największym komputerowym maniakiem na świecie, ale ta sprawa z moją oceną ewidentnie nie była przemyślana. Owszem, to robi wrażenie, ale jak wyjdzie na jaw, mogę mieć przecież nieprzyjemności. Mr Ogden pamięta tamtą ocenę. Głośno i wyraźnie pytał, co się ze mną dzieje. Co najmniej kilkanaście osób z klasy widziało, że dostałam niedostateczny. Kiedy następnym razem Mr Ogden spojrzy do komputera i zobaczy, że mój niedostateczny zniknął, mogę mieć tylko nadzieję, że uzna to za błąd oprogramowania i po prostu uzupełni zapis.

Cały czas, gdy mówiła, Christopher siedział pochylony do przodu, przypatrując się jej i przesuwał językiem po zębach. Potem przy jednym zaczął grzebać paznokciem małego palca.

– Nie usunąłem twojej oceny. To zrobił twój nauczyciel.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z nim przez telefon.

– Rozmawiałaś z nim przez telefon?

– Tak.

– A po co?

– No przecież jasne, że po to, aby ci wymazał niedostateczny.

Serenity skrzyżowała ramiona.

– W ogóle tego nie rozumiem. Myślałam, że włamałeś się do szkolnego komputera i wymazałaś moją ocenę, żeby zrobić na mnie wrażenie.

Christopher uniósł wysoko brwi.

– Oczywiście, włamałem się i do szkolnego komputera – wyjaśnił. – Ale to przecież logiczne, że aby wymazać ocenę albo ją zmienić, nie wystarczy po prostu włamać się do komputera. Trzeba jeszcze zhakować system. Wiesz, o co chodzi?

– Nie – odparła Serenity.

– Najpierw przeczytałem mailową korespondencję twojego nauczyciela matematyki.

Kilka maili, które wymienił z kolegą z San Francisco, który mu opisał kłopoty z jedną z uczennic. Jej kot wpadł pod samochód, rano w dzień sprawdzianu, i napisała test na złą ocenę. Kiedy usłyszała od tamtego nauczyciela, że kot to tylko taka wymówka, zaskarżyła go i wygrała. Musiał jej pozwolić na powtórzenie sprawdzianu. – Christopher uśmiechnął się krzywo. – Za drugim razem też oblała.

Serenity przypatrywała mu się, czekając na puentę.

– I? Co to ma wspólnego z tym, że ty...

– Zadzwoiłem do Mr Ogdena i powiedziałem, że jestem twoim byłym chłopakiem – spokojnie wyjaśniał ciemnowłosy chudzielec. – Powiedziałem, że zerwałem z tobą rano w dzień sprawdzianu, a teraz się dowiedziałem, że oblałaś, dlatego mam wyrzuty sumienia. Zapytałem, czy mógłby dać ci drugą szansę.

Serenity pomyślała, że chyba zaraz oczy jej wyjdą z orbit.

– Skąd ci to przyszło do głowy, że...?

– Był dosyć poruszony. Szczerze. Powtórzył kilka razy, że to bardzo szlachetne z mojej strony i że usunie zaraz twoją ocenę niedostateczną, a po feriach zaproponuje powtórzenie sprawdzianu.

Ramiona Kyle'a podejrzanie zadrżały. Śmiał się? Serenity uniosła dłonie, zaraz potem opuściła je bezsilnie.

– Nie ogarniam tego! Co za cyrk!

– No co? Przecież to było fair. Oblałaś test tylko dlatego, że martwiłaś się o ojca. Ale tego raczej nie mogłem mu powiedzieć. Powiedziałem więc coś innego. Coś, co mógł uznać za wyjaśnienie.

Serenity trzymała dłonie przyłożone do twarzy, nie wiedząc, czy ma posłać Christophera do diabła, czy może się ucieszyć. No, żeby wpaść na coś takiego!

– Dobra – oznajmiła wreszcie. – Co prawda raczej dziwnie jest zrywać z kimś, kogo w ogóle spotkało się po raz pierwszy, ale... Ach, nieważne... – Spojrzała na niego. – Dzięki.

Christopher rozparł się na siedzeniu.

– Chociaż... jedna rzecz nie była fair – zauważył.

– Jedna rzecz nie była fair – jak echo powtórzyła Serenity.

– Ten wasz Mr Ogden do przygotowania testów używa GoogleDoc. Czyli że wszystkie karty z danymi są w sieci. Trzeba tylko odkryć hasło.

– No, nie – powiedziała Serenity.

– Już wczoraj przygotował dla ciebie zadania – kontynuował Christopher. – Wydrukowałem je i wysłałem ci normalną pocztą. – Wzruszył ramionami. – Zanim wrócisz do domu, spokojnie się zastanów, czy otworzyć ten list, czy go podrzeć.

**22** | W San Francisco Kyle jakiś czas kluczył – wydawało się, że bez celu – po dzielnicy przemysłowej, aż wreszcie zatrzymał się przed zaniedbanym warsztatem samochodowym.

– Muszę się tutaj czegoś dowiedzieć – oznajmił zwięźle.

– Mogę iść z tobą? – dopytywała się Serenity. Tymczasem Christopher już dawno wpełzł pod kocyk.

Kyle wyciągnął kluczyk ze stacyjki.

– Jeśli będziesz trzymała język za zębami.

– Dobra.

Weszli do warsztatu z szyldem „Full Service”. W panującym wewnątrz półmroku stały dwa auta z otwartymi pokrywami masek. Przy jednym gmerał mężczyzna w usmarowanym czerwonym kombinezonie. Na ich widok wytarł dłonie w jakąś szmatę. Nosił okulary w cienkich oprawkach, miał przystrzyżoną brodę i wyglądał bardziej na nauczyciela niż mechanika samochodowego.

I chyba znał Kyle’a.

– Ach, to ty – powiedział. – Znowu w drodze?

– Jadę do obozowiska, którego nie ma – oznajmił Kyle.

Mężczyzna przytaknął, zmierzył Serenity spojrzeniem.

– Twoja siostra?

– Tak.

– Tak myślałem. Taka sama czupryna. – Wyszczrzył się w śmiechu, pokazując przy tym złoty ząb. – Dobrze. Zaraz się zapytamy.

Poszli za nim do maleńkiego biura. Tam mężczyzna odsunął kilka ubrudzonych olejem segregatorów, wyjął staroświecki telefon, po czym wybrał numer.

– Tutaj Todd. Dzwonię ponownie w sprawie bukietu dla Janet, chciałbym się dowiedzieć, gdzie mam go wysłać. Nie potrafię odczytać nazwy ulicy. Strasznie nabazgrane. – Uważnie słuchał. – Aha, osiemset dwadzieścia Parkwood Drive, numer lokalu pięćdziesiąt dwa dziesięć. Dobra, zapisałem. Tak, ty też. – Odłożył słuchawkę i spojrzął na Kyle’a. – Wszystko jasne?

– Wszystko jasne – potwierdził chłopak i zebrał się do wyjścia. – Dziękuję.

Serenity w ogóle nic z tego nie zrozumiała. Kiedy ponownie wsiedli do auta, brat wyjaśnił:

– To element wymyślonego przez tatę systemu zabezpieczeń. Ale i tak nie mówi się w ten sposób wszystkiego. Gdyby ktoś to podsłuchał, poznałby tylko nazwę ulicy, a takich ulic w Stanach są setki.

– To znaczy, że potrzebowałbyś jeszcze nazwy miasta?

– Poznam ją w następnym punkcie kontaktowym.

Uruchomił silnik. Opuścili San Francisco mostem Golden Gate. W Sausalito kupili dużą pizzę i zjedli pod gołym niebem, niedaleko autostrady, na skraju szosy obsadzonej rzędem pinii. Było tam tak spokojnie i miło, że nawet Christopher

odważył się wychynąć z ukrycia. Większą część popołudnia spędzili na małych i maleńkich drogach na północ od Sacramento, a Kyle ciągle się zatrzymywał, by przyjrzeć się szyldom sprzedawców nieruchomości albo biur podróży.

– Siedzą nas – nagle oznajmił Christopher.

Jechali właśnie krętą i wąską asfaltówką, wzdłuż której z prawej strony ciągnęły się rzędy jabłoni, a z lewej ogromne nawodnione pola.

Kyle zerknął w lusterko.

– Ten samochód z tyłu?

– Tak – potwierdził zdenerwowany Christopher. – Jedzie za nami już pół godziny.

– Na tej trasie to nic dziwnego. Gdzie miałby skręcić?

Christopher wiercił się, spoglądał do tyłu i do przodu, przygryzał wargę.

– Jakbyś się zatrzymał... – rzucił – ...tobyśmy zobaczyli, co robi.

Kyle westchnął.

– Niech ci będzie.

Zatrzymał auto u wylotu jakiejś polnej drogi, położył dłoń na przełączniku uruchamiającym napęd na cztery koła. Gdyby nagle zaszła pałaca potrzeba, mogliby ruszyć na przełaj przez pola.

Jednak pałaca potrzeba nie zaszła. Drugie auto – stara kremowa limuzyna – zbliżyło się spokojnie. W środku siedziały dwie kobiety, które rozmawiały z ożywieniem, a mijając ich, pomachały przyjaźnie.

Christopher patrzył na nie z powątpiewaniem.

– No i właśnie znowu udało nam się umknąć pogoni – skwitował Kyle, dając obu paniom nieco się wyprzedzić. Potem skręcił z powrotem na drogę.

Na następnym postoju razem z nim wysiadła Serenity.

– Muszę się trochę rozruszać – wyjaśniła.

Zaparkowali nieopodal biura podróży – „zamkniętego z przyczyn rodzinnych” – jak oznajmiała tabliczka na drzwiach. Kyle przykucnął pod gablotą i czytał wywieszane tam ogłoszenia.

– Trafiony, zatopiony – oznajmił, wskazując zwyczajną kartkę zachwalającą „Wycieczkę Last Minutę”.

Serenity nachyliła się. Pokazał ogłoszenie: „Oferta specjalna: trzy dni w Idaho Falls. Liczba miejsc ograniczona! Po podaniu hasła rabatowego 2G02JJ można uzyskać zniżkę o 99\$!”. Teraz już wiemy, dokąd jechać.

– Do Idaho Falls?

– Dokładnie tam.

– A gdzie widzisz tę wskazówkę?

Kyle uśmiechnął się szeroko.

– Przeczytaj hasło rabatowe.

– *Twojo twojayjay...* – zaczęła Serenity, aż wreszcie zrozumiała. – *To go to J.J.*<sup>1</sup>  
Inicjały taty!

– Właśnie zdobyła pani sto punktów. – Kyle się podźwignął. – Więcej dzisiaj nie wskóramy.

Jego siostra nie ruszyła się z miejsca.

– Tak sobie myślę. A co, jeśli to wszystko jakaś pułapka? Jeśli Christopher nas okłamał?

– Przecież już mówiłem. Tata da radę jakoś się dowiedzieć, czy nie stoi za tym FBI.

– Myślałam, że to tylko taki... twój podstęp?

Kyle potrząsnął głową.

– Ktoś z FBI pomaga tacie. Nie mam pojęcia kto. To, że w ogóle tak długo udawało mu się pozostawać w ukryciu, przypuszczalnie zawdzięcza właśnie jemu.

– Ale jeśli oni stoją też za Christopherem... To przecież dodatkowe niebezpieczeństwo, prawda?

Kyle odetchnął głośno i unióśł brwi.

– Jeżeli za nim stoją... Moim zdaniem, chłopak się trochę zgrywa.

Niedługo potem dotarli do Auburn, gdzie w motelu wynajęli apartament z dwiema sypialniami.

Christopher bardzo się denerwował podczas dopełniania formalności związanych z meldunkiem. Siedział ukryty w samochodzie razem z Serenity, a w recepcji Kyle wpisywał dane do formularza. Kiedy czekali – Kyle gawędził z recepcjonistą – chłopak wskazał Serenity kamery obserwujące teren motelu. Czaił się w aucie, dopóki Kyle nie zamknął drzwi apartamentu, a potem błyskawicznie, z wyświechtanym plecakiem na ramieniu, przemknął do środka. Na miejscu wyjął niewielki zestaw narzędzi. Szukając ukrytych mikrofonów podsłuchowych, rozkręcił wszystkie telefony, potem telewizor, lampy oraz gniazdko.

– A nie sądzisz, że gdyby umieszczali pluskwy w każdym motelu w Ameryce, to nie wyrobiliby się z robotą? – zagadnął Kyle, potem rzucił swoją torbę podróżną na jedno z łóżek. – Bierzemy ten pokój. Serenity bierze drugi. Widziałem, że tuż przy ulicy jest chiński bar. Pójdziemy tam na kolację. Ale najpierw weźmiemy prysznic. – Runął na łóżko, przeturlał po nim i rozłożył szeroko ręce. – W kolejności alfabetycznej.

Christopher spędził pod prysznicem chyba całą wieczność.

– Zużyje nam całą ciepłą wodę – prorokowała Serenity.

Kyle leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

– A nawet jeśli? To tego warte. Kilka minut spokoju. I wreszcie nie będzie tego śmierdzącego potu!

Serenity spojrzała na drzwi łazienki, za którymi wciąż szumiało.

– Jest nawet miły. Tylko jakiś taki nerwowy.

Kyle mruknął, zgadzając się z siostrą.

– Jak dla mnie, to on ma jakąś manię prześladowczą. Ale ja ci mówię: jutro, na pierwszym postoju ruszy tyłek z samochodu. Nawet jeśli miałbym go wytargać



stamtąd własnymi rękami.

**23** | Kyle dotrzymał słowa. I zaraz potem wydarzyło się to wszystko z odciskiem palca przy kasie oraz śmigłowcami.

Kiedy cztery ogromne maszyny zbliżały się do nich z czterech stron świata, a lufy karabinów maszynowych buchnęły ogniem, Serenity zegnała się już z życiem. Biedna mama. Czy dowie się, co się stało z jej dziećmi?

A potem śmigłowce po prostu spadły. Wszystkie cztery. Bez żadnego wyraźnego powodu wykonały dziwny zwrot, wpadły w korkociąg i rozbiły się o ziemię, aż poleciały odłamki. Oglądanie ich w płomieniach było straszne – to nie to co w kinie, gdzie nie czuje się fali uderzeniowej wybuchu, smrodu płonącego paliwa i gumy – ale zarazem dziwnie ją cieszyło.

W co oni się wmieszali? Zastanawiała się nad tym bez przerwy, gdy Christopher opowiadał im swoją historię, która aż do chwili, gdy na środku drogi zatrzymał ich motocyklista, stawała się coraz bardziej zagadkowa.

Chociaż może nie dla Kyle'a, bo domyślił się istnienia tego łącza w głowie Christophera.

Chip w nerwie wężowym! Jak to sobie w ogóle wyobrazić? Serenity uważnie przyglądała się dziwnemu chłopakowi i doszła do wniosku, że diabelnie ciężko.

Nagle Christopher przerwał opowieść. Odwrócił się, pochylił do tyłu nad oparciem i wyszarpnął coś z torby podróżnej: kawałek drewna długości ramienia, który Kyle woził ze sobą jako podkładkę do lewarka.

– Tych dwoje, tam... – powiedział. – Muszę sprawdzić, czy to są Upgraderzy. Dlatego muszę...

– Upgraderzy? – powtórzyła Serenity.

Niecierpliwie potrząsnął głową.

– Chodzi o to, czy należą do tych, którzy nas ścigają.

– I jak chcesz to sprawdzić?

– Podejdę do kobiety i powiem coś tak cicho, żeby tylko ona mogła usłyszeć. Jeśli mężczyzna mimo to zareaguje, to znaczy, że są połączeni. I że to pułapka.

– Połączeni? – Serenity ogarnęła zgroza. – Przez chip w głowie?

– Właśnie tak. – Christopher wcisnął jej kij w dłoń. – A tymczasem ustaw się za tym mężczyzną i w razie potrzeby go uderz. Ja się zajmę kobietą.

Dziewczyna spojrzała na niego z przerażeniem.

– Zwariowałeś? – Chciała mu oddać kij. – Nie umiem.

Christopher nie zwrócił na to uwagi.

– Wyobraź sobie, że to typek z tamtego camaro. Ten, który chciał cię wciągnąć do auta.

Po tych słowach wysiadł i zostawił Serenity z kawałem drewna długości ramienia i nedorzecznym zadaniem.

Zobaczyła, jak skrada się w kierunku Kyle'a. I co teraz miała zrobić? To po prostu jakiś obłąd. Tamtych dwoje to przecież tylko jakieś niegroźne, starsze małżeństwo,

nic poza tym. Dwoje podstarzałych fanów motocykli. Christopherowi chyba odbiło!

Z drugiej strony... te śmigłowce. Naprawdę ich zaatakowały. Śledziły. Polowały na nich. I jeszcze tamta historia z autem. Serenity wydało się, że znowu czuje tamten mocny i napastliwy uścisk na nadgarstku.

Wzdychając, otworzyła drzwiczki. Nic się nie stanie, jeśli wysiądzie. Pałkę będzie trzymała za plecami, tak żeby nikt jej nie zauważył.

Christopher przykucnął obok Kyle'a. Serenity niepewnie podeszła do mężczyzny, patrzyła, jak Christopher szepcze coś jej bratu.

Wtem rzeczywistość zamieniła się w jakiś horror. Rzekomo nieprzytomna kobieta zerwała się na nogi i zaczęła się mocować z Christopherem! Mężczyzna wyszarpnął z kurtki rewolwer!

A potem... odezwali się chórem!

Serenity niemal zatkało. Nagle zabrzmieli niczym jakieś zombie, jak maszyny, dwoma głosami jednocześnie mówiąc to samo:

– *Nie ruszać się. Bierzemy tylko chłopca, Christophera Kidda. Jeżeli ty i dziewczyna będziecie współpracować, to nic wam się nie stanie.*

„Uderz go”. Łatwo powiedzieć. Serenity czuła się jak sparalizowana. Trzymała drewniany drąg, ale nie potrafiła niczego z nim zrobić.

„Wyobraź sobie, że to typek z tamtego camaro”.

Ten, który nie chciał jej dać żadnego wyboru. Ten, który też chciał ją do czegoś zmusić.

Tamten sukinsyn.

Wezbrała w niej wściekłość, poczuła, jak pali. Serenity zawirowała. Pałka w dłoniach uderzyła jak gdyby sama.

Mężczyzna nawet nie jęknął. Wypuścił rewolwer, bez słowa zgiął się w pól.

**24** | Serenity wypuściła pałkę. Czy właśnie uderzyła tego mężczyznę? Przecież ona...

Dobra, dostał za faceta z camaro. Po co wyciągał rewolwer?!

Nieruchomo leżał na piachu, a Serenity dyszała ciężko, czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Czyżby nie żył?

Nie. Jeszcze oddychał! Na pewno? Trudno było stwierdzić przez tę jego grubą motocyklową kurtkę ze skóry.

Najlepiej, jeśli teraz zabierze mu rewolwer.

Przykucnęła, ostrożnie wysoko uniosła broń, trzymając za lufę i odsuwając z zasięgu rąk mężczyzny. Gdzieś na rewolwerze musiała być taka zabezpieczająca dźwignia, w każdym razie jeśli wierzyć filmom. Trójkątna zasuwka wyglądała tak, jakby dało się ją obsługiwać kciukiem. Przesunęła dźwignię na pozycję wskazywaną przez strzałkę skierowaną ku literze „S”. „S” jak *safe*, prawda? Nie była całkiem pewna, dlatego odłożyła rewolwer na ziemię, z lufą wycelowaną w pustynię.

Tymczasem Kyle i Christopher obezwładnili kobietę. Kyle wykręcił jej ramiona do tyłu, a kiedy wiała się, prychała i próbowała kopać, Christopher obwiązywał czymś jej nadgarstki. Zacisnął tak mocno, że aż krzyknęła. Pochylił się do kobiety, szepnął jej coś do ucha, po czym od razu ucichła.

Kyle wstał, podszedł do Serenity.

– Siostrzyczko, zrobiłaś na mnie wrażenie – oznajmił, wciąż dysząc po walce. Policzek przecinała mu sina pręga, ślad po paznokciach starszej kobiety.

Serenity przełknęła ślinę.

– Możesz sprawdzić, czy on jeszcze żyje?

– Sądzę, że tak. – Ukląkł przy mężczyźnie w skórzanej kurtce, przyłożył mu palce do szyi. – Tak, na pewno. – Obmacał mu jeszcze głowę. Dopiero teraz Serenity zauważyła, że spod włosów tamtego sączy się krew. – To tylko rana powierzchowna. Myślę, że przyjdzie do siebie szybciej, niż byśmy chcieli.

Chwycił mężczyznę za ramiona, bez ceregieli obrócił na brzuch, a potem przeciągnął mu ręce na plecy. Siwowłosy jęknął. Kyle skrępował jego nadgarstki bandażem wyjętym z apteczki.

Podszedł do nich Christopher.

– Nie możemy ich ze sobą zabrać – oznajmił. – To Upgraderzy. Ich chipy to praktycznie urządzenia szpiegujące.

Kyle zawiązał ostatni supeł, wstał.

– To ich tutaj zostawimy.

– Nie możemy tak zrobić! – zaprotestowała Serenity. – Przy takiej odludnej drodze? A co, jeżeli całymi dniami nikt się tutaj nie zjawi? Umrą z pragnienia!

– Moje współczucie dla ludzi, którzy mierzą we mnie z rewolweru, ma swoje granice. – Kyle podszedł do motocykla, przykucnął obok i przyjrzał się silnikom. Po krótkim namyśle w obu maszynach zerwał po jednym kablu i jednym przewodzie.

Potem ruszył do samochodu, gdzie pogrzebał w bagażniku i wrócił z butelką wody oraz nożem.

– Zrobimy tak – wyjaśniał, kładąc nóż pośrodku drogi. – Tych dwoje będzie potrzebowało około piętnastu minut, żeby się tutaj podczołgać i może jeszcze z dziesięciu, na wzajemne przecięcie sobie więzów. Na motocyklach już nie pojedą, więc pewnie będą musieli biec. A żeby nie pomarli z pragnienia... – Uniósł wysoko butelkę, następnie postawił na ziemi między motocyklami.

– Zrozumiała pani, co mówiłem? – krzyknął do związanej kobiety, ta jednak rzuciła mu tylko wściekłe spojrzenie.

– Dobra – stwierdził Kyle, wzruszając ramionami. – Jedziemy.

Przez pierwszych kilka mil w samochodzie panowała cisza. Wydawało się, że dopiero teraz każde z nich próbuje poradzić sobie z tym, co właśnie przeżyli.

Serenity, im dłużej jechali, coraz bardziej głowiła się nad jedną sprawą. Wreszcie nachyliła się do Christophera i zapytała cicho:

– Z tamtym autem... camaro... To też ty zrobiłeś, prawda? Też tym chipem w nerwie węchowym?

Christopher przytaknął.

– Im nowocześniejsze auto, tym więcej ma elektroniki. Nowe modele to praktycznie komputery na kółkach. I kiepsko zaprogramowane. W camaro połączyłem się przez bluetoota z systemem zabezpieczającym i od razu uzyskałem dostęp do komponentów sterowanych elektronicznie...

– Już dobra, dobra – przerwała mu Serenity. – Oszczędź mi tych szczegółów. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy to byłeś ty.

– A ja chciałem powiedzieć, że z jakąś starą bryką coś takiego by już nie wyszło. – Machnął ręką, a gest pokazywał, że terenówka Kyle'a zalicza się do tej właśnie kategorii.

– W każdym razie dzięki – powiedziała Serenity.

Christopher skrzywił się.

– Lepiej, gdyby to nie było konieczne. Właśnie przez to ci tutaj wpadli na mój ślad, rozumiesz? Dlatego, że wtedy uruchomiłem swoje łącze. Interfejs. A chociaż ani razu nie wchodziłem do Internetu, nie wspominając już o... – Umilkł, przygryzając dolną wargę. – To dosyć niepokojące. Jeszcze dwa tygodnie temu, gdybym zrobił coś takiego, niczego by nie zauważyli.

– Ciągle o nich wspominasz – z przedniego siedzenia do rozmowy wtrącił się Kyle – kim są ci „oni”?

– Właśnie miałem o tym opowiedzieć – wyjaśnił Christopher – kiedy nam przerwali.

– Czyli że nie chodzi o policję?

– Nie.

– No to o kogo? Tajne służby? Banki?

– Nie – zaprzeczył Christopher. Patrzył przez okno na jałowe, rozległe krajobrazy Nevady. – Będziemy jeszcze przez jakiś czas jechać, prawda? Naprawdę, muszę wszystko opowiedzieć dokładnie. Nie ma sensu próbować streszczać tego w jednym czy dwóch zdaniach.

– Szkoda – odparł Kyle. – Takie wyjaśnienie jednym, dwoma zdaniami akurat by mi pasowało.

Christopher potarł kark.

– Chyba właśnie miałem opowiedzieć, jak Linus, mój tata i ja próbowaliśmy rozszyfrować kodowanie nerwu wzrokowego.

Kyle uniósł dłoń.

– Stop! Przepraszam. Przyszło mi do głowy coś innego. Po tym wszystkim, co się stało, potrzebuję teraz chwili przerwy, dobra?

– Dobra – zgodził się Christopher. Wyglądało na to, że jego zdaniem prośba jest całkiem zrozumiała.

A zatem jechali dalej, przez tak jałowe pustkowia, że Serenity aż miała wrażenie, że właśnie nastąpił koniec świata i jedynie oni przeżyli. W dodatku tylko przez przeoczenie.

– A co w ogóle dzieje się z twoimi rodzicami? – zapytała chłopaka po jakimś czasie. – Wiedzą, gdzie teraz jesteś?

Christopher spojrział na nią wzrokiem mrożącym krew w żyłach.

– Moi rodzice? – powiedział bezbarwnym głosem. – Moi rodzice są jednymi z nich!

## EWOLUCJA

**25** | Christopher jak gdyby utracił poczucie czasu i przestrzeni. Podróż wydawała się trwać bez końca, słońce wisiało na niebie niczym do niego przybite, a on już nie potrafił stwierdzić, czy wyruszyli przed godzinami, dniami czy miesiącami.

Jaki ponury ten krajobraz! Niekończąca się płaszczyna szarości i brązu, gdzieś z mizernymi, wyschniętymi krzakami wyglądającymi na martwe. Jeszcze nigdy nie oglądał tak rozległej przestrzeni. Jeszcze nigdy nie podążał tak długo drogą, przy której właściwie nic się nie zmieniało. Przypomniał sobie Niemcy, Frankfurt, gdzie wszystko było ciasne i pełne umiaru. W Anglii tak samo. Tamte malutkie, wijące się uliczki o zarośniętych poboczach, wydawały się w porównaniu z tą pustynią bajkowym krajobrazem.

Co jakiś czas drzemał i jakby unosił się gdzieś pomiędzy czuwaniem a snem. Muzyka z radia słyszana w tle przeobrażała się w jednolite brzęczenie, taki dywan utkany z dźwięków, niczym szum morza, bez znaczenia, bez konturów.

Wspomnienia... Pytanie o rodziców uruchomiło wewnętrzny projektor, przed oczyma duszy wyświetlał mu się jeden film po drugim. Zobaczył, jak siedzi na kolanach taty przy komputerze, a potem koniecznie chce dotknąć klawiatury. To było jedno z jego najwcześniejszych wspomnień.

Mógł mieć wtedy najwyżej trzy lata. Niedługo potem po raz pierwszy bawił się komputerową myszką, nauczył się, jak można rysować nią po ekranie. I jak to, co się narysuje, później wymazać, przekształcić, a fragmenty obrazka zmienić w stempel. Wciąż jeszcze pamiętał, jak tata powiedział: „Och, nawet nie wiedziałem, że to można zrobić”.

Dostał od taty stary komputer oraz program czytający na głos wszystko, co napisał. Dzięki temu po długich, wspaniałych i szybko mijających godzinach zabawy, sam nauczył się czytać i pisać. Doszedł wręcz do wniosku, że ta zagadkowa dotąd umiejętność dorosłych jest całkiem logiczna, a także łatwa do opanowania.

Dzisiaj uważał, że w gruncie rzeczy nauka czytania stanowiła jego pierwszy hakerski wyczyn. Całkowicie sam doszedł do tego, na czym to wszystko polega. I to zaledwie w ciągu kilku dni. Nie narzucała mu ram żadna szkoła.

Jednak matka wcale nie była zadowolona.

– Christopher musi wychodzić z domu – narzekała. – Pięciolatek nie może przez cały dzień siedzieć przed komputerem!

Wysłali go więc do babci i dziadka. W warsztacie dziadka wdychał zapach kleju i rozgrzanego metalu, kiedy coś wiercono albo lutowano, zapach tworzyw

sztucznych, kiedy je ze sobą mieszano albo musiały wyschnąć po nałożeniu. Pomagał babci w ogrodzie, spulchniał motyką ziemię między grządkami marchewek i główek sałaty, zbierał maliny, zrywał jabłka i słuchał opowieści.

Jednak niezależnie od tego, czym się zajmował i ile frajdy mu to sprawiało, nigdy nie zapominał o komputerze czekającym w jego pokoju. Komputerze będącym dla niego jak przyjaciel, jak brat, jak część ciała. Komputerze otwierającym bramy do niezbadanych, ekscytujących światów.

Ale wtedy jeszcze nie miał połączenia z Internetem.

Mniej więcej w tym czasie poszedł do szkoły. Rozczarowała go. Chodziło w niej tylko o czytanie, pisanie i rachunki, a wszystko przedstawiano w monotony, śmiertelnie nudny sposób. Pozostałe dzieci strasznie się tam męczyły, czemu w ogóle się nie dziwił. Większość rówieśników nie interesowała się jakoś szczególnie lekcjami, tak naprawdę zajmowała ich gra w piłkę, bieganie, poszturchywanie się i szarpaniny. Przetrawanie nużących szkolnych przedpołudni stanowiło prawdziwy problem. Christopher już dawno umiał czytać, dawno umiał pisać, dawno umiał liczyć – lepiej nawet niż nauczycielka – więc co miał do roboty?

Ponieważ tacie nie przychodziło do głowy nic innego, czym mógłby zająć niespokojnego, przemądrzałego syna, pewnego dnia wyjaśnił mu podstawy programowania. Procedury. Przypisanie wartości do zmiennych, pętle, węzły, wywołanie podprogramu.

Od tamtej pory już nic nie było w stanie powstrzymać malca. Programowanie okazało się tak fascynujące, że Christopher porzucił wszystko inne. Przedzierał się przez podręczniki programowania, zadania oraz przykłady, wypróbował różne rzeczy, opracowywał własne procedury i programy. Już po czterech tygodniach BASIC przestał mu wystarczać. Uczył się więc języka C, Prologa, Asemblera, FORTRAN-u... Niezależnie od poziomu komplikacji ogarniał koncepcję języka, jego możliwości i ograniczenia, wchłaniając wszystko niczym sucha gąbka wodę.

– Jak ty to wszystko jesteś w stanie zapamiętać? – dziwił się czasem tata, kiedy Christopher recytował mu jakiś kod ASCII albo parametry rzadkiej komendy. Chłopak uznał, że dobrze znać takie rzeczy. Tak było przecież łatwiej, niż musieć sprawdzać za każdym razem.

Szkoła przestała już stanowić problem. Na lekcjach udawał, że słucha, a tymczasem obmyślał programy, które uruchamiał wieczorem. Badał system operacyjny swojego komputera, analizował jego komponenty, starał się zrozumieć, jak funkcjonują podobne systemy. Kiedyś napisał tacie procedurę do któregoś z jego projektów informatycznych, a ojciec, widząc jej kod, zagwizdał z uznaniem. W nagrodę Christopher otrzymał dostęp do Internetu.

Po niecałym tygodniu odkrył w swoim komputerze pierwszy wirus.

Zafascynował go. Po odizolowaniu rozłożył szkodliwy program na czynniki pierwsze i przeanalizował, totalnie oczarowany objawiającymi mu się pomysłami.



Tamtej nocy nie mógł zasnąć, bo mózg nieustannie obmyślał kolejne warianty, a zaraz potem warianty wariantów. Niemal same z siebie w głowie Christophera powstawały algorytmy rozmaitych wirusów komputerowych, znacznie bardziej złożonych od tego znalezionej, lepiej zamaskowanych, sprytniej zaaplikowanych i wydajniej się rozprzestrzeniających. Stało się to jego nowym hobby. Posyłał w świat wirusy, które w przeciwieństwie do tamtego po prostu niczego nie robiły, nie dawały o sobie znać, pozostając niewidocznymi dla większości skanerów. W ślad za nimi słał inne wirusy, polujące na nie, niszczące je, a następnie meldujące przez Internet o liczbie zlikwidowanych złośliwych programów.

Okazało się, że ta cała zabawa nie przebiega zupełnie niepostrzeżenie. Garstka ludzi rozsianych po świecie zauważyła, czym zajmuje się Christopher, i starała się go wysledzić. Spostrzegł to na tyle wcześnie, aby zdążyć zabarykadować się za firewallami, anonimowymi serwerami oraz plątaniną zaszyfrowanych połączeń.

„Kim jesteś?” – zapytał ktoś przedstawiający się jako Pentabyte-Man.

„Jestem Computer Kid” – odparł Christopher.

„Człowieku, dobry jesteś” – padła odpowiedź.

Christopher poszedł wreszcie do gimnazjum. Tam lekcje były już nieco ciekawsze. Postarał się o odpowiednio dobre stopnie z nudnych przedmiotów, włamując się do komputera nauczyciela, skąd ściągał zadania na kolejne sprawdziany. Dzięki temu nauka zajmowała mu mniej czasu, który zostawał na badawcze wyprawy w cyberprzestrzeń.

Dzięki matce, zatrudnionej w jednym z największych europejskich banków, wcześniej zrozumiał, że obok powszechnie dostępnej sieci komputerowej, nazywanej Internetem, istnieją także inne sieci, bardziej odizolowane, na przykład sieć bankowa. Okazało się, że komputery wszystkich instytucji finansowych są ze sobą połączone w ten czy inny sposób, co w praktyce uniemożliwiało wtargnięcie z zewnątrz.

Fascynujący problem.

Tata pracował kiedyś w centrum informatycznym tego samego banku co mama, dlatego w piwnicy ich domu pozostało sporo materiałów dotyczących struktury sieci bankowej, stosowanych w niej protokołów, sposobów wykonywania zapasowych kopii danych, a także środków bezpieczeństwa. Było tego w sumie ponad pięć tysięcy stron, jednak chłopak wszystko uważnie przeczytał. Zastawiał się nad tym kilka tygodni, aż wreszcie przy obiedzie zadał tacie kilka pytań. Doszedł do wniosku, że w związku z licznymi lukami i błędami w systemie bankowym, system ten bezpieczny jest na tyle, na ile inni go nie rozumieli.

– *Oh my dear* – powiedział tata, który z synem rozmawiał tylko po angielsku. – Chyba tego wszystkiego nie przeczytałeś?

– Przeczytałem – odparł Christopher.

– Nie znam nikogo innego, kto by to zrobił – przyznał tata. – To miało służyć tylko temu, żeby móc sobie sprawdzić jakąś konkretną rzecz.

Christopher w ogóle nie zrozumiał tego zdziwienia. Przecież encyklopedię z regału w sypialni również przeczytał od deski do deski. W każdym razie tata nie dostrzegł luk, jakie odnalazł jego syn.

Może mu się tylko wydawało? Postanowił to sprawdzić.

Zapytał mamę, czy kiedyś może z nią pójść do biura i zerknąć do jej komputera, przyłączonego do sieci bankowej.

– Zapomnij o tym – odparła. – Głowę mi urwą, jeśli pozwolę takiemu hakerowi choćby tylko spojrzeć na swój komputer.

**26** | – Wszyscy pobudka! – zawołał Kyle. – Już jesteśmy na miejscu. W każdym razie zaraz będziemy.

Christopher wystraszył się. Zasnął!

Na zewnątrz było już ciemno. Zatrzymali się na spokojnej uliczce, przed domem, w którego oknach nie paliło się światło. Silnik stygł, potrzaskując. Nad drzwiami wejściowymi jaśniał podświetlony od wewnątrz numer 820.

– Chodźcie – powiedział Kyle.

Drzwi wyposażono w coś na kształt domofonu, takie modne od niedawna urządzenie. Działało bezdotykowo na kartę albo po wpisaniu kodu. Mieszkańcy nosili karty przy sobie, dzięki czemu mogli wchodzić, nawet nie wyjmując ich z torby. Każda inna osoba, posiadająca dostęp do domu – sprzątaczkę, dostawcy, różni fachowcy – za każdym razem otrzymywała swój kod.

Kyle wyraźnie należał do tej drugiej kategorii, bo bez namysłu wstukał 5-2-1-0, a wtedy drzwi odryglowały się z cichym kliknięciem.

– Pozapalajcie wszędzie światło – polecił, kiedy weszli.

– Ale wtedy sąsiedzi spostrzegą, że ktoś tutaj jest – zauważyła Serenity.

Kyle tylko pokiwał głową.

– O to właśnie chodzi.

Przeszli się więc po wszystkich pokojach, zapalając lampy. Dom okazał się niewielki, wyglądał, jak gdyby przy jego budowie popełniono wiele błędów. Drzwi dwóch pokoi wzajemnie się blokowały, a w kuchni, żeby zainstalować wodomierz, odpiłowano kawałek blatu. Mieszkańcy najwyraźniej wyjechali na urlop, ale wszystko posprząтали. Widocznie jednak liczyli się z odwiedzinami, bowiem na świeżo zaślanych łóżkach leżały starannie wyprasowane ręczniki.

– Co my tu właściwie robimy? – dopytywała się Serenity.

– Czekamy, aż ktoś się z nami skontaktuje – wyjaśnił brat. – Co przypuszczalnie stanie się jutro.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Trochę to niewygodne, co?

– Niewygodne, ale bezpieczniejsze od jakiejś sieci, po której dałoby się dotrzeć do waszego ojca – zauważył Christopher. – Sieć telefoniczna może być na podsłuchu. E-maile też nie są godne zaufania. Zawsze można się gdzieś podłączyć.

Kyle przytaknął.

– Dobrze rozumiesz, na czym to polega.

– Jak sądzę, ktoś ma zauważyć, że w domu pali się światło – domyślał się Christopher. – To sygnał, że tu jesteś. Można w ten sposób sprawdzić, czy nikt nas nie śledził. Czy nie zachowujemy się jakoś podejrzanie i tak dalej.

– Czy to nie oznacza – zaważyła Serenity – że tata zawsze musi mieć kogoś, kto odda swój dom do dyspozycji?

– Zgadza się – odparł Kyle i zaciągnął siostrę do jednego z pokoi. – Ale to dla

niego żaden problem.

Gdy rozdzielili już między siebie sypialnie i ustalili kolejność korzystania z prysznic, sprawdzili zapasy jedzenia. Lodówki okazały się pełne. Kyle wyjął zamrożony sznycel z indyka, mieszankę warzywną, frytki – wszystko, co dało się przyrządzić w piekarniku. Zaczął się krzątać przy patelniach i garnkach.

A tymczasem Serenity otwierała jedną szafkę po drugiej.

– Naczynia – oznajmiła. – Płatki śniadaniowe. Znowu naczynia. Jeszcze więcej naczyń. I tak dla odmiany... naczynia! – Zatrzymała się w połowie ruchu. – No nie, spójrzcie tylko.

Po wewnętrznej stronie drzwiczek, które właśnie chciała zamknąć, wisiała starannie przyklejona taśmą koperta, w którą wetknięto kartkę. Wyciąg z konta. Pochodził sprzed ponad czterech lat. Pod nagłówkiem „Bank of Idaho” widniał stan rachunku – opatrzony przez kogoś trzema wielkimi znakami zapytania i trzema wykrzyknikami. Wynosił miliard osiem tysięcy dwieście siedem dolarów i sześćdziesiąt pięć centów.

– Ale przypadek, co? – Serenity uśmiechnęła się szeroko.

Christopher wzruszył ramionami. Też go to poruszyło, jednak doszedł do wniosku, że właściciele domu – według wydruku rodzina Wrightów – pewnie otrzymali wyciąg, jeszcze nim banki się pozamykały i odcięły do siebie dostęp. Całkiem zrozumiałe, że zachowano taki dokument.

– Chętnie bym się jeszcze dowiedziała, dlaczego właściwie wypuściłeś tamtego miliardowego wirusa – powiedziała Serenity. – I proszę, tylko nie mów znowu, że to długa historia!

– W każdym razie nie jest krótka – odparł Christopher.

Wspomnienia wciąż były tak świeże, jak gdyby wszystko zdarzyło się wczoraj.

Wtedy świeciło słońce, grube bąki brzęczały wśród kwiatów geranium pod oknem babcinej kuchni, a on czytał ciekawą książkę o formatowaniu danych, znaną w bibliotece uniwersyteckiej. Miłe wiosenne popołudnie. Aż do chwili gdy mama nietypowo wcześniej wróciła z biura.

A dokładniej, wróciła jeszcze przed zamknięciem giełdy nowojorskiej. U Kiddów od lat wisiał harmonogram godzin pracy najważniejszych giełd świata, dlatego Christopher od razu się zaniepokoił.

Pamiętał, że matka wyglądała wtedy jak upiór. Usiadła przy kuchennym stole blada jak ściana, w ciemnoniebieskiej garsonce, którą zakładała do pracy w banku. Dłonie trzymała płasko przyciśnięte do blatu, chcąc ukryć, że się trzęsą. „Zrujnowałam nas” – wyszeptała. „Wszystkich nas zrujnowałam”.

– Ten, jak go nazwałeś, „miliardowy wirus” – powiedział Christopher – był wtedy jedynym sposobem, żeby jej pomóc.

**27** | Przykro mu było myśleć o rodzicach. Starał się to robić tak rzadko, jak tylko mógł. Wspomnienie ucieczki i tego, jak mało brakowało, nadal przepełniało go grozą. A wspomnienie tego, co działo się wcześniej – smutkiem.

Christopher najchętniej w ogóle by nie opowiadał. Jednak byłoby dobrze, żeby całą historię o bankowym wirusie miał już za sobą. Bo dopóki będzie im opowiadał, nie zapytają o Upgraderów.

W samochodzie zdołał się wymigać od odpowiedzi na pytanie o rodziców. Jednak Kyle'a i Serenity nie dało się już dłużej zbywać.

– Nie wiem, czy sobie przypominacie – zaczął Christopher – ale kilka lat temu był taki wielki kryzys bankowy...

– Tylko jeden kryzys? – zapytał Kyle, wygrzebując mrożonego indyka z opakowania. – Jakoś mam wrażenie, że one są ciągle.

– Możliwe. W każdym razie skutek akurat tego, zmieniono w bankach kilka zasad i odpowiednio umowy o pracę większości osób zatrudnionych w działach inwestycyjnych.

Kyle na kilka sekund wstawił talerz kotletów do mikrofalówki.

– Takich osób jak twoja matka?

– Tak. Według nowych reguł za wszystkie transakcje przeprowadzane w imieniu banku odpowiada się określonym procentem własnego majątku. Ma to zwiększyć odpowiedzialność bankowców czy coś w tym rodzaju.

– Aua – zawołał Kyle. Mikrofalówka otworzyła się z głośnym „ping”. Wyjął talerz, skosztował mięsa. Pokiwał głową z zadowoleniem. – I ludzie godzą się na coś takiego?

– Większość nie ma wyboru.

– A czy przynajmniej ma się też udział w zyskach?

– To było zawsze. Bankowy system wynagrodzeń w sporej mierze opiera się na premiach.

Kyle włączył elektryczny grill i postawił na kuchence garnek z warzywami.

– Siostrzyczko kochana, mogłabyś zobaczyć, czy tu nie ma jakiegoś sosu albo czegoś w tym rodzaju?

– A jak myślisz, czego przed chwilą szukałam? – odparowała Serenity.

– Miałem wrażenie, że naczyn. – Kyle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Bardzo śmieszne. – Pokazała bratu język. – Mam wrażenie, że ci ludzie zainwestowali swoje miliardy w garnki.

– Tutaj też zaglądałaś? – Kyle pootwierał szafki nad kuchenką. Już w pierwszej stały słoiki z sosem pomidorowym, czosnkowym pesto, salsą i innymi.

– Wygląda nieźle.

Serenity mruknęła coś pod nosem i zaczęła szperać w szafce.

– Czy ktoś ma coś przeciwko sosowi barbecue?

– Ja nie – odparł Kyle i podsunął Christopherowi blachę do pieczenia. – Masz.

Możesz się zająć frytkami.

– Dobra. – Christopher przyjrzał się instrukcji wydrukowanej na opakowaniu, potem rozłożył na blasze zimne, ciastowate w dotyku frytki.

– Czyli że twoja matka podpisała nową umowę – podsumował Kyle. Mokrym palcem sprawdził, czy grill jest już gorący. – I co dalej?

– Odpowiedzialność uzasadniono tym, że podobna zasada obowiązuje również w innych zawodach. Kasjerka w supermarkecie też odpowiada swoimi pieniędzmi. Jeśli wieczorem coś nie zgadza się w kasie, musi zwrócić braki. – Christopher otworzył piekarnik, z którego buchnął żar, potem wsunął do środka blachę z frytkami. – Tyle tylko, że tutaj chodzi o zupełnie inne sumy. Kto chciał pozostać w dziale inwestycji, musiał wpłacić kaucję o pewnej wartości minimalnej, a takich pieniędzy rodzice nie mieli.

– Czyli że musiałyby zrezygnować z pracy. – Kyle wymieszał warzywa, a potem wrzucił kotlety z indyka na grill. Po kuchni zaczął rozchodzić się apetyczny zapach smażonego mięsa.

– Właśnie tak – powiedział Christopher. Kucnął przed piekarnikiem i przyjrzał się szybko brązowiejącym frytkom. – Dlatego poprosiła moich dziadków, żeby za nią założyli. Zastawili wszystko. Dom, który razem z dużą działką w śródmieściu Frankfurtu był sporo wart. Ale także swoje ubezpieczenia na życie, po prostu wszystko. Ledwo wystarczyło.

Serenity zaczęła nakrywać do stołu.

– Wydaje mi się, że to bardzo stresujące, tak codziennie chodzić do biura i grać w ruletkę, jako stawkę mając rodzinny dom.

– Powiedziałbym, że bankierzy od inwestycji właśnie coś takiego nazywają pracą – stwierdził Kyle, unosząc pokrywę grilla. Kotlety wyglądały już całkiem dobrze.

– Myślę, że dla moich dziadków to nie było takie jasne. Jak powiedziałem, cała reszta rodziny nie miała dużego rozeznania w kwestiach finansowych. – Christopher rozejrzał się za jakąś rękawicą kuchenną. Prawie już nadeszła pora, aby wyciągać frytki z piekarnika. – Poza tym moja matka całkiem nieźle sobie radziła. Wolała być za bardzo ostrożna, niż ryzykować coś nieprzemysłanego. I nawet przy tych nowych zasadach udawało jej się to całymi latami.

Nie znalazł żadnej rękawicy, musiał więc użyć poskładanego ręcznika. Przygotował sobie miskę i otworzył piekarnik, a potem zaczął manewrować gorącą blachą.

– To w sumie nawet nie była jej wina. Po prostu zdarzyła się jej pomyłka. W banku dostali właśnie nową wersję programu, z jakiegoś powodu z całkowicie zmienionym sposobem obsługi. Trzeba było inaczej wpisywać dane, zmieniły się polecenia z klawiatury, skróty i tak dalej. Programiści po prostu wszystko zrobili nie tak. Aua!

No i jeszcze oparzył sobie palce. Rzucił blachę na piecyk, zamknął drzwiczki piekarnika, odkręcił kran i wsadził oparzoną rękę pod strumień wody.

– W każdym razie mama przez roztargnienie wpisała złe polecenie. Polecenie zakupu po dosyć zawyżonych cenach, które uruchomiłoby się około północy i mocno obciążyłoby bank. – Podmuchał na palec. Zakręcił wodę i wziął miskę z frytkami.

A kiedy odwracał się w stronę kuchennego stołu, przed oczyma znowu pojawiła się scena ze wspomnień, przy całkiem innym stole, w całkiem innej kuchni. Jak matka zakrywała twarz dłońmi i płakała. Jak cała się trzęsała. Znowu słyszał szloch dochodzący spoza drzwi.

– Wszystko nam zabiorą. Dom, wszystkie pieniądze, ubezpieczenia, samochód... Przyjdą jutro i nam to zajmą...

– Nie będzie tak źle – uspokajała babcia i bezradnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Wcale nie! – zaszlochała mama. – Będzie źle! Gorzej, niż sobie potraficie wyobrazić! Przecież wiem, jak to wygląda! Właśnie to zrobili w listopadzie Paulowi Beringowi, kiedy stracił na spekulacjach akcjami Gentechnik! Teraz gnieździ się w dwupokojowym mieszkanku przy torach kolejowych i wyjmuje gazety z koszy na śmieci. Przecież widziałam, spotkałam go w zeszłym miesiącu...!

To tata wpadł na tamten pomysł. Po jego twarzy było widać, że właśnie przypomniawszy sobie rozmowę z Christopherem o szczegółach technicznych sieci bankowej.

– A nie mógłbyś czegoś zrobić? – zapytał syna. – Cofnąć polecenia? Wymazać?

**28** | – Musiałem zająć się tym sam – opowiadał Christopher, a Serenity rozkładała na talerze warzywa i frytki. Usiedli przy stole.

– Matka dała mi klucz do biura i kartę kodową, potem rodzice zamierzali oznajmić, że wzięłem to sobie po kryjomu. Później tramwajem pojechałem do miasta. Najtrudniej było wślizgnąć się do biura tak, żeby nikt mnie nie widział. Wszędzie ochrona i tak dalej. Musiałem poczekać, aż się ściemni i budynek opustoszeje. A siedziałem jak na rozżarzonych węglach, bo miałem czas tylko do północy.

Zdołał w końcu niepostrzeżenie zakraść się do podziemnego garażu. Nie odważył się jechać windą, więc wspiał po schodach – aż na czterdzieste piętro!

Kyle obficie polał swoją porcję sosem barbecue.

– Ale nie wystarczyło ci samo skasowanie polecenia.

– To by mi wystarczyło. Problem polegał na tym, że takiego polecenia, jak już zostało wydane, nie można było skasować.

– A dlaczego nie? Przecież to jedynie dane na komputerze. Namagnesowane pola na dysku twardym. Dlaczego nie można tego skasować?

Christopher ukroił sobie kawałek sznycla z indyka.

– Jeśli wprowadza się takie polecenie do systemu, jednocześnie pojawia się ono w drugim protokole, po drugiej stronie transakcji. – Spojrzał na Serenity. – Jest podobnie jak z twoją oceną. Nie wystarczy wymazanie wpisu, skoro ktoś go pamięta. W tym wypadku inny komputer, gdzieś tam na świecie. Aby do niego dotrzeć, musiałbym włamać się do tyłu systemów, że życia by mi nie starczyło. A miałem tylko hasło mojej matki z ograniczonym dostępem. To byłoby nie do zrobienia.

Serenity patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Rozumiem tylko tyle, że pojechałeś tam, chociaż było dla ciebie jasne, że nie będziesz mógł wymazać polecenia. I co? Po co tyle zachodu?

Dobrze było zjeść coś innego niż hamburger albo taco. Christopher dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest głodny.

– Kilka dni wcześniej kolega z równoległej klasy pytał, czy można jakoś cofnąć wodomierz. Powiedziałem mu, że to trudne. Wodomierz ma plombę, zerwanie plomby to fałszowanie danych, a poza tym ma wewnętrzny mechanizm zabezpieczający.

Serenity wskazała niezgrabny miernik sterczący ponad blatem kuchennym.

– Wodomierz? Taki jak ten?

– Właśnie taki. Nie mam pojęcia, dlaczego pytał. Może jego rodzice nie chcieli płacić rachunku za wodę, ale mnie tam było wszystko jedno. Ciekawiła mnie za to jedna rzecz: jak cofnąć wodomierz, nie cofając go?

– Nie da się – stwierdziła Serenity.

– A jednak się da. Jeżeli myśli się radykalnie, to można. – Christopher nabił kilka frytek na widelec. – W Niemczech jest tak, że wskazania miernika odczytuje się cztery razy do roku. Można robić to samemu i teoretycznie podać fałszywą liczbę, ale



raz do roku przychodzi ktoś z wodociągów, żeby sprawdzić stan licznika.

– Czyli że podanie fałszywego stanu nic nie da – stwierdziła Serenity.

– Właśnie tak. – Christopher wstał, aby lepiej przyjrzeć się licznikowi na ścianie. – Dobra, ten akurat mierzy w tych waszych dziwnych galonach. W Europie są metry sześciennie i zwykle są jeszcze ze cztery miejsca po przecinku. Cztery miejsca, co odpowiada w sumie dziesięciu tysiącom merów sześciennych. Jeśli zużyje się tyle wody, licznik wraca na pozycję wyjściową. Załóżmy, że zaczyna się od dwustu trzydziestu metrów sześciennych i zużywa się w końcu dziesięć tysięcy metrów sześciennych. Wtedy licznik znowu będzie pokazywał dwieście trzydzieści metrów sześciennych, bo jedna cyfra, wskazująca wyższą wartość, znika – tak jak na komputerze, gdy robię *register shift* i otrzymuję *overflow*.

Kyle i Serenity wspólnie jednocześnie jęknęli i machnęli rękoma.

– To już lepiej rozumiem z tym licznikiem – przyznał Kyle. – Zastanawiałem się już nad czymś takim w związku z autami. Jakbym zrobił milion mil, to licznik wskoczyłby na zero. No, ale kto robi milion mil takim rzęchem!

Christopher usadowił się wygodnie.

– Tak, właśnie o to chodzi. Na osobę używa się, no nie wiem, może ze czterdzieści metrów sześciennych rocznie. Niech będzie z pięćdziesiąt. W każdym razie, to całe lata świetlne od dziesięciu tysięcy metrów.

Christopher ukośnie przeciął kotlet.

– Ale teoretycznie było to do zrobienia. Wypróbowałem. Odkręciłem w piwnicy wszystkie krany i zmierzyłem, jak szybko wypełnia się wiadro. Dwadzieścia litrów na minutę to był żaden problem. Jednak wylanie dziesięciu tysięcy metrów sześciennych wody trwałoby około ośmiu tysięcy trzystu godzin albo, po przeliczeniu, trzysta sześćdziesiąt cztery dni. Potem miernik wyglądałby tak, jak gdyby nigdy nie był używany.

– Serio poradziłeś temu koledze – zapytała Serenity ze zdumieniem – żeby lał wodę bez przerwy przez cały rok?

– Wy tłumaczyłem mu, że teoretycznie tak by to przebiegało. Ale oczywiście tego nie zrobił.

Christopher nałożył sobie jeszcze warzyw: groszku, marchewki i czegoś, czego nie potrafił nazwać.

– Nieważne. W każdym razie dzięki tej historii wpadłem na pomysł jakiegoś wyjścia z sytuacji. Skoro nie mogłem cofnąć polecenia, to, powiedziałem sobie, tok myślenia powinienem skierować w inną stronę. Postąpić radykalnie.

– I tak wpadłeś na pomysł, żeby każdemu przekazać miliard dolarów – pojął Kyle. – W tym i sobie. Co w takim zalewie pieniędzy pozostałoby niezauważone.

Christopher potrząsnął głową. Wciąż go zdumiewało, jak mało ludzie wiedzą o wzajemnych powiązaniach systemu.

– Nie, to by dało nam równie niewiele, co wtedy i wam. Nie, plan był taki, żeby

narobić takiego chaosu, aby było trzeba cofnąć się w zapisach i na nowo wprowadzić stan z dnia poprzedniego. Stan z okresu sprzed wydania przez moją matkę tamtego fatalnego polecenia.

Kyle'owi opadła szczeka.

– I ty to przewidziałeś?

– Jasne. Zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, i myślałem, jak na coś takiego zareagowały banki. Jakie miałyby możliwości. Do czego zostałyby zmuszone. Powiedziałem sobie, że ci wszyscy ludzie, których uczyniłem miliarderni, pomogą jeszcze bardziej zwiększyć chaos. Każdy spróbuje uszczknąć z tych pieniędzy coś dla siebie. Ludzie będą szturmować bankomaty, kasy, dostęp online... W jednej chwili sytuacja zupełnie wymknie się spod kontroli. Wreszcie nie zostanie już nic innego, jak przywrócić stan sprzed zapanowania chaosu. – Christopher wzruszył ramionami. – I właśnie tak się stało.

– Tyle że ciebie złapali – zauważył Kyle.

– Tak. Tego nie dało się uniknąć. To było jasne już od samego początku.

Christopher zobaczył siebie, jak siedzi przed komputerem matki w jej biurze, gdzie było ciemno, a światło dawały tylko lampka na blacie i ekran monitora. Przez okno zerkał na pełne światła kontury nocnego Frankfurtu. Przed nim na parapecie stał elektroniczny zegar z wielkimi czerwonymi cyframi, wskazujący godzinę 23:50. Dziesięć minut przed północą. Dziesięć minut, które jeszcze pozostały na podjęcie decyzji, czy naprawdę chce to wszystko zrobić.

Program był już gotowy. Widział go przed sobą na monitorze. Jeszcze nic się nie wydarzyło. Mógł go wymazać, a potem nikt by się nawet nie dowiedział, że tutaj był.

Mógł go też uruchomić. Wypuścić go do zabezpieczonej sieci komputerów bankowych. I dokonać w ten sposób czegoś równoznacznego z podłożeniem bomby.

Decyzja należała tylko do niego.

Palec wskazujący kołysał się nad klawiszem „Enter”. Jeśli go wciśnie, nieodwołalnie zmieni swoje życie. To było dla niego oczywiste. Swoje życie i całej swojej rodziny.

Ale jaka istniała alternatywa? Dziadek straci warsztat. Babcia pracownię, ogród, obrazy. Przez resztę życia będą musieli cisnąć się w malutkim mieszkanku, utrzymując się z niskiej renty dziadka.

Tacie nic by się nie stało, miał niewielkie potrzeby. Wystarczyłby mu komputer. Jednak matka by czegoś takiego nie zniosła. Nie, wcale nie była chciwa, po prostu nienawidziła biedy.

23:51.

Decyzja należy tylko do niego. I już nie dostanie drugiej szansy. Musi zrobić to teraz albo nigdy.

Christopher wcisnął klawisz.

Potem zdołał wyjść z biurowca i wrócić do domu, nim jeszcze zapanował chaos.

– O, Boże – wyrzuciła z siebie Serenity, gdy dotarł do końca opowieści. – Jak ja sobie próbuję to wyobrazić...

Kyle odłożył sztucce.

– Wstrząsnąłeś całym światem tylko po to, żeby z paru dysków zniknęło kilka bitów i bajtów?

– Nie dało się inaczej. – Christopher zauważył, że zdętwiała mu ręka, w której trzymał nóż. Odłożył go obok talerza. – Co byś zrobił na moim miejscu?

– Przypuszczalnie to samo – przyznał Kyle. – A co na to rodzice? Chodzi mi o czas, kiedy już zapanował chaos. Kiedy we wszystkich gazetach zaczęto pisać o Computer Kidzie? Przecież musieli być ci wdzięczni.

– I byli. Nie robili mi żadnych wyrzutów. Przetrzymani całe zamieszanie, a nawet kiedy wyprowadziliśmy się do Anglii, żeby uciec przed tym wszystkim, nigdy nie byli na mnie źli.

Matka, chociaż straciła pracę, chodziła nawet całkiem wesoła. Oznajmiła kiedyś ze śmiechem: „Teraz nasze życie skręciło w całkiem nieoczekiwanym kierunku”.

Żadne z nich jeszcze nie przeczuwało, że był to kierunek do katastrofy.

**29** | Rankiem następnego dnia ciągle nikt się nie zjawiał. Nawet Kyle był nieco skonsternowany. Musieli czekać. Zeszłego wieczoru, po kolacji, poskakali trochę po telewizyjnych programach i wcześniej położyli się spać. Christopher po raz pierwszy od dawna porządnie się wyspał, a rano obudził się z niezwykłym uczuciem normalności. Przez kilka drogocennych minut czuł się tak, jakby dobry los umieścił go w całkiem innym, miłym życiu, w którym mieszkał sobie w skromnym, jednorodzinym domku na przedmieściach Idaho Falls, a cała reszta była jedynie złym snem.

Ale już przy śniadaniu Serenity zapytała wprost:

– Co wczoraj mówiłeś o jakichś Upgraderach?

Christopher miał właśnie usta zapchane płatkami kukurydzianymi. Żuł powoli, aby zyskać nieco czasu do namysłu.

– To ludzie z chipami w mózgach – powiedział wreszcie. – Tacy jak ja.

– Ale dlaczego ciebie ścigają?

– Bo się zbuntowałem.

Serenity pokiwała głową. Najwyraźniej takie wyjaśnienie jej wystarczało.

Tak naprawdę niczego nie wyjaśnił. Ale to zachował już dla siebie.

Kyle, który nie jadł śniadania, tylko na stojąco sączył kawę, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy dowiedzieli się o nich czegoś więcej – odezwał się. – Kim są, czego chcą? – Opuścił firankę, odwrócił się i wycelował kubkiem prosto w Christophera. – Jak, do diabła, można kazać wsadzić sobie chip do mózgu?

– Nikt mnie nie pytał o zdanie. Jeżeli o to ci chodzi.

– Nie, chodzi mi o to, że chętnie bym się dowiedział, z kim miałem wtedy do czynienia. Śniły mi się w nocy koszmary o tych śmigłowcach, które nas wczoraj zaatakowały. I ciągle nie rozumiem, dlaczego to zrobiły. Nie rozumiem też, jak w ogóle mogło do tego dojść. Różne świry wszczepiają sobie chipy, kamery i co tam jeszcze mogą już od dwudziestu lat, ale to są właśnie świry, prawda? Biedni wariaci. Maniacy szukający sensacji. W każdym razie nie ludzie, na których wysłano by eskadrę bojowych śmigłowców.

Christopher przytaknął, nic jednak nie mówił. Bo co miał mówić? Że dla potęgi, z którą mieli do czynienia, wysłanie kilku śmigłowców to tyle co nic?

– A przede wszystkim – podsumował Kyle, dopijając kawę – nie rozumiem, co ich zdaniem jest w tobie takiego ważnego.

I nawet chętnie bym się dowiedział.

Ja też, pomyślał Christopher.

– Mogę opowiedzieć, jak to się zaczęło – rzucił z wahaniem.

Kyle przysunął sobie krzesło i siadł, opierając na poręczach skrzyżowane ramiona.

– Dobra, dawaj.

Christopher starannie wysypał płatki kukurydziane na talerz, po czym zalał je

mlekiem. Potrzebował nieco czasu, by uporządkować myśli.

– Opowiadałem wam już o tym, jak Linus, mój ojciec i ja pracowaliśmy nad rozszyfrowywaniem nerwu wzrokowego – odezwał się wreszcie. – Początkowo sądziliśmy, że pracujemy nad projektem jedynym w swoim rodzaju, problemem, którym nie odważył się zająć jeszcze nikt na świecie. Kiedyś jednak zauważyłem, że doktor Connery ma w biurku szufladę zamykaną na klucz, gdzie od czasu do czasu chowa coś do teczki: wycinek gazety, wydruk strony z Internetu, tego typu rzeczy. I wydało mi się, że zawsze po tym, jak coś tam wsadzi, robi się bardzo nerwowo. Rozgorączkowany. Tak jakby nic nie przebiegało dla niego wystarczająco szybko.

– Niech zgadnę – odezwała się Serenity. – Pewnego dnia otworzyłeś zamek i zerknąłeś, co jest w tej teczce.

– Właśnie tak. Były tam raporty o innych grupach badawczych, które równocześnie z nami pracowały nad zagadnieniem bezpośredniego połączenia mózgu z komputerem. Oficjalna, fachowa nazwa czegoś takiego brzmiała *Brain-Computer Interfaces*, w skrócie BCI. Na całym świecie istniało ponad dwieście takich projektów. Pamiętam, że na samym wierzchu leżał projekt Politechniki Berlińskiej. Tam zakładano na głowę obcisłe, gumowe czepki z elektrodami i myśli badanego sterowały automatem do gry. Aby poruszyć odpowiednią dźwignią, wystarczyło tylko pomyśleć „lewo” albo „prawo”.

– Wynalazki, których świat nie potrzebuje. – Kyle przewrócił oczami.

– Ach, wcale nie jestem pewna – zauważyła zamyślona Serenity – czy koniecznie musiałyby się to wiązać tylko z automatami do gry. W taki sam sposób można przecież, no, kierować wózkiem inwalidzkim albo czymś w tym rodzaju.

Christopher zerknął na nią z uznaniem.

– Właśnie o to chodzi. Naukowcy z Berlina chcieli, podobnie jak my, kierować protezami. Ostateczny cel stanowiło umożliwienie komunikacji z tak zwanymi „pacjentami *Loched-In*”, ludźmi całkowicie sparaliżowanymi, którzy nie mogą mówić ani poruszać oczami.

Kyle parsknął.

– Dobra, jeśli tak na to spojrzeć, to byłoby niezłe. Gdyby na tym poprzestano. – Uniósł brwi. – Co dalej? Powiedziałaś ojcu?

– Tak, pokazałem mu teczkę, pokazałem ją też Linusowi. To on pierwszy zrozumiał, że chodzi o jakieś akademickie wyścigi. Doktor Connery chciał nie tylko rozwiązać problem, ale także rozwiązać go jako pierwszy. – Zjadł łyżkę płatków, zanim całkiem rozmiękły. – Porozmawialiśmy z nim o tym i przyznał się. Uważał, że ten, kto pierwszy skonstruuje interfejs łączący komputer z mózgiem, ma już Nobla w kieszeni.

– Nie był zły, że włamałeś mu się do szuflady? – zapytał Kyle.

Christopher potrząsnął głową.

– Powiedziałem, że zostawił teczkę na zewnątrz. Od razu w to uwierzył, tylko coś

tam wymamrotał, że przydałby mu się też jakiś środek na roztargnienie.

– A nie byliście źli, że macie pracować na jego nagrodę Nobla?

– Twierdził, że oczywiście się nią podzielimy. – Christopher wzruszył ramionami. – Nie wiedział, że Nobla można podzielić maksymalnie między trzy osoby. A nas było czterech.

Serenity pokiwała głową.

– Czyli że jeden odszedłby z kwitkiem.

– Tak. Kiedy rozmawiałem z ojcem, stwierdził, że przypuszczalnie padłoby na mnie, bo jestem jeszcze za młody. Jednak Linus był przekonany, że w razie czego to on by odpadł, bo wnosił do projektu taką pracę, jaką w gruncie rzeczy można by zlecić każdemu innemu. Widać było, jak coraz bardziej go to gryzie. I jak coraz bardziej przestaje się wszystkim interesować.

– Całkiem zrozumiałe – stwierdziła Serenity.

– Lepiej by było, gdybyś nie otwierał tej szuflady – stwierdził Kyle.

Christopher zastanowił się nad skutkami tamtego wydarzenia. Dokąd doprowadziły różne czyny i decyzje? Jak wszystko by się potoczyło, gdyby nie był taki ciekawski?

Nie, powiedział sobie. To, co się stało, wydarzyłoby się prędzej czy później, tylko w inny sposób. W innym miejscu. Jedyna różnica polegałaby na tym, że nie miałyby z tym nic wspólnego.

– Tak czy inaczej – kontynuował – Linus na kilka tygodni popadł w ośpienie. Martwiliśmy się o niego, rozmawialiśmy z nim. Pewnego dnia stwierdził, że to, co do tej pory udało nam się odkryć, wystarczyłoby przynajmniej do bezpośredniego połączenia umysłu z telefonem komórkowym. Wystarczyłoby tylko pomyśleć o jakimś numerze, żeby na niego zadzwonić.

Kyle skrzywił się z obrzydzeniem.

– To chore.

– Najważniejsze było to – opowiadał dalej Christopher – że Linus oddał się do naszej dyspozycji. Chciał, żebyśmy to na nim przeprowadzili ten eksperyment.

**30** | Wydawało się, że wszystko zdarzyło się wczoraj. Christopher oczyma duszy zobaczył tatę i Linusa, jak stoją naprzeciwko siebie w laboratorium. Wśród stołów, aparatury badawczej oraz biur z komputerami.

– Nagroda Nobla. To jest powód? – rzucił tata.

– A jeśli nawet? – odparował Linus.

– To naprawdę kiepski powód, żeby ryzykować coś takiego. Przecież nie masz pojęcia, komu w Sztokholmie przyznają w końcu tę nagrodę. W ogóle tego nie wiesz. Może ją dostać w ogóle kto inny, za zupełnie inne odkrycie.

Linus wysunął głowę do przodu, co robił zawsze, gdy był wściekły.

– A dlaczego nie mielibyśmy jej dostać my? Co? Może jeszcze nie dotarliśmy tam, gdzie chciałby doktor Connery, ale jesteśmy dalej niż wszyscy. Tylko musimy coś z tym zrobić! Zrobić coś, co można pokazać!

– To niedopuszczalne ryzyko – upierał się ojciec.

– Żeby coś osiągnąć, trzeba ryzykować. – Linus mówił cicho, co w jego wypadku niczego dobrego nie wróżyło. – Nie wiem, jak wy do tego podchodzicie, ale nagroda Nobla wiąże się z co najmniej milionem funtów. Przy podziale na trzech mamy ponad trzysta tysięcy na głowę. Ja w każdym razie potrafiłbym dobrze wykorzystać takie pieniądze!

Tata skrzyżował ramiona, minę miał zaciętą.

– Co ci dadzą pieniądze, jeżeli zrujnujesz sobie dla nich ciało?

Na te słowa Linus zdjął sweter, potem koszulę, podkoszulek, aż wreszcie rozebrał się do połowy. Wskazał swoje tatuaże i kolczyki.

– Moje ciało to moja własność – oznajmił. – Mogę sobie z nim robić, co chcę. I to robię, jak zresztą sam widzisz.

Tego samego dnia rozmawiali jeszcze z doktorem Connerym. Atmosfera się uspokoiła. Linus podawał argumenty rzeczowo bardzo zrównoważonym tonem.

– Dokładnie przeanalizowałem całą dokumentację. Możemy to zrealizować. Nic nie stoi na przeszkodzie. Na pierwszym etapie myślałoby się o cyfrach numeru telefonicznego, a w końcu wydałoby się w myślach rozkaz wybrania tego numeru. Jak tylko to zadziała, będzie można iść dalej. Wystarczy wtedy tylko o kimś pomyśleć i zażyczyć sobie z nim rozmowy – i pac, już mamy połączenie! – Zaśmiał się Linus. – Paniom to się spodoba, prawda?

Teraz wszyscy się roześmiali.

– Następnym krokiem będą – wyobraźcie sobie, o czym mówię – ciche telefony. Dzwoni się do kogoś, ale zamiast mówić, tylko się myśli, o czym chce się powiedzieć, a syntetyzator mowy przekształca to w sygnały dźwiękowe.

– *Science fiction* – rzucił tata z nieskrywaną dezaprobatą.

Linus pokręcił głową.

– Pod względem technicznym rzecz całkiem do zrobienia. I prawdziwe błogosławieństwo dla pacjentów po wylewach, dla głuchoniemych, dla ludzi

pozbawionych krtani... Poza tym w naszym projekcie w ogóle nie wysondowaliśmy możliwości dostosowawczych ludzkiego mózgu. Treningu obchodzenia się z nowymi możliwościami. Przypomnijcie sobie, jak uczyliście się jazdy samochodem. Jazdy rowerem. Pływania. Zawsze jest tak samo, na początku ciężko. Myśli się, że nigdy nie da się rady. Zmiana biegów w samochodzie – o Boże, jak się z tym walczy! Przerzucenie z jedyńki na dwójkę. Trzeba przy tym wcisnąć sprzęgło i utrzymywać właściwy kierunek jazdy: niezłe wyzwanie! Ale wystarczy dziesięć godzin treningu i już się to potrafi. Po prostu dziesięć godzin! Po stu godzinach robi się to wszystko tak odruchowo, jak oddychanie. Samochód staje się przedłużeniem ciała. Można prowadzić i jednocześnie dyskutować, słuchać radia albo zerkać na dziewczyny na chodnikach, wszystko naraz! Bo się już tego nauczyło. Bo mózg dostosował się do maszyny, jaką jest samochód. – Uniósł kciuki w dziwnym geście. – A chodzi o maszynę całkowicie od nas oddzielną, którą musimy sterować rękami i nogami! A do czego byłby zdolny nasz mózg, gdyby maszyną dało się sterować bezpośrednio? Gdyby wymagało to jedynie myśli? Nawet nie sposób sobie wyobrazić, jakie możliwości by to przed nami otworzyło. Jednak dzięki interfejsowi, który proponuję, będziemy mogli się tego dowiedzieć.

Wszyscy spojrzeli na doktora Connery'ego, który splótł dłonie i spoglądał w zamyśleniu.

– Obawiam się – powiedział po dłuższej chwili – że nie mogę tego zrobić. Tego rodzaju wtargnięcie w organizm, bez konkretnych wskazań medycznych, byłoby nie do przyjęcia pod względem etycznym. – Odchylił się i splótł ramiona. – Mówiąc wprost, to już z naszymi próbami na zwierzętach dotarłem do swoich granic etycznych.

– W historii medycyny wiele przełomowych odkryć dokonano dzięki próbom przeprowadzonym na sobie – naciskał Linus. – Edward Jenner, ten, który wynalazł szczepionkę przeciwko ospie. Gdyby nie on, być może któryś z nas już by nie żył. Werner Forssmann, który jako pierwszy na świecie wprowadził cewnik do serca. Bez jego pionierskich prac, mój ojciec już by nie żył. I można by tak wymieniać do rana.

– Panie Linusie, doceniam pańską propozycję, ale jeśli wszczęję panu takie urządzenie, przeprowadzę ten eksperyment, to nie będzie to dla mnie próba na sobie tylko na innym człowieku. A tego moje sumienie by nie zniosło.

– To by zadziało – upierał się Linus.

– Może.

Linus potarł kolczyki wiszące wzdłuż lewego ucha. Zabrzęczały.

– Przecież pan wie, że raczej nie należę do tych, którzy mają coś przeciwko modyfikacjom ciała.

– Owszem. Ale i tak tego nie mogę zrobić. Proszę mnie zrozumieć.

Christopher był przekonany, że Linus znowu się wścieknie, nic podobnego jednak się nie wydarzyło. Przysadzisty mężczyzna tylko przez chwilę spoglądał w pustkę,



wreszcie westchnął i oznajmił:

– Dobra. Warto było chociaż spróbować.

Tym samym temat wydawał się wyczerpany. Później tata dał Christopherowi do zrozumienia, że przypuszczalnie w trakcie dyskusji Linus się wystraszył i po kryjomu cieszył się, że jego propozycję jednak odrzucono.

Nikt się nie zdziwił, że niedługo potem Linus wziął cztery tygodnie urlopu. Miał kolejną dziewczynę, Catherine, która pracowała jako stewardessa w American Airlines.

– Kalifornia – oznajmił z tajemniczym uśmiechem. – Zatoka San Francisco. Słońce, surfowanie... i jeszcze jedno słowa zaczynające się „s”, ale go nie wypowiem, dopóki słuchają nieletni – dodał, zerkając na Christophera.

Tygodnie bez Linusa minęły błyskawicznie i bez żadnych szczególnych wydarzeń. Doktor Connery, Christopher i jego tata wciąż głowili się nad zagadkową sekwencją sygnałów w nerwie wzrokowym, która do tej pory wymykała się każdej interpretacji. Christopher musiał jeszcze napisać kilka uciążliwych prac zadanych w szkole.

Potem, pewnego wieczoru zadzwieczył dzwonek do ich drzwi. Otworzył tata i wrócił w towarzystwie tryskającego dobrym humorem, opalonego na brąz Linusa Meany'ego. Owszem, urlop okazał się świetny. Słońce, surfowanie i tak dalej. Nie, ani przez chwilę nie tęsknił za pracą.

Ale widać było, że nie przyszedł do nich tylko po to, żeby pozazdrościli mu opalenizny. Chciał się czymś pochwalić. Aż go nosiło.

– Zapytaj mnie o coś – zaczął się w końcu domagać.

– Zapytać? – Zdziwił się tata. – Ale o co?

– Nieważne, o cokolwiek. Jak się nazywa stolica Górnej Wolty.

Tata uniósł brwi.

– Dobra. Jak się nazywa stolica Górnej Wolty?

– Człowieku, to oczywiście był tylko przykład! – zawołał Linus. – Górna Wolta już od 1984 roku nazywa się Burkina Faso, a stolicą jest Ouagadougou. No, jakieś inne pytanie!

– Serio? – powiedział Christopher. – Co za śmieszna nazwa.

– Poczekaj. – Tata wstał i przyniósł encyklopedię z regału w salonie. – Dobra. – Na chybił trafił wybrał jakąś stronę, potem wertował dalej. – Dobra, tutaj. Jaką powierzchnię zajmuje Szwecja?

Linus wziął głęboki oddech. Przez kilka chwil wpatrywał się w pustkę, a potem oznajmił.

– Czteryście pięćdziesiąt tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt sześć kilometrów kwadratowych.

– Tutaj jest napisane, że czterysta czterdzieści dziewięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt cztery kilometry kwadratowe, ale dobra, można się zgodzić.

– No, dalej!

Tata otworzył encyklopedię na innej stronie.

– Naprawdę się zastanawiam, co się z tobą dzieje... Dobra. Jak się nazywał... hmm... powiedzmy, piętnasty prezydent USA?

I znowu głęboki oddech, znowu spojrzenie w pustkę. Tym razem nieco dłuższe.

– James Buchanan. Rządził w latach od tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego do tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego.

– Dobra. – Tata zatrzasnął encyklopedię. – Zrobiłeś na mnie wrażenie. Co się stało? Linus przyjrzał mu się badawczo.

– Jeszcze nie skapowałeś?

– A co takiego – odparł tata ze złością – niby miałem skapować?

– No, to co ze mną jest! – Linus uśmiechnął się szeroko. – Przecież jasne, że nie wykorzystałem urlopu na wkuwanie encyklopedii!

Tata przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

– To wygląda dokładnie tak, jakbyś coś takiego zrobił.

Linus dotknął swojej głowy.

– Człowieku, nic nie rozumiesz? Zrobiłem to! Albo inaczej, pozwoliłem sobie zrobić. Stephen Connery nie jest w końcu jedynym neurochirurgiem na świecie.

Wtedy szczęki opadły im obu – zarówno Christopherowi, jak i jego ojcu.

– Interfejs! – zawołał ojciec. – Nie, to nieprawda! Kazałeś sobie wszcześcić cholerny telefon?

– Tutaj, popatrz. – Odsunął na bok okazałą grzywę. Ujrzeni wygoloną przestrzeń wielkości spodka, od której do podstawy czaszki i szyi biegły słabo już widoczne blizny.

– To wcale nie była aż taka wielka sprawa, jak myślałem. Trzygodzinna operacja, a po czterech dniach już wyszedłem ze szpitala. – Dotknął prawego ramienia. – Właściwe urządzenie znajduje się tutaj. I to nie jest telefon, tylko moduł UMTS.

– Moduł UMTS?

– Właśnie tak. To oznacza, że jestem bezpośrednio podłączony do Internetu, w każdej chwili i wszędzie. Jedna myśl i jestem w Google, w Wikipedii, czy gdzie tam chcesz.

– Zabrałeś naszą dokumentację do Ameryki!

– Spokojnie. Jak chyba pamiętasz, byłem przy tym projekcie od samego początku. Musiałem zabrać tylko swoją głowę.

Po twarzy taty widać było, że intensywnie się zastanawia.

– Ale jak ty to w ogóle widzisz, co pokazują strony w sieci? Przecież jeszcze nie rozpracowaliśmy kodu obrazów!

– Ale ja tego nie widzę. Słyszę. Używam oprogramowania, za pomocą którego ociemniali serfują po Internecie. Całkiem niezłe dopracowane, rozpoznaje prawie każdy zbędny tekst, reklamę i je odrzuca, szuka na zawołanie i tak dalej.

– Ale potrzebowałeś tylko kilku sekund. Wysłuchanie artykułu z Wikipedii na

pewno trwa dłużej.

Linus uśmiechnął się triumfalnie.

– Widzisz? To są właśnie te efekty treningu, o których mówiłem. Krok po kroku zwiększałem szybkość, codziennie tak trochę. A zacząłem ćwiczyć niecałe dwa tygodnie temu. Mówię ci, nie da się przewidzieć, gdzie znajduje się kres możliwości.

– Dobra. – Tata, wyraźnie wyczerpany, opadł na oparcie fotela. – I co z tym dalej będzie? Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż dadzą za to Nagrodę Nobla? Być może tylko tobie?

Linus zaśmiał się z politowaniem.

– Nagroda Nobla? A komu, do diabła, potrzebna nagroda Nobla? – Potrząsnął głową. – Zgłoszę się do teleturnieju *Milionerzy* i zgarnę główną nagrodę. To jest przecież znacznie prostsze!

**31** | – I dokładnie tak zrobił – opowiadał Christopher. – Ludzie z telewizji byli zachwyceni, bo przez te wszystkie kolczyki był takim bardzo nietypowym uczestnikiem. Dobrze wyglądał na ekranie. I raczej nie jak ktoś, kto daleko zajdzie, więc pewnie sądzili, że niewielkim kosztem zapewnią sobie sporo zabawy.

– Udało mu się? – zapytała Serenity. – Zgarnął milion?

– Zrobił z tego niezłe przedstawienie. Oczywiście oglądaliśmy program. Linus ani przez chwilę nie wyglądał na takiego, który wie wszystko. Sądzę, że ktoś taki pewnie w ogóle nie przeszedłby castingu. Wahał się, zastanawiał, rozmyślał, próbował kół ratunkowych... Przymuszczałnie po to, żeby zyskać na czasie, bo na niektóre pytania trudno było odpowiedzieć, nawet jeśli miało się Internet w głowie. – Christopher nie mógł oprzeć się wspomnieniu strapionej miny moderatora, gdy dziwaczny kandydat do zdobycia miliona funtów wreszcie wyrzucał z siebie odpowiedź jak strzał z pistoletu. Tak jakby Linusowi odechciewało się udawać. – I na koniec wymaszerował, szczerząc się w uśmiechu i z czekiem w dłoni.

– Super – powiedziała Serenity.

– Przez kilka dni był prawdziwym bohaterem narodowym – kontynuował Christopher. – Wszędzie czyhali na niego dziennikarze, chcieli wiedzieć, co teraz zrobi z wygraną. A jakaś stacja zaproponowała mu nawet prowadzenie teleturnieju.

Odsunął talerz, płatki całkiem rozmiękły.

– Potem w jakiejś gazecie napisano, że oszukiwał. Najwyraźniej wsypano go w Kalifornii. Artykuł opowiadał o grupie maniaków komputerowych z Doliny Krzemowej, którzy opracowali połączenie komputera z mózgiem. Opublikowano zdjęcie, na którym Linus wychodził z budynku z grubym bandażem na głowie.

Kyle uśmiechnął się szeroko.

– Co za pech.

– Inne gazety to wyśmiały. W „Timesie” napisali, że gdyby przyznawać nagrody za najbardziej absurdalne teorie spiskowe, ta byłaby murowanym kandydatem. Jednak firma produkująca teleturniej oskarżyła Linusa o oszustwo i zażądała zwrotu pieniędzy.

Przez następne tygodnie sprawa nie schodziła z pierwszych stron brytyjskich gazet. Także na wszystkich kanałach telewizyjnych można było zobaczyć Linusa Meany’ego w towarzystwie prawnika pokazującego obszerną umowę, którą musiał podpisać przed nagraniem każdy uczestnik programu. Linus wyjaśniał, że nie złamał żadnej z umieszczonych tam zasad. Żaden przepis nie zabraniał poszukiwania informacji w Internecie – a przecież jedynie to zrobił.

Ani przez chwilę nie zaprzeczał posiadaniu bezpośredniego połączenia mózgu z siecią. Linus wzbudził wielkie poruszenie na konferencji prasowej, gdy dziennikarzowi zadającemu pytanie związane z całą sprawą udzielił odpowiedzi pod postacią maila wysłanego bezpośrednio na jego telefon Blackberry.

Linus nazwał swój wszczep Upgrade i prorokował, że za kilkadziesiąt lat podobne

urządzenia staną się równie powszechne jak plomby w zębach. Magazyn zajmujący się muzyką rockową umieścił na okładce jego zdjęcie, z podpisem: „Upgrade – czy to nasza przyszłość?”.

– Ale potem media zaczęły to wypaczać – opowiadał Christopher. – W telewizji na okrągło dyskutowali jacyś starsi lekarze, wszyscy bardzo poważani, z tytułami szlacheckimi, obwieszeni orderami i czym tam jeszcze się dało, ale nie było wśród nich ani jednego neurologa, no i oczywiście żadnego informatyka. Doszli do wniosku, że coś takiego, co miał Linus, po prostu nie mogłoby działać. W jakimś show emitowanym w porze najwyższej oglądalności wystąpił iluzjonista, wyjaśniając, jak można by zrobić trik z e-mailem wysłanym do dziennikarza.

– I co? – dopytywała się Serenity.

– Tamten człowiek był przekonany, że Linus miał za sceną pomocnika z komputerem podłączonym do Internetu. I że to on wysłał e-maila. Zrobił coś takiego, sądząc, że zdemaskował Linusa. – Christopher wpatrywał się w łyżkę, podziwiając swoje wykrzywione odbicie. – Po prostu nie chcieli potraktować tego poważnie. Zamiast dyskutować, jakie znaczenie może mieć taki interfejs, wynajdywali najróżniejszych typów, którzy coś zrobili sobie z ciałem. Ludzi, którzy wszczepili sobie pod skórę na głowie diabelskie rogi albo rozdzielili język. Takich, którzy sobie przycięli uszy, żeby wyglądały jak elfy. Artystkę, który kazała sobie wszczepić sztuczne ucho w lewe przedramię. Dziennikarkę, która wszczepiła sobie magnesy w opuszki palców, żeby wyczuwać pola magnetyczne. I tak dalej, wszystko w kategoriach „UFO” i „Elvis żyje”. W końcu sprawa przerodziła się w zwykły gabinet osobliwości, gdzie wszystkich tylko ogarniała zgroza i nikt już tak naprawdę nie wiedział, o co w ogóle na początku chodziło.

– A Linus? Musiał oddać nagrodę? – zapytała Serenity.

Linus.

Nie, nie musiał oddawać nagrody. Wręcz przeciwnie.

Christopher przypomniał sobie, jak Linus przyszedł jeszcze raz do laboratorium, już po tym całym zgiełku. Właśnie oglądali internetowe strony Kalifornijczyków i przekonywali się wzajemnie, że tamci w swojej pracy oparli się na całkiem innej zasadzie, którą tutaj już dawno porzucono.

– Jesteśmy znacznie dalej – oznajmił doktor Connery, dokładnie wtedy gdy wszedł Linus.

Programista stwierdził:

– To wam nic nie da, jeśli nic z tym nie zrobicie.

Uważał, że za bardzo skupili się na teorii, że trzeba wypróbowywać różne możliwości, zamiast tylko się nad nimi zastanawiać.

– Stoicie nad basenem i rozmyślacie, czy jeśli się go napełni wodą, to będzie mokry. A ja po prostu do niego wskoczyłem. Ja już wiem!

– Linus, to nie jest metoda prowadzenia badań naukowych – przystopował go

doktor Connery. – To przecież czyste awanturnictwo.

– Wie pan co? Gwizdź na te pańskie metody naukowe – roześmiał się Linus. – Doktorze, pan nic nie rozumiał. Proszę na mnie spojrzeć. W każdej chwili i wszędzie mam dostęp do dowolnych danych liczbowych, do dowolnej informacji, wystarczy, że pomyślę o Wikipedii albo o encyklopedii Britannica Online. Potrafię zorientować się w terenie, gdziekolwiek się znajdę, wystarczy jedynie, że pomyślę o Google Maps. Mogę sobie wszystko zanotować – zapisuję to po prostu w dokumencie na Google Doc albo nawet w Online Office. Mogę w swojej głowie odbierać e-maile albo je wysyłać, telefonować przez Internet, rezerwować pokój w hotelu, sprawdzać rozkład lotów, słuchać muzyki, grać w gry... A to tylko początek. To tylko pierwsze ulepszenie. Prymitywny prototyp tego, co się jeszcze pojawi. – Pokręcił ze współczuciem głową. – Przyszłość należy do Upgraderów. To pewne jak amen w pacierzu.

Potem wyszedł – i zniknął bez śladu. Proces wytoczony przeciw niemu przez firmę produkującą program trzeba było odłożyć na bliżej nieokreślony termin, ponieważ oskarżony stał się nieuchwytny.

Pieniądze oczywiście zabrał.

– I na pewno też wszystkie nasze materiały – oznajmił doktor Connery na naradzie zwołanej następnego dnia. – Jak sam powiedział, potrzebuje tylko swojej głowy. I tego cholernego interfejsu.

Był już późny wieczór. Za szybą okna biurowca księżycowy blask padał na park okalający instytut. Rośliny wokół zgromadzonych rzucały dziwaczne cienie.

– W ogóle rozpoczęcie tego projektu było błędem – mówił doktor Connery. – Przy czym nie mogę obwiniać nikogo poza samym sobą. To moja żądza sławy sprawiła, że nie dostrzegłem konsekwencji. Chciałem pomóc ludziom okaleczonym wskutek wypadków albo chorób, a czego dokonałem? Pomogłem stworzyć technicznie wspomaganą istotę, przy której pewnego dnia normalni ludzie staną się tylko obywatelami drugiej kategorii. Upgraderzy ustalą standardy, których nie będzie w stanie spełnić nikt stworzony tylko przez Boga i naturę. – Naukowiec załamał ręce, na jego twarzy malowała się zgroza. – Tym samym projekt zostaje zakończony. – Odwrócił się w stronę ojca Christophera. – Jeśli pan chce, może zabrać z laboratorium rzeczy osobiste. Jednak dane, oprogramowanie i materiały niezwłocznie zniszczę.

I tak wszystko się skończyło. Nazajutrz laboratorium zostało uprzątnięte, wywieziono aparaturę oraz meble, na nowo pomalowano ściany. Przedsiębiorstwo specjalizujące się w bezpiecznym niszczeniu danych poszatkowało wszystkie segregatory, wydruki, plany, zlikwidowało wszystkie nośniki informacji.

Kiedy Christopher poszedł z ojcem do biura doktora Connery'ego, aby się z nim pożegnać, ujrzał, że zniknęły też rośliny. Książki na regałach wydawały się jeszcze nietknięte, ale stały już skrzynie, do których miano je zapakować. Za biurkiem siedziała szczupła, szpakowata kobieta zajęta przeglądaniem jakichś papierów.

Wyjaśniła, że doktora Stephena Connery'ego już tutaj nie ma. Zwolnił się z pracy, i z tego, co wie, wyjechał z kraju.

– Wypytywaliśmy każdego, kto go znał – wyjaśniał Christopher – ale nikt nie wiedział, dokąd ruszył.

Siedzący przy oknie, Kyle uniósł głowę.

– Poczekaj chwilę – powiedział. – To mogą być oni.

Christopher dopiero po chwili znowu zanurzył się w teraźniejszość. Na zewnątrz, ulicą jechał biały pickup, na pace miał mnóstwo kartonów zabezpieczonych wodoodporną plandeką.

– To ludzie taty? – zapytała Serenity.

– Tak. – Kyle wstał, odchylił zasłonę na dwa palce.

Christopher i Serenity także wstali, zbliżyli się do okna. Pic – kup zatrzymał się dwa domy dalej. Wysiadło z niego dwóch ludzi, podeszli do tamtych drzwi, zadzwonili. Przez chwilę rozmawiali z kimś nieznanym, a ten najwyraźniej odprawił ich z kwitkiem lub nie mógł pomóc, więc spróbowali w sąsiedniej posesji. Tam z kolei nikt nie otworzył. Wymienili spojrzenia, odwrócili się, zawrócili ulicą i podeszli do kolejnych drzwi.

Ich drzwi.

– A jeśli to są Upgraderzy? – cicho zapytała Serenity.

Kyle głośno westchnął.

– Czyli że nie znasz tych ludzi? – powiedziała siostra.

– Nie – przyznał Kyle. Odwrócił głowę, spojrzał na towarzyszy. – Idziecie do tyłu, czekacie, co się stanie, przy drzwiach na werandę. W razie czego musicie uciekać, zrozumiano? Beze mnie. Dam sobie radę.

Dwaj mężczyźni ruszyli właśnie w stronę ich drzwi.

– Szybko – syknął Kyle.

**32** | Uciekać. Dobra, ale dokąd? Christopher wyjrzał przez drzwi na taras. Ogród był maleńki, dalej stał parkan i zaczynał się już teren sąsiada. Choć Ameryka zajmowała wielki obszar, domy stały tak blisko siebie, jakby odstępy uważano za coś złego.

– Nikogo nie widać – szepnęła Serenity. – Nie sądzisz, że gdyby to byli Upgraderzy, otoczyliby dom?

– Zaraz to ocenię – stwierdził Christopher. Chwycił klamkę drzwi. – Rozejrzę się.

Spojrzała na niego sceptycznie, ale nie powiedziała niczego w stylu: „ale przecież Kyle powiedział” albo „nie, to zbyt niebezpieczne”. Wielki plus.

Otworzył drzwi na taras, odsunął siatkę chroniącą przed owadami i wyszedł do ogrodu. Nic się nie stało. Nikt nie wyskoczył z krzaków, nie przesadził płotu, w powietrzu nie zrobiło się gęsto od kul.

Dobra. To dodawało odwagi. Sprawdźmy teraz, co się dzieje. Christopher trzymał się bardzo blisko zewnętrznej ściany, kryjąc się za krzakiem. Kyle rozmawiał na ulicy z tamtymi dwoma, gestykulował, zdawało się, że im tłumaczy, jak mają gdzieś trafić. Jeszcze kilkakrotnie dopytywali, wyraźnie się upewniając, czy zrozumieli wszystko prawidłowo, aż wreszcie podziękowali i pomaszerowali do auta.

Christopher przemknął z powrotem, do wnętrza domu.

– Alarm odwołany – uspokoił Serenity. – Nic groźnego. Dwóch dostawców, pytali o drogę.

Wrócili do kuchni. Usłyszeli głośny stukot – to Kyle pospiesznie sprzątał naczynia po śniadaniu.

– Szybciej, pospieszcie się! – zawołał. – Zmywanie, sprzątanie, pakowanie. Za dziesięć minut musimy wychodzić.

– Dlaczego? – Siostra spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To byli nasi przewodnicy, spotykamy się z nimi za pół godziny na parkingu pod K-Martem, na siedemnastej ulicy.

Po pełnych pośpiechu dziesięciu minutach wszystko zostało pozmywane i poukładane, nic się nie stłukło, a brudne ubrania trafiły do plecaków i toreb. Kyle jeszcze raz przeszedł po wszystkich pokojach, by się upewnić, czy w miarę dobrze posprzątał dom, stwierdził „może być” i wyruszyli.

Droga pod supermarket zajęła im prawie czterdzieści minut, chociaż Kyle starał się jechać możliwie jak najpłynniej. Parking wcale nie był mały i niełatwo ogarniało się go wzrokiem. Przyhamowali. Rozglądali się, jadąc z szybkością pieszego, coraz bardziej zdenerwowani. Wreszcie Serenity dostrzegła niewielkiego pickupa pod jednym z bocznych wejść.

Brat od razu się zatrzymał, jeden z mężczyzn uniósł dłoń w pozdrowieniu. Kyle odwzajemnił gest, skręcił w stronę zjazdu z parkingu. Jeszcze zanim tam dotarli, biały pickup już ich wyprzedził. Potem tylko za nim jechali.

Opuścili miasto, kierując się na północ. Mijały godziny, wielopasmowa i zdawało



się bezkresna autostrada wiodła przez płaską jałową okolicę, która chyba w ogóle się nie zmieniała.

W pewnym momencie pojawiły się góry. Wyłoniły drzewa. Zatrzymali się na stacji benzynowej, Christopher został w samochodzie, poprosił tylko o przyniesienie czegoś do jedzenia. Wzdłuż trasy stały bilbordy. Ciągnęły się kable telefoniczne. Kable wysokiego napięcia. Budki z przekąskami.

Jednak w końcu wszystko zniknęło, została tylko droga. Asfalt oraz jałowy step z lewej i z prawej, aż po horyzont.

Im mniej innych aut spotykali po drodze, tym większą odległość od pickupa utrzymywał Kyle. Dystans wzrósł do kilku kilometrów, a czasem auto, które ich prowadziło, stawało się tylko białym punkcikiem w oddali.

W samochodzie panowała cisza. Na samym początku Kyle oznajmił, że musi się skupić na prowadzeniu, aby nie zgubić przewodników, i było to zrozumiałe samo przez się. Nikt nie miał ochoty na rozmowę czy muzykę. Słuchali szumu silnika, oglądali mijane krajobrazy, a czas jakoś mijał.

Kyle tylko raz zapytał:

– Jak on w ogóle ładował baterie?

– Co? – Wystraszył się Christopher. – Kto?

– Ten Linus. Jak ładował ten swój moduł UMTS w ramieniu? Jakie było zasilanie? Miał jakiś otwór w skórze, żeby wsadzić sobie kabel, czy jakoś tak?

– Aha. Nie. To przebiegało przez indukcję. Już teraz robią takie ładowarki do telefonów komórkowych, iPodów i tak dalej. Wystarczy położyć na nich urządzenie, nie trzeba żadnej wtyczki. Linus używał czegoś takiego.

– Rozumiem. – Kyle przez chwilę obserwował Christophera w tylnym lusterku. – A twój chip? Jak ty sobie radzisz?

Myśl o chipie wywołała nieprzyjemne ukłucie.

– To jest całkiem nowa technologia. Chip potrzebuje tak niewiele prądu, że może go zasilać elektryczność ludzkiego ciała.

– Hmm. Nie da się zatrzymać postępu, co?

Christopher pokiwał głową.

– I w tym właśnie tkwi problem.

Kyle najwyraźniej musiał sobie wszystko przemyśleć. Znowu milczeli i tak po prostu jechali w ślad za przewodnikami.

Nagle biały punkt przed nimi zniknął. Kyle dodał gazu i po pewnym czasie zobaczyli, że od głównej trasy odchodzi wąska droga w prawo, wiodąca stromym zboczem wzniesienia porośniętego lasem. Droga miała asfaltową nawierzchnię, jednak bez wątpienia rzadko nią jeżdżono.

Kyle skręcił i teraz silnik terenowego wozu zaczął ciężką pracę. Dojechali do przełęczy, skąd ruszyli w dół, do wąwozu przy wodospadzie. Drzewa rosły tu gęściej, pojawiło się jezioro, migotało światło zachodzącego słońca.

Dwadzieścia minut później droga zakończyła się na zarośniętej krzakami polanie. Stał tam namiot, a jakaś para młodych ludzi krzątała się przy grillu. Kyle ustawił samochód obok białego pickupa, który z uruchomionym silnikiem czekał pod krzewem.

– To przecież nie jest obozowisko. – Zirytowana Serenity rozglądała się wokół.

– Nie, to tylko czata. – Kyle wyłączył silnik i rozejrzał się. – Teraz pojedę dalej z przewodnikami i porozmawiam z tatą. Wy poczekacie tutaj.

– Czata? – Serenity przypatrzyła się parze. – Wyglądają tak niegroźnie.

– Bo tak mają wyglądać. Pewnie są uzbrojeni. – Kyle uśmiechnął się ironicznie. – Bądźcie więc grzeczni.

Potem wysiadł z auta.

**33** | Christopher poczuł zniecierpliwienie. Zatrzymać się tak blisko celu. To było niemal gorsze od samotnej podróży w ciągłej niepewności. Przede wszystkim dlatego, że wiedział, jak niewiele dają środki ostrożności obmyślane przez Jonesa i jego ludzi.

Przyglądał się rozmawiającemu z tamtą parką Kyle'owi, który otwarcie powiedział, kim jest i kim jest Serenity. Potem wsiadł do pickupa. Młody mężczyzna podniósł jakiś sznur, do tej pory schowany w trawie, i mocno pociągnął.

I proszę, krzaki przesunęły się w bok, odsłaniając wąską, leśną ścieżkę. Najwyraźniej tych liściastych gałęzi użyto niezgodnie z przeznaczeniem, wykorzystując je do maskowania. Pickup zniknął w mroku między drzewami. Jasnowłosy młody mężczyzna, mniej więcej dwudziestopięcioletni, przeszedł na drugą stronę wjazdu i korzystając z innego sznura, przeciągnął krzak na poprzednie miejsce.

Czy byli uzbrojeni? Mężczyzna wyglądał na zupełnie niegroźnego. Kobieta też. Spojrzała wielkimi oczami, poprawiła czekoladowobrązowe włosy. Zdawało się, że po prostu spędza tutaj urlop.

– Wiedziałaś, że właśnie tak to będzie przebiegać? – zapytał Christopher.

Serenity potrząsnęła głową.

– Kyle sugerował coś takiego, ale... Nie. Myślę, że tak jest, bo ich szukają.

– Jasne.

Zamyślona patrzyła przez okno.

– Chyba minęła wieczność, kiedy ostatni raz widziałam ojca.

– Bo go szukają?

– Nie, to było wcześniej. Kiedy rodzice się rozstali, tata został w naszym starym domu. Razem z przyjaciółmi założył coś w rodzaju osiedla outsiderów. To było w Maine. Mieszkaliśmy na zupełnym odludziu, w wielkim lesie. Kyle i ja zawsze pierwsi wsiadaliśmy do szkolnego autobusu, a wieczorem wysiadaliśmy jako ostatni.

– Zamilkła, pogrążając we wspomnieniach.

Sposób, w jaki to opowiadała, pozwolił Christopherowi wyraźnie poczuć, jak jeszcze bardzo boli ją rozstanie rodziców. Może nosiła ból podobny do jego.

Jakoś go to irytowało.

– Maine – w myślach zobaczył mapę USA – to na wschodnim wybrzeżu. Prawie na przeciwległym do Kalifornii końcu kraju.

A tak przy okazji, to gdzie w ogóle teraz są? Przejeżdżali przez Idaho, ale to już przypuszczalnie jest Montanie, jeden z najrzadziej zasiedlonych stanów.

Serenity przytaknęła.

– Myślę, że mama chciała znaleźć się najdalej, jak tylko się dało.

Mężczyzna leniwie podszedł do ich samochodu. Uśmiechnął się łagodnie, przez co wyglądał jeszcze niewinniej. Serenity odsunęła szybę.

– Cześć – powiedział. – Jestem Richard. Jeśli dobrze zrozumiałem, to jesteś siostrą

Kyle'a?

Przytaknęła.

– Mam na imię Serenity.

– Cześć Serenity. – Podali sobie dłonie nad odsuniętą szybą.

Potem uważnie przyjrzał się Christopherowi wzrokiem, który już nie wydawał się taki niewinny.

– Christopher – przedstawił się chłopak. Znowu uścisk dłoni.

– Miło was poznać – oznajmił Richard.

Christopher zdobył się na krzywy uśmiech. To był taki rodzaj kumplostwa, który wydawał mu się bardzo amerykański i bardziej wymuszony niż luzacki, jak tamten zapewne sądził.

Z drugiej strony... będzie musiał wytrzymać z tymi ludźmi przez dłuższy czas. A to znaczy, że musi być taki jaki oni.

Gdyby już tylko mogli dalej jechać.

– To jest Ann – kontynuował Richard, wskazując głową młodą kobietę. – Proponuję, żebyście sobie z nami usiedli. Świeże powietrze i tak dalej. Trochę wędkuję, kto wie, może zjemy jakąś rybę na kolację. – Zabrzmiało to tak, jakby liczył się z tym, że posiedzą tutaj długo.

Christopher zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Minęła trzecia. Mogłoby się zrobić cieplej.

Wysiedli. Przy namiocie, na brzegu, stał stół kempingowy oraz toporne ławy zbite z bali. W jezioro wrzynał się pomost, najlepsze dni mający już dawno za sobą. Część molo tak głęboko się zapadła, że woda obmywała je z cichym szmerem. Richard z wielką wędką w dłoni balansował na chybotliwych deskach, starając się zarzucić haczyk.

– To nic nie da – oznajmiła Ann takim tonem, jak gdyby bała się, że wówczas umrą z głodu. – Tutaj na dole w ogóle nie biorą.

I tak po prostu mijał czas, męcząco powoli, bez jakichś poważniejszych zajęć. Richard stał na częściowo zatopionym pomoście, od czasu do czasu ściągał żyłkę, aby potem zarzucić ją na nowo. W tym wszystkim jednak nie brały udziału ryby. Ann i Serenity plotkowały. Rozmawiały o szkole Serenity, o college'u Ann, o płytach i zespołach, których Christopher nie znał, o programach telewizyjnych, których nazwy nic mu nie mówiły. W zasadzie gadały o niczym.

Serenity. Czasem mu się wydawało, że kiedy tego nie widzi, dziewczyna przygląda mu się ukradkiem. Tak było już w samochodzie. Zostawiła go jednak w spokoju, nie wierciła żadnych dziur w brzuchu. Bardzo to u niej cenił. Spodziewałby się raczej czegoś innego.

Christopher nie przysłuchiwał się uważnie paplaninie nastolatka. Zastanawiał się, co teraz może się dziać we właściwym obozowisku. Za sprawą zabezpieczeń opracowanych przez Jeremiaha, całkiem zresztą rozsądnych, mających zapobiec

wypłynięciu ważnych informacji na temat działań jego siatki, Kyle nie mógł zapowiedzieć wizyty. Na podstawie jakich informacji zdecydować, co mają teraz zrobić z Christopherem? Przede wszystkim tego, co opowie Kyle.

Innymi słowy, był teraz zdany na ich łaskę. Ale jak miałyby tego uniknąć? Nie pozostawała mu żadna inna droga niż ta, którą podążał.

Obracał takie myśli w głowie chyba już setny raz, gdy na ścieżce prowadzącej w stronę jeziora nagle rozległ się jakiś rumor.

– Richard! – krzyknęła zaniepokojona Ann.

Ten drgnął, a potem jak szalony zaczął kręcić kołowrotkiem.

Po chwili na polanie zjawił się monstrualny wóz kempingowy, z którego okien wyglądały twarze czteroosobowej rodziny.

**34** | Ann pomachała przybyszom, potem bardzo szybko wstała i weszła do namiotu. Richard skończył wreszcie zwijać żyłkę. Trzymając w ręce haczyk, zszedł z pomostu, potem ruszył w stronę kampera.

Christopher dopiero teraz zauważył, że od stelażu namiotu w stronę jego wierzchołka ciągnie się cienki, prawie niewidoczny przewód. Na pewno jakaś antena. Czyli że w razie potrzeby, mogą porozumieć się z obozem drogą radiową.

Richard zaczął rozmawiać z pasażerami wozu kempingowego, wymienili uściski dłoni.

Christopher zmrużył oczy.

– Turyści, czy co? – szepnęła Serenity. – Szukają miejsca na biwak?

Christopher pokiwał głową, czując się nieswojo. Chyba właśnie dlatego wystawiono czatę. Pozwalała uniknąć przypadkowego natknięcia się na obozowisko jakichś urlopowiczów. „Całkiem niegłupie” – przyznał w duchu. Rozejrzał się dookoła.

– Tutaj jest mało miejsca, najlepsze miejsce już zajęte, a do tego najwyraźniej przez jakąś zakochaną parę... I dlatego większość przybyłych uznaje, że trzeba się zatrzymać gdzie indziej.

Serenity rzuciła mu spojrzenie, którego znaczenia nie potrafił odczytać, ale się nie odezwała.

Rzeczywiście, wszystko dokładnie tak przebiegło. Richard gestykulował, pokazując drogę do jakiegoś innego miejsca, przy czym szedł obok wozu tak, żeby zapewnić mu jak największe pole manewru. Kobieta pomachała im z promiennym uśmiechem, odmachali. Potem ogromny pojazd zawrócił i zniknął gdzieś na tej samej drodze, którą przybył.

– Cholerne ferie – westchnęła Ann, wyłoniwszy się z namiotu. – Do soboty prawie nikt się nie zjawiał, a teraz to już drudzy.

– Ludziom, którzy tutaj zabłądzą, możemy polecić wiele lepszych miejsc, nad dwoma innymi jeziorami – wyjaśniał Richard. – Zwykle to wystarcza. Zresztą tutaj naprawdę jest za ciasno na dwa kampery.

Dopiero teraz po jego głosie dawało się poznać, jak bardzo był zdenerwowany.

Z wnętrza namiotu rozległ się krótki, piskliwy sygnał, na który wartownicy natychmiast zareagowali. Richard ruszył, żeby usunąć z drogi ruchomy krzak, niedługo potem znowu usłyszeli warkot silnika.

Od strony obozowiska nadjeżdżał ten sam pickup, za którym przyjechali. Jedna z siedzących w nim osób – szpakowaty mężczyzna z brodą i podkrążonymi oczyma – najwyraźniej znał Serenity. Dziewczyna chyba również go znała, bo zawołała „Rus!”, a potem machając ręką, pobiegła w stronę auta.

Padli sobie w ramiona. Kyle wysiadł, wypytyując Richarda, czy wszystko w porządku. Mężczyzna pokiwał głową, opowiadając o kamperze.

Christopher już nie potrafił ustać spokojnie. Jak długo jeszcze będą zwlekać?

Wreszcie Serenity zakończyła powitania, pomachała pickupowi, który odjechał, niknąc z pola widzenia. Wróciła i zapytała:

– Kiedy wreszcie przestaniesz być tak, że ludzie, których nie widziało się przez kilka lat, na dzień dobry będą ci przede wszystkim mówić, że wyrosłaś?

Kyle potarł brzołę na czole.

– Przypuszczalnie wtedy, gdy dla odmiany zaczną ci mówić, jak bardzo się postarzałaś. – Chwycił swoje kluczyki. – Wsiadamy.

Ukryty trakt miał wiele wybojów. Gałęzie drzew i krzaków drapały szyby. Czasem musieli przeprowiać się przez spienione potoki przecinające szlak. Niekiedy posuwali się do przodu w tempie pieszego. Terenówka co i rusz podskakiwała, aż Christopher uderzył głową w sufit. W pewnym miejscu szlak tak się zwęził, że prawie musieli się przeciskać.

Droga prowadziła znowu po zboczach góry, do kolejnego jeziora. A może tego samego, tylko na inny brzeg. Kyle zatrzymał wóz.

– Jesteśmy na miejscu.

Christopher wyjrzał przez okno. Dookoła, wśród gęstwiny, prawie zakryte krzakami i drzewami stały namioty, wozy kempingowe i kilka samochodów osłoniętych plandekami. Na dole, nad jeziorem płonęło ognisko, wokół którego zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Wszyscy zachowywali się przyjaźnie, jak na zwykłym polu namiotowym. Jednak Christopherowi coś nie dawało spokoju.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o co chodzi. Nigdzie nie wyczuwał Pola.

**35** | Wysiedli. Pachniało dymem i jedzeniem. Słysząc było przyciszone glosy, ktoś rąbał drewno, a w nieprzeniknionych głębiach lasu hałasowały ptaki. Wilgotne podłoże uginało się pod stopami, co w jakiś osobliwy sposób uspokajało. Ludzie przy ognisku dostrzegli przybyszów i powolnym krokiem ruszyli im na powitanie.

– To moja siostra – oznajmił Kyle – a to jest Christopher. – Uniósł głowę, rozejrzał się. – Gdzie jest tata?

– Twój ojciec musiał na krótko wyjechać – powiedział mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Przyjrzał się uważnie Christopherowi, przy czym na pozbawionej wyrazu twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień. – Pokażę wam namiot dla gości. Jeremiaś zjawi się tak szybko, jak to możliwe.

– Gdzie on w ogóle jest? – dziwił się Kyle.

– O to musisz go zapytać już sam.

Najwyraźniej odpowiedź nie przypadła Kyle’owi do gustu, jednak Christopher się cieszył. Udało mu się. Wreszcie tutaj był! Jeszcze nie potrafił w to uwierzyć.

Wziął torbę i ruszył za mężczyzną, który – jak miało się później okazać – nazywał się John Two Eagles, był Indianinem z plemienia Piegan Blackfeet, a na terenie obozowiska kimś w rodzaju zastępcy Jeremiaha Jonesa.

Namiot dla gości pachniał stęchlizną, tak jakby przez rok leżał mokry w jakimś bagażniku. W środku stało łóżko połowę, skrzypiące przy każdym poruszeniu się, a na nim leżał wilgotny śpiwór. Christophera zostawiono tam samego. Najwyraźniej Serenity oraz Kyle mieli spać gdzie indziej.

Chłopak rzucił się na łóżko i na chwilę zamknął oczy.

Chłodno. Teraz, wiosną i po długiej jeździe samochodem było to całkiem przyjemne, ale jak jest zimą? Przypominał sobie ponure opowieści o tym, jakie to potrafią być zimy w Montanie. Trzydzieści, czterdzieści stopni poniżej zera i tak dalej. Śniegu na metr, gwałtowne zamiecie...

Czy przybycie tutaj było dobrym pomysłem? „Nie” – pomyślał zniechęcony. Jednak nie miał wyboru.

Kiszki dały o sobie znać. Teraz, gdy z Christophera opadło już napięcie, nie mógł dłużej czekać. Zapytał o toaletę. Umieszczono ją w innym namiocie, małym i poźółkłym. Stała tam drewniana ławeczka, a za nią wykopano dziurę, nad którą unosiły się muchy i zapierający dech w piersiach odór. Przynajmniej był papier toaletowy.

Ogarnęła go rozpacz. Dlaczego to wszystko to nie jakiś zły sen? Dlaczego znowu nie może być jak dawniej?

Ręce myło się wodą z wiadra. Na kamieniu leżał kawałek mydła. Woda okazała się tak zimna, że aż parzyła.

Czy tak ma wyglądać jego życie? Christopher zastanawiał się nad tym, wycierając dłonie w ręcznik zawieszony na gałęzi. Czy teraz ma się zaszyć na pustkowiu? Mieszkać samotnie z dala od wszystkich miejsc, które są wygodne i dlatego od dawna



gęsto zasiedlone?

I już nigdy nie będzie miał dostępu do komputera! To najtrudniej było sobie wyobrazić. Czym się zajmie? Przecież urodził się do pracy na komputerze, tak jak inni urodzili się, aby grać w piłkę lub przewodzić innym.

Gdzieś odezwało się jakieś dzikie zwierzę. Wydało głuchy, przeciągły dźwięk, jak gdyby odgłos straszliwej tęsknoty. Niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami. Zbliżał się zmierzch, zanosilo się, że nocą będzie padać.

Kiedy wrócił do namiotu dla gości, spotkał Serenity.

– Tutaj jesteś – zawołała z ulgą, jakby go szukała. – Chodź na kolację!

Mieszkańcy obozu zebrali się wokół ogniska. Siedzieli na odwróconych pieńkach albo dużych plastikowych pojemnikach. Christopher ocenił, że jest ich chyba dwadzieścia czworo, w większości mężczyzn, głównie między czterdziestką a sześćdziesiątką. Z dwóch dużych kotłów zawieszonych na trójnogach wydawano fasolę z mięsem. Gdy poczuł zapach, głóśno zaburczało mu w brzuchu.

W szarozielonym wojskowym namiocie najwyraźniej urządzono spiżarnię. Jedna ze ścian była zrolowana. W środku, podczipione tylnymi nogami do poprzeczki, wisiało martwe, częściowo oskórowane zwierzę. Chyba jakaś sarna. Z tyłu stały dwie stare lodówki, gdzieś terkotał agregat.

W urządzenie obozowiska – jak na osiedle uciekinierów – włożono całkiem sporo wysiłku, nawet jeśli wiele rzeczy wydawało się prowizorycznych i zdradzało, w jakim pośpiechu organizowano schronienie.

Christopher, wędrując z Meksyku wzdłuż wybrzeża Kalifornii, oglądał mnóstwo obozowisk. To nie przypominało żadnego z nich. Nie widział nowoczesnych pojazdów kempingowych, wielkich jak autokary, ani też supernamiotów przyozdobionych ogrodowymi krasnalami czy łańcuchami świateł. Tutaj – tylko wojskowe namioty, zielone lub plamiste, kilka małych, niepozornych przeczep kempingowych albo przerobionych furgonetek oraz siatka maskująca rozpięta na drzewach. Wszystko to przypominało raczej bazę partyzantów.

Posiłek był niewyszukany, jednak zaskakująco smaczny. Zapewne przyprawiło go leśne powietrze. A może smakowało mu dlatego, że cały dzień karmił się śmieciowym jedzeniem. Wyglądało na to, że innym również smakuje. Nie rozmawiano dużo, przypuszczalnie ze względu na nowo przybyłych. Obcych.

A przynajmniej jednego obcego. Jego. Christopher zastanowił się, co o nim wiedzą, próbował wyczytać to ze spojrzeń.

Widać było, że Kyle to człowiek stąd. Traktowali go jak swojego. A Serenity wielu zgromadzonych znała z dzieciństwa. Musiała więc wysłuchiwać jeszcze wielu frazesów w rodzaju „ale wyrosłaś”.

– Większość z nich znam całe życie – tłumaczyła Serenity.

– Niektórzy razem z tatą zajmowali się jakimiś projektami, a reszta... O nich niczego nie wiem. Zawsze tutaj byli, po prostu. Przyjaciele.

– Miło – stwierdził Christopher, przeżuwając. Jego rodzice mieli niewielu przyjaciół. Tylko kolegów z pracy.

A on? Miał do czynienia tylko z kolegami z klasy. W zasadzie to zawsze był sam. To było jakieś takie smutne.

Nagle, gdy zaczynało się już ściemniać, wśród zebranych zapanowało ożywienie. Uniosły się głowy, wszyscy wyraźnie poczuli ulgę. Z krzaków wyłonił się jakiś mężczyzna w towarzystwie dwóch osób. Zdjął z ramion plecak i karabin, po czym wszedł w krąg zgromadzonych wokół ogniska.

Jeremiah Jones.

Ojciec Kyle'a i Serenity wyglądał całkiem inaczej, niż Christopher sobie go wyobrażał. Na zdjęciach wydawał się starszy. Miał tam imponującą brodę, przypominał starotestamentowych proroków. Jer emiah Jones taki, jakim przedstawiały go gazety, świetnie nadawałby się do obsadzenia w roli Mojżesza.

Teraz jednak drastycznie zmienił wygląd. Mężczyzna stojący w ciepłym świetle płomieni był szczupły, wręcz żyłasty, chociaż wyraźnie nie najmłodszy. Do tego całkowicie łysy. Bardziej niż Mojżesza przypominał kapitana Picarda ze *Star Treka*.

Serenity odstawiła blaszany talerz. Czuła się mocno niepewnie. Potem padło na nią spojrzenie Jeremiaha, a jego twarz się rozpromieniła. Dziewczyna podskoczyła, podbiegła do ojca i gwałtownie go objęła. Na obliczu Jer emiaha widać było mieszanię radości i troski.

– A więc to jest ten młody człowiek, którego przyprowadziliście – stwierdził Jones, kiedy okrążał ognisko, nie przestając obejmować córki.

Christopher wstał. Gdy padły teraz na niego spojrzenia zgromadzonych, poczuł się niezdarny i nieporadny. Ścisnął podaną mu dłoń.

– Christopher – przedstawił się cicho. – Nazywam się Christopher Kidd.

Jones pokiwał głową.

– Myślę, że musimy pilnie pozmawiać. – Położył Christopherowi dłoń na ramieniu.

– Ale najpierw dokończymy jedzenie.

**36** | Po posiłku zebrano naczynia, a kilku mężczyzn wzięło się za zmywanie, używając wody z jeziora zagrzanej wcześniej w garnkach nad ogniem. Podłożyli też więcej drewna, by przegonić nadciągający chłód nocy i komary oraz zapewnić sobie więcej światła. Las wokół dawno już pochłonął nieprzenikniony mrok.

W trakcie posiłku Christopherowi wydało się, że dwoje ludzi obecnych dotąd przy ogniu zniknęło w lesie, za to pojawili się nowi. Uznał, że to pewnie zmiana warty. Zawsze jakaś dwójka towarzyszy Jonesa pilnowała okolicy.

– Taak, a teraz do roboty – oznajmił Jeremiah Jones, gdy już mniej więcej ukończono sprzątanie. Indianin o niedźwiedziej posturze, ten, który powitał przybyszów, usiadł obok Jonesa, a po drugiej stronie zajęła miejsce kobieta z długimi ciemnobłond włosami. Dosiadł się do nich jeszcze białowłosy mężczyzna o melancholijnym spojrzeniu. Christopher domyślił się, że to rada zarządzająca obozowiskiem. Reszta mężczyzn i kobiet usiadła tam, gdzie jeszcze było miejsce.

– Wszyscy jesteśmy ciekawi – zaczął Jones, gdy wokół się uciszyło – co masz nam do powiedzenia. Kyle mówił, że chcesz nam zaproponować swoisty... interes. Twoja pomoc za naszą pomoc. Dobrze zrozumiałem?

Christopher chrząknął.

– Tak. Wiecie, że szuka was FBI, używając obrazów z satelity dostarczanych przez wojsko?

Jones przytaknął.

– Właśnie dlatego zadajemy sobie tyle trudu z siatkami maskującymi. I co kilka dni przenosimy się w inne miejsce.

Christopher pokręcił głową.

– To nic wam nie da. Satelity programu Skylook-23 obserwują także w podczerwieni i ultrafiolecie, nie da się ich oszukać kamuflażem. Dostarczane przez nich obrazy zostają przetworzone przez matrycę najwydajniejszego komputera na świecie. Oprogramowanie systemowe jest w stanie na podstawie zdjęć satelitarnych zidentyfikować obóz taki jak wasz: oddalony od cywilizacji i prowizorycznie zamaskowany. Informacja o każdym znalezisku zostaje automatycznie przesłana do wszystkich ośrodków zajmujących się zwalczaniem terroryzmu. Na całym świecie nie ma miejsca, które nie zostałoby odkryte poprzez obserwację z kosmosu, i to w czasie nie dłuższym niż czterdzieści osiem godzin.

Jones pokiwał głową. Jego twarz nagle stężała, jakby była wykuta z kamienia.

– To odpowiada mniej więcej temu, co wiem. I rzeczywiście zastanawiam się, dlaczego FBI tak długo nie może nas znaleźć.

– To dlatego, że manipulowałem przy ich oprogramowaniu – wyjaśnił Christopher.

– Manipulowałeś?

Christopher spojrzał na swoje dłonie, pomyślał o dwóch długich nocach spędzonych w mieście Meksyk na włamywaniu się do amerykańskiego systemu wojskowego. Zajmował się tym w mieszkaniu Armanda Suareza, komputerowego

maniaka, z którym do tej pory kontaktował się tylko przez Internet.

Tak naprawdę chciał jedynie u niego przenocować. Jakoś dziwnie się złożyło – albo raczej szczęśliwie – że Armando miał prawie bez przerwy włączony telewizor. W dzienniku poinformowano o zamachu terrorystycznym, o który obwiniano jakiegoś Jeremiaha Jonesa.

Christopher musiał natychmiast działać. Armando, krępy trzydziestolatek palący trawę i od czasu do czasu wykonujący zlecenia meksykańskiego półświatka, oddał mu do dyspozycji własny komputer. Trochę nawet pomagał, później jednak już tylko przyglądał się w milczeniu. Od czasu do czasu kręcił głową, a potem zostawił Christophera samego. Bo kiedy Kidd siadał przy klawiaturze, wszystko wokół znikало.

– Musiałem to zrobić. Inaczej złapaliby pana w ciągu dwóch dni – wyjaśniał. – Oprogramowanie jest w stanie na podstawie zdjęć satelitarnych zidentyfikować kontury namiotów, ciężarówek, przyczep kempingowych i tak dalej. Wraz z meldunkami alarmowymi zostałyby przesłane obrazy z ich zarysami.

Ktoś jęknął. Jones tylko uniósł brwi.

– I jeszcze tego nie zrobili?

– Nie. Zmieniłem program tak, że takie kontury są usuwane ze zdjęć. Oczywiście dotyczyło to jedynie obozowisk określonej wielkości i rodzaju. Gdyby nagle na wszystkich zdjęciach satelitarnych przestały się pojawić namioty, z pewnością ktoś by zaczął coś podejrzewać. Ale mniejsza o szczegóły.

– Czyli doprowadziłeś do tego, że oprogramowanie nie może nas wytropić?

– Oprogramowanie, a także w ogóle nikt – odparł Christopher. – Obecnie już nikt nie ogląda zdjęć satelitarnych w wersji oryginalnej. Każda fotografia, która pojawia się na monitorze, zostaje poddana obróbce elektronicznej. Czyli że gdyby za poszukiwania wzięli się żywi ludzie, również by niczego nie znaleźli.

– Dopóki nie wpadliby na pomysł, aby przyjrzeć się oryginałom.

– Tych już nie ma. Kazałem je nadpisywać bez zmiany daty powstania i bez żadnych innych informacji umiejscawiających zdjęcie w czasie.

Jeremiah Jones w zamyśleniu przesunął dłonią po łysej głowie – wyglądało to trochę tak, jakby się zastanawiał, co się stało z jego włosami.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Jeśli tak jest, to właściwie już nam pomogłeś. Pozostaje pytanie, co teraz my możemy zrobić dla ciebie.

– Też jestem ścigany. Najpierw chciałbym prosić o udzielenie mi schronienia.

Jones uczynił zapraszający gest.

– Serdecznie witamy. A druga prośba?

Christopher widział dookoła twarze uważnie wpatrujących się w niego ludzi. Kiedy przybył, a potem w trakcie kolacji, rozglądał się bacznie, ale tej twarzy, której szukał, nigdzie nie zobaczył.

– Czy może Kyle wam mówił, że mam w mózgu chip, który jest łączem

z Internetem...?

Jones przytaknął.

– Owszem.

Christopher wziął głęboki oddech. Wydawało się, że kosztowało go to wiele wysiłku.

– Wśród was – kontynuował – na pewno jest doktor Stephen Connery, były neurochirurg. Moją drugą prośbą jest to, aby mnie zoperował. Chcę się pozbyć tego chipa.

**37** | Zupełnie jakby siedział przed trybunałem. Te wszystkie spojrzenia, które na niego kierowano... Odbijał się w nich brak zrozumienia, nawet sprzeciw. Ale co miał robić? Było, jak było.

Przez jedno uderzenie serca zdawało się, że czas stanął w miejscu, a Christopher znalazł się pośród nicości, w próżni. Dopiero potem z wolna zaczęły wracać zmysły. Poczul dym, zapach mięsa, ziemi i jodłowego igliwia. W koronach drzew szumiał delikatny wiatr. Z dali dochodziły też inne odgłosy: stukot naczyń, ledwie dosłyszalny szmer agregatu. Gdzieś zapaliła się żarówka, świecąc raz mocniej, raz słabiej – najwyraźniej generator nie pracował równomiernie.

Słysząc też było głosy, chociaż nie dało się zrozumieć, o czym jest rozmowa. Jakieś śmiechy. Zazdrościł ludziom, którzy tam się śmiali. Przede wszystkim tego, że nie wiedzieli, co ich czeka.

Białowłosy mężczyzna, który do tej pory w ogóle się nie odezwał, skrzyżował ramiona i badawczo przyjrzał Christopherowi.

– Twoja prośba brzmi rozsądnie, w każdym razie w moich uszach – oznajmił. – Niestety, istnieje pewien problem. Nie znamy Stephena Connery’ego.

Christopher nagle poczuł się okropnie zmęczony.

– Na pewno tutaj jest. Przypuszczalnie występuje pod innym nazwiskiem.

Mężczyźni i kobiety zgromadzeni wokół ognia wymienili zirytowane spojrzenia.

– Teoretycznie możliwe – ktoś zauważył. – Przecież nie sprawdzaliśmy dokumentów.

Jones w zamyśleniu przyjrzał się Christopherowi.

– Skąd taka pewność, że jest tutaj doktor Connery?

Właśnie, skąd? Do tej pory ani razu nie wątpił, że u kresu wędrówki znajdzie tego neurochirurga. Jeżeli się pomylił, to wszystko...

Zastanowił się. Znowu poczuł tamten strach, jak wtedy, po nagłym zakończeniu projektu rozbiciem go w proch i w pył, dlatego że rozwinął się w kierunku, którego nikt nie przewidział. Nikt nie był w stanie powiedzieć, dokąd udał się doktor Connery. Pojechali do niego do domu, ale znaleźli tylko gosposię, zajęłą właśnie wypełnianiem poleceń neurochirurga, w dodatku zostawionych na piśmie.

– Miałam posprzątać, tak mi napisał – denerwowała się tęga kobieta o przetłuszczonych lokach. – I że zjawi się jego siostra, żeby wszystko sprzedać – parsknęła oburzona. – Naprawdę na to nie zasłużyłam. Nie po wszystkim, co dla niego robiłam!

– Co ze sobą zabrał? – ostrożnie zapytał tata Christophera. – Coś szczególnego?

– Nie – odparła kobieta, pociągając nosem. – Tylko kilka sprzętów turystycznych. Ale namiot zostawił. Kocher też i swój nadmuchiwany materac...

Czyli że doktor Connery nie wyjechał tylko po to, by odzyskać wewnętrzny spokój, co jak obiecywał, miał kiedyś zrobić.

– Jeszcze jego torba lekarska – dodała gosposia. – Jej też nie ma.

Obojętnie gdzie pytali, nikt nie wiedział, dokąd udał się neurochirurg. Z nikim się nie pożegnał. Nawet własnej siostrze wysłał tylko list z upoważnieniem do sprzedaży domu i wyposażenia. Żadnych śladów, żadnych wskazówek, żadnych wyjaśnień.

Dopiero znacznie później Christopher spostrzegł, że w gęsto wypchanych książkami regale w biurze Connery'ego po wyjeździe doktora pojawiła się luka. Tylko jedna, dokładnie za fotelem, tam, gdzie naukowiec trzymał pozycje, po które często sięgał.

Brakowało jakiejś książki. Doktor Connery bardzo się starał nie pozostawiać śladów, a jednak tę książkę zabrał. Musiał dojść do wniosku, że mało prawdopodobne, by ktoś zapamiętał jedną z tysięcy posiadanych przez niego pozycji.

Jednak Christopher – jeśli chodzi o niektóre rzeczy, takie jak programy komputerowe, hasła, daty, a nawet książki – miał fotograficzną pamięć. Co prawda nie znał tytułu tamtego tomu, bo nigdy nie przyglądał się regałowi, jednak przypominał sobie charakterystyczny grzbiet w biało-czerwonej kratkę.

– Szukałem tej książki w Internecie – opowiadał. – Co jest trudne, jak zna się tylko okładkę. A właściwie tylko jej część. Jednak w końcu znalazłem.

– *Cyfrowy koszmar*. Brytyjskie wydanie tej mojej książki miało na okładce właśnie ten okropny wzorek – odezwał się Jones. – Ucieszyłem się, kiedy nakład się wyczerpał.

Christopher znalazł tę pozycję w jakiejś bibliotece i przeczytał, nie odchodząc od regału. Opowiadała o wpływie, jaki na ludzkie życie oraz sposób myślenia wywiera coraz powszechniejsza obecność komputerów.

Jeremiah Jones nie przewidział w książce, do czego w końcu dojdzie informatyzacja. Została wydana na długo przed uznaniem go za terrorystę, więc wydrukowano w niej adres oraz numer telefonu autora. Jak się okazało, tyle wystarczyło, by Christopher zdołał wytropić Jonesa, nawet po uznaniu go za terrorystę.

– Fascynująca opowieść. – Jeremiah Jones przyglądał się Christopherowi uważnie i nie bez podziwu. Potem rozprostował się i odezwał gdzieś do tyłu, w ciemność.

– Bob? Myślę, że już nadszedł czas.

Po chwili zjawił się barczysty mężczyzna o gęstej, zmierzwionej brodzie i w okularach w czarnych rogowych oprawkach. Christopher musiał mu się uważnie przyjrzeć, zanim wreszcie go rozpoznał.

– Doktor Connery?

Mężczyzna, zakłopotany, zdjął okulary, potem znowu włożył i przetarł dłonią czoło.

– Christopherze – powiedział, a po twarzy przemknął mu uśmiech, chociaż w głosie dało się usłyszeć pewien żal. – Miałem nadzieję, że już nikt nie zwróci się do mnie tym nazwiskiem.

– Do tej pory znaliśmy go jako Roberta Moore'a – wyjaśnił Jeremiah Jones.

Odwrócił się do swoich ludzi. – Gdy Kyle opowiedział o Christopherze, Bob wziął mnie na bok i zdradził swoją prawdziwą tożsamość. Potwierdził też, że opracował technologię, o której była mowa. Dobrze, że powiedział, bo muszę szczerze przyznać, że ciężko mi było uwierzyć w to, co opowiadał mój syn. Umówiliśmy się z Bobem, że będzie się trzymał z tyłu, aby Christopher go nie rozpoznał. – Uśmiechnął się krzywo. – Od początku miałem przecucie, że to spotkanie nie jest przypadkowe.

– Bob – powiedział z wyrzutem białowłosy mężczyzna. – Dlaczego nam nie powiedziałaś, że jesteś lekarzem?

– Nie wiedziałem, że potrzebujemy neurochirurga – wymamrotał doktor Connery. – Neal, kiedy coś mi dolega, to idę z tym do ciebie, prawda? – Spojrzał sceptycznie na Christophera. – Jednak muszę przyznać, że w ogóle się ciebie tutaj nie spodziewałem.

Zanim chłopak zdołał cokolwiek powiedzieć, odezwał się Jones:

– Bob, on potrzebuje twojej pomocy. Ma w głowie chip, którego chce się pozbyć.

– Ach tak, ten chip. – Doktor Connery zmrużył oczy. – Czyli to cholerne łącze Linusa, prawda?

– Coś w tym stylu.

Christopher wyjaśnił mu, jakie rozmiary ma urządzenie, że jest przymocowane do nerwu węchowego i wyposażone w samoaktywujące się biołącza, które mogą samodzielnie nawiązywać łączność z włóknami nerwowymi.

Doktor Connery potrząsnął głową.

– Christopherze! Sądziłem, że będziesz miał więcej rozumu. Usunięcie czegoś takiego nie byłoby proste nawet w doskonale wyposażonej sali operacyjnej. A ty chcesz, żebym to zrobił tutaj, w najgłębszej dziczy? Czy ty wiesz, jaka to w tych warunkach byłaby niebezpieczna operacja?

Christopher poczuł, jak coś wzbiera mu w podbrzuszu. Strach.

– Jeszcze bardziej niebezpieczne byłoby pozostawienie tego wewnątrz mnie. A przeprowadzenie takiego zabiegu gdzie indziej jest po prostu niemożliwe.

– Co to znaczy? Czy Upgraderzy stali się już tacy silni?

– Kontrolują prawie wszystko.

Doktor Connery ciężko oparł się o drzewo po drugiej stronie ogniska, naprzeciwko Christophera.

– Opowiedz mi o wszystkim – polecił. – Poznałem tylko sam początek, a i on był wystarczająco zły. Muszę wiedzieć, czy to przebiegło tak, jak się obawiałem.

Chłopak miał wrażenie, że wokół zgęstniały ciemności. Jak gdyby w jednej chwili noc zmieniła się w loch, w którym ich wszystkich zamknęto.

Spojrzał w ziemię, pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nie tak.

Wokół zapadła taka cisza, że wręcz dałoby się nią udławić.

Christopher uniósł wzrok, spojrzał na mężczyznę.

– Jest znacznie gorzej – wyszeptał.



## KOHERENCJA

**38** | Ojciec Christophera i on sam mieli niewiele czasu, aby zastanawiać się nad zniknięciem doktora Connery'ego, bo niedługo potem zmarła babcia chłopca.

Zmarła dlatego, że była ociemniała. Inaczej zobaczyłaby poręcz przy schodach. Nie spadłaby z nich. Nie doznałaby wielokrotnych złamań, po których już nie przysła do siebie. Natychmiast trafiła do szpitala, gdzie ją zoperowano, potem jednak dostała wysokiej gorączki. Jedno złożyło się z drugim i dwa tygodnie po wypadku już nie żyła.

– Przecież mieliśmy jej zbudować oczy – powiedział dziadek Christophera podczas pogrzebu, przygnieciony zgryzotą i samotnością.

Matka Christophera, jeszcze lecąc do Frankfurtu, martwiła się, co teraz stanie się z jej ojcem, samotnym w wielkim domu. Jego pobladła twarz, puste spojrzenie, sylwetka przykurczona – wcale nie pomniejszyły jej trosk.

Ojciec kategorycznie odmówił przeprowadzki. Nawet nie chciał słyszeć o domu spokojnej starości.

– Mieszkałem tutaj z Ruth przez całe życie. Dlaczego mam umrzeć gdzieś indziej?

Matka Christophera dobrze wiedziała, że nie przekona ojca. Wykonała kilka telefonów i załatwiła mu pomoc domową i dostawy posiłków, by codziennie zjadł coś ciepłego. Heinz Raumeister nigdy nie nauczył się gotować.

– Gdybyśmy zbudowali jej oczy... – znowu zaczął dziadek, kiedy żegnali się na lotnisku.

– Nie mogliśmy zbudować – wyjaśniał tata. – Nie dotarliśmy tak daleko. Gdybyśmy dotarli, i tak jeszcze byśmy tego nie potrafili. Wszystko jest bardziej skomplikowane, niż sądziliśmy.

Dziadek ze smutkiem pokiwał głową.

– Ona też by tego nie chciała – powiedział. – Wiem. To tylko... – nie dokończył zdania.

Wrócili do domu. Mama kupiła bilet abonamentowy i dwa razy w miesiącu latała do Frankfurtu. Tatę przydzielono do innego projektu, który wydawał się dosyć nudny. Chodziło o przystosowanie oprogramowania londyńskiego szpitala do rejestracji danych pacjentów. Już od roku pracowało nad tym trzech ludzi z firmy. Tata dołączył jako czwarty.

Christopher ciągle myślał o srebrnym medaliku na łańcuszku подарowanym mu przez babcię niedługo po tym, jak ociemniała.

– Należał jeszcze do mojej babci – powiedziała wtedy. – Będzie cię ochraniał na twoich wszystkich drogach.

Christopher przyglądał się wizerunkowi z medalika: mężczyźnie z kijem podróżnym, przeprowadzającemu się przez strumień, i nie rozumiał, jak coś takiego może działać. Schował więc medalik do szuflady w nocnym stoliku, potem o nim zapomniał.

Teraz przyszło mu do głowy, że odkładając go, ściągnął na babcię nieszczęście. Kiedy już wrócili do Anglii, wyjął medalik z solennym postanowieniem, że od teraz będzie go nosił codziennie. Powiedział sobie, że to tylko tak – na pamiątkę po niej.

Później wrócił do szkoły, gdzie jak zwykle się nudził.

Od czasu do czasu szukał w Internecie śladów Linusa. Niewiele zdołał odnaleźć. Upgraderzy tworzyli zamknięte, dziwaczne środowisko żyjące w ukryciu. Na ich ślady natykał się jedynie z rzadka na jakichś egzotycznych serwerach albo w sieciach *peer-to-peer*, które najczęściej zniknęły niedługo po wykryciu przez Christophera. Były to zaszyfrowane części dziwacznych programów, prawie niezrozumiałe wiadomości, pozostałości wykasowanych plików z jakimiś złowieszczymi obrazami i tym podobne. Miał jedynie pewność co do tego, że na całym świecie – w USA, w Japonii, Rosji, Australii, Malezji – mieszkają ludzie łączący swoje mózgi z maszynami. Działali na własną rękę poza uniwersytetami i ośrodkami badawczymi, używając powszechnie dostępnych narzędzi. Budowali dziwaczne interfejsy i łączyli je ze swoimi ciałami podczas ryzykownych operacji, czasem przeprowadzanych przez przyjaciół, o chirurgii wiedzących niewiele ponad to, co wyczytali z książek.

*Brain-LAN-Party* – tak nazywały się spotkania, podczas których gromadzono się, żeby jakiejś osobie – leżącej na stole i raczej mniej niż więcej znieczulonej – prymitywnymi narzędziami wywiercić dziurę w czaszce, a potem wetknąć tam kable.

Sporo ludzi doznało wskutek tych eksperymentów trwałych uszkodzeń ciała, kilku zmarło. Opłakiwano ich na ukrytych forach, poświęcając im wiele słów i czcząc ich niczym bohaterów. Niektórym się jednak udawało.

Jeden z nich na stronie dostępnej tylko po wpisaniu hasła udokumentował, jak rano, nie ruszając się z łóżka, używając wyłącznie myśli, podnosi elektryczne rolety i uruchamia ekspres do kawy. Nie przemilczał też wady samodzielnie skonstruowanego implantu: był wrażliwy na wilgoć, dlatego jego właściciel nie mógł brać prysznic.

Ktoś inny pracował nad umożliwieniem kierowania samochodem samymi myślami. Miał ku temu nawet dobry powód: po wypadku motocyklowym był w połowie sparaliżowany. Jego brat zlutował odpowiedni obwód scalony według otrzymanych wytycznych. Strony, na której zdawano raport z postępów doświadczenia, długo nie aktualizowano. Na jakimś tajnym forum, do którego trzeba się było włamać, Christopher wyczytał, że tamten człowiek zabił się podczas jazdy próbnej. Nie z własnej woli, jak podkreślał użytkownik opisujący sprawę, ale nie sprecyzował już z czyjej.

Tak minął rok. Matka Christophera coraz częściej latała do Frankfurtu, by

zajmować się swoim ojcem i jego domem, od czasu do czasu zastanawiała się też nad powrotem do dawnej pracy. Jednak zawsze, kiedy rozmawiali na ten temat, przychodziła chwila, gdy padały słowa:

– Faktycznie, to było okropnie stresujące. Nie wiem, czy koniecznie muszę sobie coś takiego znowu robić. – I w ten sposób temat cichł na jakiś czas.

Życie na angielskiej prowincji wyraźnie przypadło jej do gustu. Cotygodniowa wyprawa na wiejski targ, sąsiedzi przycinający żywopłoty sekatorami... Twierdziła, że przywykła nawet do ruchu lewostronnego.

A potem, pewnego dnia wśród poczty pojawiła się gruba koperta z zagranicznymi znaczkami. Zaadresowana do taty. Otworzył ją wieczorem i obejrzał zawartość.

– No patrzcie – powiedział. Raz jeszcze przesunął spojrzeniem po tekście, wreszcie oznajmił: – Wyobraźcie sobie, że to od Linusa. Mieszka teraz w Singapurze. Wspólnie z paroma jeszcze osobami założył firmę, która, jak pisze, bardzo dobrze prosperuje, a teraz zaprasza nas w odwiedziny. Całą trójkę. – Uniósł niewielki folder.

– To są bilety. Klasa biznes!

**39** | Singapurskie lotnisko Changi było gigantyczne, a jednak wręcz cudownie dobrze zorganizowane. Tablice informacyjne rozmieszczono tak, aby pasażer, który tutaj się przesiadał i musiał czekać na lot, mógł spędzić czas w kinie, na basenie albo w którejś z wielu restauracji. Wszędzie stały komputery z darmowym dostępem do Internetu. Christopher prawie żałował, że Linus i jego przyjaciółka już na nich czekali.

– Jeśli chcesz wiedzieć, tym razem to jest wielka miłość. – Matka Christophera opowiadała jego ojcu, kiedy jeszcze czekali w kolejce do odprawy. – Spójrz tylko, jak się harmonijnie poruszają. Można pomyśleć, że to jedno serce i jedna dusza. – Pomachała Linusowi i jego towarzysze czekającym za ogromną szybą. Odmachali i rzeczywiście, wykonywali prawie identyczne ruchy.

Miała na imię Ayumi, świetnie mówiła po angielsku, a z bliska wyglądała równie ślicznie, jak z daleka.

Pozostawało zagadką, co widziała w Linusie, z tymi jego kolczykami (w prawym uchu miał teraz nowe, pojedyncze kółko), tatuażami i złamanym nosem. Przynajmniej dało się poznać, że dobrze mu się powodzi, bo zamiast flanelowej koszuli miał na sobie dżinsową kurtkę wyglądającą na równie drogą co fryzura. Emanował także czymś, co można by nazwać fluidami sukcesu.

Powitaniu towarzyszyło mnóstwo okrzyków „cześć” i klepania po plecach. Linus wypytywał, jak minął lot.

– Klasa biznes, to było coś – przyznał tata. – Ale od kiedy w samolotach można korzystać z telefonów komórkowych... No, podczas dwunastogodzinnego lotu to może zdenerwować.

Linus tylko się roześmiał.

– To jest właśnie postęp. Nie do powstrzymania.

Przecisnęli się przez ogromny potok ludzi – wchodzących na lotnisko lub z niego wychodzących – do czekającej przed głównym wejściem długiej limuzyny o przyciemnionych szybach. Na zewnątrz uderzył w nich wilgotny upał. Parking zarezerwowany był dla pojazdów mających specjalną przepustkę, o czym jednoznacznie informowały liczne tablice, grożące też wysokimi grzywnami za niedostosowanie się do zakazu. Szofer w liberii otworzył im drzwiczki i zajął się walizkami.

– Zarezerwowaliśmy wam pokój w Fullertonie – oznajmił Linus, kiedy ruszyli. – Co prawda są w naszym mieszkaniu pokoje dla gości, ale mieliśmy nieoczekiwaną wizytę... Rodzina, sami rozumiecie. W Azji to absolutny priorytet. – Machnął ręką i przez chwilę nie wyglądał jak menadżer trzymający wszystko w garści, lecz jak dawny Linus, ten, którego kiedyś znali. – Ale Fullerton to fajny hotel, spodoba się wam.

Podobnie jak w Anglii, tutaj również obowiązywał ruch lewostronny. Po wielopasmowych ulicach jeżdżono zadziwiająco spokojnie. W tle majaczyły sylwetki

wieżowców.

– Owszem, Singapur jest spokojnym miastem – przyznał Linus, kiedy tata zwrócił na to uwagę. – Mamy tu najniższy na świecie wskaźnik przestępczości. Właściwie przestępstwa się tutaj nie zdarzają. Jeśli będziecie chcieli zwiedzić miasto na własną rękę, nie musicie się niczego obawiać. Można zajrzeć wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, bez obawy, że coś się wydarzy.

– Czytałam o tym w przewodniku – odezwała się matka Christophera. – Dlaczego tak jest?

Linus uśmiechnął się krzywo.

– Sekretem jest totalna kontrola. Singapur to w praktyce dyktatura. Co prawda zupełnie dobrowolna i rozsądna, jednak nie ma mowy o jakimś prawie obywatela do podejmowania decyzji. Prawa są drastyczne, a kary za przewinienia tak wysokie, że naprawdę odstraszą.

Tata przytaknął.

– Już przy odprawie nam mówiono, że nie wolno wwozić papierosów. – Wzruszył ramionami. – I tak wszystko jedno, nie palimy.

– Tylko tyle wam powiedziano?

– A co jeszcze?

– To, że w Singapurze trzeba się zachowywać znacznie lepiej niż gdziekolwiek na świecie – wyjaśniał Linus. – Nie wolno jeść i pić w środkach komunikacji miejskiej, za to płaci się pięćset dolarów grzywny. Przez ulicę można przechodzić tylko w wyznaczonych miejscach. Wyrzucenie śmiecia na ulicę kosztuje trzy tysiące dolarów, poza tym trzeba jeszcze odbyć prace społeczne przy sprzątnięciu. Za przywóz gumy do żucia płaci się jakąś absurdalną grzywnę, dziesięć tysięcy dolarów, czy jakoś tak...

– Gumy do żucia?

– Człowiek sam by na to nie wpadł, prawda? A to nie wszystko. Mężczyźnie, który narzuca się kobiecie, grozi więzienie albo chłosta. Kary za korupcję wręcz zapierają dech w piersiach, dlatego jej nie ma. A za posiadanie narkotyków grozi kara śmierci, także niepełnoletnim, bez wyjątku. W Singapurze wykonuje się najwięcej na świecie wyroków śmierci w stosunku do liczby mieszkańców.

– No tak – stwierdził tata. – To było w formularzu wjazdowym, który każdy dostał w samolocie. Trudno to było przeoczyć.

– Wszystko jest uregulowane. Gazety i czasopisma mogą się ukazywać tylko za zezwoleniem władz. Jeżeli jakaś grupa licząca więcej niż trzy osoby chce dyskutować na tematy polityczne, potrzebuje specjalnej licencji. Zabronione jest posiadanie telewizji satelitarnej, wszystkie telewizory podłączone są do sieci kablowej, w której cenzuruje się wszystkie programy. Przedstawienia o charakterze erotycznym, wypowiedzi mogące urazić cudze uczucia religijne, wyrażanie niewygodnych dla władz poglądów politycznych – to wszystko jest zabronione. – Linus rozpostarł

ramiona i rozparł się w fotelu. – I tak oto Singapur stał się bezpiecznym, czystym miastem, gdzie zgodnie żyją miliony ludzi różnego pochodzenia i religii. Wszystko dzięki totalnej kontroli.

To, co mówił, brzmiało strasznie. A na dodatek w jego głosie dało się słyszeć podziw.

Tata odchrząknął, czując się nieswojo.

– Ta twoja firma – zmienił temat. – Czym dokładnie się zajmujecie?

– Biotechnologią – odparł Linus. – Ta branża przeżywa teraz wielki boom. A tutaj, w Singapurze, ludzie nie boją się postępu. Nie tak jak w Europie. – Wyciągnął z kieszeni ulotkę i wcisnął tacie w rękę. – Opracowujemy lekarstwa służące regeneracji tkanek i rozprowadzamy je na cały świat. To specyfiki wzmagające przyrost komórek, przede wszystkim komórek nerwowych.

– Ach – powiedział tata i złożył ulotkę. Na wewnętrznej stronie znajdowały się podobizny członków zarządu, wśród których byli Linus i Ayumi. – Interesujące.

Hotel okazał się kolosalną budowlą w samym środku miasta, prawdziwym pałacem otoczonym kolumnadą w greckim stylu i palmami. Hol, tak wysoki jak hala dworca kolejowego, stanowił istną baśń na jawie, utkaną ze światła, szkła i złota. Pokoje okazały się najbardziej luksusowym apartamentem, jaki Christopher widział w całym życiu. Najchętniej w ogóle darowałyby sobie tę kolację, na którą zaprosili ich Linus i Ayumi. Resztę wieczora spędziłby na olbrzymim łożu w sypialni, wpatrując się w kanał Singapore River, wyglądający w blasku zachodzącego słońca niczym płynne złoto. No i nie bez znaczenia był gigantyczny telewizor.

Christopher nie miał jednak na to żadnych szans. Tata zawołał go, gdy ledwie zdołał rozejrzeć się po sypialni, i kazał mu się pospieszyć. Pod prysznicem chłopak spłukał z siebie skutki długiego lotu, potem włożył świeże ubranie. Następnie wszyscy zeszli na dół, gdzie czekała już zamówiona przez Linusa taksówka.

Linus i Ayumi mieszkali w luksusowym apartamencie dwadzieścia pięter ponad miastem. Zaskakująco nagle zapadł zmierzch, a światła Singapuru zamigotały niczym klejnoty na czarnym aksamicie. Tak wysoko już nie docierał uliczny zgiełk.

Jedli przy długim stole, obsługiwani przez trzech milczących kelnerów. Jedzenie smakowało obco, ale tak dobrze, że Christopher cieszył się, że jednak nie pozostał w hotelu. Nigdzie nie widzieli gości z rodziny, o których wspominał Linus. Matka Christophera zapytała o nich, ale Linus powiedział tylko, że gdzieś wyszli.

Po jedzeniu mężczyźni wyszli na balkon, bo Linus chciał zapalić papierosa, a obie panie poszły podziwiać hodowane przez Ayumi orchidee.

Od morza wiał ciepły wiatr pachnący wodorostami, dieslem i niezwykłymi przyprawami.

– Wygląda na to, że tę swoją milionową wygraną zainwestowałeś najlepiej, jak tylko się dało. – Tata oparł się o poręcz balkonu.

Linus wypuścił w noc wielki kłęb dymu.

- Można tak powiedzieć.
- Czy masz jeszcze to... łącze internetowe?

Christopher uśmiechnął się pod nosem. Przez cały lot tatę nie interesowało nic innego. Cud, że zdołał tak długo odwlec zadanie tego pytania.

Linus starannie zgasił papierosa w wypełnionej piaskiem popielniczce.

- Zasadniczo tak – odparł. – Tak naprawdę, to jestem nawet o kilka kroków dalej.

Ojciec Christophera odwrócił się w jego stronę.

- Co należałoby przez to rozumieć?

– Nie wiem, czy jesteś w stanie to pojąć. – Linus sceptycznie przyjrzał się tacie. – Jak mam to opisać? Odkryłem kamień filozoficzny. Coś ostatecznego. Coś lepszego od wszystkich snów, jakie do tej pory śniono. Chociaż został mi do rozwiązania jeszcze jeden, jedyny problem: jak to wszystko komuś wytłumaczyć.

**40** | – Spróbuj prostymi słowami – zaproponował tata.

Na drugim krańcu balkonu otworzyły się rozsuwane drzwi. Weszły przez nie Ayumi i mama zajęte rozmową o jakichś roślinach, które wyrastały tam z białej, marmurowej donicy.

– Powiedzmy tak – odezwał się Linus. – Zawsze, kiedy była mowa o interfejsie, to chodziło o jakiś związek z Internetem. My jednak pozbyliśmy się tej cholernej przeglądarki, w ogóle całego oprogramowania. Wszystkiego, co zbędne. Teraz łączymy się bezpośrednio, mózg z mózgiem.

Christopher, słysząc to, wzdrygnął się pomimo bardzo ciepłej nocy.

– My? – powtórzył tata. – Jacy „my”?

Linus ruchem głowy wskazał Ayumi, która dokładnie w tej samej chwili odwróciła się do nich i pomachała im.

– I to działa? – zapytał tata.

Ku ich bezgranicznemu zdumieniu Linus oraz Ayumi odpowiedzieli równocześnie: Linus półgłosem, a jego dziewczyna wołając:

– *Właśnie tak to działa.*

Przez chwilę tacie jakby odebrało mowę. Christopher wcale mu się nie dziwił, sam poczuł przechodzące po plecach ciarki.

Wreszcie tata się odezwał:

– Ale przecież nie wiesz, jak są kodowane myśli!

Linus uśmiechnął się przebiegle.

– Owszem, nie wiem. Ale dowcip polega na tym, że wcale nie muszę tego wiedzieć, bo to wie przecież drugi mózg.

– Drugi mózg? Co to znaczy? Co w takim razie przekazujesz?

– Impulsy. Potencjał czynnościowy, jak to się mówi w odniesieniu do włókien nerwowych. Jeden z moich neuronów odpala impuls, który wędruje po nerwie, dociera do interfejsu, tam zmienia się w sygnał, który za pośrednictwem TCP/ IP, WiFi oraz Internetu – palcem wskazującym zakreślił szeroki luk od swojej głowy do głowy Ayumi – dociera do drugiego interfejsu, tam zostaje na nowo zmieniony w potencjał czynnościowy i poprzez połączenia nerwowe wędruje dalej do drugiego mózgu. *And that's it!*

Tata wpatrywał się gdzieś przestrzeń, próbując przyswoić sobie to, co usłyszał.

– Jak to dokładnie przebiega? Przecież nie wiesz, do której drogi nerwowej trzeba podłączyć taki interfejs! Tym bardziej, że płatanina neuronów jest inna u każdego człowieka, niepowtarzalna jak odciski palców.

– Tak, ale ja wcale nie muszę o tym wiedzieć! I to jest właśnie genialne! Tym już samodzielnie zajmuje się mózg. To właśnie efekt takiego treningu, o którym kiedyś opowiadałem, pamiętasz? Mózgi się uczą, tak prostu, a zwłaszcza ludzki mózg. Przez całe życie możemy się nauczyć czegoś nowego, potrzebujemy tylko odpowiedniej zachęty! – Linus zaczął gestykulować, najwyraźniej był to jego ulubiony temat. – To



najprostsze doświadczenie, jakie tylko dałoby się wymyślić. Tak proste, że zwyczajnie w końcu trzeba było na to wpaść. Zastanowiliśmy się, co się właściwie wydarzy, jeżeli odrzuci się całe oprogramowanie i bezpośrednio zepnie dwa mózgi. Rezultat: w ogóle nic się nie wydarzy. W każdym razie nie tak od razu. Mijają dni i czujesz się tak jak zwykle. Całkiem zapominasz, że trwa jakiś eksperyment. W naszym wypadku mieliśmy szczęście, że zapomnieliśmy, bo jak na tym etapie wyciągniesz wtyczkę, to przepadło. Wiemy, że nie tylko my czegoś takiego próbowaliśmy, ale wielu przedwcześnie zrezygnowało. Potrzeba cierpliwości. Po pewnym czasie, u nas to były chyba ze cztery tygodnie, nagle pojawia się myśl, która nie jest twoja. Tak jakoś. Nie mam pojęcia, na czym to dokładnie polega. To już mogą rozgryzać sobie inni, jeśli będą mieli ochotę. Dla mnie jest ważne tylko, że to działa. I to jak!

– Dobra – sceptycznie stwierdził tata. – Ale co z tego masz?

– Harmonię – odparł Linus. Nie, on tego nie powiedział, on to obwieścił. Wypowiedział to słowo, jakby stanowiło świętość. – To się nie kończy na myślach pojawiających się od czasu do czasu. Stapiasz się z innymi, a inni z tobą. Nie musisz już dyskutować, nie musisz się kłócić, i to nie dlatego, że konflikty oraz nieporozumienia zamiatane są pod dywan, ale dlatego, że zwyczajnie już ich nie ma! Po jakimś czasie myślisz to samo co inni, chcesz tego samego co inni... – Nachylił się poufale: – A jak to działa w łóżku... Nie do opisania!

Tata chrząknął zakłopotany, karcącym wzrokiem wskazując Christophera. Linus szybko się odwrócił, a potem obaj spojrzeli na niego tak zakłopotani, jakby sądzili, że jeszcze nigdy nie słyszał o seksie.

Linus chrząknął nerwowo.

– Dobra – stwierdził i przyjacielsko klepnął tatę po ramieniu. – Mniejsza o to. W każdym razie unowocześniliśmy te łącza. Można powiedzieć, że doprowadziliśmy do perfekcji. Teraz to już tylko jeden chip. Małeńki i o tak zoptymalizowanym zasilaniu, że całe zapotrzebowanie na prąd pokrywa naturalna elektryczność ciała. I można go wszczepić bez przeprowadzania poważnej operacji. Zasadniczo potrzebuje jedynie kontaktu z kilkoma nerwami, potem sam już pobudza budowę następnych połączeń nerwowych. Tym się zajmują tak zwane komponenty bioaktywne, nasz medykament to produkt uboczny tych badań. – Wyjął następnego papierosa z paczki. – Właśnie dlatego was zaprosiłem. Stara znajomość i tak dalej. – Zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i wyczekująco popatrzył na tatę.

– Dziękuję – odparł Kidd – ale myślę, że to raczej nie dla mnie. Jak sądzę, w naszym małżeństwie całkiem dobrze się układa.

W spojrzeniu Linusa coś się zmieniło. Z otwartych ust wypłynął dym niczym ze smoczej paszczy. Patrzył na tatę w taki sposób, że Christopher autentycznie się wystraszył.

To wcale nie była tylko pogawędka starych znajomych i kolegów z pracy. To było

coś niebezpiecznego.

– Ty w ogóle nie rozumiesz, o czym rozmawiamy, prawda? – stwierdził wreszcie Linus. Jego głos stał się teraz szeptem:

– Nie, nie zrozumiałeś. W każdym razie zrozumiałeś tylko część.

**41** | Przed nimi rozciągało się miasto poprzecinane światłami samochodów i niezliczonych reklam. Przez to wydawało się, że na balkonie jest jeszcze ciemniej. Christopher zauważył jednak, że tacie robi się coraz bardziej nieswojo.

– Tak – przyznał ostrożnie. – Przypuszczalnie tak naprawdę tego nie rozumiem.

– Nie mówię tylko o Ayumi i o sobie – powiedział Linus. – To był tylko początek. Jest nas wielu! Połączona w sieć została cała firma, rodziny pracowników, ich przyjaciele...

Tata chrząknął, tak jak zawsze, gdy w trakcie dyskusji chciał okazać sprzeciw.

– Linusie, widzę, że jesteś tym oczarowany, ale tak szczerze, to, o czym właśnie opowiadasz, przejmuję mnie grozą. Łącznie mózgów w sieć, żeby były jak komputer. Gdzie tu miejsce na indywidualizm?

– E tam, do diabła z nim – odparł Linus, nie dając zbić się z tropu. – Ten twój wspaniały indywidualizm możesz sobie wsadzić gdzieś. Człowieku, w ten sposób już nigdy nie jesteś samotny! Rozumiesz? Upgradowanie rozwiązało problem, z którym ludzkość borykała się od zarania dziejów: wreszcie, wreszcie nie jesteś już samotny! – Linus zrobił krok w stronę taty, unosząc ręce w takim geście, jakby chciał go chwycić za klapy marynarki i potrząsnąć. Marynarki, której nie było, bo tata zostawił ją w pokoju na oparciu krzesła. – Przecież wiesz, o czym mówię. Każdy człowiek to wie. Samotność to nasze pierwsze doświadczenie, gdy przychodzimy na świat. Jesteśmy wtedy samotni! Wszystko, co można zrobić, to jedynie rozpłakać się z bezsilności. I tak samotnym jest się przez całe życie. Nawet gdy jesteś z kimś, z kobietą, którą kochasz, z którą się rozumiesz, z którą dzielisz życie – i tak w środku pozostajesz samotny. Możesz mówić o uczuciach, ale nie potrafisz się nimi dzielić. Śnisz samotnie. I umrzesz też całkiem sam. Ale my... – wskazał Ayumi, która zaczęła zbliżać się odmierzoną krokiem – ...my dzielimy swoje sny, dzielimy nasze myśli, dzielimy nasze uczucia. Słowa nie oddadzą, jak to jest. Jeśli powiem, że między nami panuje absolutna, naga szczerłość, to można by się wystraszyć, bo jak się przecież mówi, trzeba mieć swoje małe tajemnice, prawda? Ale w ogóle nie trzeba. Czuje się strach przed absolutną szczerością, bo czuje się strach przed byciem nierozumianym, strach przed byciem osądzonym, gdy się już otworzy. Jednak my się rozumiemy. Każde z nas rozumie drugie, bo wspólnie myślimy nasze myśli i wspólnie odczuwamy nasze uczucia. Po prostu nie możemy źle się zrozumieć! Między nami nie jest możliwe żadne kłamstwo, ale nie jest też ono potrzebne... i nawet się nie domyślasz, jakie to wspaniałe. Dopiero teraz, kiedy już jest inaczej, wiem, jak bardzo byłem kiedyś samotny.

Tata cały się sprężył. Wyglądał, jakby poważnie się zastanawiał, czy zaraz nie wyskoczyć przez balustradę.

– Tak, przyznaję, brzmi jak coś pięknego, ale... – odezwał się.

Linus w ogóle go nie słuchał.

– Musisz zrozumieć skalę tego, zasadę. Czy wiesz, jaka jest różnica między

żarówką a laserem?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło tatę.

– Do czego zmierzasz?

– Różnica nie polega na nakładzie energii – wyjaśniał Linus z powagą w głosie. – Żarówka i laser potrzebują tyle samo energii, ale żarówka jedynie oświetla pomieszczenie, a laser wypala dziurę w metalu. Dlaczego? Bo laser jest światłem koherentnym, wszystkie fale mają nie tylko taką samą częstotliwość, one się też na siebie nakładają w jednym rytmie. Żarówka emituje fale chaotycznie, o wszystkich możliwych częstotliwościach. A fale lasera wzajemnie się wzmacniają. Oto tajemnica jego siły przebicia: koherencja.

– Koherencja – powtórzył tata bezradnie.

Ayumi stanęła obok Linusa, a potem, tak jakby uzgodnili, co będą mówić, odezwali się chórem:

– *Jesteśmy grupą ludzi, którzy są ze sobą rzeczywiście połączeni. Kiedy dążymy do jakiegoś celu, dążymy do niego wspólnie. Żadne z nas nie ma jakichś ukrytych zamiarów, motywów, zastrzeżeń. Tak oto urzeczywistniło się stare marzenie ludzkości. Nasze umysły są koherentne. Dlatego nie dochodzi do żadnych kłótni, bezowocnych dyskusji, nieporozumień – i nie ma żadnego marnotrawienia energii. Między nami panują pokój i zgoda. Do nas należy przyszłość. Nic nas nie powstrzyma.*

Ayumi zamilkła, a Linus dodał łagodnie:

– I zapraszamy was, abyście i wy wzięli w tym udział.

Christopher zobaczył, jak mama, stojąca za nimi, szeroko otwiera oczy z przerażenia. Dostrzegł, jak wymieniają się z tatą spojrzeniami. Znał podobne spojrzenia. Oboje porozumiewali się właśnie w taki sposób, nie potrzebując do tego żadnej techniki.

– Muszę przyznać, że to robi wielkie wrażenie – stwierdził tata, zupełnie odmienionym głosem. – Jednak to, hmm... zaproszenie pojawia się zupełnie niespodziewanie, muszę je sobie spokojnie przemyśleć. Wszyscy musimy.

– Czym się martwisz? – zapytał Linus i rozpostarł ramiona. – Czy wyglądam, jakby było mi źle? Czy wyglądam jak jakiś biedny człowiek?

– Nie. Ale na przykład mógłbym bać się tego, że zatracę własne ja.

– To zabobonny strach. Owszem, zatracisz własne ja, ale tylko po to, by dostąpić czegoś większego.

– Co jest myślą, z którą trudno się oswoić, sam musisz przyznać. – Tata wycelował palcem w pierś Linusa. – Dla ciebie to był tylko eksperyment. Nie musiałeś się wcale decydować na takie rozwiązanie. Zgadza się?

Linus przytaknął.

– Tak. Masz rację.

– Daj się nam z tym przespać, a rano porozmawiamy o wszystkim jeszcze raz, na spokojnie – pojednawczo zaproponował tata. – Muszę przyznać, że wypłem trochę

zbyt dużo tego twojego wyśmienitego wina, żeby teraz podejmować podobne decyzje.

Linus spojrział gdzieś w pustkę, kierując oczy w stronę gry świateł nocnego Singapuru. Z tą swoją kręłą posturą i szerokimi barkami wydawał się przeszkodą, której nie sposób obejść.

– Tak, rozumiem – odezwał się w końcu. – Ale chodzi o to, że nie mamy czasu do stracenia. To wszystko wciąż się rozwija, a rozwija w takim tempie, że nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić. Musisz wiedzieć, że nie jesteśmy jedyną Koherencją. Takie grupy powstają na całym świecie. Dochodzi między nimi do kontaktu i wtedy silniejsza grupa przejmuje słabszą. Jak chcesz, to mogę powiedzieć, że ją wchłania, chociaż dokładnie polega to na tym, że jedna Koherencja nakłada się na drugą i zmusza do własnego rytmu. – Zmierzył tatę stalowym spojrzeniem. – Aż do teraz zawsze to my byliśmy zwycięską Koherencją. Poza tym to my produkujemy najlepsze interfejsy. Innym słowy, jeśli się do nas przyłączycie, znajdziecie się w najsilniejszej grupie. W Koherencji, która jako ostatnia pozostanie na placu boju.

Tata odpowiedział równie stalowym spojrzeniem.

– Dobra. Ale jak już mówiłem, pozwól nam się z tym przespać. Możemy spotkać się tutaj jutro na śniadaniu, co ty na to?

Króciutka pauza.

– Dobrze – odpowiedział Linus. – Tak zrobimy. Poczekamy do, powiedzmy... dziewiątej rano.

– Tak. A może do wpół do dziesiątej? Po takim długim locie...

– Dobra. Wpół do dziesiątej, w holu hotelu.

Ayumi wyjęła komórkę i melodyjnym, singapurskim angielskim zamówiła taksówkę. Linus towarzyszył im w drodze na dół, zapłacił z góry za kurs do hotelu, pożegnał się i czekał, aż wsiądą, a samochód odjedzie.

– Czyli że.... – odezwała się mama, ale tata, który siedział obok kierowcy, natychmiast się odwrócił i upominającym gestem przyłożył palec do ust.

Christopher pokiwał głową. Jasne. Przecież nie wiedzieli, czy kierowca też nie należy do jakiejś Koherencji.

Jechali więc w milczeniu, aż tata, który przez cały czas wpatrywał się w okno, nagle na coś wskazał, mówiąc:

– Proszę się tam zatrzymać, tam z przodu.

Kierowca drgnął.

– To nie jest hotel – odpowiedział z trudem, nie zdejmując nogi z gazu.

– Chcemy się trochę przespacerować – oznajmił tata. – Noc taka piękna. U nas w Anglii nie ma czegoś takiego, rozumie pan?

Trudno było określić, czy szofer rzeczywiście zrozumiał.

– Do hotelu jeszcze daleko – upierał się.

– Niech pan się zatrzyma – odparł tata – albo jutro rano poskarżę się pańskiemu szefostwu. – Wyjął z marynarki notes i długopis, potem zaczął się zachowywać tak,

jakby spisywał numer i nazwisko z licencji umieszczonej na przedniej szybie.

– Jak pan sobie życzy, to się zatrzymam! – odkrzyknął mężczyzna i stanął z piskiem opon.

Co prawda nie zrozumieli, co mamrotał pod nosem, gdy wysiadali, ale sądząc po minie, mogły to być jedynie przekleństwa.

– I co teraz? – zapytała mama.

– Teraz stąd spadamy – oznajmił tata. Poszperał w marynarce, wyjął paszporty: – Zabrałem je tylko dlatego, że nie rozgryzłem, jak zamyka się sejf w naszym pokoju. Nigdy nie sądziłem, że jakaś zawiła instrukcja obsługi okaże się dla nas taka szczęśliwa. Co jeszcze? Mam karty kredytowe, portfel.

– Twój laptop – powiedziała mama. – Leży w hotelu.

– Mam w domu kopie wszystkich danych, zresztą zawartość dysku jest zaszyfrowana – odparł tata. – Co jeszcze? Zostało coś, czego nie możemy sobie odkupić?

Matka na chwilę zamknęła oczy, potem otworzyła je z westchnieniem.

– Nic, co jest warte ryzyka.

– Dobrze. To nie wracamy do hotelu. – Ojciec Christophera wyjął kartę kredytową. Dobrze wybrał miejsce, w którym się zatrzymali. Byli pod bankiem, gdzie w niewielkim pomieszczeniu na klientów czekał bankomat.

– Bierzemy tyle gotówki, ile się da.

– Mam tylko nadzieję, że Linus i jego... Koherencja jeszcze się nie domyślili – powiedziała mama.

– Ja też – stwierdził tata.

Kolejno wkładali karty kredytowe do czytnika, za każdym razem wypłacając najwyższą możliwą sumę.

Potem zapytali o najbliższą stację metra, którą okazała się Raffles Place Station, i prawie od razu złapali pociąg na Lotnisko Changi. Christopher przyjrzał się biletom – małym kawałkom twardego plastyku – które trzeba było oddać u celu podróży, żeby odzyskać kaucję.

– Jestem zdziwiona, że tak dobrze znasz Singapur – zauważyła matka Christophera, blada jak ściana. Widać było, że bardzo się stara, by nie stracić panowania nad sobą.

– Przecież czytałem broszurę w samolocie – odparła tata. – Moja książka była zbyt nudna.

Podróż trwała pół godziny. Na każdej stacji Christopher wstrzymywał oddech, spodziewając się, że zaraz zostaną złapani przez Linusa oraz jego... hmm, jak ich nazwać? Sieciowych towarzyszy? Braci z Koherencji? Wsiadali jednak zwykli ludzie, najczęściej z walizkami.

Na lotnisku przyjrzeni się tablicy odlotów.

– Darwin, Australia, za trzydzieści minut – oznajmił wreszcie tata. – Lecimy.

– Australia? – Christopher spojrział na niego zdziwiony. – A co tam będziemy

robić?

– To inny kontynent. A dzisiaj wieczorem bardzo chcę się znaleźć na innym kontynencie.

Pospieszyli do okienka, gdzie sprzedawano bilety British Airways.

– Nie mamy żadnego bagażu do odprawy, ale chcemy lecieć do Darwin. – Tata wytłumaczył kobiecie za kontuarem i podał jej paszporty. – Trzy miejsca, nieważne w jakiej klasie. Płacę gotówką.

Kobieta, korpulentna i po matczynemu troskliwa Azjatka, sprawdziła w komputerze.

– Mam mnóstwo miejsc – wyjaśniła. – Ale musicie państwo biec. Już przyjmują na pokład.

– Pobiegniemy – obiecał tata. – Jak po złoty medal.

Kobieta przyjęła zwitek banknotów i zrobiła wszystko jednocześnie: przeliczyła pieniądze, wystawiła bilety i zadzwoniła na bramkę, żeby przekazać potrzebne informacje.

– Powodzenia! – zawołała na pożegnanie.

Pobiegli. Musieli dotrzeć do sąsiedniego terminalu, a terminale były naprawdę olbrzymie. Ledwie dysząc, dopadli do bramki i jako ostatni weszli na pokład samolotu.

Christopher zajął miejsce przy oknie. Był pewien, że ktoś przeszkodzi im w starcie. Jednak maszyna potoczyła się po pasie startowym, silniki zawyły i zaraz potem znaleźli się w powietrzu. Wyrżał na zewnątrz, na znikające miriady barwnych świateł nocnego Singapuru i nagle wystraszony złapał się za szyję.

Nie miał medalika podarowanego przez babcię! Zdjął go, biorąc prysznic, i zapomniał ponownie założyć. Przypuszczalnie wisiołek wciąż jeszcze leżał na hotelowej umywalce.

Uznał to za złą wróżbę.

**42** | Nagły podmuch wiatru z głuchym trzaskiem uderzył gdzieś gałęzią o gałąź. Płomień ogniska zamigotał. Christopher uniósł wzrok na poblądłe twarze słuchaczy, dostrzegł na nich przerażenie. Było mu zimno.

Właściwie, która to godzina? Nie miał pojęcia. Bardzo ciężko mu było opowiadać o rzeczach, które Kyle i Serenity już wiedzieli, a potem jeszcze o tym, co wydarzyło się później.

– Zostawiliście wszystko? – ktoś zapytał.

– Tak – odparł Christopher.

– A z Darwin ruszyliście do...?

– Następnym etapem było chyba Sydney... Nie, Adelajda, a potem Sydney, a stamtąd ruszyliśmy do... – Umilkł, nie miał już pewności. – Wiem tylko, że jakoś wyładowaliśmy w Paryżu, a stamtąd pojechaliśmy pociągiem do Anglii.

Ucieczka była konieczna, nikt z tym nie dyskutował. Nikt z nich nie pytał, czy nie podjęli tej decyzji zbyt pochopnie. Nikt również nie stwierdził: „A gdybyśmy jeszcze na chwilę zajrzeli do hotelu i spakowali nasze rzeczy, to miałbym też swój...”. Wystarczyło sobie przypomnieć Linusa i Ayumi mówiących chórem, by tylko cieszyć się z ucieczki.

– Bob... – Jer emiah Jones odezwał się do doktora Connery’ego. – Tak bardzo się przyzwyczaiłem, że mówię do ciebie Bob... Ale tak naprawdę, masz na imię Stephen, prawda?

– Mówiąc dokładnie, Stephen Robert Connery – odparł brodaty neurochirurg. – Czyli że Bob też może być. – Chrząknął. – Moore to panięskie nazwisko mojej matki. Moi rodzice pobrali się, dopiero kiedy miałem pięć lat, więc właściwie mogę się też nazywać Robert Moore.

– Dobra, Bob. Co myślisz o tej całej historii? Czy takie bezpośrednie połączenie między mózgami może działać?

Doktor Connery podrapał się po zaroście, jakby chciał go wygładzić. Nie miał szans.

– To obłądny pomysł, ale... tak, to by na pewno działało. Biorąc po uwagę wszystko, co wiemy na temat budowy mózgu oraz neuronów, to by na pewno zadziałało. – Uniósł dłonie i koniuszkami palców z obu stron dotknął szczytu głowy. – Każdy z nas ma właściwie dwa mózgi, prawą i lewą półkulę, zajmujące się różnymi rzeczami. Łączy je tak zwane spoidło wielkie: gruby, poprzeczny pęczek tak ze dwustu pięćdziesięciu milionów włókien nerwowych. Dzięki temu połączeniu postrzegamy siebie jako jedność. Istnieją ludzie, którzy mają to *corpus callosum* uszkodzone albo zerwane wskutek wypadku lub choroby. U takich osób na przykład ośrodek mowy z lewej półkuli nie współpracuje z ośrodkiem wzroku w półkuli prawej. Obie półkule działają wtedy niezależnie od siebie, co w codziennym życiu nie jest szczególnie dostrzegalne, jednak czasem daje dziwaczne efekty.

– Więc ten interfejs, ten chip – pytał Jones – to jest takie jakby sztuczne spoidło



wielkie, tyle że łączące z innym mózgiem?

– Też tak to rozumiem. Ale jeśli próbuję sobie wyobrazić, jakie to musi mieć następstwa... – Doktor Connery potrząsnął głową. – Mimo wszystko. Co za pomysł!

– Całkiem łatwo na niego wpaść, kiedy się już zacznie eksperymentować z interfejsami komputer-mózg – stwierdził Jeremiah Jones. – To wręcz nieuniknione. To była tylko kwestia czasu, aż ktoś spróbuje czegoś podobnego.

– A mnie przecież powinno przyjść do głowy, że Linus nie będzie się bał tego wypróbować. – Doktor Connery złożył dłonie, podparł podbródek i znowu odwrócił do Christophera. – A więc wróciliście do Wielkiej Brytanii tylko z tym, co mieliście na sobie?

– Mniej więcej. Oczywiście, kupiliśmy co nieco po drodze.

– A potem? Co się stało potem? Zakładam, że Linus znowu się pojawił.

– Nie.

– To co? – Neurolog zmrużył oczy. – Coś się przecież musiało stać. Inaczej by ciebie tutaj nie było, prawda?

Christopher rozejrzał się wokół, spojrzał na Serenity, na Kyle'a, na tych wszystkich ludzi, którzy słuchali go, siedząc wokół ogniska. Dopiero teraz spostrzegł, jak ich dużo.

– Tak – przytaknął. – Coś się stało.

Przerazało go to, o czym jeszcze miał opowiedzieć.

**43** | Nigdy nie zdołali już tak całkiem powrócić do dawnego życia. Zawsze, gdy zaczynali się czuć jak przed podróżą do Singapuru, działo się coś, co burzyło im spokój.

Najpierw dziadek Christophera dostał wylewu, na szczęście niezbyt ciężkiego, jednak przynajmniej przez jakiś czas wymagał opieki. Matka więc regularnie latała do Niemiec, aby zajmować się ojcem. Zatrudniła pielęgniarkę, która go odwiedzała codziennie. Trzeba było nieco przebudować stary dom dziadka, żeby wciąż mógł tam mieszkać.

Wszystko to kosztowało i to sporo. Tata chciał znowu założyć własną firmę, jednak na razie pomysł trzeba było odłożyć na półkę. Rodzinne oszczędności zbyt szybko topniały, żeby podejmować takie ryzyko.

– A może sprowadzimy twojego ojca tutaj? – zaproponował tata. – Owszem, nasz dom nie jest jakiś wielki, ale z jedną osobą więcej na pewno damy radę.

– Nie ma mowy – odparła matka. – Już z nim o tym rozmawiałam. Całe życie mieszkał w tamtej starej ruderze. Nieodwołalnie postanowił, że tam również umrze.

Tata pokiwał głową. Znał teścia wystarczająco długo, by się nie dziwić.

– Problem polega na tym, że nie możemy sobie tak bez przeszkód przeprowadzić się do niego. Nie, dopóki mam tutaj pracę i jesteśmy zależni od tych pieniędzy.

Zapanowało milczenie. Wszyscy wiedzieli, że istnieje trzecie wyjście: mama przeniesie się do Frankfurtu, a tata i Christopher pozostaną w Anglii. Jednak oznaczałoby to rozdzielenie rodziny na niedający się określić czas.

Żyli więc tak jak dotąd. Matka co tydzień latała do Frankfurtu, tata nadal pracował przy projekcie związanym z londyńskim szpitalem, a wszyscy mieli nadzieję, że dziadek Christophera niedługo poczuje się lepiej.

Wkrótce spotkała ich miła niespodzianka: tata dostał zaproszenie na kongres naukowy. Tematem zjazdu były komputery w szpitalnictwie. Ojciec miał wygłosić referat o tym, jak od strony praktycznej wygląda ochrona danych pacjentów, w czym akurat się specjalizował. Wielką pokusę stanowiło to, że zjazd miał się odbyć w Acapulco! Zaproszeniu towarzyszyły foldery pokazujące palmy, długie plaże i ludzi pływających się w słońcu.

– Super! – Matka Christophera ucieszyła się bardziej niż ojciec. – Meksyk! To prawie jak wygrana na loterii!

– No, nie wiem – mruknął tata. – Wygłosić referat? Czy ja w ogóle to potrafię?

– Jasne, że potrafisz – oznajmiła matka zdecydowanym tonem. – Zrób to. Twojej karierze to nie zaszkodzi, a przynajmniej raz w życiu będziesz w Acapulco.

Tata w końcu się zgodził i spędził wiele wieczorów na przygotowywaniu plansz i tekstu referatu, który odczytywał im raz za razem, kiedy wydawało mu się, że należałoby znaleźć jakieś lepsze sformułowania.

Christopher zauważył, że tata raczej nie zalicza się do urodzonych mówców. Jego słuchaczy w Acapulco czekało dosyć ciężkie pół godziny.

Wieczorem przed wylotem Christopher, który właśnie wyszedł ze swojej sypialni na górze, usłyszał rozmowę rodziców.

– Tylko nie wymień mnie na jakąś ładną młodą Meksykankę!

– No co ty. Pewnie cały dzień będziemy siedzieć w jakimś ciemnym centrum konferencyjnym, dyskutować na tematy zawodowe i prawie w ogóle nie zaznamy tego słońca na zewnątrz.

– Tak? A wiesz, co ja myślę? Że wcale nie będziecie się przepracowywać. Takie kongresy to przecież tylko pretekst, żeby wyjechać sobie na urlop na koszt jakiegoś sponsora. Przecież nie trzeba było organizować tego od razu w Acapulco. Gdyby chodziło tylko o sprawy zawodowe, równie dobrze nadawałoby się Glasgow albo Hanower, albo jakiegokolwiek inne miasto z centrum konferencyjnym.

Tata zaśmiał się cicho.

– Przypuszczalnie masz rację. Przyznam się, że spakowałem też kąpielówki, tak na wszelki wypadek.

– Ha! Ale mnie mówisz, że nic, że w ogóle. – Zabrzmiało to tak, jakby przerwała, aby uciszyć tatę długim pocałunkiem.

Christopher nie potrafił powstrzymać śmiechu. Zawrócił, możliwie jak najciszej poszedł do sypialni i poczekał, aż rodzice zawołają go na kolację.

Wkrótce mama zaczęła wysyłać oferty pracy do różnych banków i towarzystw inwestycyjnych. Po wyjeździe ojca dostała odpowiedź od jednego z nich – zdecydowaną odmowę.

Wyraźnie ją to przygnębiło.

– Myślałam, że o tamtej sprawie powoli już się zapomina albo że przynajmniej mi ją wybaczone – powiedziała sfrustrowana.

W trakcie dwóch tygodni, które tata spędził w Meksyku, Christopher złapał ciężkie przeziębienie. Wylądował w łóżku z wysoką gorączką i nie miał na nic apetytu. Co prawda nie musiał chodzić do szkoły, ale akurat teraz wolałby być zdrowy i zjawiać się na lekcjach.

Przespał prawie cały dzień powrotu taty. W ogóle nie słyszał, jak mama przywiozła go z lotniska. W pewnym momencie ktoś potrząsnął go za ramię, a gdy otworzył oczy, oboje już przed nim stali: mama, wciąż przygnębiona, a obok niej opalony tata, mówiący:

– No, co się z tobą dzieje?

Opowiedział, że z referatem wszystko się udało i że tak w ogóle, to było całkiem luźno.

Christopher przyglądał mu się zażawionymi oczyma. Z tatą było coś nie tak. Nie potrafił jednak określić co. Potem znowu zasnął.

W trakcie następnych dni czuł się coraz lepiej, ale nie opuszczało go wrażenie, że ojciec po powrocie z Acapulco jakoś się zmienił. Skąd się wzięło to odczucie? Przez opaloną twarz? Nie, tata po niektórych rodzinnych urlopush spędzanych na południu

wracał jeszcze bardziej opalony.

W końcu Christopher zrozumiał, o co chodzi.

Ojciec przestał się śmiać.

Nie, żeby był wesołym, czasem jednak, po jakimś głupkowskim kawale zrywał wręcz boki ze śmiechu. W niektórych sytuacjach aż się za niego wstydzili.

A teraz... Tata uśmiechał się tylko od czasu do czasu, a i wtedy jedynie tak mimochodem, jak gdyby był nieobecny duchem.

Przez większość czasu pozostawał poważny, rzeczowy, spokojny. Wydawało się, że przeżył coś, o czym nie potrafi rozmawiać. I że nie chce zwracać na siebie uwagi.

**44** | Niedługo potem matka znowu poleciała do Niemiec i ojcu przypadła opieka nad Christopherem, u którego przeziębienie rozwinęło się w ciężkie zapalenie oskrzeli.

Kiedy wracali od lekarza, tata nagle skręcił w zupełnie innym kierunku, jechali ulicami, na których Christopher jeszcze nigdy nie był. Drzwi jednego z tamtejszych domów na moment otworzyły się, ktoś położył na wycieraczkę paczkę owiniętą w niebieski papier.

Po chwili ojciec tam się właśnie zatrzymał, wysiadł, zabrał paczkę, schował do bagażnika.

– Co to było? – zapytał Christopher, kiedy ruszyli dalej.

– Nic – odparł tata. Jednak sposób, w jaki to powiedział, znaczył: „Nic cię to nie obchodzi”.

Wjechali z powrotem na znajome ulice, lecz zanim wrócili do domu, tata zatrzymał się jeszcze przed supermarketem, żeby zatankować. Gdy bił licznik dystrybutora, wyjął z bagażnika tamtą niebieską paczkę, po czym wręczył ją mężczyźnie wyglądającemu tak, jakby przechodził tędy jedynie przypadkiem. Nie zamienili ani słowa, tylko na siebie spojrzeli.

Christopher dotknął czoła. Wciąż jeszcze było rozpalone, nie czuł się zbyt dobrze. Na pewno majaczył w gorączce.

Któregoś dnia wieczorem zadzwoniła matka i prosiła do telefonu ojca, ale on wciąż jeszcze nie wrócił do domu.

– Hmm... – Wydała się zaniepokojona. – Przecież się umawialiśmy na telefon o tej porze.

– Pewnie jeszcze jest w firmie – stwierdził Christopher. – Może coś mu wypadło.

– Dobrze, to spróbuję na komórkę. Co tam u ciebie?

– W porządku – powiedział Christopher, chociaż to nie do końca było zgodne z prawdą.

Kiedy tata wrócił do domu – dosyć późno – syn przekazał mu, że telefonowała mama, i spytał, czy dzwoniła do niego na komórkę. Zamyślony ojciec przytaknął i już się nie odzywał. Zdecydowanie nie wyglądał, jakby wszystko było w porządku.

Nazajutrz Christopher dowlóknął się do komputera i włamał do biurowego komputera taty, który stał w pokoju informatycznym szpitala i miał zainstalowaną kamerę. Tata był w pracy i siedział przed monitorem, jak zwykle otoczony stosami papierów, którym rzadko poświęcał uwagę.

Christopher tak przekręcił swój ekran, aby widzieć go ze swojego łóżka, wskoczył z powrotem pod ciepłą kołdrę i czekał. Podłożywszy kilka dodatkowych poduszek, mógł teraz wygodnie przyglądać się tacie nawet zażywając lekarstwa, popijając herbatę i od czasu do czasu drzemiąc.

Wystraszył się, kiedy monitor nagle pociemniał. Ktoś wyłączył komputer! Zerknął na zegarek – było już po godzinach pracy! Zagapił się.

Szybko wyskoczył z pościeli i wszedł na serwer firmy. Tata wylogował się o godzinie 17:05:12, czyli pięć minut temu. Nie mógł odejść daleko.

Palce Christophera śmigały po klawiaturze. Wielka Brytania miała najgęstszą na świecie sieć dozorujących kamer, a on kilka miesięcy temu podolał pasjonującemu wyzwaniu i włamał się do systemu komputerowego zarządzającego nimi i analizującego przychodzące z nich dane. Postanowił, że dzisiaj wieczorem zrobi z tego użytek.

Połączenie uzyskane dzięki włamaniu nadal działało. Na ekranie pojawiła się skomplikowana mozaika złożona z obrazów przekazywanych przez kamery, schematów oraz list. Na początku roku, pewnego deszczowego popołudnia, Christopher rozgryzł, jak z tego wszystkiego korzystać. Wówczas uważał to jedynie za ciekawą zabawę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że kiedyś użyje owego systemu do szpiegowania własnego ojca.

Tata pieszo opuścił teren szpitala. Wyraźnie dokądś szedł, chociaż się nie spieszył.

Kiedy ojciec zniknął z pola widzenia, Christopher przeniósł się na drugą kamerę. Pokazywała schody na stację metra, z której tata jechał na parking, tam, gdzie zostawiał samochód. Można go było śledzić od stacji do stacji – na każdym peronie zainstalowano kamery, przez które Christopher mógł zobaczyć, gdzie tata wysiada.

Jednak tata w ogóle nie wsiadł do metra. Po prostu minął stację.

Christopher gorączkowo klikał w menu. Czy zgubił ojca? Nie, był tutaj. Na przystanku. Najwyraźniej czekał na autobus.

Ale po co? Dokąd chciał jechać? Christopher studiował aktualizowane na bieżąco informacje wyświetlane obok obrazu z kamery. Teraz miał przyjechać autobus linii 55 do Leyton, dwie, trzy minuty później 135 do Crossharbour, czyli w przeciwnym kierunku.

Zjawił się autobus, jednak tata nie ruszył się z miejsca.

Christopher potarł się po brodzie. Dobra, czyli tym razem nie chciał jechać do Leyton.

Wtedy do ojca podeszła jakaś ciemnowłosa kobieta, która wysiadła z autobusu jako jedna z ostatnich pasażerów. Christopher zmrużył oczy. Rozmawiali ze sobą? Trudno stwierdzić. Jednak to właśnie na nią tata czekał. Gdzieś z nią poszedł. Jeszcze przez jakiś czas widział go na chodniku, potem skręcili w boczną uliczkę, gdzie nie oglądała już ich żadna kamera.

I już nie wrócili w pole widzenia.

Christopher poczuł się fatalnie. Czekał jeszcze tak długo, jak tylko mógł, w końcu wyłączył komputer, po czym wślizgnął się z powrotem do łóżka.

**45** | Tego wieczora tata wrócił do domu późno, po północy. Christopher nie spał. Miał ochotę czynić ojcu wyrzuty, wziąć go na rozmowę, ale nie mógł tego zrobić.

Dostrzegł, że na tym właśnie polega niedogodność szpiegowania. Gdy się kogoś śledziło, samemu stawało się wrażliwszym na atak. Bo jeżeli za sprawą szpiegowania dowiedziało się czegoś na temat drugiej osoby i powiedziało się jej o tym, następującą potem kłótnię zaczynało się z gorszej pozycji.

Następnego wieczora tata również wrócił do domu późno, a Christopher wreszcie spróbował zapytać o powód.

– Miałem jeszcze coś do zrobienia – padła odpowiedź. I jak można było zareagować?

Matka Christophera wreszcie wróciła do Anglii, jednak zachowanie taty się nie zmieniło. Nadal nie pojawiał się w domu przed dwudziestą trzecią. Tyle że mama nie puściła tego płazem.

– Masz kogoś innego. – Pewnego dnia Christopher usłyszał, jak matka płacze w salonie. – Masz jakiś romans. To dlatego jesteś wciąż taki nieobecny?

Christopher uchylił nieco drzwi od pokoju, chcąc usłyszeć odpowiedź taty. Wcale nie był nieobecny duchem, skąd jej to przyszło do głowy?

– Właśnie, że byłeś – upierała się matka.

Nadzieja, jaką miał Christopher, rozplynęła się. W przeciwieństwie do matki, wcale mu nie umknęło, że ojciec zaprzeczył tylko nieobecności duchem, a nie romansowi.

Jak to się mogło skończyć? Nietrudno było się domyślić: prędzej czy później rodzice się rozstaną. Jednak wyobrażenie sobie czegoś podobnego okazało się dla Christophera zbyt bolesne.

Jasne, życie toczy się dalej. U niego w klasie połowa uczniów miała rozwiedzionych rodziców, ale nie rozmawiano na ten temat. Raz słyszał, jak jedna z dziewczyn opowiadała, że po rozwodzie rodziców musiała zdecydować, z którym z nich chce zostać.

Czy niedługo i on stanie przed takim wyborem? A jeśli już, to kogo wybierze?

Co za okropna myśl!

Christopher zasiadł do komputera. Wszedł do Internetu, aby poszukać jakiegoś systemu szczególnie trudnego do rozgryzienia. Nie chciał teraz o tym wszystkim myśleć. Pewnie sytuacja jakoś się unormuje, a on się niepotrzebnie martwi. Przecież rodzice zawsze się dobrze rozumieli. Dlaczego nagle miałyby się to zmienić? Nie mieściło mu się w głowie, że mogliby się rozwieść. Rozwody przytrafiały się innym.

W każdym razie tata zaczął znowu punktualnie wracać do domu. Tyle że zaraz potem zamykał się w gabinecie, gdzie programował jeszcze grubo po północy.

– O co tu chodzi? – denerwowała się matka Christophera. – Co ty robisz przez cały dzień, skoro musisz jeszcze pracować wieczorami?

– Nie denerwuj się – odparł tata. – Mam widoki na inną pracę.

Jednak w domu Kiddów wciąż panowała tak gęsta atmosfera, że stawało się to prawie nie do wytrzymania. Christopher cieszył się, że wreszcie wyzdrowiał – pominąwszy kaszel, który uparcie nie przechodził – i mógł przed tym wszystkim uciekać do szkoły. Naprawdę, po raz pierwszy w życiu szczerze nie chciało mu się wracać po lekcjach do domu. Czasem szwendał się jeszcze przez jakiś czas po centrum handlowym albo spędzał ze dwie godziny na serfowaniu po sieci w kafejce internetowej.

Teraz już rodzice kłócili się o każdą drobnostkę. Powietrze zdawało się wręcz naładowane elektrycznością. Zdawało się, że w domu zawisła gęsta, czarna mgła. Mama narzekała, piekliła się, denerwowała i wreszcie zalewała łzami, a tata to wszystko przyjmował prawie obojętnie. Odpowiadał na zarzuty żony tak, jak gdyby nie dbał, czy mu uwierzy, czy nie.

– Nie mam pojęcia, jak to dalej będzie ze mną i tatą – oznajmiła Christopherowi mama pewnego wieczora, gdy siedzieli samotnie w salonie. Ojciec znowu zamknął się w gabinecie. – Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Mówi, że to praca, ale znam go dwadzieścia dwa lata, mnie nie oszuka.

Później Christopher często się zastanawiał, czy właśnie wtedy nie powinien powiedzieć mamie o tym, co zobaczył w systemie kamer Jej Królewskiej Mości. I czy gdyby tak zrobił, później wiele rzeczy przebiegłoby inaczej.

– Wydawało się, że powoli zaczął rozumieć, że dalej tak już nie może być – kontynuowała matka. – I wtedy wpadł z jednej skrajności w drugą. Teraz zaplanował nam urlop w Brighton. Tak po prostu. Położył przede mną rezerwację z hotelu i oznajmił, że potrzeba nam czasu tylko dla siebie. Obiecał, że nie zabierze nawet laptopa.

Christopher przełknął ślinę.

– To brzmi przecież nieźle.

– Tak. I może ma rację. Może po prostu powinniśmy spokojnie pozmawiać... – Umilkła i uważnie przyjrzała się synowi. – Chris, powiedz mi, czy masz może wrażenie, że ostatnio was zanieczyściłam? W związku z dziadkiem? Dlatego że tak często latałam do Frankfurtu i w ogóle?

Christopher potrząsnął głową.

– Bzdura.

– Nie?

– Nie.

– To dlaczego twój ojciec jest taki drażliwy? Może dlatego tak się zagrzebał w pracy...

Christopher mógł jej wtedy powiedzieć, że z tego, co się orientuje, problemu wcale nie stanowi praca taty, zamiast tego jednak stwierdził:

– Kiedy pracowałeś, bywałeś w domu jeszcze rzadziej. Wtedy to dopiero mogliśmy poczuć się zanieczyśceni.



Wydawało się, że jego słowa przyniosły mamie ulgę.

– Dwa tygodnie w Brighton – powiedziała. – Dasz sobie radę tak długo sam?

– Jasne.

– Tylko nie jedz codziennie pizzy, dobra?

Christopher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie ma problemu. Od czasu do czasu zrobię sobie spaghetti.

Atmosfera panująca w dniu, w którym rodzice wyjeżdżali do Brighton, przypominała raczej zawieszenie broni. Oboje zachowywali się tak, jakby mieli dobry humor, zasypywali Christophera mniej lub bardziej przydatnymi radami dotyczącymi tego, co ma robić podczas ich nieobecności. Najwyraźniej chodziło tylko o pozory. Sami zresztą widzieli, jacy z nich kiepscy aktorzy.

Wsiedli wspólnie do samochodu i odjechali. No, ale przecież cuda się zdarzają. Christopher machał na pożegnanie, aż wóz zniknął za rogiem na skraju drogi.

Potem wrócił do domu i wziął się za poszukiwania.

Tamtego pamiętnego wieczora doznał szoku, nie aż takiego jednak, by nie zapisać klatki obrazu z kamery. Teraz wziął obraz taty z nieznaną kobietą i zaczął go obrabiać, korzystając ze wszystkich narzędzi, jakie zapewniała nowoczesna technika.

Gdy rodzice zajmowali się pakowaniem walizek, włamał się do serwera pewnej amerykańskiej firmy informatycznej, znanej z produkcji najlepszego oprogramowania do obróbki zdjęć. Ściągnął stamtąd jeszcze nieskierowaną do sprzedaży próbną wersję najnowszej aktualizacji, o której fachowcy twierdzili, że jest istnym cudem. Rzeczywiście, programiści wykonali kawał porządnej roboty. Christopher wyostrzył fragment zdjęcia przedstawiający nieznaną, aż wreszcie uzyskał jej wyraźny wizerunek. Fotografia była na tyle dobra, że kobietę dałoby się teraz bezbłędnie rozpoznać, pod warunkiem umieszczenia w odpowiednim kontekście.

Potem przyniósł z pokoju taty materiały związane z tamtym kongresem w Acapulco. Wszystko zaczęło się od Meksyku. Potem już nic nie było takie samo.

Oczywiście Christophera najbardziej interesowała lista uczestników kongresu. Znajdowało się na niej dwieście jedenaście osób, z czego około jednej trzeciej stanowiły kobiety. Christopher zaczął wpisywać nazwiska do Google i przyglądać wyświetlanym zdjęciom.

Uczestnicy zjazdu pochodzili z całego świata, niektórzy byli całkiem dobrze znani w poszczególnych krajach, dlatego czasem mieli i kilkadziesiąt rozmaitych fotografii. Żadna jednak nie przedstawiała kobiety, z którą tata spotkał się w Londynie.

I na odwrót, z mniej więcej połową nazwisk nie łączyło się żadne zdjęcie. Umieścił je więc na specjalnej liście.

Poszukał też centrum kongresowego w Acapulco. Miało własną stronę internetową, na własnym serwerze, który nawet przez chwilę nie oparł się bezpośredniemu atakowi. Hasło dostępu okazało się pozbawione choćby krzty oryginalności, a brzmiało: congress.

Christopher znalazł tam to, czego się spodziewał: bank danych pracowników, łącznie z ich zdjęciami paszportowymi, niezbędnymi do wystawiania przepustek. Umieszczono tam również listę wszystkich byłych pracowników. W ich danych, w pole KONIEC ZATRUDNIENIA wstawiono datę, u innych pozostawiono je puste.

Żadna z pracownic nie przypominała tamtej kobiety.

I co teraz? Christopherowi przyszło więc do głowy, że powinien lepiej przyjrzeć się sponsorom. Możliwe, że firmy, które opłaciły imprezę, wysłały na nią swoich pracowników, chcąc mieć pewność, że pieniądze zostaną wydane rozsądnie. Naturalnie interesowały go głównie pracownice.

Sponsorów było trzech: firma A.D. Winston Cyberware z siedzibą w Krzemowej Dolinie, w San Francisco; firma InCell Pharmaceuticals z Londynu oraz firma Mitsu Care Products z siedzibą w Nagasaki, w Japonii.

Kiedy Christopher starał się dowiedzieć czegoś więcej o tych firmach i dotrzeć do zdjęć ich pracowników, dostrzegł coś, co sprawiło, że w pełni zrozumiał znaczenie słów: „zmrozić krew w żyłach”.

Wszystkie trzy przedsiębiorstwa, bez najmniejszych wątpliwości, stanowiły filie firmy Coherent Technologies z Singapuru, na czele której stali Linus Meany oraz jego partnerka.

**46** | Przez całe dwa tygodnie nieobecności rodziców Christopher nie otrzymał od nich żadnej informacji, wyjąwszy krótki SMS przysłany przez matkę zaraz po przyjeździe.

A potem, nagle, ich auto znowu zatrzymało się na podjeździe.

Z okna sypialni widział, jak rodzice wysiadają, wypakowują walizki, wydobywają klucz od domu. Wszystko odbywało się w ciszy. Nie zamienili ze sobą ani słowa, ani razu na siebie nie spojrzeli. Nie miał jednak wrażenia, by nadal byli skłócenii. W ich ruchach pojawiła się taka zgodność, której nigdy jeszcze nie widział.

Chyba że u Linusa i Ayumi.

Weszli do środka, postawili walizki, przywitali się z synem. Uściski, pospieszne całusy mamy. Wszystko jak trzeba. A jednak zdawało się, że zachowują się i mówią tak, jak jeszcze nigdy przedtem.

– I? – zapytał Christopher. – Jak było?

– Miło – powiedziała matka.

– Przestaliście się kłócić?

– I to jak.

To stanowiło jedyny komentarz. Owszem, zapanowała między nimi harmonia, dawało się to odczuć. Chociaż, mimo wszystko... Czegoś brakowało. Czegoś związanego z radością. Albo przynajmniej z ulgą. Może czegoś takiego jak szczęście? Przypominali partnerów w interesach, którzy po długich sporach doszli do porozumienia korzystnego dla obojga i teraz ściśle trzymali się ustaleń umowy, aby druga strona nie mogła jej wypowiedzieć.

A następnego wieczora oboje długo nie wracali do domu.

Zjawili się tuż przed północą, żadne niczego nie powiedziało. Co zdaniem Christophera byłoby nawet w porządku, gdyby tylko wrócili razem. Przybyli jednak z różnych kierunków. Tata pół godziny po mamie.

Niedługo potem matka dostała nową pracę w londyńskim City, w jednym z największych banków inwestycyjnych świata. Tak po prostu. Wydawało się, że w ogóle jej to nie cieszy. Jak gdyby było to coś zupełnie oczywistego.

Jedzenie przestało mu smakować. Wcześniej wspólne posiłki stanowiły taką małą kulminację dnia. Rozmawiali i śmiali się. Teraz jedli w milczeniu, oczywiście pod warunkiem, że w ogóle jedli razem. Kiedy Christopher próbował zagaić rozmowę, uzyskiwał tylko monosylabowe, nic niemówiące odpowiedzi. W zasadzie to już nie były posiłki, tylko przyswajanie pokarmów.

Później często się zastanawiał, co by się stało, gdyby im wtedy powiedział? Gdyby wyjawiał swoje podejrzenia, że mają coś wspólnego z Linusem oraz jego firmą? Gdyby ich zapytał, czy mają w mózgach chipy? Czy zostali podłączeni? Ale nie zdradził się z podejrzeniami. W ogóle wydawały mu się czymś równym wierze w UFO – czyli niemożliwym. Przemyślał więc na to oczy, nie przyjmował do wiadomości.

Aż pewnego dnia do rodziców przyszli goście. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Cztery osoby, których Christopher nigdy wcześniej nie widział.

Na czole taty pojawiły się perełki potu. Potem Christopher często o nich myślał. O tych małych, błyszczących kropkach potu na czole ojca.

W gruncie rzeczy wtedy już właściwie wiedział, co za chwilę się wydarzy.

Dwóch mężczyzn od razu stanęło za Christopherem, odcinając mu drogę ucieczki. Sposób, w jaki to zrobili, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że nie pozwolą się wyminąć. Trzeci mężczyzna trzymał torbę, jakiej zwykle używają lekarze. Postawił ją na stole, otworzył i wyjął szeroki skórzany pasek, a także dziwaczne urządzenie przypominające ściągę stolarskie. Potem jeszcze jakiś błyszczący chromem instrument, wyglądający jak pistolet o długiej, cienkiej niczym słomka lufie.

– Christopherze – oznajmił mechanicznie spokojnym głosem – teraz przeprowadzimy na tobie drobny zabieg chirurgiczny. To dla twojego dobra, o czym się przekonasz. Nie będzie bolało. Pod warunkiem, że nie będziesz się opierał.

**47** | Chciał krzyczeć, chciał uciekać, chciał się rzucić, przynajmniej spróbować uciec, jednak obaj mężczyźni już go chwycili i trzymali mocno. Krzyku jednak nie utrudniali. Pozwolili wywrzeszczyć płuca, miotać przekleństwami, obelgami, wzywać pomocy.

Krzyczał nawet: „Pali się, pali!”, bo przecież na to sąsiedzi już musieli zareagować, nawet ci, którzy dotąd udawali, że niczego nie słyszą. Prawda?

Jednak nikt go nie usłyszał. Sąsiednie domy były za daleko.

W końcu za Christopherem stanęła kobieta i przytknęła mu do szyi zimny cylinder pistoletowej strzykawki. Syknęło, coś przedostało się do krwiobiegu, całkowicie pozbawiając go siły. Umilkł.

– Odpręż się – powiedziała beznamiętnie matka. – Wkrótce zrozumiesz.

Christopher chciał coś odpowiedzieć, na przykład, że wcale mu nie zależy, aby cokolwiek zrozumieć, jednak czuł się teraz zmęczony, potwornie zmęczony. Gdyby nie podtrzymywali go tamci dwaj mężczyźni, po prostu osunąłby się na podłogę. Kolana miał jak z waty. Co prawda nie miał pojęcia, jak to jest mieć kolana z waty, uznał jednak, że z pewnością to coś takiego. Z nieszczerogólnym zainteresowaniem przyglądał się, jak ojciec przykręca do ramy drzwi salonu, na wysokości głowy, jakąś półeczkę. Założył tam skórzany pas. Potem obaj mężczyźni ustawili chłopca plecami do półeczki tak, by potylica znalazła się dokładnie na niej. Ojciec założył mu jeszcze rzemień na czoło i zacisnął tak mocno, że Christopher nie mógł nawet drgnąć.

Oczywiście nie mógł się także położyć. Nie mógł również upaść. „Mądrze wymyślane” – pomyślał leniwie.

Trzeci mężczyzna nałożył mu na łydki jakieś klamry. Nie widział ich, tylko je poczuł. Klamry były w jakiś sposób przymocowane do framugi.

Obaj mężczyźni nadal go podpierali, ponadto każdy mocno trzymał go za ramię. „Jaka paskudna pozycja” – pomyślał. „Człowiek czuje się taki bezbronny”.

W polu widzenia pojawiła się kobieta. Małą latareczką zaświeciła mu w oczy, na chwilę unosząc każdą z powiek, niczym lekarka przeprowadzająca badanie. Ale przecież w ogóle nie wyglądała na lekarkę, przypominała raczej koleżankę mamy z wydziału inwestycji. Przyłożyła Christopherowi owi palce do szyi – ale po co? Czyżby chciała sprawdzić puls? Dziwne.

Dziwne też, że wszystko przebiegało w całkowitym milczeniu. Nikt nie wydawał poleceń, nie wymieniano spojrzeń, nie dawano znaków dłońmi. Zupełnie nic. Wydawało się, że każdy dokładnie wie, co ma robić.

Kobieta wyjęła niewielki pojemnik ze sprejem, do którego przymocowano długą, cienką rurkę. Wetknęła mu ją w nos, coś zasyczało, rozszedł się chemiczny zapach, a w nosie poczuł przejmujące zimno. Zaraz potem gardło, podniebienie, całe wnętrze głowy zdrętwiało, Christopher miał wrażenie, jakby w ogóle zniknęły.

Bardzo dziwne. Gdyby nie te miękkie kolana... Miał wrażenie, że w pozycji wyprostowanej utrzymuje go jedynie ten pasek na głowie.

Kobieta gdzieś zniknęła, a w polu widzenia pojawił się tata. Tata, który miał pot na czole. Tata, któremu nieznacznie drżały powieki.

– Zaraz usłyszysz w głowie nieprzyjemny dźwięk – wyjaśnił spokojnie. Trzymał w dłoni dziwne, pobłyskujące chromem urządzenie oraz małe pudełeczko, jakich zwykle używa się do przechowywania obrączek albo pierścionków. – Dźwięk pojawi się dlatego, że będziemy musieli wywiercić małą dziurkę w tylnej ścianie twojej jamy nosowej, aby dotrzeć do właściwego miejsca. – Otworzył pudełeczko. Wewnątrz leżały dwa małe przedmioty z metalu, owalne, mniej więcej wielkości połowy paznokcia, osłonięte warstwą szarzielonej galarety. – Dźwięk przenosi się po kości, od razu do ucha, dlatego wyda się bardzo głośny, w rzeczywistości jednak, to niegroźny zabieg, często przeprowadzany przez laryngologa. Otwór zarosnie w ciągu kilku dni, bo nawet kości odrastają.

– Wybrał jeden z chipów, umieścił go w komorze nad uchwytem przypominającego pistolet urządzenia. – Najlepiej, abyś w ogóle nie zwracał na to uwagi. Odpręż się. To nie zaboli.

Podał instrument trzeciemu z mężczyzn. Ten ujął go pewnym, wyćwiczonym chwytem, podszedł do Christophera, wolną dłoń położył mu na brodzie i wprowadzał w nozdrze długi, cienki pręt tak długo, aż końcówka natrafiła na przeszkodę. Christopher usłyszał odgłos – głucho „plop” – niczego jednak nie poczuł. Wszystko działo się w odrętwiałej części głowy.

Mężczyzna nacisnął spust urządzenia, coś się zatrzasnęło, coś zawarczało, poruszyło się, a w głowie Christophera pojawił się dźwięk, jakby właśnie zapadł się regał pełen kości dinozaurów. Jednocześnie odniósł wrażenie, że wpycha się w niego coś zimnego, ciężkiego, masywnego, coś, co dokładnie wie, dokąd zmierza. Chociaż to mogło być jedynie złudzenie. Przecież nie mogli wetknąć mu chipa taką małą rurką, prawda?

Mężczyzna wyjął instrument. Ostatnie dwa centymetry cienkiej lufy były usmarowane krwią.

Christopher czuł również smak krwi ściekającej mu po podniebieniu: ciepłej, metalicznej, lepkiej. Ciekła dosyć gwałtownie. Kolana całkiem się pod nim ugięły. Wreszcie mógł zapaść się w sobie, unosił się i odpływał, gdzieś we wzbierającą wokół czern.

Jednak w tej ciemności było straszliwie głośno.

„Witamy” – zawołały tysiące głosów, a ich chór odbijał się echem. „My... my... my...”.

Spał, śnił, leciał, działał, pływał, gotował, składał maszyny, liczył pieniądze, podpisywał listy, instalował kable, wchodził i schodził po schodach, wchodził i schodził.

Co to było?

„Paczkę trzeba wysłać do Liverpoolu. Najlepiej będzie, jak pieniądze przekażę już

dzisiaj. Jakie jest hasło? Motyl”.

Christopher zgiął się w pół, przetoczył, schował głowę w ramionach. Co to było?  
„Witamy... my... my... my...”.

Leżał w swoim łóżku. Czy to wszystko tylko mu się śniło? Ale bolała go głowa, bolało podniebienie, gdzieś głęboko w ustach czuł smak krwi.

„Przybędzie na konferencję. Przylot o godzinie czternastej pięć, z Birmingham. Odbiorę go. W hotelu jest już zarezerwowany odpowiedni pokój. Zasłony – zasunę je. Iniektor, lekarstwa, imadło, implant – wszystko gotowe. Organizatorom konferencji powiem, że zachorował i jego referat wypadnie. Zmienię plan dyżurów w hotelu tak, żeby nikt nie przeszkodził”.

Co to było? Co to za myśli przepływały mu przez umysł? Obce myśli. Nienależące do niego. Nie miał żadnego powodu, aby coś takiego pomyśleć. W ogóle nie rozumiał, co takie myśli oznaczały.

„Ucieka. Złap ją na klatce schodowej. To ona. Chwyć ją. Dobrze. Krzyczy. Nieważne, mam dyżur w pogotowiu policyjnym, wyślę tam sam siebie. Wchodzę na górę, po hotelowych schodach, rozmawiam z ludźmi, uspokajam ich. Wierzą mi. Aresztuję sam siebie, wszyscy czują ulgę. Ona ma już implant, leży ogarnięta pierwszym szokiem, z jej strony nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Witamy... my... my... my...”.

To nie były jego myśli. Czyli że to ich myśli. Ileż było tych myśli, takich silnych, tak natarczywych! Przetaczały się po nim jak fale wzburzonego oceanu, przewalały, porywały ze sobą.

„Witamy... my... my... my...”.

Chór tysięcy głosów. Nie, mylił się, to nie był chór dźwięków. Chór myśli, uczuć, ostrzeżeń.

Ciemność się rozpierchła. Otworzył oczy i...

...zobaczył ruch uliczny na Trafalgar Square, kobiety i mężczyzn siedzących wzdłuż ogromnego stołu konferencyjnego, w lustrze jakąś obcą twarz, którą ktoś golił, chińską gazetę, z której rozumiał każde słowo, próbówkę, do której spadały z pipety krople przejrzyste jak woda. Ujrzał pociąg wjeżdżający na trzeci peron Victoria Station, dłoń wypisującą czek na sto pięćdziesiąt sześć tysięcy funtów, swoją matkę siedzącą w salonie.

Swoją matkę! Teraz zrozumiał. Rodzice mieli chipy, nie byli już sobą, należeli do nich.

„Witamy... my... my... my... my... my... my...”.

Teraz on też należał.

On także.

Także.

Christopher. Mam na imię Christopher.

„Witamy... my... my...”.

Imię. Jakie imię? Co to jest imię?

„Witamy... my... my...”.

Coś w nim pękło. Pękło i rozprzestrzeniło się. Nagle przestał być jeden, stał się wieloma. Już nie był Christopherem, lecz wszystkimi. Widział jednocześnie cały świat, robił wszystko jednocześnie, jednocześnie spał i czuwał, jadł, pił, prowadził samochód, sterował samolotem, decydował o budżetach, prawach, nowych budowach, spadkach, karach, zakupach, sprzedaży – wszystko naraz.

Trochę ciężko było zajmować się wszystkim jednocześnie. Chyba że było się wszystkimi, miało się w sobie wszystkich i mogło się zapomnieć, że kiedyś nosiło się imię Christopher.

A za tym wszystkim, czym teraz był, znajdowały się sieci, dane, systemy. Widział liczby na kontach, słyszał rozmowy telefoniczne, znał wszystkie mapy, plany budowy, listy nazwisk, rezerwacje lotów, artykuły prasowe, wszystko jednocześnie, jeśli tylko zechciał.

„Witamy... my... my...”.

Dlaczego więc nagle uznał, że należeć do nich jest tak bardzo źle?

„Witamy... my... my...”.

Nadal wiedział, że jest Christopherem Kiddem. W każdym razie przeważnie wiedział, czasem o tym zapominał, stapiał się z olbrzymią wspólną duszą, myśląc zgodnie z pulsem koherentnych myśli i rozumiejąc, czego od niego oczekiwano.

„Witamy... my... my...”.

Ale zaraz potem znowu był sobą, jak gdyby utknął gdzieś w środku, zaczepił się o coś, co wybiło go z rytmu, i nagle znowu wiedział, że jest Christopherem Kiddem, że leży w ciemnym pokoju, skąd wydobędzie się, dopiero gdy zacznie „funkcjonować”.

I że uparł się, iż wcale nie będzie „funkcjonować”. Próbował dociec, co go powstrzymywało, nie pozwalało płynąć z ogromnym prądem obcych myśli. Głowił się nad tym całymi dniami. A gdy wreszcie zrozumiał, o co chodzi, nie potrafił powstrzymać uśmiechu, czym zdziwił Koherencję, bo ona się nie śmiała. W ogóle nie wiedziała, czym jest śmiech.

Powstrzymywało go nic innego tylko sam chip!

Christopher stopniowo pojmował, że posiadał jedyny w swoim rodzaju dar. Potrafił oszukać chip i w ten sposób kontrolować połączenie z Koherencją. Stał się z nią związany, stanowił jej element, ale jednocześnie mógł, wraz z częścią własnych myśli, wycofać się za ochronny mur, niewidoczny dla niej i nieosiągalny.

Jak na razie.

Pomimo potężnej siły przyciągania Koherencji zdołał pozostać sobą, przeciwstawić się rozproszeniu duszy.

Jak na razie.

A potem, kiedy przewędrował połączeniami tam i z powrotem cichymi, powolnymi



myślami i obmacał już każdy zakamarek, upewnił się, że potrafi coś, czego nie przewidziały części składowe Koherencji: całkowicie się rozłączyć, kiedy tylko zechce. Kiedy tylko chciał, mógł myślowym poleceniem odciąć się od Pola i uciszyć chip.

Ale co do jednego nie miał wątpliwości – gdy to zrobi, natychmiast zaczną na niego polować.

**48** | Zadaniem Christophera w Koherencji było włamywanie się do wszystkich możliwych systemów komputerowych i niepostrzeżone przeprowadzanie transakcji na korzyść grupy – co dokładnie odpowiadało jego uzdolnieniom. Teraz, kiedy miał dostęp do wiedzy tysięcy innych osób, zdawało się to nawet łatwiejsze niż do tej pory. Nie zajmował się prawie niczym innym, a od kiedy chip pozwalał na bezpośrednie połączenie z Polem, nie potrzebował również klawiatury. Siedział w szkole, patrząc na nauczyciela, wcale go jednak nie słuchał, tylko pędził myślami poprzez Internet, przyglądał się serwerowi na drugim krańcu świata, sprawdzał jego zabezpieczenia, szukał luk, możliwości przeprowadzenia ataku, miejsc dostępu. Kiedy nauczyciel zadawał mu jakieś pytanie – co zdarzało się rzadko – wystarczała jedna myśl, by przywołać wspomnienia innego członka Koherencji i udzielić prawidłowej odpowiedzi.

Kiedy należało się do Koherencji, szkoła stawała się niepotrzebna. Nie trzeba się było uczyć, bo wiedziało się wszystko, co wiedziała Koherencja. Christopher przychodził na lekcje tylko dlatego, że Koherencja dbała o kamuflaż, o to, by pozostać nierozpoznana, nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego wszyscy członkowie nie rezygnowali z dotychczasowej pracy oraz zajęć, na zewnątrz prowadzili całkiem normalne życie. Wszystko dla niepoznaki.

Christopher jednak ukrywał się nie tylko przed innymi uczniami i sąsiadami, lecz również przed samą Koherencją. Za swoim niewidzialnym murem rozmyślał, co mógłby zrobić. Powoli i ostrożnie układał plan.

Nie było to łatwe. Wszystkie takie myśli musiały pozostać ciche i słabe, a przygotowania prowadzone tak, by absolutnie nie zwracać niczyjej uwagi. Przy tym wszystkim zachowanie odpowiedniej kontroli nad chipem stanowiło zajęcie tak ciężkie, jak utrzymanie puddingu w dłoniach.

I co najważniejsze, należało wyczekiwać odpowiedniej chwili.

Chętnie czekałby cierpliwie, gdyby nie czuł, jak z każdym dniem słabnie jego opór, jak zbiera pokusa, aby się poddać i przyłączyć do potężnej jedności Koherencji. Zawsze, kiedy dzięki skupionej sile Koherencji odnosił triumf nad jakimś zakazem dostępu, przez chwilę myślał, że przecież czegoś takiego zawsze szukał. I że teraz posiadał taką władzę nad systemem, o jakiej zawsze marzył i której sam nigdy by sobie nie zapewnił. Po co więc uciekać? Po co stawiać opór? Czy to nie dziecinne, głupie, naiwne, tak upierać się przy pozostawaniu sobą – Christopherem Kiddem – podczas gdy wystarczy udzielić ostatecznego przyzwolenia, by nie tylko wejść do Koherencji, ale również tak naprawdę się nią stać, kimś tysiąckroć większym i inteligentniejszym, niżby był, gdyby działał samotnie?

Takie myśli zawsze pojawiały się, gdy triumfował nad jakimś systemem, i za każdym razem były coraz bardziej natarczywe. W zaciszu swojego schronienia potrafił godzinami rozmyślać tylko o tym. „Po co ten wysiłek? Po co ten wysiłek?”. I coraz częściej bliski był tego, aby po prostu obalić mur i ostatecznie zjednoczyć się

z Koherencją. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dotąd tego nie zrobił. „Jeszcze nie teraz” – powtarzał sobie. „Jeszcze poczekam”.

Ale na co?

Nic dziwnego, że o mały włos przegapiłby odpowiednią chwilę do działania.

Codziennie bywał w Londynie. Uczniowie z jego rocznika musieli wziąć udział w teście kwalifikacyjnym do przyszłego zawodu, a chociaż dla Christophera oraz Koherencji ten sprawdzian nie miał znaczenia, wziął w nim udział, inaczej niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę. Wracał już do domu, stał na stacji metra i przyglądał się rozkładowi, czekając na najbliższy pociąg, gdy nagle przyszło mu do głowy: to właśnie teraz. Teraz jest ta chwila, na którą czekał.

Czy ma z niej skorzystać? Wahał się sekundę – sekundę, w trakcie której stało się dla niego jasne, że właśnie to wahanie zmusza go teraz do podjęcia szybkiej decyzji. Wiążące się z nim sprzeczne uczucia, rozdarcie między impulsem skłaniającym do działania a lękiem przed tym działaniem stało się zbyt silne, aby Christopher zdołał je ukryć. Koherencja zauważyła, że coś się z nim dzieje.

Czyli że nie pozostał mu żaden wybór. W chwili gdy pociąg wjeżdżał na stację, wyłączył chip.

Pociąg się zatrzymał. Drzwi się otworzyły. Przepychając się, z pociągu wyszli ludzie, otoczyli go. Telefonowali, rozmawiali, robili poważne miny, cieszyli się. Christopher wsiadł. Trzymał się blisko drzwi i mocno ścisnął uchwyt.

Cisza dźwięcząca w jego głowie była prawie nie do zniesienia.

Tego nie wziął pod uwagę. Kręciło mu się w głowie. Czy właśnie tak czuje się pijany człowiek? Miał wrażenie, że się kurczy, w jednym miejscu ścisną go jakiś sznur. Nie słyszał nic oprócz wszechogarniającego dźwięczenia, które go opływało, ogarniało, rozbrzmiewając echem. Jego myśli nagle stały się ślamazarne, ciężkie, przychodziły z trudem. Jednak teraz musiał myśleć, musiał przypomnieć sobie wszystkie szczegóły opracowanego planu.

Gdy milkł jakiś chip, Koherencja zakładała, że jego nosiciel zmarł. Przy takiej liczbie członków podobne rzeczy się zdarzały i nie stanowiły niczego niepokojącego, każdy jednak zgon starannie badano, zwłaszcza nagły. Koherencja prowadziła wtedy śledztwo tak długo, aż uzyskała całkowitą wiedzę na temat okoliczności i sposobu odejścia nosiciela chipa. Przede wszystkim chodziło o upewnienie się, że śmierć nie była efektem wrogiego ataku. Bo wtedy należało podjąć odpowiednie środki bezpieczeństwa.

Właśnie dlatego Koherencja na pewno już zaczęła sprawdzać okoliczności zniknięcia Christophera. Dziesiątki jej członków rzucały wszystko i ruszały w drogę: na stację metra, gdzie ucichł sygnał Christophera, na inne stacje, do posterunków policji, do szpitali, aby dowiedzieć się, czy doszło do jakiegoś wypadku albo przestępstwa. Jednocześnie Koherencja przeczesywała Internet, szukając informacji, przeglądając zapisy z kamer, podsłuchując wymianę informacji między policją

a tajnymi służbami oraz stawiając wszystkie istniejące systemy w stan gotowości, tak długo, póki się nie dowie – a przypuszczalnie już się dowiedziała – że Christopher nie umarł, tylko zniknął.

Jego jedyną przewagą stanowiło to, że pamiętał, gdzie stały kamery i co pokazywały, a także gdzie – tuż przed tym, jak zerwał połączenie z Koherencją – znajdowali się jej członkowie. Dzięki temu mógł mieć nadzieję, że żadnemu z nich nie wpadnie prosto w objęcia.

Zawroty głowy stopniowo słabły, chociaż mózg Christophera w dalszym ciągu zachowywał się jak otępiały. Przesiadł się na kolejnej stacji, unikając przy tym kamer na tyle, na ile zdołał. Dopiero kiedy znalazł się już w następnym pociągu, zauważył, że cały czas wstrzymywał oddech. Przez chwilę czuł bardzo silną pokusę, aby znowu podłączyć się do Pola, tylko tak na kilka króciutkich sekund, tylko by sprawdzić, co się dzieje.

Oczywiście nie mógł tego zrobić, w żadnym wypadku. Nie dość, że Koherencja od razu wpadłaby na jego trop, to przy takim kontakcie z pewnością natychmiast uczyniłaby wszystko, co tylko w jej mocy, aby go na nowo do siebie przyłączyć. To, czy jego zaporę wytrzymałaby podobny atak, było co najmniej wątpliwe.

Przystanek Knightsbridge, dzielnica Belgravia. Wysiadł, ruchomymi schodami wydostał się na powierzchnię i spróbował zorientować się, gdzie teraz jest. Znowu musiał odeprzeć impuls nakazujący rzut oka na mapę z Google.

Kręcił się w kółko przez jedną cenną godzinę, aż wreszcie stanął pod budynkiem, którego szukał.

Gmach był duży, zdobiony, otoczony starymi drzewami i czarnym kutym ogrodzeniem. Dach ponad schodami prowadzącymi do wejścia podpierały imponujące kolumny. Oczywiście wokół roilo się od kamer. Nie należały jednak do państwowego systemu monitoringu, lecz do systemu bezpieczeństwa posiadłości. Christopher wiedział, że Koherencja nie ma do nich żadnego dostępu. Możliwe, że w ogóle nie łączyły się z niczym na zewnątrz. I w tym właśnie pokładał nadzieję.

Chociaż teraz, kiedy stał tutaj, po drugiej stronie ulicy i czuł się taki samotny i bezbronny w obliczu posępnego budynku, musiał wziąć głęboki oddech. Czy mu się uda? Nagle przestał być już taki pewien, jak przez te wszystkie poprzednie tygodnie, w trakcie których układał plan.

Ale co to da? Mógł spróbować tylko raz. Przypuszczalnie w kieszeni nie miał tyle pieniędzy, by kupić nawet bilet do metra. Musiałby zapłacić kartą – albo odciskiem palca, co ostatnio było w modzie – a to stanowiłoby kres jego ucieczki z Koherencji.

Nie mógł pozwolić sobie na wątpliwości, nic nie da zastanawianie się nad szansami. Musiało mu się udać, po prostu nie było innego wyjścia.

**49** | Przeszedł na drugą stronę ulicy, wspiął się po schodach z bardzo starego marmuru, otworzył ciężkie dębowe drzwi i wszedł do strzeżonej sieni. Za taflą pancernego szkła siedział strażnik pogrążony w lekturze gazety.

Christopher zbliżył się do mikrofonu.

– Dzień dobry.

Zero reakcji. Zrobił się niewidzialny czy co?

Spróbował jeszcze raz.

Mężczyzna, łysiejący, o barkach szerokich jak u podstarzałego ciężarowca, nawet nie uniósł głowy.

– Czego chcesz?

– Chcę rozmawiać z Mr. Brysonem – oznajmił Christopher.

Teraz strażnik uniósł głowę z uśmiechem pełnym niedowierzania.

– Ach, tak. Czy coś jeszcze?

– Nie, to wszystko.

Uśmiech ustąpił miejsca wyraźnemu zirytowaniu.

– No to słuchaj, chłopcze. W związku z tym, że zakładam, iż nie masz żadnego umówionego spotkania z Mr. Brysonem, radzę ci, żebyś po prostu sobie poszedł, szybko i nie zwracając na siebie uwagi. W porządku?

– A ja panu radzę, aby pan natychmiast zadzwonił do Mr. Brysona i powiedział mu, że chce z nim porozmawiać Computer Kid – odparł Christopher. – Przekona się pan, że spotkanie okaże się możliwe, nawet jeśli nie zostało wcześniej umówione.

Strażnik zmrużył oczy.

– Mr. Brysona nie ma – oznajmił. – Wyjechał na zdjęcia do Maroka.

Na szczęście Christopher wiedział lepiej.

– Mr. Bryson wczoraj po południu, o godzinie szesnastej trzydzieści sześć, przeszedł odprawę na lotnisku Heathrow. Sądzę, że jest tutaj.

Mężczyzna zdziwił się, jednak w dalszym ciągu nie wyglądało na to, aby miał zamiar ruszyć się z miejsca. Christopher wziął więc głęboki oddech i dodał:

– Mogę sam do niego zadzwonić. Ale jeżeli będę musiał to zrobić, straci pan pracę. To akurat mogę panu obiecać.

Blefował, bo od kiedy miał chip, nie nosił przy sobie komórki. Ale przecież ten facet nie mógł o tym wiedzieć.

Strażnik wcisnął guzik, otwierając drzwi do holu.

– No dobra. Wchodź. Zadzwonię do niego. Ale jeśli mnie nabrałeś, to cię stłukę na kwaśne jabłko, masz to jak w banku.

– Zaryzykuję – odparł Christopher, udając bardziej pewnego siebie, niż był w rzeczywistości.

Nie stłuczono go na kwaśne jabłko. Zamiast tego niedługo potem jakiś inny, bardziej przyjazny i drobniejszej postury pracownik ochrony poprowadził go po wysokich schodach i długim korytarzem aż do gabinetu Brysona. W każdym razie do

miejsca, które ten niezwykły przedsiębiorca uważał za swój gabinet.

Było to olbrzymie zadane pomieszczenie, gdzie bez problemu dałoby się zagrać w badminton albo coś w tym rodzaju – oczywiście pod warunkiem, że wszędzie nie stałyby donice z tropikalnymi roślinami. Jednak przypuszczalnie bez nich fantastyczny widok na dachy Londynu, rozpościerający się za ogromnymi oknami wychodzącymi na cztery strony świata, zanadto rozpraszałby pracującego tutaj człowieka.

W gabinecie nie stało żadne biurko. Sir Richard Bryson siedział na śnieżnobiałym okrągłym dywanie na drugim krańcu pomieszczenia, wokół siebie miał porozkładane stosy papierów, dwie komórki, a na kolanach gruby, zabazgrany notatnik. I tylko tego potrzebował, by zarządzać ekonomicznym imperium, i to na tak różnych polach, jak handel rzadkimi metalami, sieci restauracji, różne hotele, a także wytwórnia filmowa, której zawdzięczał sławę.

– Computer Kid! – powitał Christophera szpakowaty mężczyzna, dzięki szpiczastej bródce i skórzanej kurtce mający w sobie coś z pirata. – To poniekąd zaszczyt. Chodź, siadaj obok. Czego chcesz? Mam nadzieję, że tego, abym sfilmował twoje życie. – Potem zwrócił się do strażnika. – Dziękuję, może pan odejść.

Christopher rozsiadł się na dywanie obok Brysona, jednak milczał. Strażnik wciąż jeszcze nie wyszedł.

– A zatem? – zagadnął Bryson, kiedy drzwi już się zamknęły.

– Muszę uciekać z kraju – oznajmił Christopher. – Najszybciej, jak się da.

Wyraziste brwi przedsiębiorcy powędrowały w górę.

– Uciekać z kraju? To wszystko? Co w takim razie przeszkrobałeś?

– Nic.

Bryson zdziwił się i uśmiechnął się szeroko.

– Dobra. Przyznaję, głupie pytanie. Dokąd chcesz ruszać?

– Do Meksyku. Chciałbym pana prosić, żeby mnie przemycił na pokład swojego odrzutowca i zabrał do miasta Meksyk – wyjaśnił Christopher.

Po twarzy Brysona widać było, że się nad tym zastanawia.

– Czy wiesz, że taki lot wcale nie jest tani? Nie wspominając już o wiążącym się z tym naruszeniem prawa. Dlatego muszę zadać pytanie – a co ja z tego będę miał? Czy wreszcie zgodę na film? To wtedy, z tymi miliardami, było bardzo miłe z twojej strony, ale szczerze mówiąc, za późno przyszło mi do głowy, aby wydać coś z tamtych pieniędzy. – Uśmiechnął się przelotnie. – Chętnie bym powiedział, że to dlatego, iż ich nie zauważyłem wśród tych wszystkich innych moich miliardów, ale szczerze mówiąc, księgowość nie jest moją mocną stroną.

Christopher złożył dłonie.

– Nie będzie filmu. Ale dostanie pan ode mnie zestawienie pokazujące, którzy pracownicy pana oszukują, korzystając ze sfingowanych rachunków i fikcyjnych firm – oznajmił. – Lista ma dwie strony. Przekażę ją panu, gdy tylko znajdziemy się

w Meksyku.

Dobry humor Brysona natychmiast się ulotnił.

– To ciężkie oskarżenia!

– Zgadza się. Spiszę panu wysokość odprowadzanych sum oraz wykorzystywane konta.

– A gdzie obecnie znajduje się ta lista?

Christopher postukał się po skroni.

– Tutaj.

Sir Richard Bryson w zamyśleniu przyglądał mu się przez chwilę, potem westchnął.

– A nie wolałbyś może zostać i dostać jakiejś dobrej posady w moim koncernie?

– Może innym razem – odparł Christopher uprzejmie.

Sir Richard Bryson nie należał do osób, które długo się wahają, jeżeli już raz podjęły decyzję. Chwycił jeden telefonów i wybrał numer.

– To ja. Terry, możesz mi przygotować odrzutowiec do lotu do Meksyku? Tak szybko, jak się da. I jeszcze... podejmijcie wszystkie konieczne środki, żebym mógł dyskretnie zabrać na pokład pewnego szczególnego gościa, dobrze?

Dwie godziny później byli już nad Atlantykiem. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem powszechnych sieci komunikacyjnych, Christopher poczuł, jak zmniejsza się napór na łącze w jego głowie, ciśnienie, którego aż do teraz w ogóle nie był świadomy. Po raz pierwszy odważył się mieć nadzieję, że może mu się udać.

**50** | Christopher rozejrzał się wokół. Musiał zamrunąć, oczy piekły go od dymu z ogniska. Tak, na pewno od dymu.

Która godzina? Chyba jakaś trzecia w nocy. Jednak z tego, co zauważył, nikt ze słuchaczy nie odszedł. Wszyscy siedzieli i wpatrywali się w niego, a na ich twarzach widział szok, niedowierzanie, wręcz odrazę, we wszystkich możliwych odcieniach. Panowała cisza tak głęboka, że dałoby się w niej utonąć.

Christopher chętnie by się teraz czegoś mocno chwycił, ale niczego takiego nie było.

Już dłużej nie mógł.

Chociaż wreszcie miał już to za sobą. Przynajmniej o wszystkim opowiedział. Nareszcie.

Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Serenity. W blasku ognia oczy dziewczyny wydawały się ogromne, smolście czarne. Christopher znalazł w nich coś, czego w ogóle nie rozumiał. Były tam odraza i strach, ale poza tym jeszcze coś... Wreszcie pojął co. Współczucie.

Jako pierwszy odezwał się Jones. Chrząknął kilkakrotnie, jak gdyby chciał sprawdzić głos.

– Teraz już lepiej rozumiemy – oznajmił zamyślony – skąd wzięłeś informacje przekazane Brysonowi. Czy może chodziło o coś innego?

– Chodziło właśnie o to – powiedział Christopher. – Wszyscy ludzie, których nazwiska przekazałem mu po wylądowaniu w Meksyku, byli Upgraderami. Dopóki sam stanowiłem część Koherencji, także byłem Upgraderem. Wiedziałem, co robią, jak to robią, dlaczego to robią. Musiałem tylko sobie przypomnieć, to wszystko.

Jones przytaknął.

– I stąd też wiedziałeś, że Richard Bryson nie należy do Koherencji.

– Właśnie tak.

– Co, szczerze mówiąc, zaskakuje mnie. Czy ktoś taki jak on nie byłby znacznie przydatniejszy do realizacji celów tego... związku mózgów?

Christopher potarł się po karku.

– Koherencja, przynajmniej dopóki byłem jej częścią, trzymała się strategii polegającej na tym, aby najpierw przejąć otoczenie jakiejś ważnej figury, a dopiero na koniec ją samą.

Czuł się zmęczony, tak bardzo zmęczony. Najchętniej po prostu położyłby się na ziemi, zwinął w kłębek i zasnął. Przecież opowiedział już wszystko. Czy jeszcze mu nie wierzą?

– Po wszczępieniu chipa trzeba przez jakiś tydzień przebywać w izolacji i pod obserwacją, dopóki chip nie zestroi się z Koherencją. U niektórych ludzi wcale nie jest z tym tak łatwo.

Doktor Connery uniósł rękę.

– Ilu członków ma Koherencja?



– W dzień, w którym się rozłączyłem, miała pięćdziesiąt tysięcy. Dokładnie to pięćdziesiąt trzy tysiące czterysta dwanaście, ale wcale nie chciałem wiedzieć tego aż tak dokładnie. W chwili przedwczorajszego kontaktu liczyła ponad sto tysięcy.

Doktor Connery uniósł brwi.

– To rzeczywiście sporo.

– Tendencja rosnąca – ktoś podsumował.

Christopher uniósł głowę, rozejrzył się wokół. Nie. Jeszcze tego nie zrozumieli.

Przecież jeszcze nie wszystko zostało powiedziane.

Odchrząknął.

– Obawiam się, że źle pan ocenia potencjał Koherencji. I to, w co może się rozwinąć.

Jeremiah Jones potrząsnął głową.

– Och, nie sądzę. Właśnie się zastanawiałem, ilu członków może mieć organizacja taka jak mafia. Na pewno jest ich mniej więcej tak samo dużo. Gdy się teraz pomyśli, że w porównaniu z nią Koherencja jest zdecydowanie lepiej zorganizowana, to widać, że...

– Nie – przerwał mu Christopher. – Jeszcze pan tego nie rozumiał.

Jones ewidentnie nie przywykł, by zwracano się do niego w taki sposób. Skrzywił się i odpowiedział zirytowany:

– To może nam wytłumacz.

Christopher pożałował swojego ostrego tonu. Zachował się nieuprzejmie i głupio. Przecież jest zdany na łaskę tego człowieka.

– Chciałbym coś dla pana przeliczyć – zaczął tak delikatnie, jak tylko potrafił. – To jedynie teoretyczne rachunki, jednak sądzę, że pokazują, jak będzie przebiegał dalszy rozwój.

Wszyscy patrzyli na niego w napięciu. Przygotował sobie odpowiednie liczby, zwykłe liczenie w pamięci.

– Załóżmy, że na początku są tylko dwaj ludzie połączeni bezpośrednio łączem umieszczonym w mózgu. Tylko dwie osoby tworzące najmniejszą możliwą koherencję. Tym dwóm osobom udaje się wszczepić implant komuś trzeciemu. Potem mija tydzień i ten człowiek staje się funkcjonującą częścią Koherencji – przeciętnie tydzień, co należy podkreślić. Dopóki Koherencja nie ma jeszcze wielu nowych członków, trwa to dłużej, a im jest większa, tym szybsze jest dostrajanie się przyłączonych mózgów.

– Tak, to już rozumiemy – oznajmił doktor Connery. – Do czego zmierzasz?

Christopher pochylił się do przodu, oparł łokcie o uda.

– Załóżmy, że już istnieje ta najmniejsza Koherencja i ma na celu możliwie jak najszybszy wzrost. Co się wtedy stanie? Potrzebowałiby tak ze dwóch tygodni, aby przyjąć dwóch nowych członków. Ci nowi członkowie, co ważne, zaraz po dostrojeniu są gotowi do akcji. Nie potrzebują żadnego wykształcenia, nie muszą się

przyzwyczajając, nic z tych rzeczy. Mogą czerpać bezpośrednio z doświadczeń oraz wiedzy pozostałych, dysponują już wszystkimi umiejętnościami, które inni dopiero muszą sobie przyswajać. Mogą też od razu przyjmować nowych członków.

– Och – wyrwało się komuś.

– Po kolejnych dwóch tygodniach, czyli w sumie po czterech, Koherencja ma już osiem osób. Po sześciu tygodniach szesnaście. Po ośmiu tygodniach trzydzieści dwie. I tak dalej.

Wpatrywali się w niego. Na niektórych twarzach malowała się groza wynikająca ze zrozumienia tempa rozwoju. Jednak nie na wszystkich.

– Osiem tygodni to prawie dwa miesiące – odezwał się ktoś. – Skoro tak długo trwa przyjęcie trzydziestu dwóch członków, to ta Koherencja musi istnieć już od dłuższego czasu. A może się mylę?

– Wallace, obawiam się, że się mylisz – cicho powiedział Jeremiah Jones. – Obawiam się, że dalej to idzie tak jak w słynnej opowieści o ryżu i szachownicy. Szkoda, że nie mam pod ręką kieszonkowego kalkulatora...

– Po szesnastu tygodniach byłoby pięciuset dwunastu członków, po dwudziestu sześciu tygodniach, czyli połowie roku, już szesnaście tysięcy trzystu osiemdziesięciu czterech członków – wyliczał Christopher. – Po roku, czyli po pięćdziesięciu dwóch tygodniach, byłoby ich już, tak szacując, sto trzydzieści cztery miliony. Sześć tygodni później ponad miliard, a po roku i dziesięciu tygodniach liczba ewentualnych członków przewyższyłaby liczbę mieszkańców Ziemi. Innymi słowy, wszyscy ludzie należeliby do Koherencji.

Wydało się, że zgromadzeni wokół ogniska nieświadomie wstrzymali oddech.

– Po roku i dziesięciu tygodniach? – wykrztusił wreszcie jeden z młodszych mężczyzn. – Sam muszę to sobie policzyć. Po prostu nie wierzę.

– To podwajanie co dwa tygodnie liczby osób<sup>2</sup> – wyjaśnił Christopher. – Chodzi mi tylko o to, żeby pokazać potencjał rozwoju Koherencji. W rzeczywistości nie przebiega to tak szybko, bo Koherencja ma jeszcze mnóstwo innych rzeczy do zrobienia i realizuje wiele innych planów. Jednak na pewno Koherencja chce rosnąć, ba, jest wręcz przekonana, że musi rosnąć tak szybko, jak to tylko możliwe, aby zachować swoje istnienie. I – kontynuował Christopher, chociaż ciężko mu było to mówić – pewne jest, że Koherencja jest niepokonana. Patrzy tysiącami oczu, operuje tysiącami rąk i jest nieskończenie inteligentniejsza od pojedynczego człowieka. Nikt jej nie może powstrzymać.

Chętnie położyłby się gdziekolwiek, był śmiertelnie zmęczony – W zasadzie też wszystko jedno, czy to potrwa rok, czy trzy. W każdym razie na pewno tego doświadczymy. Dni ludzkości, jaką znamy, są już policzone.

## **DOSTROJENIE**

**51** | Nazajutrz czuł się tak, jak gdyby był to pierwszy dzień po ciężkiej chorobie, jak gdyby obudził się po nocy, w trakcie której gorączka osiągnęła apogeum.

Christopher drżał mimo grubego śpiwora. Uniósł się, rozejrzał wokół i od razu tego pożałował. W jasnym świetle poranka nie dało się przeoczyć dużych, szarych plam pleśni na namiocie, zaś od latryny dochodził nieprzyjemny zapach.

Miał cały namiot gościnny tylko dla siebie. Gdzie spali Kyle i Serenity? Pewnie u ojca.

Było mu to na rękę, bo w tej chwili nie miał większej ochoty z nimi spotykać. W ogóle z kimkolwiek. Pewnie teraz razem siedzą i o nim rozmawiają. O nim, o potworze. O chłopaku z chipem w głowie.

Znowu się położył i zaczął wpatrywać w sufit namiotu. Światło słońca przenikało przez jakąś szczelinę, rzucając jasny, zawiły wzór na spleśniałą płachtę namiotu. Z zewnątrz dobiegały dźwięki obozowiska. Głosy, śmiechy, szcęk metalowych naczyń.

Czas wstawać.

Ale jakoś tak nie potrafił.

Dzisiaj wydawało mu się, że opowiedzenie całej historii było błędem. Czy w ten sposób nie wyłożył wszystkich posiadanych kart, nie podał wszystkiego jak na tacy? Teraz już mogli zrobić z nim, co tylko chcieli.

Dobra, teoretycznie mógł zagrozić, że odejdzie i usunie te zmiany w programach nadzoru satelitarnego. Do diabła, nawet nie potrzebował do tego komputera, wystarczyłoby tylko zadzwonić w odpowiednie miejsca i podać trop.

Jednak w żadnym wypadku nie zrobiłby czegoś podobnego. Zresztą oni nie potraktowaliby poważnie takiej groźby. Pod tym względem to nie była żadna karta przetargowa.

Co go tak męczy? Bezsilność? Poczucie, że jest się zdanym na czyjąś łaskę?

Nie, powiedział sobie po zastanowieniu. Chodzi o coś innego.

Przez tygodnie, które pozostawił za sobą, miał tylko jeden cel: dotrzeć do tego obozowiska. Do grupy Jeremiaha Jonesa, w której schronienie znalazł doktor Connery. W trakcie poprzedzających to wszystko miesięcy czuwał, aby nie przegapić odpowiedniej chwili na ucieczkę.

A teraz? Teraz już nie miał żadnego celu. Dotarł, dokąd chciał. Ucieczka się skończyła. Jeśli jeszcze pozbędzie się tego chipa, już nic mu nie zostanie do zrobienia.

Nic poza czekaniem, aż Koherencja ogarnie wszystkich.

**52** | Jeszcze chwilę się zdrzemnął. Nagle zerwał się z bijącym gwałtownie sercem, gotów do skoku... Nic, to tylko sen. Szalony sen, w którym pewną rolę odgrywała Koherencja. I co dziwne, Serenity. Starł sen z powiek. Dobra. Pewnego dnia Koherencja połknie wszystkich, ale jak na razie życie trwa dalej, zaś teraz polegało na tym, żeby wstać, umyć się, zjeść śniadanie i tym podobne.

Christopher wysunął się ze śpiwora, wciągnął dzinsy. Ktoś położył mu tutaj ręcznik. Duży, drapiący. W dziczy raczej nie używa się płynu do zmiękczenia tkanin. Nieważne. Pewnie będzie musiał się przyzwyczaić też do całkiem innych rzeczy. Wyszedł z namiotu. Która godzina? Nie miał pojęcia, nie wiedział też, gdzie zostawił zegarek. Z pewnością nie było wcześniej, co zresztą zobaczył sam, zerkając w niebo.

W obozowisku trwała krzątanina. Tylko gdzieniegdzie słyszał dźwięki i głosy. Pozostałe namioty i przyczepy stały głęboko w zaroślach, widział tylko skrawki plandek, a także chromowane listwy pobłyskujące w wąskich promieniach światła... Nie bali się dzikich zwierząt? Niedźwiedzi buszujących nocą między namiotami i tak dalej?

Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Wizyta w latrynie, tak szybka, jak tylko się dało. Miał blisko. Niestety.

I co teraz? Ścieżką od strony jeziora przysła jakaś kobieta. Z ręcznikiem na szyi i szczotką w dłoni. Wszystko jasne. Była więc jeszcze jedna dróżka, która podobnie jak pierwsza, znikła w nadbrzeżnych zaroślach. Przypuszczalnie spotykały się gdzieś nieopodal brzegu.

Dobra, czas zacząć nowe życie – życie prawdziwego chłopca z lasu!

Idąc w dół, w stronę wody, rozejrzał się i mimowolnie zatrzymał. Rety. To było coś innego niż łazienka. Jezioro okazało się olbrzymie, rozciągało się przed nim spokojne i ciemne, taflę gdzieniegdzie zdobiły srebrzyste fale. Wszędzie wokół rósł las, gdzie tylko okiem sięgnąć – a sięgało się daleko, aż po odległe szczyty, na których wciąż jeszcze pozostawały resztki śniegu. Znowu przypomniał sobie opowieści o ostrych zimach w Montanie. Takie jeziora przypuszczalnie zamarzały na całe miesiące – i co wtedy?

Christopher odsunął na bok jakąś gałąź, po czym ruszył ścieżką wśród półmroku nadbrzeżnych zarośli, stwierdzając, że raczej nie ma sensu, by jeszcze teraz sobie rozbić głowę. Ale jakoś musieli sobie dawać radę. Ludzie z otoczenia Jeremiaha Jonesa z pewnością niejedną noc spędzili w lesie. Na pewno się dowie, w jaki sposób...

Zatrzymał się gwałtownie. Tam, na dole, na brzegu, ktoś był. Kobieta. Dziewczyna.

Naga do połowy. Przez chwilę widział jej błądy biust upstrzony kilkoma piegami.

O nie, co za wstyd! Odwrócił się pospiesznie. Zrobił krok w tył, chowając za jakieś drzewo. I co teraz? Przecież nie mógł się spodziewać... Czy go zauważyła? Kto to w ogóle był?

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie. Teraz się wyprostowała, odgarniając długie,

krnąbrne włosy niczym wróżka z bajki, w ciepłym, migocącym słońcu poranka.

Nikt inny jak Serenity. Jeszcze coś takiego!

Christopher czmychnął z powrotem za drzewo. Zauważył, że nagle ma kłopot z zaczerpnięciem tchu. Czy ona go tak na pewno, zupełnie na pewno nie zauważyła?

Spojrzał jeszcze raz, ostrożniej. Nadal całkowicie pochłaniało ją zmieszczenie wszystkich włosów w jednej gumce. Dziwne, nigdy nie przyszło mu do głowy, że pod luźnymi ubraniami, Serenity może wyglądać aż tak fajnie.

Spróbował bezszelestnie postawić stopy na ścieżce i pospiesznie się wycofać. Przy okazji zobaczył tabliczkę, która – właściwie nie do przeoczenia – znajdowała się obok miejsca, w którym dróżka znikła między drzewami i krzakami. Napisano na niej: „Ladies”.

Czy na pewno już wcześniej tutaj stała?

Boże, ale z niego niezdara. Na szczęście nikt go nie zauważył. Christopher przemknął do drugiej ścieżki, przy której stała tabliczka „Gentlemen”.

O rety, rety. Włamywał się do wymyślnie zabezpieczonych systemów, a nie wpadł na to, że można rozdzielić miejsca do mycia dla kobiet i dla mężczyzn!

Prawdziwe życie czasem go przerastało. A życie w takim miejscu, pod gołym niebem, wśród natury, było szczególnie prawdziwe.

Tutaj akurat nie było nikogo. Brzeg okazał szerszy niż z tamtej strony, w wielu miejscach już zdeptany i podmokły. Musiał uważać, gdzie stawia kroki.

Christopher pochylił się i zanurzył dłoń w wodzie. Okazała się miła w dotyku i nie tak zimna, jak się obawiał. W zagłębieniu kamienia leżał kawałek mydła.

Zdjął podkoszulek, potem mył się, początkowo dosyć niezgrabnie, potem jednak poczuł się nieźle. Nawet całkiem dobrze. Tak niezwykle. Jakoś tak... pierwotnie.

Kiedy się wycierał, spojrzał na jezioro i zastanowił się, jak to jest tutaj z prysznicem. Czy po prostu trzeba się kąpać w jeziorze? Przypuszczalnie tak. Równie pierwotnie.

Odłożył ręcznik, zadygotał na zimnym wietrze, który zaszeleścił wśród liści, i wtedy to wróciło. Uczucie, że coś go przerasta. Czy na pewno zdołałby żyć wśród przyrody? Dorastał, mając do dyspozycji ogrzewane mieszkania, bieżącą ciepłą wodę, działające lodówki oraz wygodne meble. No i nie zapominajmy o zamykanych łazienkach.

Zamykanych i wolnych od robactwa. Zrzucił dużego czarnego chrząszcza maszerującego wprost na jego kolano.

O tym wszystkim już wiedział. Jer emiah Jones głosił w swoich książkach ideę powrotu do natury. A tak to wyglądało w praktyce.

Gdzieś za nim coś chrupnęło. Christopher odwrócił głowę, ale nikogo nie zauważył. Zresztą wcale niełatwo byłoby kogoś stąd dostrzec, jeżeli stałby wśród podszycia i się nie poruszał.

Nie mógł się powstrzymać, by nie myśleć o Serenity. Wspomnienie tego, jak

pólnaga stała na brzegu, wysoko unosząc ramiona przy wiązaniu włosów, nie chciało mu wyjść z głowy.

Może go nie zauważyła?

Miał nadzieję.

Chwycił podkoszulek. Tak czy siak, zrobił się już głodny. Nie, nawet więcej, zjadłby teraz konia z kopytami. To na pewno przez pierwotne życie chłopca z lasu.

**53** | Serenity od razu chciała zanieść swoje przybory do mycia do namiotu, ale nie zdołała oprzeć się dochodzącemu od strony ogniska zapachowi kawy. Właściwie, dlaczego nie? Równie dobrze może sobie przysiąc na ręczniku.

Tata siedział na pieńku, plecami zwrócony w stronę jeziora, z blaszanym kubkiem w dłoni. Zamyślony wpatrywał się w płomienie. Na widok córki jego twarz rozpromienił uśmiech. Zapraszającym gestem poklepał dłonią miejsce obok siebie.

– Dobrze spałaś? – zapytał, gdy usiadła.

– Jak kamień.

– Twój brat wybrał się już z kilkoma ludźmi na polowanie. Mam nadzieję, że jak wstawaliśmy, nie byliśmy zbyt głośni.

– W ogóle was nie słyszałam.

Tata mieszkał w staromodnym namiocie. Razem z Kyle'em spali w dużym przedsionku. Kiedy dzisiaj rano Serenity rozpięła zamek wewnętrznej części namiotu, obu już nie było.

– A Christopher? Może przypadkiem gdzieś go dzisiaj widziałaś?

– Nie, a co?

– Bo nie ma go w jego namiocie – oznajmił tata. – A muszę z nim porozmawiać.

– Boisz się, że zwiął?

Kawa grzała się w dużym garnku wiszącym nad ogniem na specjalnym ruszcie. Serenity wzięła z emaliowanej tacy w niebieskie kropki czysty kubek i sięgnęła po chochlę.

– Nie, już go widziano. – Tata upił łyk kawy. – Tak tylko się zastanawiałem. Przecież mógłby.

Serenity ostrożnie zaczerpnęła płyn z wierzchu, żeby nie nabrać sobie fusów, które osiadły na dnie kotła.

– Wiesz, o czym teraz myślę? – zapytała cicho. – O tym, co było kiedyś. O naszych wycieczkach. Patrzyłam na ciebie i na mamę, jak parzyliście sobie kawę. Dokładnie tak samo: po prostu wsypywaliście zmielone ziarenka do wody... Jeszcze wtedy jej nie piłam, ale powiedziałam sobie, że jak będę duża, to będę robić tak samo. – Spojrzała na zdobiony kwiatami kubek. – A teraz właśnie robię to po raz pierwszy.

Tata spojrzał na nią wzrokiem mieszczącym się gdzieś między smutkiem a bólem.

– Tak – stwierdził. – Teraz już jesteś duża.

Nagle zaczęły cisnąć się jej na usta miliony pytań, tak wiele, że nie potrafiła zadać żadnego z nich. Czy czasem za nią tęsknił? Czy zimą wciąż pod dom podchodzą sarny? Co się stało z jej starym pokojem...?

– Co się teraz dzieje z waszą osadą? – zapytała w końcu. – Kto się nią zajmuje?

Tata pokręcił głową.

– Nikt. Wypuściliśmy zwierzęta na wolność albo oddaliśmy, a pola... tak. Pozostawiliśmy je samym sobie. Żadnego siewu, żadnego plonu. Kiedy uda się nam oczyścić z zarzutów, wtedy będziemy musieli zacząć wszystko od początku. – Teraz



w jego głosie zabrzmiała gorycz. I gniew, z trudem trzymany w ryzach.

Serenity wzdrygnęła się odruchowo. Piękne wspomnienia zniknęły jak wymazane, a ich miejsce zajęła niewesoła terażniejszość.

– Jak chcecie do tego doprowadzić? Gazety i telewizja praktycznie już was osądziły. Szukają was służby, policja, FBI...

– Wiem. Zajmuje się tym mój prawnik, David Silvermann, może go pamiętasz. Poza tym zatrudniłem jeszcze drugą kancelarię. Jednak, mówiąc szczerze, już kończą nam się pieniądze. Zamrozili moje konta, tak jak to się robi z terrorystami... – Coś mu się przypomniało. Pochylił się i uniósł duży koszyk. – Masz. Jak sądzę, jesteś głodna.

– Szczerze mówiąc, to właśnie straciłam apetyt. – Serenity pochyliła się, zaglądając do koszyka. Pokrojony bochenek chleba, dwa słoiki dżemu, dosyć skromne opakowanie sera w plasterkach i... Co to było? Mięso. Ogromny kawał pieczeni zawinięty w chustę. – Skąd macie to wszystko, skoro nie macie pieniędzy?

– Nie powiedziałem, że wcale nie mamy pieniędzy. Tylko że nie mamy już ich dużo. – Wzruszył ramionami. – Żyjemy głównie z tego, co daje nam przyroda. Łowimy ryby. Polujemy, zbieramy zioła i korzonki. Nie jest to zbyt urozmaicona dieta, ale przynajmniej nie będziemy głodować.

– Nie, nie będziemy – odezwał się jakiś inny głos. To doktor Connery, który stanął obok. Wgryzł się w trzymane jabłko. – Twój ojciec nie powiedział – kontynuował, żując – że ma wszędzie przyjaciół, którzy mimo wszystko wierzą w niego i mu pomagają. To naprawdę robi wrażenie. Wczoraj wasi piloci dostali od kogoś w supermarkecie, tam, gdzie się spotkaliście, całe skrzynie warzyw, owoców i tak dalej. Tak po prostu.

– Oni i tak by to wyrzucili. – Tata potrząsnął głową. – Tak to trzeba widzieć. Przy czym większość jedzenia była jeszcze dobra.

– Chciałem przez to powiedzieć, że też możesz wziąć sobie jabłko – wyjaśnił doktor Connery i wskazał za siebie, w stronę namiotu kuchennego. – Albo co tam chcesz. Wszystko jest w lodówce. – Wskazał niebo. – Tak, na wszelki wypadek. Dzisiaj będzie ciepły dzień.

– Dzięki – powiedziała Serenity. Z doświadczenia wiedziała, że odjedzenia owoców rano dostaje czkawkę. – Pozostanę przy chlebie z dżemem.

Właśnie miała sięgnąć po kromkę, kiedy przyszedł Christopher, tak nieśmiało, jakby nie był pewien, czy jest tutaj mile widziany. Do skroni przyłgnęło mu kilka mokrych kosmyków. Ojciec niepotrzebnie się martwił. Po prostu mył się nad jeziorem.

Serenity rzuciła tylko pospieszne „dzień dobry” i zajęła się swoją kanapką, jak gdyby całą uwagę musiała poświęcić rozsmarowywaniu śliwkowej marmolady.

Nagle zorientowała się, że właściwie nie wie, jak ma go traktować. Wciąż jeszcze nie potrafiła przestać myśleć o tym, co słyszała wczoraj wieczorem. Co przeszedł,

przed jakim koszmarem uciekał! A ona uważała, że jest arogancki. Że to jakiś nadęty bubek. Taki, co stara się udawać superfajnego.

Okropnie się zawstydzila, przypominając sobie, jak go potraktowała. A on w tym wszystkim zachował spokój. Na jego miejscu oszalałaby z przerażenia.

Bardzo skrzywdziła Christophera. Głównie w myślach, ale i tak bardzo.

Na szczęście najwyraźniej unikał jej spojrzenia, potem zaś prowadzenie rozmowy przejął tata. Najpierw mówili o kawie i o tym, co zjadłby na śniadanie, a gdy już Christopher trzymał w dłoniach talerz z dwiema kanapkami z serem – nie chciał kawy – tata zapytał, czy jest w stanie podyskutować teraz o kilku sprawach.

– Jasne – odparł Christopher i ugryzł pierwszy kęs.

– Wczoraj wieczorem zwróciłeś uwagę na kilka rzeczy – zaczął Jones – które chciałbym lepiej zrozumieć. Na przykład, dlaczego właściwie ściga się nas jako terrorystów? Po tym, co opowiedziałeś, brzmi to prawie tak, jakby stała za tym też ta cała... Koherencja?

Christopher przytaknął, nie przerywając żucia. To przecież było zrozumiałe samo przez się.

– Oczywiście. Kontrolują wszystkie ważne siły policyjne świata. Także amerykański Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

– Uch – parsknął zirytowany doktor Connery i wrzucił ogryzek do ogniska.

– Dobra – ciągnął dalej ojciec Serenity. – To możliwe. Mimo to pozostaje pytanie, jaki mają w tym interes?

Christopher uniósł brwi w grymasie zdumienia.

– No jak to? Przecież udzielił mu pan schronienia – wskazał doktora Connery'ego.

– To właśnie on, dzięki opracowanemu przez siebie połączeniu nerwów oraz obwodów scalonych, stworzył podstawę istnienia Koherencji. Chcą go wchłonąć i dzięki jego fachowej wiedzy dokonać jeszcze szybszej i gruntowniejszej ekspansji.

**54** | Doktor Connery przez chwilę wybałuszał oczy, a następnie zasłonił je prawą dłonią i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Tata nic nie mówił. Wyglądał jakby najpierw musiał raz jeszcze przemyśleć tę informację.

– Przykro mi – oznajmił wreszcie doktor Connery. Zdawało się, że nagle postarzał się o całe lata. – Gdybym tylko wiedział, to nigdy w życiu... Oczywiście, odejdę. W takiej sytuacji nie mogę brać odpowiedzialności...

– Bzdura – przerwał mu tata. – Po pierwsze, nikogo nie zostawiamy na lodzie, po drugie, wątpię, żeby jeszcze mogło się coś zmienić. Wymyślili na użytek publiczny całą fałszywą historię i nie mogą tego tak łatwo odwołać... – Przerwał i zmarszczył czoło. – Przy okazji zastanawiam się, skąd to wiedzą. To, że u nas jesteś. Do wczoraj wieczór sami tego nie wiedzieliśmy.

Doktor Connery uniósł głowę i zamrugnął.

– Nie mam pojęcia. Ze wszystkich sił starałem się pozacierać za sobą ślady, możesz mi wierzyć. Bardzo dokładnie. – Zastanowił się. – Chwila. Kilka razy dzwoniłem do siostry. Musiałem opowiedzieć jej o kilku sprawach, o których nie chciałem pisać w liście. Nawet jeśli kroczymy całkiem innymi ścieżkami, to przecież wciąż jest moją siostrą. – Potrząsnął bezradnie głową. – Ale zawsze dzwoniłem z budki telefonicznej, z dala od obozowiska, i ani słowem nie zdradziłem, gdzie jestem. Na pewno nie! Poza tym, że w USA, ale tego raczej nie można uznać za ślad.

Christopher mruknął.

– Koherencja o tym wie – powiedział tak niechętnie, że aż było to wyraźnie widać – bo ja o tym wiedziałem. W chwili, gdy kogoś wchłaniają, otrzymują dostęp do wszystkiego, co on wie. W moim przypadku do prawie wszystkiego, ale i tak wystarczyło.

Przez chwilę milczeli. Milczeli bezradnie. Gdzieś zakrzyknął ptak. Zabrzmiało to tak, jakby się śmiał. Serenity poczuła, że wraca groza, którą czuła wczoraj wieczorem, kiedy Christopher opowiadał swoją historię.

To była taka groza, jak gdyby już nigdy nie miała osłabnąć.

Tata sięgnął po kubek z kawą, a uwadze Serenity nie umknęło, że drży mu dłoń. Prawie niezauważalnie.

Zagryzła dolną wargę i poczuła krew. Im więcej dowiadywała się na temat Koherencji, tym bardziej opór wobec niej wydawał się beznadziejny.

– Dobra – powiedział w końcu tata ze złością. – To by wiele wyjaśniało. – Jego spojrzenie powędrowało gdzieś w dal, ponad otaczającymi ich, porośniętymi lasem zboczami gór, ich schronieniem. – I to by wyjaśniało wysuwane przeciwko nam oskarżenia. Nie jest to więc żadne nieporozumienie.

– Nie – odparł Christopher. – To wszystko zostało zaplanowane. Jest zamierzone. I przypuszczalnie upiekli od razu dwie pieczenie na jednym ogniu. Bo zakładam, że danych, które zaginęły, i tak chcieli się pozbyć raz na zawsze.

– Co to były za dane?

Christopher wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Za późno się zjawiłem, żeby się tego dowiedzieć.

– To znaczy jakieś informacje, które mogły stać się niebezpieczne dla Koherencji?

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Christopher.

Tata zajął do kubka kawy, jak gdyby to była wyrocznia.

– Innymi słowy, niczego nie osiągniemy na drodze prawnej.

– Nie ma szans.

– Bo naszym prawdziwym wrogiem jest Koherencja?

– Właśnie tak.

Doktor Connery wydał z siebie nieartykułowany jęk.

– Dobra. Jak na razie wszystko jasne. – Tata wolną ręką przesunął po twarzy. – Zastanów się. Ten interfejs w twoim mózgu, ten... Jak mamy to nazywać?

– Mówię o nim po prostu „chip” – wyjaśnił Christopher.

– Dobra. Czyli ten chip. A co ty robisz, kiedy śpisz? Jak zachowujesz nad nim kontrolę?

– To żaden problem. Chip jest wtedy wyłączony. Albo raczej nie jest aktywny. Też jest jakby w stanie uśpienia. Mogę wyczuwać Pole, jeśli jest dostępne, ale mimo to pozostaje niewidoczny dla Koherencji. Dopóki chip pozostaje wyłączony, to wygląda na to, że nie mogą mnie znaleźć. I najwyraźniej niemożliwe jest również aktywowanie go z zewnątrz.

– To „Pole”... Czym dokładnie jest?

– To system fal, za pomocą których chipy komunikują się ze sobą. Oparty jest na sieci telefonii komórkowej.

– Czy możliwość wyłączenia to normalna właściwość tego chipa?

Christopher sięgnął po drugą kanapkę z serem.

– Myślę, że nie. Nie wiem dokładnie. Kiedy jeszcze stanowiłem część Koherencji, oczywiście wiedziałem, jak są skonstruowane takie chipy, jak działają i tak dalej. Ale teraz w ogóle tego nie pamiętam.

– Zastanawiam się także – mówił tata – czy tych innych... Upgraderów. Tak ich nazwałeś, prawda?

– Tak siebie nazywają.

– Dobra. Czy można tych Upgraderów nakłonić do tego, żeby wyłączyli swoje chipy?

Christopher zastanawiał się chwilę.

– Nie wiem. Nie. Ja to potrafiłem, bo... No, w każdym razie trzeba do tego pewnych umiejętności hakerskich. Trzeba znać się na kontrolowaniu skomplikowanych procesorów, rozumieć, jak działają i tak dalej... – Umilkł, przez chwilę wpatrywał się w pustkę, a potem potrząsnął głową. – Mój chip można wyłączać, bo jest uszkodzony. W każdym razie tak mi się wydaje. Tak sądzę, bo jaki

sens miałyby chip, który można wyłączyć? Jeżeli jest coś, czego Koherencja pragnie uniknąć za wszelką cenę, to właśnie odczepienia się jakiegoś jej elementu.

Tata uniósł brwi. W jego oczach pojawiły się iskry, które Serenity dobrze знаła. Tak wyglądał, kiedy właśnie przychodziła mu do głowy jakaś bardzo, bardzo ważna myśl.

– Dostrzegam pewien zasługujący na uwagę dziwny przypadek – wyjaśnił. – To, że akurat twój chip różni się od wszystkich innych. Nie dostrzegasz w tym niczego szczególnego?

Christopher odstawił talerz.

– Owszem. To bardzo dziwne. I co?

– Niekiedy mam problemy z przypadkami.

– Kiedy ta rzecz znajdzie się już na zewnątrz, to będzie pan mógł dokładniej jej się przyjrzeć.

Słyszając te słowa, doktor Connery pochylił się do przodu.

– Właśnie nad tym zastanawiałem się wczoraj w nocy razem z doktorem Lundkvistem. Możemy mieć do dyspozycji pojazd medyczny pogotowia górskiego, oczywiście czasowo, wyposażony tak, by można było w nim przeprowadzać nawet najbardziej skomplikowane operacje. Właściwie to kontener z salą operacyjną. Przewozi się go samochodem, ale może być też transportowany śmigłowcem. Obaj jesteśmy lekarzami, obaj posiadamy odpowiednie doświadczenie chirurgiczne, ale i tak podobny zabieg pozostaje ryzykowny, trzeba to wyraźnie powiedzieć. Jednak, zasadniczo, byłby możliwy.

Christopher rozmasował dłonie.

– Muszę się z tym uporać.

Ojciec Serenity, zamyślony, zerknął najpierw na doktora Connery'ego, a potem na Christophera i powiedział:

– Radzę, żebyś tego nie robił.

– Czego?

– Żebyś nie usuwał chipa.

Christopher skulił ramiona. Przez chwilę wyglądał jak zwierzę zapędzone pod ścianę.

– Dlaczego?

– Też chętnie bym się dowiedział – zgodził się z nim doktor Connery, patrząc z osłupieniem.

Ojciec złożył dłonie. Ten gest Serenity także znała. Zawsze tak robił, kiedy chciał rozmówcę do czegoś przekonać i zakładał, że nie będzie to łatwe.

Spojrzał na Christophera, jakby oglądał go zza zasłony hełmu.

– Z tego co wiemy, jesteś jedynym człowiekiem z chipem interfejsu, który potrafi go wyłączyć i dzięki temu posiada kontrolowany dostęp do Koherencji. Poza tym jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek opuściła Koherencję, więc znasz ją od

środka. Jesteś też hakerem i to nie byle jakim, ale Computer Kidem. Innymi słowy, legendą.

Christopher wpatrywał się w niego. Milczał.

– W pewnym sensie – kontynuował ojciec – można powiedzieć, że wybrał cię los. A do czego? Do ratowania ludzkości?!

**55** | Serenity wstrzymała oddech, bo w jej piersi jak gdyby coś się poruszyło. Miała przemożne wrażenie, że nagle zaczęło dziko skakać.

Tak. Ojciec miał rację. Nie mogło być inaczej. Jeżeli właśnie tak podejść do całej historii, wszystkie elementy wielkiej układanki wskakiwały na swoje miejsca.

Jednak Christopher nadał policzki i stwierdził tylko:

– Niezłe słowa. Ale bardziej pasują do jakiejś powieści science fiction.

Tata przyjrzał mu się uważnie.

– Czyli nie wierzysz w coś takiego jak przeznaczenie?

– To obojętne, czy wierzę w przeznaczenie, czy nie. W każdym wypadku to bezcelowe. – Christopher spoglądał ponuro. – Co mogę zrobić przeciwko Koherencji? Cieszę się, że w ogóle udało mi się jej uciec. To już było wystarczająco trudne. Gdyby zostali wtedy ostrzeżeni, nigdy bym nie dał rady. Ale coś więcej... To utopia.

– Nigdy nie jest obojętne, w co się wierzy – łagodnie powiedział tata. – I nie mówię tego tylko w sensie religijnym. To, co człowiek uważa za możliwe a co nie, wyznacza, co może, a czego nie.

Christopher pokręcił głową.

– Najzwyczajniej w świecie mam w głowie chip, który nie działa tak, jak powinien. Innymi słowy jest popsuty. I kto wie, jakie z tym wiąże się ryzyko. – Wziął głęboki oddech. – Chcę się tego pozbyć i tyle.

Serenity nagle uprzytomniła sobie, że bezwiednie złapała za chochlę. Właściwie, po co? Rozluźniła chwyt. Dłoń jej drżała. Podobnie jak serce. Rozmowa podążyła w zupełnie złym kierunku. Czują, że musi coś powiedzieć. Nie wiedziała tylko co.

Doktor Connery pochylił się, ręce miał skrzyżowane.

– Może – zaproponował – właśnie twoje... hmm... inne zdolności predestynują cię do stawienia oporu. Jesteś najsłynniejszym hakerem świata. Może potrafisz opracować takiego wirusa, który zniszczyłby Koherencję?

Christopher spojrzał na niego tak, jak patrzy się na kogoś, kto właśnie powiedział coś niewyobrażalnie głupiego.

– Wirus? – powtórzył.

– Oczywiście mamy na myśli wirusa komputerowego. – Doktor Connery uniósł dłonie. – To tylko taki pomysł. Zawsze tak robią na filmach, kiedy jakiś komputer chce zapanować nad światem.

Christopher pokręcił głową.

– To... bzdura, bez urazy. To, co tutaj mamy, to coś zupełnie innego. Koherencja nie jest komputerem, to połączenie mózgów. Co tutaj mógłby działać wirus?

– Ale komputery odgrywają w tym wszystkich istotną rolę. Sieć, Internet, chipy...

– Tak, ale to tylko narzędzia pomocnicze.

– Ale jeśli pojawiają się jakieś zakłócenia?

– Zakłócenia zostaną ominięte. Internet, ze swojego samego założenia, to system

bezpieczny. Został tak skonstruowany, aby funkcjonować, nawet jeśli zabraknie jakichś elementów.

– Rozumiem – przytaknął doktor Connery. – To wszystko tylko rady laika, wymyślane na gorąco... Chciałem tylko powiedzieć, że przecież musi istnieć jakaś możliwość ugodzenia Koherencji w samo serce!

Serenity aż zrobiło się zimno, kiedy zobaczyła, z jakim wyrazem twarzy Christopher kręci głową, powoli i ze straszliwą stanowczością.

– Doktorze Connery – oznajmił ponuro – Koherencja nie ma serca. Nie ma żadnego przywódcy oraz żadnego centrum. To jest właśnie problem. Nie istnieje żaden łotr, którego można by pokonać. Tego, co tutaj urosło, nie sposób zranić.



**56** | Zaszokował ich. Tego był pewien. Obaj mężczyźni potrafili się opanować, ale nie Serenity. Niemal się przestraszył, widząc wyraz jej twarzy. Czy drżała?

A może szykowała się, aby rzucić mu się do gardła?

– Ty chyba nie mówisz poważnie! – wybuchnęła. – Wczoraj wieczorem wyliczyłeś nam, że ta przekłeta Koherencja w ciągu roku pochłonie wszystkich, a teraz chcesz po prostu siedzieć i niczego nie robić?

Christopher odruchowo się skulił.

– Ale co ja mogę zrobić?

– Nie wiem – parsknęła. – Cokolwiek.

– Ale ja też nie wiem! – krzyknął Christopher. – Nie mam pojęcia, jak mogę się przeciwstawić!

Jej twarz drgnęła. Po policzku spłynęła srebrzysta łza, po tych wszystkich delikatnie złotawych piegach.

– Ale ja nie chcę tak skończyć! – Zaszlochała. – Czy ty nie rozumiesz? Ja nie chcę tak skończyć!

Christopher patrzył na nią poruszony. Nie, on też nie chciał, żeby tak skończyła. Ale co miał robić?

Stopniowo wszystko wymykało się spod kontroli. Przecież tak naprawdę odszukał Serenity Jones jedynie po to, by skontaktować się z jej ojcem. Wtedy była tylko imieniem, i to dość nietypowym, co ułatwiło poszukiwania w Internecie.

A teraz, kilka dni później, nagle przestało mu być obojętne, co się z nią stanie.

Znowu uniósł talerz, całkiem bezwiednie, szukając słów.

– Nie wyobrażaj sobie tego jako... No, to nie jest właściwie koniec. To znaczy, nie coś takiego jak śmierć. Nawet jeśli jakiś człowiek dołącza do Koherencji, to cały czas pozostaje tutaj.

Boże, jak możnaby najlepiej opisać ten stan? Chyba w ogóle nie można.

Przyjrzał się dziewczynie uważnie. W jej oczach dostrzegł konsternację. Także doktor Connery oraz ojciec Serenity raczej nie rozumieli, o czym opowiada.

– Ciężko to wyjaśnić. To nie jest tak, że jest się złączonym w jedno z mnóstwem innych ludzi. Racja, jest się połączonym ze wszystkimi. Tak, widzi się ich oczyma, słucha ich uszami i tak dalej... ale w jakiś dziwny sposób ma się uczucie bycia pojedynczą osobą. A jednocześnie Koherencją. Stajesz się Koherencją. Każdy staje się Koherencją. Jest się zarazem samym sobą i wieloma ludźmi... – To wszystko brzmiało dziwacznie, nawet w jego własnych uszach. W najlepszym wypadku jak marna pociecha. – W każdym razie to nie jest koniec.

Serenity przyglądała mu się swoimi żółtobrazowymi oczyma, które wyglądały jak klejnoty.

– No świetnie – powiedziała. – To znaczy, że pewnego dnia wszyscy ludzie przyłączą się do Koherencji i będzie tylko jedna, jedyna dusza, patrząca przez

wszystkie oczy i słysząca przez wszystkie uszy, i tak dalej, która mimo to pozostanie absolutnie samotna. Skoro to nie jest koniec, to ja już nie wiem, czym on jest.

Christopher westchnął. To wszystko prawda. Tylko dlaczego dziewczyna zachowywała się tak, jakby to była jego wina?!

– Chodzi o to – spróbował raz jeszcze – że nie mam zielonego pojęcia, jak można powstrzymać rozrost Koherencji.

Sam ledwie cudem z niej uciekłem. Miałem niesamowicie dużo szczęścia i po raz drugi już na pewno mi się nie uda. – Uniósł rękę, po czym je opuścił. – Nie wiem, co można zrobić. Po prostu nie wiem.

Ojciec Serenity znowu się wtrącił:

– Tego również ci nie wolno – wyjaśnił. – Na początku ważne jest, żeby się mimo wszystko nie poddać.

– Ja się nie podałem. – Aż sam się zdziwił, jak nagle wyrazisty stał się jego głos. – Ja się tylko pogodziłem z rzeczywistością.

Jeremiah Jones w zamyśleniu pokiwał łysą głową.

– Czasem nie wolno tego robić. Bo jeśli tylko uzna się, że jakiś problem nie ma rozwiązania, to żadnego rozwiązania się nie znajdzie, nawet gdyby ono istniało.

Christopher o mało nie przewrócił oczami. Rety! Ciągłe mu mówią, jaki z niego Computer Kid, legenda, najlepszy haker świata, ale w sumie wciąż mają go za głupiego nastolatka.

Odstawił talerz na ziemię.

– Dosyć długo podróżowałem – powiedział – i miałem mnóstwo czasu, aby się nad tym wszystkim zastanowić. Myśli pan, że tylko rozwiązywałem krzyżówki?

Jones zaśmiał się słabo.

– Myślę, że jesteś w szoku. Ja w każdym razie po takich przeżyciach byłbym zupełnie sparaliżowany ze strachu. Jeszcze by mi nie przeszło. – Uniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. – Ale jestem pewien, że możesz znaleźć rozwiązanie, jeżeli to postanowisz. Dopóki jesteś w stanie wierzyć, że istnieje jakieś rozwiązanie, to je znajdziesz. I wcale nie zakładam, że masz sam pokonać Koherencję, a my rozsiądziemy się wygodnie i będziemy czekać, aż będzie można bić ci brawo. Wyobrażam to sobie jako wspólną akcję. My przecież też jesteśmy swego rodzaju Koherencją.

Christopher chciał mu odpowiedzieć jakoś ostro, zdecydowanie, a potem wstać i odejść, nagle jednak Serenity pochyliła się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Proszę! – powiedziała.

Na jedno uderzenie serca wszystkie myśli Christophera po prostu ucichły.

I zanim znowu się odezwały, usłyszał sam siebie:

– Dobra.

**57** | Serenity drgnęła, gdy Christopher gwałtownie odsunął jej rękę, wstał i oznajmił:

– Muszę się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić. – Potem odwrócił się i odszedł.

Bezradnie spojrzała na ojca.

– I co teraz?

Tata wzruszył ramionami.

– Powiedział: „dobra”. Daj mu trochę spokoju.

Spojrzała na Christophera, który nagle zaczął się zachowywać jak jakiś lunatyk.

Doktor Connery podążył za jej wzrokiem.

– On jest kimś niezwykłym – powiedział cicho. – Pomyślałem to sobie już wtedy, gdy razem z ojcem zjawił się u mnie w laboratorium. Kiedy pochłaniało go programowanie, potrafił wyciszyć się na wszystko inne. Kiedyś ktoś przewrócił wózek z pięćdziesięcioma próbkami, hałas był taki, jakby zawałiła się fabryka szyb. A on nawet tego nie usłyszał.

– To musi od czegoś zależeć – powiedział tata. – Chodzi mi o to, że jest takim dobrym hakerem. Bez wyjątkowej umiejętności koncentracji na pewno by nim nie został.

Serenity spojrzała na swoją dłoń, tę, którą chwyciła Christophera. Czego się po nim spodziewała? Sama nie wiedziała. Z tego, co opowiadał, wynikało, że właściwie nie było żadnej swobody działania, żadnego wyjścia, żadnej ucieczki. Tyle że znowu sobie przypomniała, jak uratował ich przed atakującymi śmigłowcami i jak przez chwilę wierzyła, że jest Supermanem, kimś, kto dysponuje możliwościami, jakich nikt inny nie posiadał. Chociaż nie wiedziała też dokładnie jakimi.

Śmigłowce stanowiły jednak konkretne, namacalne niebezpieczeństwo. A Koherencja, ten dziwaczny twór nie do ogarnięcia, złożony z połączonych mózgów, potrafiących dzielić myśli... To już było coś zupełnie innego.

Nagle z namiotu magazynowego dobiegły pełne zdenerwowania głosy. Serenity uniosła wzrok. Do ogniska podszedł Rus.

– Coś się stało? – Tata wstał.

Rus przytaknął.

– Agregat prądotwórczy znowu wysiadł. I wygląda na to, że nie trafiają już do niego żadne argumenty.

– No to pięknie – westchnął tata.

Serenity poszła za obydwojma mężczyznami do namiotu gospodarczego, w którym stało urządzenie. Było już tam sporo ludzi. Luźnym kręgiem otoczyli tęgawego mężczyznę o pokażnej łysinie, który siedział na ziemi pośród drobnych elementów rozłożonego na części agregatu.

– Nick, jak to wygląda? – zapytał tata mężczyznę ubranego w kamizelkę z prawie setką kieszeni wypchanych różnymi narzędziami.

Nick przyglądał się kolejno częściom agregatu jak gdyby z nadzieją, że któraś z nich podszeptnie mu właściwą odpowiedź. Syknał kilka razy, aż wreszcie powiedział:

– No, teraz będę musiał przejechać spory kawałek, żeby dostać jakieś części zamienne.

Tata pokiwał głową. Wcale nie wyglądało, że przeszkadza mu to chociażby w najmniejszym stopniu.

– Dobra – postanowił. – To jedź. Przez jakiś czas sobie poradzimy. W porządku? – zapytał, zwracając się do stojących wokół.

Ktoś uśmiechnął się krzywo i stwierdził:

– No, jasne. Oczywiście, znowu ci się to podoba.

Dopiero teraz Serenity pojęła, że jej ojcu ta sytuacja rzeczywiście się podoba. Przez chwilę się zastanawiała, czy przypadkiem nie dlatego, że po rewelacjach Christophera jest mu lżej, gdy ma do czynienia z jakimś konkretnym problemem, który jest w stanie ogarnąć i rozwiązać.

Chodziło jednak o coś więcej. Przypomniała sobie, jak kiedyś opowiadał o pierwszym obozowisku, które stworzył. Dla taty był to swego rodzaju eksperyment: chciał się dowiedzieć, jak wiele techniki można odrzucić, nie pogarszając sobie życia. Jak to jest zrezygnować z komfortu, do którego się przywykło, żyć bez tych wszystkich ulepszeń i wygód. Jak człowiek radzi sobie bez tego wszystkiego.

Początkowo do udziału w eksperymencie zaprosił przyjaciół i zaprzyjaźnionych studentów. Następnie opisał swoje doświadczenia – najpierw w artykule, potem w książkach – i wtedy zaczęło się pojawiać coraz więcej osób chcących je z nim dzielić.

– Przesadzamy z techniką – tłumaczył wtedy córce. – Technika, sama w sobie, nie jest czymś złym, rozumiesz? Źle jest, kiedy się od niej uzależniamy. Źle jest, kiedy dopuszczamy do tego, aby nas rozmiękczyła. Bo korzystając z techniki, robimy rzeczy, które lepiej zrobilibyśmy sami, własnymi rękoma albo używając własnej siły. Korzystamy z maszyn, żeby się nie wysilać – po czym jedziemy do studia fitness, aby wysilać się tam!

Od samego początku szukał kontaktu z historykami badającymi sposób życia w minionych stuleciach, a także Indianami, wśród których byli jeszcze tacy, którzy znali się na dawnym rzemiośle. Wyraźnie tłumaczył, że nie chodzi o spędzenie miłego weekendu na kempingu, ale podjęcie pewnego wyzwania i rezygnację z niektórych rzeczy. Osoby, które już się na tym znały – specjalistów od survivalu potrafiących jedynie przy użyciu noża i krzesiwa dowolnie długo przetrwać w dziczy – traktował wyłącznie jak nauczycieli. Tata chciał, żeby w tej sztuce nabrali doświadczenia całkiem zwyczajni mieszkańcy wielkich miast, pracujący przy biurku i przesiadujący w fotelach.

„Technika to bardzo ciepła kołdra” – tego stwierdzenia Serenity nie usłyszała

wprost od ojca, tylko przeczytała w jednym z jego pierwszych artykułów. „A to niezdrowo, zbyt ciepło się opatulać”.

Teraz awaria agregatu zsunęła kawałek tej kołdry. Tyle że w tym przypadku problemem stał się nie chłód, a ciepło. Najważniejszym urządzeniem zasilanym prądem była lodówka.

Serenity dowiedziała się, że na podobny wypadek w zamrażarce przechowywano duże bryły lodu. Teraz lód pospiesznie rozłożono na jedzeniu, żeby dłużej utrzymać je w świeżości, ale wszyscy mieli świadomość, że nie na długo go starczy. Ci, którzy zjawili się w namiocie gospodarczym, od razu postanowili, że cała żywność zagrożona zepsuciem zostanie dzisiaj przygotowana i wydana do zjedzenia. Najwyraźniej już nie pierwszy raz zdecydowano się na takie rozwiązanie, bo ów zamiar wyraźnie polepszył wszystkim humor. Nawet od razu zaczęto opowiadać, że dzisiaj wieczorem odbędzie się wielka uczta.

Uczta? Serenity miała wrażenie, że wszystko jej się śni. Christopher mówił tym ludziom o końcu świata, a oni nie mają nic lepszego do roboty, jak wyprawiać uczy? To chyba jakieś żarty!

A jednak. Pojawiła się jakaś pomarszczona kobieta o niskim chropowatym głosie. Była to Irene, która zarządzała kuchnią. Wręczyła Serenity gigantyczny nóż i oznajmiła:

– Możesz teraz zapracować na te warzywa.

Warzywa? Jakie warzywa? W końcu Serenity znalazła obok namiotu skrzynkę po brzegi wypakowaną zieleniną, a obok niej szczupłą dziewczynę w wieku siedemnastu lub osiemnastu lat, o długich czarnych włosach. Siedziała na ziemi po turecku, przed sobą miała deseczkę, na której coś pracowicie i równo kroić dużym nożem. Miała szczupłe, wysokie kości policzkowe, nieco oliwkową cerę i trochę skośne oczy. I była tak piękna, że aż zapierało dech.

Serenity podeszła do niej z wahaniem.

– Cześć. Jestem Serenity.

Dziewczyna uniosła wzrok, ani na chwilę nie przerywając krojenia marchewki.

– Cześć. Jestem Mad.

– Mad? – powtórzyła Serenity ze zdumieniem.

– Dokładnie to Madonna, jak ta piosenkarka.

– To nie jest typowe imię jak na... – Serenity już nic więcej nie powiedziała, najchętniej ugryzłaby się w język.

– Jak na Indiankę? – dokończyła dziewczyna beztrąsko. – Tak, zgadza się, w sumie to nie jest tradycyjne imię. Ale moja mama to jej fanka. I muszę za to pokutować. Madonna Two Eagles. No proszę, co to w ogóle za imię i nazwisko?

– Na pewno trudno je zapomnieć. – Serenity uśmiechnęła się i usiadła obok. – Mam na imię Serenity, bo jak byłam niemowlakiem, to byłam taka spokojna i poważna.

Spojrzały po sobie i jednocześnie wybuchnęły śmiechem.

– Witam w klubie – oznajmiła Madonna.

Było naprawdę wesoło. Razem z Madonną pokroiły ogromne ilości marchewki w słupki i krążki, papryki w paski, a cukinie w kostkę – dokładnie tak, jak kazała Irene. Nie mogły się przy tym ze sobą nagadać. Wydawało się, że znają się od zawsze.

A Koherencja stała się jedynie jakimś sennym koszmarem.

**58** | Christopher znalazł sobie wreszcie pagórek, z którego miał widok na jezioro oraz obozowisko i gdzie miał spokój. Mógł wszystko przemyśleć. Koniecznie musiał to wszystko przemyśleć.

Błędem było skupianie się przez cały czas na odszukaniu doktora Connery'ego. Nawet kilku myśli nie poświęcił temu, co zrobi później.

Teraz siedział tutaj, w obozowisku na skraju świata, wśród kilkunastu osób, które były mu obce i którym musiał wydawać się jakimś monstrum. Nie miał pojęcia, co powinien dalej robić.

Pokonać Koherencję. Uratować ludzkość. Rety, świetny pomysł! Tyle że, niestety, zupełnie niewykonalny.

Już to, że w ogóle na niego wpadli, dowodziło, że tak naprawdę nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Gardło go bolało od mówienia, a tymczasem wszystko na próżno. Równie dobrze mógłby sobie darować całą opowieść.

Przy czym naprawdę bardzo się starał, żeby im to wyjaśnić jak najdokładniej. A jednak zdawało się, że cały czas sądzą, iż mają do czynienia z jakimś rodzajem mafii. Z jakąś tajną służbą, której członkowie komunikują się ze sobą przez telefony umieszczone w głowach.

A przecież Koherencja czymś takim nie była. Stanowiła jedną duszę podzieloną na niezliczone mózgi. Upgraderzy znajdowali się we wszystkich ważnych urzędach, firmach, bankach oraz dowództwach wojsk. Wyglądali jak całkiem zwyczajni ludzie, ale działali jako jedność, jak gdyby byli jedną osobą.

I właśnie to należało pojąć.

Milczał. Wpatrywał się w obrośnięte mchem skały, na których siedział, i podskubywał rośliny. Dziwne. Jeszcze kilka tygodni temu stanowił część Koherencji, czymś oczywistym było dla niego obserwowanie świata tysiącami oczu, znał rzeczy, o których nigdy wcześniej nie wiedział. Jednak kiedy teraz próbował to sobie przypomnieć, tak dokładniej, okazywało się, że to trudne. Jak można jednocześnie spoglądać tysiącami oczu, a idąc ulicą nie wpadać na ściany domów albo na przechodniów? Już nie wiedział. Wiedział jedynie, że tak potrafił. Że to nie stanowiło żadnego problemu.

I że wtedy nie był sobą. Był Koherencją, wyjąwszy tylko tę maleńką cząstkę siebie, którą zdołał ukryć za barierą. Teraz, kiedy został już tylko sobą, już tylko Christopherem Kiddem, nie pojmował, jak wszystko przebiegało. Nie tak naprawdę.

Jak mogli więc rozumieć to inni, którzy czegoś podobnego nigdy nie doświadczyli?

Westchnął. Nic dziwnego, że wpadli na pomysł walki z Koherencją. Nic dziwnego, że nie pojmowali, jak beznadziejna to walka.

Koherencja nie tylko była wszechobecna w ciałach Upgraderów – była również niewiarygodnie bardziej inteligentna niż jakikolwiek normalny człowiek. Jednocześnie myślała setkami tysięcy myśli, łączyła wiedzę, doświadczenia i postrzeganie wszystkich swoich członków, tworząc plany, strategie oraz

opracowując kolejne posunięcia.

Niezależnie od tego, jak sprytny plan by się obmyśliło, należało wyjść z założenia, że Koherencja już się z czymś takim liczy. Niezależnie od tego, w jak wyrefinowany sposób będzie się działać, Koherencja niczym genialny szachista przewidzi i uwzględni wszystkie możliwe ruchy.

I oczywiście udaremni je. Koherencja była nie tylko nieskończenie inteligentniejsza, ale również nieskończenie silniejsza.

Jednym słowem – niepokonana.

Nieważne, co myślał Jeremiaah Jones – nie mieli żadnych szans.

Nawet najmniejszych.

Christopher potarł czoło. Z drugiej strony...

...była Serenity.

Wciąż słyszał jej skargę. Wciąż widział ją zalaną łzami. Znowu westchnął, chociaż nawet tego nie zauważył. Nie, wcale nie chciał, by Serenity skończyła w Koherencji. Nie chciał, żeby kiedyś unieruchomiono jej głowę, wetknięto iniektor do nosa i wszczepiono chip.

Widział ją stąd, z góry. Siedziała na ziemi przy namiocie kuchennym obok jakiejś drugiej dziewczyny o czarnych włosach i kroїła warzywa. Rozmawiały ze sobą, śmiały się.

Kiedy staną się Upgraderami, przestaną się śmiać.

Przez jakiś czas Christopher tylko siedział i przyglądał się temu, co działo się w obozowisku. Wszyscy zdawali się bardzo zajęci, chociaż nie do końca rozumiał, czym dokładnie. Wyglądało na to, że dzisiaj odbędzie się jakaś uczta albo coś w tym rodzaju.

Czy była to reakcja na jego opowieść? „Zbliży się koniec, więc bawmy się, dopóki jeszcze można?”.

I nagle znowu go to uderzyło. Uczucie, które niczym cień towarzyszyło mu przez całe życie. Nie rozumiał tego, co robią inni ludzie. Wydawało się, że założyli klub działający według reguł znanych każdemu poza nim. Zawsze był kimś spoza, takim, na którego padały zdziwione, zirytowane spojrzenia, mówiące: „A co to za jeden?”.

Tutaj działo się podobnie. Ludzie z otoczenia Jeremiaaha Jonesa znali się od lat niczym zaprzysiężone stowarzyszenie – co było logiczne, bo przecież w innym wypadku odsunęliby się od swojego przywódcy, gdy tylko zaczęło go ścigać FBI.

A Christopher? Dopiero co do nich trafił. Okazał się przydatny, bo udaremnił odnalezienie zbiegów przez policję. I to wszystko. Będą go znosić w swoim gronie tak długo, jak będzie przydatny, a potem pozbędą się go pod jakimś pretekstem.

Co więcej, od początku to wiedział.

Uniósł twarz w stronę nieba, poczuł na policzkach chłodną wilgoć. Oczy jakoś dziwnie piekły. Błękitny firmament, rozświetlony słońcem, wydawał mu się szyderstwem. Dlaczego nie zasnuwały go żadne ciemne, niskie chmury?



A przecież kiedyś wszystko było takie, jakie powinno... Podniósł krzemień, którym się dotąd bawił, i cisnął go w stronę jeziora.

Ostatnie Boże Narodzenie, które spędzili razem – ile lat już minęło? Cztery? Pięć? Babcia widziała wtedy jeszcze na tyle dobrze, aby cieszyć się ze wspaniale przyozdobionej choinki. Dziadek założył najlepszy garnitur, taki staroświecki, z kamizelką i z zegarkiem na łańcuszku spoczywającym na brzuchu, a do tego koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Matka Christophera dużo się śmiała, tata poplamiał pulower sosem z pieczeni, cały zaś dom pachniał świętami, wanilią, woskiem, choinką.

Tak było kiedyś. I już nigdy nie miało tak być. Dziadkowie umarli, a rodzice stali się częścią Koherencji, która w domu we Frankfurcie urządziła siedzibę jednej ze swoich niezliczonych firm. Christopher uciekał. I to się już nie zmieni. Obozowisko stanowiło tylko przerwę dla nabrania oddechu.

A rodzice, jeśli jeszcze kiedyś by przed nimi stanął, nie zawahaliby się siłą zmusić go do powrotu do Koherencji.

Palce Christophera poszukały następnego kamienia, ramię już ułożyło się, by cisnąć nim do wody, gdy nagle całe ciało zamarło bez ruchu.

Po prostu wpadł na pewien pomysł.

Bardzo, bardzo mglisty pomysł. Tylko taki zarys planu, o którym w tej chwili nie mógł powiedzieć więcej niż to, że jest totalnie idiotyczny. Porąbany. Kompletnie obłądny. Jednak co robić, kiedy nie ma się nic do stracenia?

Christophera przepełniła ekscytacja. Myśli zaczęły pędzić. Ale jeszcze za wcześnie, żeby się cieszyć. Trzeba jeszcze wszystko gruntownie przemyśleć, tak gruntownie, jak jeszcze nigdy dotąd.

Jego przeciwnikiem nie był teraz system bankowy albo wojskowy firewall, była nim Koherencja. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd.

**59** | Serenity i Madonna uporały się z warzywami i natychmiast wzięły się do innej pracy. Irene chodziła po obozie, a kiedy szukając jej, zbliżyły się do namiotu spiżarnianego, twarz Madonny nagle się rozpromieniła.

– Cały czas na to czekałam – wyszeptała podekscytowana, wskazując w stronę ogniska. – Chodź.

– Co się stało? – Serenity, zdziwiona, ruszyła za nową przyjaciółką.

Okazało się, że chodzi o słodycze. Jakieś dwie kobiety z miodu i rozmaitych składników przygotowały słodkie danie, które upieczono nad ogniskiem, a później podzielono na kwadraty. Madonna wyjaśniła, że okrawki to same pyszności, zwłaszcza jeszcze ciepłe.

– Trzeba wyczekać na odpowiednią chwilę – tłumaczyła. – Właśnie dlatego w ogóle zgłosiłam się dzisiaj do kuchni.

Obie kobiety na widok Madonny uśmiechnęły się i chętnie podsunęły im chrupiące kawałki. Serenity skosztowała z pewnym wahaniem, bo deser pachniał i wyglądał obco – jednak te wąskie, złotobrazowe paski smakiem powalały na kolana.

Po chwili zjawił się za ich plecami jakiś chłopak o byczym karku i nosie wyglądającym na często łamany. Madonna krzyknęła, a on, nie zważając, chwycił dziewczynę wielkimi dłońmi, błyskawicznie porwał większą część okrawków i od razu się ulotnił.

– George’u Angry Snake’u! – krzyknęła za nim Madonna. – Ale z ciebie łobuz!

Chłopak, który mógł być tylko nieco młodszy od Kyle’a, odwrócił się, uśmiechając szeroko. Triumfalnie uniósł łup, potem bez słowa zniknął w lesie.

– Hej, co to było za draństwo? – zapytała Serenity, której teraz zostały już tylko dwa małe kawałki.

Madonna ponuro spojrzała na chłopaka.

– Problem polega na tym, że zawsze wie, gdzie jestem i o czym myślę.

– Naprawdę?

– To taka szamańska sztuczka. – Madonna wzruszyła ramionami i zmienionym, głuchym głosem dodała: – „Pradawna, indiańska wiedza”. Gdybym nie miała nic innego do roboty, tobym aż zadrżała z bogobojnego lęku.

Serenity była jednak pod wielkim wrażeniem.

– No, dla mnie to całkiem... – zawahała się, ale nie powiedziała „fajne”, tylko – praktyczne.

– Taak. Dla mnie bardziej praktyczny jest telefon komórkowy.

Kiedy jeszcze żuły resztki ocalałych słodyczy, pojawiła się Irene, dźwigając na ramieniu kosz.

– Ha! Tu jesteście! – Wcisnęła kosz Madonnie. – Znasz miejsce. Potrzebuję pietruszki, bardzo dużo.

– Do... dobra – wybąkała Indianka.

– I najlepiej jeszcze dzisiaj – dodała Irene, potem szybko odeszła.

– Co? – zdziwiła się Serenity. – Jakie miejsce?

– Irene wędruje po tej okolicy już od dwudziestu lat. Trekking, biwaki pod namiotem i tak dalej. Zna całkiem niezłe miejsca, w których można obozować. Przy każdym takim miejscu posadziła zioła, już lata temu. – Madonna chwyciła swój nóż.

– A teraz pora na zbiory.

– Mogę z tobą iść? – zapytała Serenity.

– Jasne. Następnym razem będziesz już wszystko wiedzieć.

Następnym razem? O co jej chodziło? Niczym nagły, ostry ból, Serenity uderzyła myśl, że przecież nie jest tutaj na wakacjach. Miło spędzając czas z Madonną, zupełnie zapomniała, że przecież jej ojca poszukuje policja, że państwo uważa go za wroga numer jeden.

Ale i tak dobrze jej zrobiło, że przez jakiś czas nie musiała rozmyślać o Christopherze i jego koszmarnej opowieści. Aż trudno uwierzyć, że spotkała go zaledwie pięć dni temu. Teraz, gdy myślała o szkole, o egzaminach, o innych uczniach, wszystko wydawało się tylko mglistym wspomnieniem jakiegoś dawnego życia, odległego o sto lat.

W milczeniu szła przez las za nową przyjaciółką, a dotychczasowa beztroska gdzieś przepadła. Do zielnika był spory kawałek drogi, bo – jak wyjaśniła Madonna – w okolicy obozowiska kręciło się za dużo osób. Wylewali brudną wodę, pluli na ziemię i tak dalej, a takie rzeczy z pewnością nie powinny znaleźć się na ziołach używanych później w kuchni.

Od czasu do czasu widziały jezioro, a raz Serenity dostrzegła nawet Christophera, który nieruchomo siedział na jakiejś skale, ze spojrzeniem skierowanym gdzieś w dal.

– Co to w ogóle za typ? – spytała. – Ten George... jak dalej? Snake?

– George Angry Snake – odparła Madonna. – To mój brat.

Zaskoczona Serenity, aż się zatrzymała.

– Twój brat?

– Tak. Słabo, co?

– Ale dlaczego nazywa się Angry Snake? A nie Two Eagles?

Madonna przedramieniem odgarnęła włosy z twarzy.

– Angry Snake to jego imię wojownika. Nasza rodzina tak właściwie nazywa się Graham. Plemię Blackfeet przybrało kiedyś angielskie nazwiska, bo amerykański rząd je do tego zmusił, ale to nie ma nic wspólnego z naszą tradycją.

– Czyli że Two Eagles to twoje imię wojownika?

Madonna zaśmiała się.

– Nie, kobiety nie mają imion wojowników. Używam nazwiska swojego ojca, bo Madonna Graham, tak jak mam w paszporcie, brzmi jeszcze gorzej.

Serenity aż zamrugwała. To naprawdę było niezwykle. Jakieś takie obce.

– W sumie nic o tym nie wiem – przyznała się.

Spojrzała w górę, na wierzchołki drzew, ku migoczącemu delikatnie zielonemu

światłu, które poprzez gałęzie docierało do ziemi, zatapiając wszystko w łagodnym półmroku.

– Nie przejmuj się – stwierdziła Madonna. Przykucnęła, wyjęła z koszyka nóż kuchenny i położyła obok siebie. – Dzisiaj większość Indian wie równie mało. Dopiero zaczęło się odkopywanie tej starej kultury jak „topora wojennego”. Tak zawsze mówi ojciec.

Serenity rozejrzała się wokół. Pod osłoną dwóch sporych głazów narzutowych rosła dzika pietruszka, zajmując powierzchnię wielkości dwóch podwójnych łóżek.

– Topór wojenny? O to chodzi? O wojnę?

Madonna zaczęła odcinać grube zielone pęczki i wrzucała je do kosza.

– Nie mam pojęcia. Nigdy już nie będzie tak jak kiedyś. Ale nie może zostać tak jak teraz, z tymi wszystkimi odgradzonymi rezerwatami, pełnymi pijanych Indian... – Madonna machnęła ręką, ale Serenity doszła do wniosku, że to dla niej nieprzyjemny temat. – W każdym razie mój brat mocno się w to angażuje. Rytuły inicjacyjne, dawny język, namioty potu, tańce wojenne, ozdobne blizny, cały zestaw.

– To przecież dobrze znać swoje korzenie i tak dalej.

– W zasadzie tak. – Madonna złapała nać, odcięła zielony pęczek kilkoma pełnymi złości ruchami. – Tylko że tak mu się zrobiło, że gardzi wszystkimi białymi. A tak przecież też nie można. Biali to dla niego wszyscy, którzy nie są Indianami. Nawet czarni to dla niego... au!

Krzyknęła, wypuściła nóż i lewą ręką mocno ścisnęła prawą dłoń. Na ziemię zaczęła kapać krew. Madonna zraniła się ostrym nożem.

– O kurczę – jęknęła Madonna. – Kurczę, kurczę, kurczę.

Padła na kolana, pochyliła do przodu i nagle zrobiła się śmiertelnie blada.

– Poczekaj tutaj – rzuciła bezradnie Serenity. – Sprowadzę pomoc. Albo... – Czy mogła zostawić Madonnę samą? A co, jeżeli straci przytomność? Rozejrzała się. Może dałaby radę oderwać pas materiału od podkoszulki i przewiązać ranę?

Właśnie wtedy obok coś zaszeleściło i jak gdyby magicznym sposobem zjawił się brat Madonny. I – niesamowicie – miał przy sobie bandaż! Bez słowa przykucnął obok siostry, rozluźnił chwyt jej prawej dłoni, po czym obejrzał skaleczone miejsce.

– Nic groźnego – stwierdził. Tylko dwa słowa, a zdawało się, że z ust wypadł mu kawał ołowiu.

Pozwolił ranie jeszcze chwilę pokrwawić, następnie przesunął po niej jakimś mchem. Wyjął z torby opatrunek, rozerwał opakowanie gwałtownym ruchem – jedną ręką, pomagając sobie zębami – i zaczął bandażowanie. Poruszał się przy tym jak zawodowiec.

Serenity przyglądała mu się jak sparaliżowana.

George Angry Snake nie zatrzymał się sekundy dłużej, niż było to absolutnie konieczne. Ledwie zawiązał ostatni supeł, wstał i oddalił się różnym krokiem, znikając wśród gęstwiny.

Madonna, jęcząc, wyprostowała się i przyjrzała opatrunkowi na dłoni.

– Ale się wystraszyłam. – Mętym wzrokiem spojrzała na Serenity. – To nieprawda, co mówią o Indianach, że nie znają bólu.

Serenity uniosła głowę. Spojrzała ku pstrokaciźnie zielonobrunatnych leśnych zarośli. Starła się dostrzec przynajmniej ślad brata Madonny. Na próżno.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego tak nagle się pojawił. Dokładnie we właściwym momencie.

Madonna się otrząsnęła. Zebrała kilka pęczków pietruszki, które wypadły z koszyka.

– Przecież ci mówiłam. Zawsze wie, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

**60** | Wieczorem miała się odbyć prawdziwa uczta i wszyscy chcieli zachować na nią apetyt, dlatego w południe podano tylko niewielką przekąskę: kawałek twardego chleba pita, lemoniadę własnego wyrobu oraz owoce. Serenity wzięła też lunch dla Christophera, który ciągle siedział na skale nad jeziorem i wcale nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał stamtąd zejść.

Nawet nie drgnął, gdy wspięła się do niego z talerzem w dłoni. Trwał nieruchomo niczym rzeźba ze wzrokiem utkwionym gdzieś w odległych wymiarach. Poruszały się tylko jego dłonie – bawił się kamykami, łamał zeschnięte gałązki, płoszył owady i rysował dziwaczne wzory na piachu.

Czy w ogóle powinna mu przeszkadzać? Może od jego spokoju zależało coś niezwykle ważnego?

„Bzdura” – przywołała się do porządku. Podeszła do Christophera, postawiła przed nim talerz z dwoma chlebkami, jabłkiem i pomidorami.

– Obiad – oznajmiła. – Nic ci nie da, jeśli się zagłodzisz i stoczysz na dół. – Chwyciła manierkę z wodą i postawiła obok. Jeszcze z dzieciństwa pamiętała, że do manierek nie należy wlewać lemoniady. – Pić też powinieneś.

Nie zareagował. Jak gdyby w ogóle niczego nie zauważył.

Co dziwne, Serenity wcale nie miała wrażenia, że ją ignoruje. Chodziło raczej o to, że Christopher był bardzo zajęty czymś większym, czymś potężniejszym. Powietrze wokół chłopaka wydawało się naładowane elektrycznością, aż wibrowało energią.

Czyżby w końcu uległ czarowi Koherencji? Przełknęła ślinę, wystraszona.

– Wszystko z tobą w porządku?

Wtedy oczy Christophera obudziły się z bezruchu, zniknął z nich metaliczny blask. Zamrugał, spojrzał na dziewczynę, potem na talerz.

– Dziękuję – wyszeptał. – Teraz jestem naprawdę głodny.

– Dzisiaj wieczorem będzie wielka biesiada – wyjaśniła pośpiesznie Serenity, czując, że musi wykorzystać okazję do rozmowy. – Różne rodzaje dziczyzny. Z warzywami i tysiącem przypraw, godzinami pieczone w glinie. Właśnie wykopali do tego doły i rozpalili ogień. Pachnie już niesamowicie...

Za późno. Audiencja skończona. Serenity umilkła i patrzyła zafascynowana. Widziała, jak dłoń Christophera powoli stara się wymacać chlebek pita, łapie go i równie powoli unosi do ust. Jednak spojrzeniem chłopak wrócił już do światów, które tylko on potrafił oglądać.

– Dobra – westchnęła Serenity – Miło się gawędziło. To na razie. – Odwróciła się i zaczęła schodzić na dół, ku normalnym ludziom.

Gdy wróciła do namiotu kuchennego, okazało się, że nie ma już dla niej więcej zajęć, dla Madonny również. Mężczyźni właśnie ostukiwali z ostatnich kawałków gliny wykopaną z żaru pieczeń. W niektórych jamach płonęły ogniska, wyjmowano otulone ziemią pyszności, rozchodził się aromat wręcz ściskający głodne żołądki.

– Chodźmy – oznajmiła Madonna. – Zanim Irene da nam coś nowego do roboty.

Serenity przytaknęła.

– Albo nie damy rady się już dłużej opanować.

Prążyło słońce, dając przedsmak tego, jak musi wyglądać upalne lato w Montanie. Madonna zaproponowała, by poszły popływać.

– A co z twoją ręką? – zapytała Serenity, częściowo z troski o nową przyjaciółkę, a częściowo dlatego, że nie do końca wiedziała, czy ma ochotę pływać. Jasne, pomysł niezły, jezioro wyglądało jak z pocztówki, lecz Serenity wolałyby odpuścić sobie ten pomysł.

– Ach, to – stwierdziła Madonna. – Z ręką już wszystko w porządku.

Nie dała jej szans. Chwyciła oba ręczniki i ruszyła w stronę jeziora, a Serenity nie pozostało już nic innego, jak tylko pójść w jej ślady. To przecież nic takiego, uspokajała się.

Gdy już przyniosły Irene koszyk z pietruszką, zajrzały do doktora Lundkvista, który dokładnie przyjrzał się skaleczeniu Madonny, ponownie je oczyścił i opatrzył grubym, połyskującym srebrzyście plastrem.

– Nie wiem, czy można z tym wchodzić do wody – zauważyła Serenity.

– Też nie wiem – przyznała Madonna. – Ale zaraz sprawdzę.

No to dobra. Ale jeżeli woda okaże się za zimna, to nie wejdzie do jeziora. Tak samo, jeżeli na dnie rosną jakieś śliskie rośliny, owijające się wokół łydek.

Dziwne, że tak się bała. W dzieciństwie skakała do jeziora bez najmniejszych oporów, pływała tak długo, aż posiniała z zimna... Jednak odkąd zamieszkała w Kalifornii, gdzie były chlorowane i podgrzewane baseny, to nad jeziorem od razu przychodziły jej na myśl wodorosty i padłe zwierzęta uwięzione gdzieś wśród przybrzeżnych zarośli. Mówiąc szczerze, nawet Pacyfik wolała oglądać z brzegu.

Dotarły do jakiegoś zacisznego miejsca; wzdłuż brzegów jeziora takich nie brakowało. Była tam wąska, żwirowa plaża. Wokół gęste zarośla i uschnięte drzewo, którego obumarłe gałęzie świetnie się nadawały do zawieszenia ubrań.

Madonna rozebrała się do majtek i od razu zaczęła brodzić w wodzie. Serenity przyglądała się, wciąż niezdecydowana, z rękami na podkoszulku. Ale ładna była ta młoda Indianka! Smukła niczym topola. Ani grama zbędnego tłuszczu... Można by ją taką jak teraz umieścić na okładce dowolnego magazynu i od razu zwiększyłaby się jego sprzedaż. Przy niej Serenity wydawała się paskudnie chuda i niezgrabna. Nie wspominając już o wręcz katastrofalnym stanie włosów. Tutaj, wśród dziczy, bez gorącej wody i ziołowego szamponu, regularnie używanego w domu, z każdym dniem coraz bardziej przypominały drut kolczasty.

Zastanowiła się, czy nie byłoby może lepiej, gdyby zamiast do jeziora poszła gdzieś głęboko w las i zaszyła się w jakiejś jamie – ale potem, nagłym szarpnięciem ściągnęła podkoszulek, stanik i ruszyła w ślad za przyjaciółką w lodowato zimne wody jeziora.

Było świetnie. Gdy już przetrzymało się pierwszą chwilę chłodu, nagle robiło się

niewiarygodnie wspaniale. Czowała się tak, jakby wróciła do domu. Woda, spokojna tafla jeziora i ta przestrzeń! Serenity płynęła, ruch za ruchem, dokładnie tak jak kiedyś, słuchała bzyczenia owadów i nawoływań ptaków. Pływałyby tak do końca świata.

Potem dotarły do miejsca, z którego widziały Christophera siedzącego na swojej skale, i zawróciły.

Później położyły się na kamieniach, aby osuszyło je słońce. Myślami bujały w obłokach.

– Czy właśnie tak było kiedyś? – dopytywała się Serenity. – Chodzi mi o życie twoich przodków.

Madonna mruknęła.

– Raczej nie tak cudownie. Sądzę, że życie wiązało się z mnóstwem pracy, przede wszystkim dla kobiet. Kiedyś Indianie rzadko dożywali starości, większość traciła zęby, a dzieci często umierały jako niemowlęta... I nie miałabym szansy, żeby odejść.

– Mhm – odparła Serenity, czując w ciele nieprzyjemny ciężar. – Ale po co?

Madonna gwałtownie się wyprostowała.

– Kiedyś zostanę piosenkarką. Kiedy skończę szkołę, pojedę do Seattle i będę tam studiowała muzykę i śpiew.

– W mieście? – wyrwało się Serenity – Ty?

Madonna spojrzała na jezioro i lasy, lecz jej wzrok zdradził, że myślami była gdzieś daleko.

– Seattle wydaje mi się wspaniałe – powiedziała.

Gdy zapadł zmierzch, zapłonęły ogniska i zaczęła się uczta. Piwo płynęło strumieniami. Irene krzątała się, zachęcała – albo raczej zmuszała – wszystkich, żeby się częstowali i taszczyła wciąż nowe porcje pieczonej dziczyzny, gotowanych kartofli i duszonych warzyw. Wszystko było pyszne, przyprawione czosnkiem, nieznanymi ziołami, dziką przyrodą, wolnością i niebezpieczeństwem, i to w takiej ilości, jakby spodziewała się wygłodzonej armii.

Nawet Christopher zszedł ze swojej skały, co wcale nie znaczyło, że stał się bardziej rozmowny. Wręcz przeciwnie. Teraz przycupnął na pieńku, jadł w milczeniu, wręcz dało się usłyszeć, jak coś terkocze mu w głowie.

Serenity zostawiła go w spokoju, postanawiając zająć się własnym talerzem. Madonna wciniała tak, jakby jutro miało już nie nadejść. Serenity nie mogła się nadziwić, że udaje jej się zachować taką świetną figurę. Już od samego patrzenia, ile wsuwa, można byłoby się najeść.

Przyglądała się też swojemu ojcu siedzącemu obok jakiejś kobiety o długich, jasnych włosach. To na pewno była Melanie Williams, jego obecna przyjaciółka. Rus opowiadał, że to artystka, dość znana fotograficzka – i nawet nie tak nieskomplikowana, co dodał z konspiracyjnym uśmieszkiem.

Nie słyszała, o czym tata rozmawia z Melanie, w każdym razie bardziej wyglądali



na skłóconych niż na zakochaną parę.

Serenity poczuła satysfakcję. Lepiej byłoby mu z mamą.

Później ktoś przyniósł gitarę, ktoś inny harmonijkę ustną, jeszcze ktoś bębenek i wkrótce w ciepłą noc popłynęły pierwsze nuty. Madonna przyłączyła się do śpiewania, zarówno piosenek country, jak i starych indiańskich pieśni, a nawet kilku najnowszych przebojów pop, codziennie z pięć razy puszcanych w radiu. „Może – pomyślała Serenity – kariera piosenkarki wcale nie jest takim złym pomysłem”. Madonna miała ładny, głęboki głos, równie przydymiony jak dogasające ogniska, przy których siedzieli.

Serenity nie miała pojęcia, o której godzinie, świecąc sobie latarką, wczołgała się wreszcie do śpiwora, potwornie zmęczona. Las śpiewał kołysankę: skrzypienie drzew, szum zarośli, nawoływanie sów. Poza tym wokół panowała cisza. Ani tata, ani Kyle jeszcze nie wrócili.

Ale czyż nie widziała taty obejmującego się z tamtą kozą? A Kyle? Poszedł do innego ogniska, gdzie rozmawiał z jakimiś dwoma typami o problemach związanych ze środowiskiem naturalnym.

Serenity zaczęła się wiercić, szukając dobrej pozycji do snu i z jakiegoś powodu znowu przypomniały jej się tamte śmigłowce. Chwile, w których żegnała się z życiem.

Nie potrafiła przestać myśleć o Christopherze. O tamtej chwili, kiedy wcisnął jej swój zegarek i zamknął oczy. I o tym, jak te śmigłowce pospadały na ziemię. Czysta magia!

Christopher cały wieczór wpatrywał się w ognisko. Nie ruszał się. Możliwe, że wciąż jeszcze tak siedział.

## PLAN ATAKU

**61** | Nazajutrz Christopher jak gdyby nigdy nic zjawił się na śniadaniu. Usiadł, spokojnie wziął kawałek zimnego mięsa – dzisiaj rano trudno było o coś innego, po czym oznajmił:

– Wczorajszy dzień był bardzo ciekawy.

Serenity spojrzała na niego ze zdumieniem. Owszem, przeżyła ciekawy dzień, ale on? Przecież cały czas siedział na skale! Nie miała pojęcia, dlaczego tak stwierdził.

– Hmm – odparła. – Jedzenie też było dobre.

– Tak – powiedział Christopher i posmarował chleb dżemem. – Musiałbym jeszcze wejść do Internetu, żeby sprawdzić tam kilka spraw. Chodzi mi o wejście przez komputer. Czy jest tu gdzieś jakaś kafejka internetowa, czy coś w tym rodzaju?

Tata się zastanowił.

– Jest jakaś w Spookey – powiedział. Rozejrzał się wokół, skinął głową ku młodemu mężczyźnie o sympatycznym wyglądzie, który właśnie coś przeżuwał i miał wypchane jedzeniem oba policzki. – Finn, mógłbyś go zawieźć? Lepiej, żebyś nie szedł sam, Christopherze.

– Ja też pojadę – szybko dodała Serenity, a nikt się nie sprzeciwił.

Finn tak naprawdę nazywał się Anthony Finnley i był jednym z tych młodych ludzi, z którymi wczoraj tak dobrze rozmawiało się Kyle’owi. Nosił okrągłe okulary i często delikatnie uśmiechał pod nosem. Dzień wcześniej Serenity widziała, jak karmił ptaki okruszkami chleba i uznała go za kogoś niegroźnego. Potem jednak tata wyjaśnił, że Finn zna wiele sztuk walki, ma czarny pas w taekwondo, jest zapalonym myśliwym i najlepszym strzelcem w całej grupie.

Najwyraźniej spodobał mu się pomysł przejażdżki po okolicy. To, że wybrać miał się tylko do Spookey – odległego o jakieś sto mil – chyba go rozczarowało, bo kilka razy zaproponował, że mógłby też pojechać do Black Bay.

– Znam tam nawet dwie kafejki internetowe. Niezłe.

– Najpierw spróbujemy w Spookey – odparł krótko Christopher, a w jego głosie zabrzmiało coś takiego, że każdy sprzeciw wydał się bezcelowy.

Spookey okazało się niepozorną miejscowością składającą się właściwie tylko z głównej ulicy oraz sklepów. Przy zakurzonej Main Street widniały kolejno apteka, stacja benzynowa, poczta, oddział banku i ogromny salon fryzjerski, pomalowany na ohydny, liliowy kolor. Mieszkańcy okolicy mieli chyba niesamowicie bujne owłosienie. O ile ktoś tutaj w ogóle mieszkał. Gdzieniedzie widać było jakiś dom, dobrze ukryty za krzakami i drzewami, a dalej rozciągały się farmy, wcale niewyglądające tak, jak można byłoby się spodziewać w dwudziestym pierwszym

wieku.

I właśnie tutaj miała być kafejka internetowa? Serenity jakoś nie mogła w to uwierzyć. A jednak ją znaleźli. Zobaczyli pojedynczy symbol @ oświetlony neonem, widniejący nad lokalem o przyciemnionych szybach, wyglądającym raczej na jakąś spelunkę. W środku siedziała pewnie zgraja prymitywów w kraciastych koszulach, tylko czekających, by prymitywnie podrywać jakąś dziewczynę. Dobrze, że mieli przy sobie Finna.

Jednak ku rozczarowaniu Serenity, ledwie wysiedli, Finn oznajmił, że musi jeszcze kupić trochę amunicji na polowania i na pewno poradzą sobie sami.

– Jasne – odparł nieporuszony Christopher.

– Potem was odwiozę – oznajmił Finn i tak dodał gazu, że aż się zakurzyło.

Serenity westchnęła, poddając się losowi. Kiedy Christopher otworzył drzwi, weszła za nim.

**62** | Wewnątrz pachniało dokładnie tak, jak się spodziewała: piwem, zjełczałym tłuszczem, kiepską kawą i papierosami. Najwyraźniej nie uznawano tutaj wentylacji.

Liczba przesiadujących w środku prostaków utrzymywała się jednak we właściwych granicach – a ściśle rzecz biorąc, lokal okazał się pusty.

– Stanowisko czwarte – oznajmił typ za ladą. Wyglądał jak ktoś, kto sporo czasu spędza na siłowni i prawie na pewno nie odwiedza liliowego salonu fryzjerskiego: jego łysa głowa lśniła niczym wypolerowana. – Nie wolno niczego ściągać ani niczego instalować. Drukowanie kosztuje dziesięć centów za stronę.

– Dobra – odparł Christopher i zasiadł przy wskazanym komputerze. I pierwsze co zrobił, to było ściągnięcie programu. Serenity przysunęła sobie krzesło, usiadła obok i szepnęła zaniepokojona:

– Wiesz, co robisz, prawda?

Wyglądał tak, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. A może naprawdę nie rozumiał.

Zresztą okazało się, że wcale nie jest tak łatwo, jak zapewne myślał. Kiedy próbował zainstalować ściągnięty program, system się zablokował, żądając wpisania hasła administratora.

– Cholera – zaklął i śmigając palcami po klawiaturze, wypróbował chyba z pięćdziesiąt haseł, prawdopodobnie statystycznie występujących najczęściej, ale żadne nie zadziało.

Serenity poczuła się rozczarowana. Czy tego – podobno najlepszego hakera świata – nie stać na coś więcej? Próbowanie różnych haseł to wszystko, co potrafi? No nieźle, sama by umiała.

Najwyraźniej nie całkiem wiedział, czego w ogóle szuka.

– Dobra – mruknął Christopher, w jego głosie zabrzmiała dziwna aprobata.

Potem wstukał coś, czego nie dojrzała, a wtedy pojawił się niebieski ekran z informacją o błędzie krytycznym. Komputer się zawiesił.

– Co wy tam wyrabiacie? – burknął mężczyzna zza kontuaru.

Christopher uniósł dłonie z miną niewiniątka.

– Nie mam pojęcia.

– Idźcie do tego obok.

Posłusznie przesiedli się do komputera oznaczonego numerem trzecim. Christopher uruchomił Google Mail i zaczął pisać wiadomość. Najwyraźniej po niemiecku, w każdym razie nie potrafiła niczego odczytać.

Zaraz potem szef lokalu ruszył w ich stronę, kroki stawiając szeroko i tak ciężko, że aż drżała pod nim drewniana podłoga. Usiadł na zwolnionym miejscu.

– Cholerne Windows – stęknął i ponownie uruchomił komputer.

Serenity zauważyła, że Christopher tylko udaje pisanie e-maila. W rzeczywistości wzrok skierował na sąsiednią klawiaturę.

Odczytał hasło, którego mężczyzna użył do uruchomienia komputera!

Kiedy tamten facet poszedł z powrotem za swoją ladę, Christopher uśmiechnął konspiracyjnie do Serenity i wyszeptał:

– To było proste, prawda?

Potem raz jeszcze rozpostarł wszystkie palce, poruszał nimi trochę, aby je rozluźnić...

I dopiero wtedy naprawdę wziął się do pracy. Serenity przyglądała się dłoniom Christophera, dosłownie fruującym nad klawiaturą i dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że rozdziawiła usta z wrażenia. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała, aby ktoś pracował na komputerze tak szybko i z taką wirtuozerią. Christopher ściągał programy z Internetu, instalował je i uruchamiał. Robił rzeczy, których jeszcze nigdy nie widziała. W mgnieniu oka ekran zapełnił się okienkami, w których migały kody, kombinacje liter i cyfr, zmieniające się z szaloną prędkością.

– To się nazywa atak *brute force* – cicho wyjaśnił Christopher. – Program wypróbowuje dwadzieścia pięć milionów haseł na sekundę po to, żeby wejść do systemu. W większości przypadków to nie zadziała w takim czasie, jaki mamy do dyspozycji, ale nam wystarczy, jeśli zadziała chociaż raz. – Nacisnął klawisz i wszystkie okna zniknęły. – Oczywiście zostawię to, żeby działało w tle. Inaczej będzie się rzucało w oczy.

Potem uruchomił przeglądarkę internetową i zaczął wpisywać rozmaite adresy. Wydawało się, że Christopher zna na pamięć wszystkie adresy internetowe świata. Ani razu nie skorzystał z Google czy z żadnej innej wyszukiwarki, a jednak pojawiały się kolejne strony. Strona administracji kalifornijskiej sieci energetycznej. Strona rejestru działalności gospodarczej w San Francisco. Strony mnóstwa firm spedycyjnych, plany maszyn, artykuł z jakiegoś egzotycznego czasopisma...

Serenity tylko się przyglądała, ale im dłużej to trwało, tym mniej rozumiała, czego on właściwie szuka.

– Powiedz – po jakimś czasie odważyła się wreszcie zapytać. – Czy ty się nie boisz, że Koherencja cię tutaj zauważy?

Christopher potrząsnął głową i odpowiedział, nawet przez chwilę nie spowalniając ruchu palców biegających po klawiaturze.

– Nie. Dopóki nie aktywuję chipa, pozostaję niewidzialny.

– Krótko skinął głową w stronę masywnej lady. – Ale czy mogłabyś trochę odwrócić uwagę tego typu? Zająć go czymś czy coś? Bo gapi się tak coraz bardziej wścibsko.

– Na twój ekran?

– Nie, na swój – odparł Christopher. – Robię sporo ruchu w sieci. Widzi to na swoim monitorze systemowym.

– Rozumiem – oznajmiła Serenity, chociaż w najlepszym wypadku tak tylko mniej więcej była w stanie domyślić się, o co mu chodzi. Wstała. – Zobaczę, co da się zrobić.

„Jak w jakimś filmie” – pomyślała i powlokła się do kasy. Uśmiechnęła się do tego mężczyzny, starając się wyglądać, jakby robiły na niej wrażenie jego mięśnie prawie rozsadzające podkoszulek. Pochyliła się nad ladą, mając nadzieję, że tak bardziej uwidoczni swój biust. Zapytała, co ma do picia.

Znudzonym głosem wymienił nazwy kilku marek, wskazał na ręcznie wypisany cennik wiszący ponad kontuarem. Najwyraźniej nie zauważał jej biustu albo uznał, żeby nie był wart szczególnej uwagi.

Dobra. Zresztą, co sobie wyobrażała, skoro jest taka płaska?

– Myślę, że... – powiedziała niezdecydowanym tonem – ... wezmę Dr. Peppera.

Wyłowił z lodówki ciemnoczerwoną puszkę i głośno stuknął nią o ladę.

– A twój chłopak? Chce coś?

– Mój chłopak? – Spojrzała na Christophera, zastanawiając się, czy wszystko przebiega tak, jak powinno. Skąd mu przyszło od głowy, że jest z Christopherem parą?

Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić... Christopher był przecież znacznie bardziej interesujący niż jakikolwiek inny chłopak, z którym miała do tej pory do czynienia.

– Dla niego SevenUp – powiedziała wreszcie.

Stuk, zielona puszka.

– Trzy dolary.

Wysupłując pieniądze z kieszeni spodni, pomyślała, że jeśli chodzi o odwracanie uwagi, to nie spisała się najlepiej.

– Czy w okolicy jest jakaś apteka? – zapytała.

Mężczyzna przytaknął i wskazał ręką w kierunku, z którego przyjechał Finn.

– W Safeways, po tamtej stronie centrum handlowego. Nie da się przegapić.

– Dobra, dzięki. – Już nic więcej nie przychodziło jej do głowy. A na filmach wszystko wydawało się takie łatwe!

Otworzyły się drzwi, wszedł jakiś smukły, młody mężczyzna z rzucającym się w oczy kolczykiem w uchu. Powiedział „cześć”, wśliznął się za ladę i pocałował tego muskularnego – w usta! Twarz tamtego, dotąd ponura, rozjaśniła się. Wydobył dwie puszki piwa, zaczęli rozmawiać o jakiejś imprezie i o tym, że ktoś musiał się wybrać do lekarza i się nie zjawi.

Serenity ulżyło, gdy zrozumiała, o co chodzi. Najwyraźniej to właśnie stanowiło powód niewielkiego zainteresowania jej biustem.

Wyglądało na to, że nie trzeba już dłużej odwracać uwagi tego faceta. Wzięła napoje, podziękowała – czego parka prawie nie zauważyła – i wróciła do Christophera.

Ten przestał stukać w klawisze, które chyba cudem wszystko przetrwały. Na monitorze ciągle zmieniały się kolejne okienka, mknęły liczby i ciągi liter, jednak to wszystko działało się już bez udziału Christophera.

Chłopak zerwał zamknięcie puszek wręczonej przez Serenity i oznajmił:

– Skończyłem. – Wskazał głową w stronę monitora. – Teraz tylko usuwam ślady.

– I?

– Zobaczmy. – Wzruszył ramionami.

– To znaczy? Masz jakiś plan, czy nie?

– Mam coś w tym stylu. Zobaczmy, co twój ojciec na to powie.

Serenity przełknęła ślinę.

– Czy ty nigdy nie musisz sobie niczego zapisywać?

– Nie – odparł Christopher takim tonem, jak gdyby stanowiło to coś absolutnie zrozumiałego.

Zapłacili i wyszli. Pod kafejką przysiedli na krawężniku, od czasu do czasu popijając po łyku napoju z puszek. Czekali na Finna. Christopher ponownie zamilkł. Wpatrywał się gdzieś w przestrzeń i niezbyt zachęcająco reagował na próby podjęcia normalnej rozmowy.

„Nie – pomyślała – wcale nie byłoby fajnie mieć takiego chłopaka”.

Siedzieli więc tak i nudzili się, aż wreszcie Finn raczył się znowu pojawić.

– Już gotowe? – zdziwił się. – Szybko poszło!

Kiedy wsiedli do samochodu, Serenity ostentacyjnie zajęła miejsce obok Finna i rozmawiała z nim przez całą drogę powrotną. Co też nie było jakieś specjalnie budujące. Finn z wielkim podekscytowaniem opowiadał głównie o ustrzelonych przez siebie zwierzętach, a chłopięce oczy wręcz mu się przy tym świeciły. Opowiadał, że polował też z kuszą. I jaka to wspaniała broń – kusza. I że chętnie by spróbował zapolować, używając luku i strzał, tak jak dawni Indianie. Niestety, trudno było się czegoś podobnego nauczyć – współcześni czerwonoskórzy prawie wszystko zapomnieli.

Męczące. Mężczyźni są jacyś dziwni. Serenity zastanowiła się, czy lepiej by ich rozumiała, gdyby stopiła się z nimi w Koherencji?

Zadrzała. Już sama taka myśl miała w sobie coś śliskiego, obrzydliwego.

Christopher przez całą podróż siedział za nimi, nie odzywając się słowem. A niech go!

**63** | Dziewczyny z jego dawnej klasy na pewno skłoniłyby go do rozmowy. Gadanie, nieważne o czym, stanowiło dla nich najważniejszą rzecz na świecie. Christopher uznał więc, że Serenity postąpiła bardzo uprzejmie, pozwalając mu całą drogę powrotną spokojnie pomyśleć, a nawet wzięła na siebie rozmowę z Finnem.

Bo przecież koniecznie trzeba się było zastanowić.

W dalszym ciągu wręcz zapierało mu dech w piersiach wyobrażenie sobie przeciwstawienia się takiemu przeciwnikowi jak Koherencja. Porównanie tego do walki Dawida z Goliatem zdecydowanie nie oddawało istoty sprawy. Pomysł przywodził raczej na myśl próbę zatrzymania lawiny gołymi rękoma. Albo powodzi.

Wczoraj jednak przyszło mu do głowy, że lepiej będzie, jeżeli potraktuje Koherencję nie jako osobę – nawet jeśli w pewnym sensie nią jest – lecz jako system. Na systemach się zna. Z systemami miał już do czynienia. A przede wszystkim zawsze sobie jakoś z nimi radził, nawet z tymi potężnymi. Tak naprawdę, na całym świecie nie istniał taki system, który by mu się oparł.

Gdy w taki sposób podszedł do problemu, poczuł się lepiej. Oczywiście wciąż należało pamiętać, że Koherencja to system potężnego kalibru: samoorganizujący się, nadludzko inteligentny, o straszliwej dynamice. Bez wątpienia największe wyzwanie w jego życiu.

Przemyślał informacje odnalezione dzisiaj w Internecie, raz za razem obracając w myślach cały plan. Złamanie systemu powinno polegać na odnalezieniu i wykorzystaniu jego słabości.

Gdy robi się coś takiego z komputerem, jest o tyle łatwiej, że komputer wypełnia każde poprawnie sformułowane polecenie, nie pytając o jego sens i cel. Z ludźmi stanowiącymi część systemu jest inaczej. Muszą mieć jakieś pojęcie o tym, co mają zrobić, i mieć przekonanie, że jest to słuszne.

Przeciwnik, którym jest Koherencja, to coś nowego, niemieszczącego się w żadnej kategorii. Sama w sobie stanowi kategorię. Konfrontacja z nią powinna przebiegać według zasady: „Wiem, że ona wie, że ja wiem...”.

Czy Koherencja może przejrzeć jego plany? Odpowiedź na to pytanie zadecyduje o wszystkim.

Jak to ocenić? Trudne zadanie. Oczywiście, Koherencja go zna, kiedyś przecież stanowił jej część. Pamięta o nim, wie, jak myślał, co czuł, na jakie wpadał pomysły. Potrafi go oszacować lepiej, niż on mógłby oszacować ją.

Z drugiej strony jego plan opiera się na informacjach, których jeszcze nie posiada, i w związku z tym Koherencja nie może wiedzieć, że je poznał. To jest jego przewaga.

Tyle że jedyna.

Ach tak! Jeszcze coś. Przecież Koherencja nie zna Jeremiaha Jonesa i jego ludzi! Nie tak jak zna ich Christopher.

Przy czym... mówiąc szczerze, musiał przyznać, że sam nie wie, co dokładnie



zamierzają zrobić Jones oraz jego ludzie.  
Równie mało oni wiedzieli o nim.  
A to, powiedział sobie, kolejna przewaga.

**64** | Gdy wracali, niebo zaciągnęło się ciemnymi, posepnymi chmurami. Zaczęło padać, nim jeszcze dojechali do porośniętego lasem stoku. Serenity ucieszyła się, gdy wreszcie dotarli do obozu.

Rozpadało się już tak bardzo, że nawet drzewa nie dawały zbyt wielkiej osłony. Kiedy wysiedli, Serenity zadrżała z zimna. Temperatura znacznie spadła. Jezioro poszarzało od smagającego je wichru, przeciwległy brzeg zniknął, jak gdyby przykryła go opuszczona z nieba kurtyna. W dodatku Serenity miała nieodpowiednie buty.

Tata i Kyle wyszli jej naprzeciw. Obaj w przemokniętych parkach. Od razu zaczęli się dopytywać, czy wszystko przebiegło, jak należy, i co udało się osiągnąć.

– Teraz – wyjaśniał Christopher – chyba mam coś w rodzaju planu.

Tata z uznaniem uniósł brwi.

– Brawo!

Od razu zwołał naradę w wąskim kręgu, pod osłoną plandeki, która telepiąc się, wisała na złożonych łózkach polowych. Deszcz siekł o płachtę, gdzieniegdzie przez nią przesiąkał. Kilka razy błysnęło, po każdym błysku rozlegał się ogłuszający grzmot.

– Do moich przykładowych obliczeń – wyjaśniał Christopher – zakradł się błąd w rozumowaniu. Mam na myśli ten rachunek, według którego liczebność Koherencji podwaja się co dwa tygodnie, co doprowadziłoby do tego, że po mniej więcej roku ogarnęłyby całą ludzkość.

Doktor Lundkvist spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Muszę przyznać, że dla nas brzmiało to całkiem przekonująco.

– Co było błędnego? – zapytał tata.

– Obliczenia nie uwzględniały tego, że liczba wytworzonych chipów nie wzrasta według tej samej reguły – tłumaczył Christopher. – Nie podwaja się równo co dwa tygodnie. To znaczy, że Koherencji nie zabraknie ludzi, ale zabraknie chipów.

Znowu piorun, tak jasny, że Serenity odruchowo zamknęła oczy i wcisnęła głowę w ramiona. A potem jak eksplozja rozległ się grzmot.

Doktor Connery podrapał się po uchu i powiedział:

– Dla mnie to brzmi jak dobra wiadomość.

Kyle, siedzący obok Serenity, nachylił się.

– Czy to znaczy, że jeżeli utrudniłoby się produkcję chipów – powiedział – można by powstrzymać rozrost Koherencji?

– Przynajmniej go zahamować – zaznaczył Christopher. – Tak, to mój główny pomysł.

Tata podrapał się po głowie.

– Tyle że Singapur leży ciut za daleko, jak na nasze możliwości.

– Produkcja nie odbywa się w Singapurze – wyjaśnił Christopher.

– A gdzie?

– Chipy powstają w pewnej fabryce w Dolinie Krzemowej.

Wokół rozległ się szmer.

– San Francisco? – upewnił się tata. – Brzmi lepiej.

– Oczywiście jest zabezpieczona – kontynuował Christopher. – Jednak wszystkie zabezpieczenia używane przez Koherencję służą do odróżniania nosicieli chipów od zwykłych ludzi. To znaczy, że aby mnie wpuszczono, muszę tylko aktywować swój chip. Mogę wejść do środka i zrobić tam, co tylko będzie trzeba, by zatrzymać produkcję. Muszę jedynie pilnować, aby nie wejść w Pole, bo wtedy oczywiście Koherencja natychmiast mnie rozpozna i zacznie przeciwdziałać.

– Co to dokładnie znaczy? Zatrzymanie produkcji chipów? Jak by to się odbyło?

Serenity w napięciu patrzyła na Christophera. Przez chwilę odwzajemniał jej spojrzenie, a potem skierował wzrok na rozmokłą ziemię, jak gdyby tam tkwiły pozostałe szczegóły.

– Odbyłoby się to przez zniszczenie maszyn. Najlepiej je wysadzić. Czyli przeprowadzić atak bombowy.

Na chwilę zapanowała cisza, słychać było tylko dudnienie ulewy.

– Innymi słowy – głucho stwierdził tata – musielibyśmy zrobić dokładnie to, co nam się zarzuca: wysadzić fabrykę w powietrze.

Christopher pokiwał głową.

John Two Eagles uniósł brwi. Chociaż przez cały czas siedział razem z nimi, to prawie wcale się nie odzywał, nawet nie zmieniał wyrazu twarzy – dlatego ten drobny ruch sprawił, że wszyscy drgnęli.

Doktor Lundkvist odruchowo przeczesał dłonią siwą czuprynę.

– To przecież szaleństwo. Robiąc coś podobnego, wpadniemy w takie tarapaty, że już nigdy się z nich nie wydobędziemy.

– Pan już w nie wpadł – zauważył Christopher.

– Co ty powiesz! Nie mamy nic oprócz twoich słów. Fantastycznej opowieści siedemnastolatka. – Doktor Lundkvist obnażył zęby dolnej szczęki. – To nie jest skierowane osobiście przeciwko tobie, zrozum. Ale skąd mamy wiedzieć, że to, co nam opowiedziałeś, jest prawdą? Wszystko może się też przedstawiać całkiem inaczej. Chodzi mi o to, że na przykład mógłbyś zjawić się tutaj z zadaniem zwabienia nas w pułapkę.

Christopher wzruszył ramionami.

– Jeśli mi nie uwierzycie, to też nic szkodzi. – Ruchem głowy wskazał tatę. – To on, nie ja, chciał jakoś przeciwstawić się Koherencji. Ja tylko chcę się pozbyć chipa.

Serenity spojrzała na ojca, nie wiedziała, co ma teraz myśleć. Przez chwilę wszystko, co Christopher opowiadał o Koherencji, jej również wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Jak gdyby mówiono o UFO.

– Neal – odezwał się tata – pamiętasz może, jak tamtego wieczora, kiedy zjawiliśmy się tutaj we trzech, wysłałem jeszcze Rusa w pickapie?

– Tak – odpowiedział białowłosy lekarz.

– Kazałem mu wypytać nasz kontakt w FBI. Jak pamiętasz, mieliśmy zrobić to jedynie w razie najwyższej potrzeby. – Zwrócił się do Christophera: – Nie wiem, kim dokładnie jest ta osoba, jednak do tej pory zawsze odpowiednio wcześniej ostrzegała nas przed wszystkim, co mogło zagrozić nam ze strony władz. Kiedy Nick wrócił dzisiaj z częściami do agregatu, przywiózł też odpowiedź z Waszyngtonu. Nasz kontakt nic nie wie o jakiejś tajnej operacji wymierzonej przeciwko nam. Obecnie wygląda to tak, że satelity wciąż nie wytropiły naszego obozowiska. W związku z tym FBI wyszło z założenia, że poukrywaliśmy się oddzielnie i muszą wyszukiwać nas jednego po drugim.

– To był tylko przykład. – Doktor Lundkvist uniósł dłonie w przeproszającym geście. – Możliwość, z którą musimy się liczyć.

– Tak, to jasne, jednak... – Znowu błyskawica, znowu grzmot, który przetoczył się po lesie, przerywając wypowiedź. – Chciałem powiedzieć – kontynuował tata – że wierzę w opowieść Christophera. I chociaż to wszystko brzmi bardzo fantastycznie, to jestem przekonany, że wygląda dokładnie tak, jak to przedstawił. W znacznej mierze wyjaśnił sporo dziwnych rzeczy związanych z tropieniem nas. Wierzę, że Koherencja istnieje i stanowi powód tego wszystkiego.

– To ja stanowią powód – odezwał się doktor Connery. – To ja stanowią powód. Zastanówmy się, czy po prostu nie powinienem odejść. Wtedy Koherencja nie miałaby już po co was.

– Nie, Bob, nad tym nie będziemy się zastanawiać – zdecydowanie przerwał mu Jones. – Poświęcanie kogoś w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Neurolog potrząsnął głową.

– To na mnie spoczywa odpowiedzialność za powstanie Koherencji. Nie mam prawa ściągać na was niebezpieczeństwa.

– Jeszcze większe niebezpieczeństwo stanowiłaby zdrada naszych zasad – odparł tata. – Gdybym posłuchał twojej rady, nieważne stałoby się wszystko, w co wierzę, a tego nie...

– Raczej nie mógłbyś mi przeszkodzić, gdybym naprawdę się...

Christopher uniósł ręce, a oni zamilkli.

– To by nic nie dało – oznajmił. – Koherencja wcale by wtedy nie przestała was ścigać. – Spojrzał na ziemię, wzdrygnął się. – Doktorze Connery, Koherencja jest zdeterminowana, aby uzyskać wszelkie informacje na temat pańskich badań, dlatego przyłącza do siebie wszystkich, co do jednego, którzy kiedykolwiek mieli z panem kontakt.

– Wszystkich, którzy kiedykolwiek... – powtórzył neurolog, szeroko otwierając oczy. – Co to ma znaczyć?

Christopher zerknął na niego z ponurą miną.

– Nie chciałem tego panu mówić. Koherencja, aby uzyskać dostęp do pańskiej

dokumentacji, przyjęła pańską dawną gospodynię oraz pańską siostrę, razem z jej rodziną.

**65** | Serenity zobaczyła, jak twarz doktora Connery'ego staje się całkiem blada. Wszyscy to zobaczyli. Wiadomość uderzyła go niczym obuch.

Melanie, przyjaciółka taty, wstała, usadowiła się obok neurologa i objęła go ramieniem.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Nie wmawiaj sobie tego.

Doktor Connery jakby jej w ogóle nie widział.

– Co ja narobiłem? – mamrotał bezwiednie – Dlaczego musiałem brać się za ten przeklęty projekt?

Teraz tata nachylił się do niego i również położył mu dłoń na ramieniu.

– Bob! Posłuchaj mnie, Bob! To wisiało w powietrzu. Postęp techniczny nieodwołalnie do tego zmierzał. Gdybyś ty tego nie zaczął, zrobiłby to kto inny.

– Chciałem tylko zacząć nowe życie – jękał się doktor Connery. – Życie wśród natury. Nie mieć już nic wspólnego z neurotechnologią. A znowu mnie dopadła... – Przełknął ślinę z takim trudem, jak gdyby miał zbyt ściśnięte gardło. – Samantha...? Co mogła zrobić?

Kyle zerwał się z miejsca, rozwścieczony do czerwoności. Blizna na czole odznaczała się wyraźnie.

– O czym my tu jeszcze gadamy? Co nam przyniesie to całe jęczenie! Lepiej bierzmy się do rzeczy! Wysadźmy tę cholerną fabrykę chipów, im prędzej, tym lepiej!

Po plecach Serenity przebiegły dreszcze, i to wcale nie za sprawą zimnego powietrza na zewnątrz. Jeszcze nigdy nie widziała brata w takim stanie.

– Gniew to zły doradca – upomniał go ojciec spokojnym tonem. – Podobnie niecierpliwość. Będziemy działać, ale zaplanujemy dokładnie każdy krok i będziemy zachowywać się jak najbardziej przezornie.

Kyle spojrział na niego. Zdawało się, że na końcu języka ma ostrą ripostę, ale powiedział tylko:

– Ach, dajmy spokój.

Przez chwilę Serenity sądziła, że brat zaraz wybiegnie z namiotu, on jednak po prostu zasiadł ponownie obok niej i ponuro wpatrywał się w ziemię.

Tym razem Melanie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Działać? Jerry, co przez to rozumiesz?

Tata wskazał ręką w stronę lasu.

– Jeśli chodzi o ładunki wybuchowe, to wcale nie jesteśmy aż tak bardzo niedoświadczeni. Co prawda do tej pory wysadziliśmy tylko jedną czy dwie skały zagradzające nam drogę, ale nie powinno być większej różnicy między nimi a maszynami.

Doktor Lundkvist się skrzywił.

– Muszę przyznać, że mam spore zastrzeżenia – oznajmił. – Wysadzenie nawisu skalnego, który i tak grozi zawaleniem, nie jest tym samym, co zniszczenie fabryki. I do tego jeszcze w samym środku jednego z najbardziej rozwiniętych rejonów

przemysłowych na świecie.

Melanie gwałtownie pokiwała głową.

– Neal ma rację. Mówimy tutaj o prawdziwej akcji dla komandosów! I sam nawet powiedziałeś, że w ten sposób zostaniemy dokładnie takimi przestępcami, jakich chcą w nas widzieć.

– Czy ty nic nie rozumiesz? – Kyle znowu się zdenerwował. – Przecież nie mamy wyboru! Musimy się bronić! – Serenity po raz pierwszy zauważyła, że brat chyba nie lubi przyjaciółki taty w równym stopniu, co i ona. – A ty co chcesz zrobić? Wezwać policję?

– A może zauważyłeś przypadkiem – ostro odparła Melanie – że nie jesteśmy marines, SWAT-em ani podkładaczami bomb. Większość z nas to po prostu outsiderzy, nomadzi, artyści.

– To też do końca tak nie jest – stwierdził tata. – Pomyśl o Finnie. Albo o Brianie. Wystarczy go tylko zapytać, co wyprawiał, kiedy działał w Greenpeace. I o Russellu. Nie tylko służył w marines, był na dwóch wojnach.

– Angry Snake – dodał John Two Eagles. – Jest jeszcze młody, ale ma serce wojownika.

Melanie potrząsnęła głową.

– Czy wy poszaleliście i naprawdę chcecie podkładać bomby? No to, szczerze mówiąc...

– Mel, szczerze mówiąc – ponownie wtrącił się Kyle – tobym chciał, żebyś tak kiedyś stanęła sobie przed dwojgiem ludzi mówiących do ciebie chórem! Chciałbym, żebyś to kiedyś sama przeżyła. Wtedy może byś wiedziała, że temu trzeba jakoś przeciwdziałać!

– Kyle – tata spojrzał proszącym wzrokiem – nie takim tonem, dobrze? Wszyscy próbujemy tutaj dojść do jakiegoś właściwego rozwiązania, tylko każdy na swój sposób.

Twarz Melanie była nieruchomą maską.

– Kyle, jakoś nie starasz się mnie zrozumieć, prawda? Chcę po prostu powiedzieć, że czułabym się znacznie lepiej, gdybyśmy naprawdę wysadzili w powietrze tamto cholerne centrum informatyczne, tak jak nas oskarżają. Bo wtedy przynajmniej byśmy wiedzieli, jak się coś takiego w ogóle robi!

Tata uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

– Mel, my wiemy, jak to się robi.

– Ach, tak? A skąd?

Westchnął.

– Nie tylko zebrałem wszystkie artykuły z gazet na temat przypisywanego nam zamachu, ale zaznajomiłem się także z oficjalnym raportem ze śledztwa, przedstawionym odpowiedniemu sądowi i urzędnikom śledczym. Opisano tam ze szczegółami, jak rzekomo to zrobiliśmy. A skoro raporty sporządzili znani wojskowi

eksperci – uniósł brwi w typowy dla siebie sposób – teraz musimy jedynie to naśladować. W zasadzie to mamy doskonałą instrukcję.



**66** | Kolejna narada odbyła się wieczorem następnego dnia. Jako że informacje, które pamiętał Christopher, nie przydałyby się nikomu innemu, raz jeszcze wybrali się w podróż, tym razem do stanowej biblioteki w Black Bay. Używając tamtejszego komputera z dostępem do Internetu i korzystając z Google Maps, wydrukowali mapy okolic fabryki, a poza tym zaopatrzyli się w oficjalne plany techniczne budowli, uzyskując je z różnych baz danych. Ponadto kupili dobrą mapę San Francisco i okolic.

Teraz wszystko rozłożyli na trzech stołach kempingowych. Deszcze ustał, dlatego rozmawiano na placu, na którym palono zwykle ognisko, w blasku żarówek porozwieszanych nad stołem ustawionym na trójnożnym statywie. Naprawa agregatu wyraźnie się powiodła: żarówki ani razu nie mrugnęły. Jak opętane brzęczały wokół nich liczne owady.

Tym razem na spotkaniu nie zabrakło nikogo, może poza kilkoma strażnikami. Po obozowisku dawno już rozeszły się wieści, co się szykuje, i teraz ponad dwadzieścia osób słuchało uważnie, jak Christopher przedstawia założenia planu.

– Nie wiem, do jakiego stopnia jest to wiadome, ale wytwarzanie współczesnych chipów do komputerów to praca wymagająca niesamowitej uwagi, podczas której niesłychanie łatwo o usterki – tłumaczył. – Zasadniczo, żeby popsuć maszynę, wystarczy tylko wrzucić do niej garść piasku albo coś w tym rodzaju. Jednak nie wystarczy to na długo. W związku z tym, że w procesie produkcji tak ważne jest zachowanie wysokiego poziomu czystości, maszyny buduje się tak, by dało je się dokładnie wyczyścić w prosty sposób. Dlatego bardziej skuteczne byłoby ich zniszczenie.

Wskazywał palcem poszczególne elementy ilustracji, pokazujące drogę, którą komputerowy chip przebywał od surowego materiału aż po gotowy produkt.

– Najlepiej zaatakować maszyny, w których poleruje się krzemowe płyty, tak długo, aż ich powierzchnia stanie się perfekcyjnie gładka. – Jego palce powędrowały dalej. – Tutaj w końcu zostają pokryte i naświetlone systemem połączeń. Urządzenia służące do naświetlania również łatwo zniszczyć. Koniecznie musielibyśmy też zniszczyć matryce. Do tego również najlepsze jest to miejsce z płytkami.

– I wyniesiemy tyle gotowych chipów, ile damy radę – powiedział Kyle. – Potem urządzimy sobie tutaj wesołego grilla.

Wśród nocy, gdzieś wysoko nad nimi, zakrzyknął ptak. Serenity uniosła głowę. Orzeł? Kiedyś rozpoznawała mnóstwo zwierząt po samych odgłosach, ale już prawie wszystko pozapominała.

– Maszyny można zreperować albo zastąpić innymi – zauważyła jakaś krępa kobieta. – A te matryce Koherencja na pewno może też jakoś zdobyć, prawda?

Christopher przytaknął. Stał z wysoko uniesionymi barkami, wyraźnie niezbyt dobrze się czując w centrum uwagi – jednak Serenity miała wrażenie, że pod tą niepewnością można wyczuć niewiarygodnie mocne, wręcz stalowe zdecydowanie.

Przypomniała sobie, że przecież ten chłopak wykoleił kiedyś cały świat. Dlaczego nie miałby tego zrobić po raz drugi?

Tata skinął w stronę pytającej.

– To prawda. Możemy tylko zahamować Koherencję, a nie wyłączyć ją. Jednak w ten sposób zyskamy czas na dalsze kroki.

A żeby ów czas był jak najdłuższy, Christopher wymyślił coś jeszcze bardziej wyszukanego: zadanie, które wykona Nick. Nick? Twoja kolej.

Nicholas Giordano głośno wciągnął przez zęby powietrze i dopiero po tym otworzył usta.

– Produkcja chipów, tak jak słyszeliście, odbywa się w sterylnie czystych pomieszczeniach. Owe pomieszczenia są tak czyste, że w porównaniu z nimi świeżo wypucowane mieszkanie mojej matki to wysypisko śmieci, a biorąc pod uwagę, jaka jest moja matka, to naprawdę coś. Nawet sala operacyjna w szpitalu jest z tysiąc razy bardziej zakurzona niż takie pomieszczenie. Co zatem logiczne, najbardziej wrażliwym elementem jest urządzenie do filtrowania powietrza. Znajduje się tutaj – oznajmił i położył swój serdelkowaty palec na planie budowli.

Wszyscy wyciągnęli szyje w tamtą stronę. Nick wskazywał pomieszczenie prawie dwukrotnie większe od właściwej hali fabrycznej.

– Całkiem spore – ktoś zauważył.

– Owszem, całkiem spore – potwierdził Nick i przepędził wścibską muszkę, bzyzącą mu przy palcu. – Będzie się wydawało, że nasz atak w ogóle nie dotyczy filtrów powietrza. Przecież to tylko takie lepsze klimatyzatory, prawda? Jednak w rzeczywistości dokonamy tam sabotażu. Dokładnie mówiąc, ja go dokonam.

– A co to da? – zapytała jakaś młoda kobieta siedząca z tyłu. Serenity zobaczyła, że to Ann, która w dzień ich przybycia udawała turystkę na wysuniętym posterunku strażniczym.

– Niesamowicie wysoki procent braków po wznowieniu produkcji. I wcale nie będzie im tak łatwo dociec, w jaki sposób pył dostaje się do powietrza – zapewnił Nick z przekonaniem. – Przystudiowałem plany tego urządzenia i wymyśliłem, że tam, przy dopływie...

– Aż takich szczegółów – przerwał mu tata – to jak sądzę, wcale nie chcemy znać.

Nick zrobił nadąsaną minę.

– Tak? No to dobra. W każdym razie sprawię, że Koherencja zacznie bardzo kłąć. Chórem.

– Z przyjemnością tego posłuchamy. – Serenity dostrzegła, że uśmiech taty wydaje się jakiś wymuszony. Wiedziała, że martwi się, czy rzeczywiście robią to, co powinni, nawet jeśli nie chciał się do tego przyznać. Czy ostatniej nocy w ogóle spał? Ciągłe się budziła, kiedy wychodził z namiotu albo do niego wchodził, słyszała jego kroki na ściółce. A dzisiaj rano podczas śniadania miał głębokie cienie pod oczami.

Ze stosu papierów wyciągnął kolejną kartkę.

– Przejdźmy do rzeczy – stwierdził krótko. – Christopher dowiedział się, że terenu zakładu nocą pilnuje firma ochroniarska Zerberus Limited. Włamał się do grafiku ich służb. Patrole robią obchód około drugiej, a potem o wpół do czwartej. Myślę, że staniemy samochodem pod głównym wejściem i poczekamy, aż zakończy się pierwszy obchód. Potem Christopher wejdzie do środka, na chwilę aktywując swój chip i w ten sposób oszukując bramkę w wejściu. Już w środku wyłączy alarm i otworzy nam jedną z dwóch bram przy rampie rozładunkowej. Tutaj – wskazał odpowiednie miejsce – będziemy czekać razem z drugim samochodem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli weźmiemy kampera Briana, który wygląda jak stara ciężarówka i nie będzie zwracał niczyjej uwagi.

– Czyli że będą dwa pojazdy. – Doktor Lundkvist pokiwał głową. – A w nich kto?

– Oczywiście Christopher i ja – wyliczył tata. Spojrzał na Johna Two Eagles: – A ty znowu obejmiesz w tym czasie dowództwo nad obozem.

Indianin tylko pokiwał głową.

– Jeszcze Nick, bo tylko on da sobie radę z urządzeniem wentylacyjnym – kontynuował tata. – Russel Stoker i Anthony Finney jako ekipa saperska. I Brian Dombrow jako kierowca. On najlepiej zna swój samochód, a my wiemy, jak potrafi jeździć.

Wszyscy wokół zgodnie przytaknęli. Serenity odniosła wrażenie, że niektórzy jednocześnie się wzdrygnęli.

Co to miało znaczyć? Czyżby ten Brian Dombrow prowadził jak szaleniec?

– Powinien ruszyć z nami też Angry Snake – oznajmił z powagą John Two Eagles. – Ktoś musi zadbać o Christophera. A on się może tym zająć.

Tata przytaknął.

– Dobry pomysł, niech tak będzie.

– Też jadę – oznajmił Kyle.

– W żadnym wypadku. Żadne moje dziecko nie weźmie udziału w tej akcji.

Kyle nie spuścił wzroku.

– To mi wytłumacz, dlaczego ty chcesz wziąć w niej udział. – Wskazał zgromadzonych wokół ludzi. – Ich nazwiska mogą znajdować się na liście poszukiwanych, ale to twoje zdjęcie, tato, wisi na każdym posterunku policji w Ameryce. Nie wspominając już o stronie FBI z dziesięcioma najbardziej poszukiwanymi terrorystami.

– Pojadę – odparł tata – bo to ja przekonałem Christophera, aby nam pomógł. Poza tym muszę zobaczyć te chipy na własne oczy, zanim rzeczywiście wysadzę coś w powietrze. Wiem, że ryzykuję, pokazując się w okolicy, ale nie ma innego wyjścia.

A co teraz pomyślał sobie Christopher? Serenity zauważyła, że na chwilę zmrużył oczy.

– Dobra – oznajmił Kyle. Ku zaskoczeniu siostry zachował niemal taki sam spokój co tata. – A ja pojadę z wami, bo poza Serenity i samym Christopherem jestem

jedynym, który już raz stanął twarzą w twarz z Koherencją. Poza tym w całym oddziale będą jedyną osobą, która nie znajduje się na żadnej liście poszukiwanych. I jedno, i drugie w odpowiedniej chwili może przynieść nam rozstrzygającą przewagę.

Tata przez chwilę przypatrywał się Kyle'owi, a następnie wymienił spojrzenia z Johnem Two Eagles oraz doktorem Lundkvistem.

– Jerry, twój syn ma nieco racji – oznajmił w końcu białowłosego lekarz.

– No dobrze. – Tata jak gdyby się przemógł. – Mam nadzieję, że nie będę tego żałował, ale w porządku. Jedziesz z nami.

– Nie będziesz tego żałował – obiecał Kyle.

Tata uśmiechnął się krzywo.

– A może jednak? Zwłaszcza jak mi twoja matka wydrapie oczy.

Zgromadzeni wokół ogniska zanieśli się śmiechem. Na chwilę zniknęło napięcie, dotąd tak wielkie, że niemal namacalne.

Tymczasem tata wydobył wielką mapę pokazującą zachodnią część USA i rozpostarł ją na zaścielających blat papierach.

– Dobra. Zajmijmy się trasą. W tamtą stronę jedziemy przez Utah i robimy przystanek w Tremblestoke. Tam znamy taki motel, gdzie o nic nie będą pytać. Następnego dnia powinniśmy już dotrzeć do San Francisco, gdzie znajdziemy nocleg w magazynie wynajmowanym przez przyjaciela. Z tamtej bazy powinniśmy mieć do celu tak od dwudziestu minut do godziny jazdy, zależy od pory dnia i natężenia ruchu. Spędzimy jeden, dwa dni na sondowaniu celu, a potem uderzymy.

Pedantycznie złożył mapę.

– Co do drogi powrotnej, musimy rozważyć wiele możliwości, zależnie od tego, jak wielkie poruszenie wzbudzi nasz atak, czy będziemy musieli liczyć się z blokadami dróg i tak dalej. Mam zamiar poczytać jeszcze ten raport dotyczący śledztwa. Przedstawiają w nim liczne wyrafinowane metody, które podobno wykorzystaliśmy, aby uciec policji w Karolinie Północnej. Naprawdę można się z tego wiele uczyć.

Serenity rozejrzała się dookoła. Zobaczyła uśmiechy. Miny pełne pewności siebie. Zniknęło powątpiewanie, które początkowo dawało się odczytać na wielu twarzach. Wszyscy wydawali się zdecydowani dać nauczkę Koherencji i przy okazji policji. Sprawiali wrażenie przekonanych, że im się uda. Pewnie nie bez wysiłku, i to nie będzie jakiś spacer, ale i tak zwyciężą.

Jedyną osobą, która w ogóle nie wydawała się pewna siebie, był Christopher.

– Potrzebujemy jakiejś kwatery głównej – oznajmił wśród wybuchu powszechnego entuzjazmu. – Na wszelki wypadek. Jakiegoś telefonu, który nie jest w żaden sposób związany z obozowiskiem i na który możemy dzwonić, aby poinformować, gdyby coś poszło nie tak.

Tata spojrział na niego zdziwiony.

– No, nie wiem. Rozmowy telefoniczne można podsłuchać.

– Jasne – odparł Christopher, zniecierpliwiony – ale to wcale nie oznacza, że nie można się w ten sposób komunikować. Ustalmy szyfr, którym można opisać wszystkie możliwe zdarzenia.

Tata rozejrzał się wokół.

– Jak to zrobimy? Ktoś mógłby zatrzymać się na czas akcji w jakimś bezpiecznym domu w pobliżu. Tam byłby dostępny telefonicznie. – Spojrzał na Christophera. – Czy to byłoby jakieś rozwiązanie?

– Tak.

– Tyle że nie mamy w pobliżu żadnego bezpiecznego domu – dodał tata.

– Jest dom mojej córki – rzucił doktor Lundkvist chrapliwym głosem. – Mieszka przy Shiver Falls. Dwie godziny drogi od tamtego miejsca. To jest do zrobienia. Ponadto budynek stoi na uboczu i trudno tam coś podejrzeć. Nikt nie zauważy, jak na kilka dni zatrzymają się tam goście.

– Czy przyjmie u siebie kogoś z naszych?

Doktor Lundkvist wolno pokręcił głową.

– Spróbuję. – Zabrzmiało to tak, jakby między nim a córką nie układało się najlepiej.

– Dobra, to już jest jakieś rozwiązanie – stwierdził tata. Spojrzał na Christophera. – Czy coś jeszcze?

– Tak, jeszcze coś – odpowiedział chłopak z powagą. – Ten wóz medyczny ratownictwa górskiego, o którym pan wspominał.

– Medomobil – przytaknął doktor Connery.

– Powinien być w pogotowiu gdzieś w pobliżu. I obaj lekarze. Na wypadek, gdyby ktoś został ranny.

Wokół rozeszły się pomruki niezadowolenia.

– Christopherze? – ostrożnie zagadnął tata. – Dlaczego się o to martwisz? Do unieruchomienia maszyn nie zużyjemy dużo materiału wybuchowego. Finn i Rus się na tym znają. Nie jesteśmy w jakimś hollywoodzkim filmie. Nikomu nie stanie się krzywda.

– A jednak – w blasku żarówki twarz Christophera wyglądała, jak gdyby wyciosano ją z kamienia – raczej powinniśmy zakładać, że się stanie. W pobliżu fabryki mieszka więcej Upgraderów niż gdziekolwiek indziej w całych Stanach Zjednoczonych. W tej samej sekundzie, w której wyłączę urządzenia alarmowe, wszyscy ruszą. Uzbrojeni – dodał jeszcze.

Serenity uważnie przyglądała się ojcu. Do tej pory udawało mu się skrywać zatroskanie, teraz jednak już nie zdołał.

– Czyli że musimy być jeszcze szybsi – oznajmił, wyraźnie zdenerwowany.

Christopherowi nawet nie drgnęła powieka.

– Nasz przeciwnik to nie FBI ani nie policja – tłumaczył ponurym tonem. –

Naszym przeciwnikiem jest Koherencja. Jeżeli przeprowadzimy taką akcję, uzna to za wypowiedzenie wojny. I odpowiednio zareaguje.

– W porządku, rozumiem. – Tata pokiwał głową. Wymienił spojrzenia ze swoimi doradcami. Nikt się nie odezwał, nawet Melanie. Zapadła ciężka cisza.

– Zabierzemy medomobil – oznajmił. Potem spojrział na lekarzy: – I was dwóch.

**67** | Najbardziej w tym wszystkim Serenity zaskoczyły materiały wybuchowe. W życiu by nie zgadła, że z pewnego środka do prania, pewnego środka chwastobójczego oraz jeszcze kilku chemikaliów, powszechnie uważanych za niegroźne i dostępnych w każdym supermarkecie, po wymieszaniu we właściwych proporcjach można otrzymać bardzo skuteczny materiał wybuchowy. Tak bardzo nie mieściło jej się to w głowie, że nie chciała wierzyć w ani jedno słowo na ten temat, aż wreszcie Russel Stoker oznajmił:

– To chodź ze mną.

Zaprowadził ją do odosobnionej doliny, gdzie razem z innymi ćwiczył obchodzenie się z materiałami wybuchowymi, a potem na oczach dziewczyny rozbił w proch i w pył kawał skały wielkości ciężarówki.

– To niewiarygodne – oznajmiła, kiedy w uszach przestało jej już dźwięczeć i szumieć. – W domu używaliśmy tego do prania!

– Oto właśnie chemia – stwierdził tylko Russel i potarł nos pokryty czerwonymi żyłkami. Miał w życiu taki okres, kiedy pił więcej, niż powinien. Był najstarszym przyjacielem taty, razem chodzili do szkoły, jednak Rus wyglądał na znacznie starszego.

– Właśnie czymś takim dowalili nam talibowie. Kiedyś.

Jak na niego, był to bardzo obszerny komentarz. Zwykle nie opowiadał o wojnach, w których brał udział.

Córka doktora Lundkvista oznajmiła, że jest gotowa przyjąć gości na jakiś czas, chociaż oczywiście nie można jej było zdradzić dokładnych przyczyn. Godziła się jednak tylko na kobiety, nie życzyła sobie żadnych mężczyzn.

Właśnie na taką okazję czekała Serenity. W obozowisku mieszkało niewiele kobiet, a w dodatku nie można było ich tak po prostu, bez trudności oddelegować. Naciskała więc, prosiła i argumentowała tak długo, aż tata zgodził się, by razem z Madonną Two Eagles objęły dyżur przy telefonie.

Istniało jednak pewne „ale” – na kierowcę i opiekunkę wyznaczono przyjaciółkę taty, Melanie.

Przy okazji Serenity dowiedziała się w końcu, w jaki sposób do obozowiska docierają wieści ze świata, mimo że leży on z dala od masztów telefonii komórkowej, telewizyjnych, a także sieci telefonicznej. Codziennie jeden z mieszkańców obozowiska, zawsze inną trasą, jechał do którejś z okolicznych miejscowości. Tam telefonował z budki albo jakiejś anonimowej komórki do zaufanego człowieka, który przekazywał informacje i którego prosiło się również, by zadzwonił do określonych osób. Ze szczególnie poufnymi wiadomościami posyłało Indianina. Ten rozmawiał z którymś ze swoich krewnych w dialekcie znanym nie więcej niż dwustu innym ludziom.

Niekiedy, jeżeli zdarzył się ofiarodawca, posłaniec przywoził też nieco żywności. Tylko w wyjątkowych przypadkach mogli sobie pozwolić na normalne zakupy,

a zakładanie stałego warzywnika było wręcz nie do pomyślenia. Musieli zachowywać gotowość do zwinięcia obozu w każdej chwili.

– To przykre – stwierdziła Serenity. – Wcześniej o wszystko troszczyliście się sami.

– Owszem – przyznał tata. – Ale kiedy się ucieka, to po prostu inaczej nie można.

– A kiedy już wydacie wszystkie pieniądze, to co wtedy?

– Będziemy musieli coś wymyślić. Zwłaszcza że ta akcja już nadszarpnęła nasze rezerwy. Ale nie ma dostępu do zablokowanych kont. – Tata westchnął. – A szkoda, bo od kiedy zostałem uznany przez władze za terrorystę, moje książki rozchodzą się jak świeże bułeczki. Co za zwariowany świat.

Kiedy wreszcie skompletowali potrzebny ekwipunek, zaczęli ćwiczyć przebieg całej akcji, raz za razem. Serenity przyglądała się temu, widząc coś, co z jednej strony zdawało się jakąś pełną absurdu sztuką teatralną – a z drugiej, przerażało swoją powagą.

Jeden z mieszkańców obozowiska zaznaczył kontury fabryki, rozciągając sznury między drzewami. Krzaki obwieszane plandekami udawały maszyny, w pobliżu zaś znajdowała się polana wystarczająco duża, żeby można było po niej jeździć samochodami.

Doktor Connery wcielił się w pracownika ochrony i kontrolował teren zakładu. Kiedy zniknął z pola widzenia, Christopher przechodził przez drzwi do dyspozytorni. To wejście było zamknięte i zabezpieczone. Do jego otwarcia należało użyć narzędzi. Drzwi udawała samotna brzoza, przy której majstrował śrubokrętem i obcęgami.

Kiedy Christopher wyłączał urządzenie alarmowe – przesuwając kamień leżący na pieńku – tata uruchamiał stoper. Chłopak biegł wtedy do rampy wyładunkowej i otwierał tamtejsze drzwi – w trakcie ćwiczeń odpinał karabińczyk między dwoma drzewami – co stanowiło sygnał dla ekipy z materiałami wybuchowymi. Jej członkowie umieszczali na wszystkich maszynach polana udające ładunki, po czym zaczęli rozkładać lont.

Jednocześnie Nick spieszył do części lasu imitującej pomieszczenie z wentylatorem i udawał, że czymś manipuluje przy stojącym tam dużym krzaku. Robiąc to, mamrotał pod nosem nazwy poszczególnych czynności.

Obserwując te ćwiczenia, Serenity pomyślała, że jakoś tak dziwnie sobie wyobrazić, iż za kilka dni będą wszystko to robić naprawdę, w prawdziwej fabryce, używając prawdziwych ładunków wybuchowych... i narażając się na prawdziwe rany albo aresztowanie.

Obserwowała Christophera, wspominając chwilę, gdy nagle zatrzymał się przy niej na plaży. Wydawał się teraz równie nieprzenikniony, jak tamtego dnia.

A teraz przygotowywali zamach bombowy zaplanowany przez tego bladego, ciemnowłosego chłopaka. Pewne rzeczy ulegną zniszczeniu, może nawet ucierpią jacyś ludzie. A ona, siedemnastoletnia Serenity Jones, uczennica ostatniej klasy, już niedługo kończąca szkołę, której największym zmartwieniem jeszcze do niedawna



były oceny, miała wziąć w tym udział. Stać się bojowniczką. Współsprawczynią.

Czy naprawdę tego chciała?

Z drugiej strony, czy istniało inne wyjście? Nie mogła przestać myśleć o rodzicach Christophera, o siostrze doktora Connery'ego... Ich również nikt nie pytał, czy chcą zostać połączni przez Koherencję.

Przynajmniej miała szansę jakoś się przeciwstawić temu jawnemu złu.

Chociaż wciąż to sobie powtarzała i nawet ją to podnosiło na duchu, pozostała w niej jakaś taka rozpacz. Rozpacz, że to wszystko trzeba zrobić po to jedynie, by móc dalej pozostać człowiekiem!

Chociaż przebieg akcji został omówiony szczegółowo, dopiero po pięciokrotnym przećwiczeniu całości każdy dokładnie wiedział, co do niego należy. A po następnych siedmiu powtórzeniach zmieścili się wreszcie w zakładanym czasie.

Potem przeprowadzili próbną akcję. Za pierwszym razem wszystko, co tylko mogło, poszło źle. Nick wpadł na drzewo i nabił sobie sporego guza.

– Koherencja zaśmieje się z nas na śmierć – stwierdziła Melanie, przyglądając się wszystkiemu wspólnie z Serenity i Mad. – Czy na tym polega plan?

Jej żart nikogo nie rozbawił. Nawet tata Serenity zmierzył przyjaciółkę ponurym spojrzeniem.

Następnej nocy odegrali wszystko dwa razy i teraz wszystko już poszło jak po maśle. Byli przygotowani do ataku.

Pojawiły się jednak problemy z medomobilem.

– W weekend używano go przy okazji triathlonu – oznajmił doktor Lundkvist – i zderzył się z jakimś innym pojazdem. Jest w warsztacie. Nie mam pojęcia, kiedy go zreperują.

Serenity wyczuła, że bojowy nastrój zaraz zniknie. Aż do tej chwili każdą minutę zajmowało im planowanie, przygotowywanie materiałów oraz ćwiczenia. Jednak teraz, im więcej upłynie czasu, tym mocniejsze staną się wątpliwości.

– Dajmy sobie spokój z medomobilem – zaproponował Brian, kierowca, milczący dryblas o siwych lokach barwy lodu oraz imponującym, mocno zarysowanym podbródku. – Po prostu nie dajmy się postrzelić i tyle.

– Wystarczy, jeżeli zabierzemy lekarzy – radził doktor Connery. – Możemy udzielić pierwszej pomocy ewentualnym rannym, a w razie potrzeby umieścić ich w szpitalu pod fałszywymi nazwiskami.

Doktor Lundkvist stanowczo przytaknął.

– Może być. Trzeba tylko wziąć możliwie jak najwięcej pieniędzy na łapówki.

A potem z jakiegoś powodu wszyscy spojrzeli na Christophera. Ten objął się ramionami, jakby się bał, że za chwilę się rozpadnie.

– Nie chciałem o tym mówić – oznajmił cicho – ale rzeczywiste niebezpieczeństwo polega na czym innym. Jeden z nas może zostać ranny, trafić do szpitala. A tam mogą mu wszczepić chip.

Przez jedno uderzenie serca wydawało się, że wszyscy wokół skamienieli.  
– Poczekamy – zdecydował tata. – Ruszymy, gdy medomobil będzie już gotów do działania.

**68** | Wszyscy nastawili się na długie czekanie, jednak niebawem przyszła wiadomość, że uszkodzenia medomobilu nie są aż tak wielkie, jak się początkowo obawiano. Rzeczywiście, wkrótce pojazd został naprawiony i przywrócony do użytku.

– Aż jestem ciekaw, co ten wasz przyjaciel znowu wymyśli, żeby opóźnić akcję – powiedział doktor Lundkvist do Serenity stojącej obok niego, gdy właśnie zjawił się kurier z tą wiadomością.

Dziewczyna spojrzała na chudego lekarza osłupiała.

– O co panu chodzi?

Doktor Lundkvist uniósł wąskie brwi.

– O to, że Christopher doświadczył ekstremalnej traumy. Boi się Koherencji bardziej, niż wynikałoby to z rozsądku.

– No, nie wiem – odparła Serenity. – A może to my za mało boimy się Koherencji?

Lekarz tylko spojrzał na nią zirytowany, ale nic więcej nie powiedział.

Rzeczywiście, nie doszło już do żadnych nowych opóźnień. Obaj lekarze załadowali rzeczy do auta. Mieli ruszyć do Idaho, odebrać medomobil z warsztatu i inną drogą pojechać do San Francisco. Pozostali zapakowali wyposażenie do samochodu terenowego i ciężarówki przerobionej na kamper, a należącej do Briana Dombrowa.

Wyruszenie na akcję przebiegło możliwie spokojnie. Wokół niewielkiej grupy szykującej się do wyjazdu zgromadziło się prawie całe obozowisko.

Wszyscy, oprócz Christophera. Nigdzie go nie było.

– Zapytaj go jeszcze raz, czy na pewno chce z nami jechać – powiedział tata do Serenity.

Znalazła Christophera w jego namiocie. Siedział na poi owym łóżku, przed sobą miał niewielki meksykański plecak, w którym trzymał cały dobytek. Wpatrywał się w jezioro, na którym niczym złoto błyszczało poranne słońce.

– Pytają, czy jedziesz – powiedziała Serenity.

Uniósł wzrok, spojrzał na nią.

– Powinienem. Tak.

Jednak nie ruszył się z miejsca. Przyjrzała mu się i nieśmiało zapytała:

– Boisz się, prawda? Boisz się, bo musisz tam wejść jako pierwszy?

Opuścił wzrok, chwycił pasy nośne plecaka.

– I to jak – wyszeptał. Wstał, prześlizgnął się obok niej, po czym wyszedł z namiotu i wyprzedzając dziewczynę, bez słowa ruszył ku pozostałym.

Zaraz potem tata, Christopher, Russel oraz brat Madonny wsiedli do samochodu terenowego, doktor Connery oraz doktor Lundkvist do drugiego, mniejszego auta, a pozostali do szarej furgonetki Briana. Uruchomili silniki i odjechali. Tak po prostu. Podskakując na kamienistej leśnej drodze, zniknęli za pagórką i za zakrętem. Jeszcze przez jakiś czas było ich słychać... a potem zapadła cisza.

Pojawiła się jakaś dziwna pustka.

Pozostali rozeszli się w swoje strony, jedni w milczeniu, inni dyskutując cicho. Tylko Serenity nie wiedziała, co ma robić. Po prostu stała.

– Serenity?

Odwróciła się. To była Melanie.

– My też powinniśmy powoli zbierać się do drogi. Najlepiej spakuj teraz swoje rzeczy, spotkamy się za pół godziny przy moim aucie. – Odgarnęła z twarzy kilka kosmyków długich, przetykanych pierwszą siwizną włosów. – To szarozielony pathfinder z nowojorską rejestracją. Twoja przyjaciółka już się zdecydowała.

W jej głosie zabrzmiał taki ton, jak gdyby całą akcję uważała za coś wręcz niewymownie zbędnego.

– Dobra – odparła Serenity. – Za pół godziny.

Przynajmniej miała już coś do zrobienia.

Pakowanie nie było trudne, gdy posiadało się tak niewiele rzeczy i wszystko należało ze sobą zabrać. Tyle że kiedy już znalazła się u taty w namiocie, upychając cały dobytek do plecaka, znowu poczuła się tak, jak gdyby pakowała się po raz ostatni.

Wzięła się w garść. Mama! Ani razu nie zadzwoniła do matki. Nagle poczuła się najgorszą córką na świecie. Mama pewnie już z tysiąc razy zamartwiła się na śmierć. No dobrze, może nie, bo potrafiła odpuścić, ale jeśli Serenity nie wróci najpóźniej do weekendu...

A przecież nie wróci. Bo i jak? Kyle właśnie pojechał z ojcem, żeby przeprowadzić zamach bombowy. A ona też miała odegrać w tym swoją rolę.

Zamyślona upychała w torbie ostatnie T-shirty. W przyszłym tygodniu zaczynała się szkoła. Wspominając ją, miała wrażenie, że to jakieś dawne życie, odległe o całe stulecie.

Teraz nie usiedziałyby na lekcji, zachowując się, jakby wszystko było dalej po staremu. Jak zdołałyby wysłuchiwać marudzenia Bridget o odprysniętym lakierze, skoro Koherencja wszczepia chipy w głowy niewinnych ludzi? Wykluczone. Zasunęła zamek błyskawiczny, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła. W ciągu najbliższych kilku dni znajdzie jakąś możliwość, by powiadomić mamę, że nic jej nie jest.

Madonna czekała przy samochodzie. Obok stała jej torba podróżna z połyskującymi złotem aplikacjami, wyglądająca w tym otoczeniu niczym jakieś ciało obce. Nigdzie za to nie było widać Melanie.

– A myślałam, że to ja się spóźnię – stwierdziła Serenity.

– Aż tak nie musimy się spieszyć, prawda? To półtorej godziny jazdy stąd. Zjawimy się tam na obiad.

Madonna wzruszyła ramionami. Wtedy rozległ się odgłos kroków. Melanie, dźwigając torbę na ramię i torbę fotograficzną, zjawiła się w towarzystwie ojca Madonny, który niośł jeszcze jedną torbę oraz trzy śpiwory. W jego rękach wszystko wyglądało jak zabawki.

Zapakowali bagaże. Torbę fotograficzną Melanie położyła na tylnym siedzeniu, ostrożnie, jakby to było śpiące dziecko.

– Która z was lepiej zna się na czytaniu mapy? – zapytała.

Serenity i Madonna spojrzały po sobie bezradnie.

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś musi siedzieć z mapą na fotelu pasażera. Moja orientacja w terenie równa się zero.

– No, to moja najwyżej zero, przecinek jeden – oznajmiła Serenity.

Madonna wzruszyła ramionami.

– Mogę spróbować.

– Dobra. – Kobieta poszperała w swojej torbie na ramię, wyciągnęła postrzępioną mapę samochodową i wręczyła ją Indiance. – Ach, jeszcze coś – dodała. Wyjęła kartkę z obu stron gęsto pokrytą pismem i wręczyła ją Serenity. – Masz. Nie zaszkodzi, jeśli nauczysz się tego na pamięć.

Był to klucz do szyfru. Tata razem z pozostałymi jeszcze wczoraj wieczorem usiedli do pracy, by przygotować listę haseł.

Serenity zaczęła czytać. „U babci wszystko w porządku” znaczyło, że wszystko przebiega według planu. „Babcia musi jeszcze poleżeć” – jeszcze czekamy. „Gorączka” oznaczało – mamy problem. „Ropiejąca noga” – ktoś jest ranny. „Atak serca” – ktoś zginął.

Opuściła listę. „Ktoś zginął”? Układając tę listę, wzięli pod uwagę możliwość, że ktoś z nich może umrzeć?

Wsiadła do auta z silnym przeczuciem, że wydarzy się coś strasznego.

**69** | Jadąc do Shiver Falls, natknęły się na tylko jedno policyjne auto. Wszystkie wstrzymały oddech i dopóki ich nie minęło, starały się wyglądać możliwie jak najbardziej niegroźnie. Droga okazała się łatwa do odnalezienia i dobrze oznaczona.

– Dobra – odezwała się w pewnym momencie Melanie. – Dam sobie radę sama, nie zgubię się.

– Przekona się kiedyś pani do korzystania z nawigacji samochodowej? – zapytała Madonna.

– Dziecko, jestem z ojcem Serenity. W tym układzie lepiej od razu darować sobie niektóre pomysły.

Serenity wyjrzała przez okno na drogę wiodącą poprzez pozbawione konturów tereny niczyje. Miały jezdnię tylko dla siebie.

– Tata naprawdę jest taki zły?

– Powiedzmy, że lubi dyskutować. I dobrze wiem, co by mi zarzucił: że system nawigacyjny to jak kula do podpierania się. Proteza. Jeśli ktoś to kupuje, bo ma kiepską orientację w przestrzeni, to już nigdy się tej orientacji nie nauczy. Przez całe życie będzie uzależniony od tego kawałka techniki. A to coś, co nie podoba się twojemu ojcu. To całkiem w porządku, kiedy technika poszerza nasze możliwości...

– ...ale nie jest w porządku, kiedy je ogranicza – dokończyła Serenity. – Tak, znam te słowa.

– Zatem jestem skazana na mapy i pasażerów, którzy potrafią je czytać. – Melanie pokazała znak zapowiadający sklep Deli Mart za pięć mil. – Oraz na znaki drogowe. Supermarket. Jak na zawołanie.

Kiedy już, przynajmniej w odczuciu Serenity, wyniosły pół sklepu i upchnęły do bagażnika, do Shiver Falls zostało niewiele drogi. Doktor Lundkvist dokładnie opisał im ostatni etap podróży, a teraz, gdy jechały przez niewielką miejscowość, Madonna starała się odcyfrować jego notatki.

– To nie jest po angielsku – skapitulowała wreszcie. – To chyba po chińsku. Albo pismem klinowym. Uczeni wciąż się o to spierają.

Serenity wyciągnęła ku niej rękę.

– Podaj mi to.

– Miłej zabawy – oznajmiła Madonna, wręczając kartkę.

Uch. Z pismem klinowym może i była przesada, ale niewielka. Po rozważeniu wszystkich przychodzących jej do głowy możliwości znaczenia bazgrołów Serenity ogłosiła wreszcie:

– Najpierw musimy przejechać przez tę miejscowość.

I tak właśnie zrobili. Shiver Falls składało się z kilku zaledwie domów, sklepu ze stojącymi przed nim dwoma pordzewiałymi dystrybutorami paliwa oraz sypiącego się kościoła.

– Za mostem przez rzekę, druga ulica w prawo – oznajmiła Serenity.

Melanie zatrzymała się u wylotu szutrowej drogi.

– To byłoby tutaj. Pod warunkiem jednak, że można to uznać za ulicę.

Serenity wyjrzała przez okno i odkryła tabliczkę z nazwą.

– Summer Road. To tutaj.

– To jedziemy.

Ruszyły drogą prowadzącą na wprost, w górę zbocza. Ani śladu domu, ale przynajmniej wzdłuż drogi, od masztu do masztu, ciągnęły się kable telefoniczne i elektryczne. Dokądś musiały prowadzić.

Minęły pagórek. Za nim jechało się z powrotem w dół, a następnie droga zakreślała wokół skrawka lasu. Tam, nad potokiem stał dom o żółtych okiennicach, taki, jaki opisywał doktor Lundkvist.

– Rety! To naprawdę znaczy „stać na odludziu”! – skomentowała Melanie.

Zatrzymała się pod domem, wyłączyła silnik.

– Dziewczyny, tylko niczego nie wypapłajcie. Ona nie wie, o co chodzi, i nie chce wiedzieć.

Wysiadły. Wszędzie wokół leżały zabawki. Pod drzewem stała zjeżdżalnia, a na grubej gałęzi wisiła huśtawka z opony.

Na stopniach prowadzących do drzwi wejściowych czekała szczupła ciemnowłosa kobieta. Bez wątpienia była nią Patricia Batt, córka doktora Lundkvista. Ramiona skrzyżowała na piersiach, z pewnością nie wyglądała na zadowoloną.

– Witam! – zawołała Melanie. – Nazywam się Melanie Williams, a to Serenity i Madonna.

– Widziałam, jak panie jechały – odpowiedziała kobieta, nie ruszając się z miejsca.

– A skąd pani wiedziała, że to akurat my?

– Mało kto tutaj przyjeżdża.

W dalszym ciągu stała bez ruchu. „Można by – przemknęło Serenity przez głowę – pstryknąć jej zdjęcie i zrobić z niego plakat podpisany »Wstęp po moim trupie«”.

Właśnie wtedy na zewnątrz domu, przez siatkę w drzwiach chroniącą przed owadami, przecisnął się mniej więcej ośmioletni chłopak. Jednocześnie zaciekawiony i zawstydzony, przytulił się do matki, która czule pogłaskała go po włosach.

– To jest Erie – oznajmiła. – Ericu, przywitaj się.

Maluch prawie schował się za matką. Zza tej osłony przyjrzał im się po kolei, ale nie powiedział ani słowa. Dopóki nie zobaczył Madonny. Na jej widok się uśmiechnął.

– Dzień dobry, Ericu – powiedziała.

– Dzień dobry – wyszeptał malec.

I tak oto lody pękły.

– Mam na imię Patricia – powiedziała kobieta. – Wejdźcie.

Melanie najpierw wyciągnęła z samochodu jeden z kartonów z zakupami.

– Trochę ze sobą przywiozłyśmy – wyjaśniła. – Pomyślałam sobie, że pani na

pewno się ucieszy, jeżeli nie będzie musiała gotować.

Patricia ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

– Och! Cudownie!

– W ogóle zajmiemy się tu wszystkim – kontynuowała Melanie, a Serenity podała karton dalej. – Będziemy sprzątać, zmywać, strzyc trawnik i tak dalej. Dopóki tutaj jesteśmy, ma pani urlop.

Serenity i Madonna wymieniły przerażone spojrzenia. O tym nikt nie wspominał.

– Urlop? – powtórzyła Patricia, uśmiechając się smutno. – W ogóle nie wiem, co to takiego.

Pokazała im dom. Za głównymi drzwiami była niewielka kuchnia, dalej korytarz prowadzący do łazienki i pozostałych pomieszczeń.

W korytarzu wisiał także telefon.

– O to właśnie chodziło, prawda? – zapytała córka doktora Lundkvista.

– Tak – odparła Melanie.

– Dobra. No to jest tutaj – krótko oznajmił Patricia. – Niczego więcej nie chcę wiedzieć.

Pokój, w którym miały spać dziewczyny, był pusty, wyjąwszy regał zastawiony segregatorami i pudłami. Na podłodze leżały jeszcze dwa nadmuchiwane materace.

– Tutaj się mieścił gabinet ojca Erica, zanim. – Kobieta machnęła dłonią ze złością, dając jasno do zrozumienia, że mąż ją zostawił. – Trochę tu chłodno. Przepraszam.

– W porządku – pospiesznie zapewniła Serenity. Spojrzała na Madonnę: – Prawda? Wszystko w porządku?

– W całkowitym porządku – zapewniła przyjaciółka.

– To na razie – pożegnała je Patricia.

Melanie dostała pokój dziecięcy, Erie przeniósł się do matki.

– I tak przychodzi do mnie co noc – stwierdziła Patricia, kiedy Melanie powiedziała, że nie trzeba było robić sobie tyle kłopotu, bo ona też mogłaby spać razem z dziewczętami...

– Phi! Miała szczęście – szepnęła Serenity, gdy Melanie dała za wygraną i dźwigając bagaże, ruszyła za Patricia.

Gospodyni przeprosiła za ciasnotę domu.

– Chcieliśmy go rozbudować. Starczyłoby miejsca. Ale potem...

– Ach, nic nie szkodzi – odparła Melanie. – Kiedyś miałam mieszkanie w Nowym Jorku mniejsze od pani kuchni.

– Niemożliwe.

– A jednak. A czynsz i tak wynosił osiemset dolarów miesięcznie.

– Nie do wiary. Osiemset...?

Serenity zamknęła drzwi, bezradnie spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie rozumiem, jak można mieszkać na takim odludziu – wyszeptała Madonna. – Chodzi mi o to, że ta kobieta mieszka tutaj tak całkiem sama, prawda? To wcale nie



jest dobre, zwłaszcza dla dziecka. Przecież potrzebuje jakiegoś towarzystwa.

Serenity przytaknęła.

– Mnie też to trochę przeraża.

Rozłożyła śpiwór, żeby go jeszcze nieco przewietrzyć przed wieczorem. Nie mogła oprzeć się myślom o obozowisku. Też znajdowało się na odludziu, jednak tam się nie bała.

A tutaj tak. Bo tutaj były same.

**70** | Obiad przygotowały pod dyktando Melanie. Na posiłek złożyły się sznycel z indyka z jakimś wymyślnym sosem, ryż szafranowy, sałatka przyprawiona świeżymi ziołami oraz pieczone orzechy. Na deser dwa rodzaje kremu czekoladowego. Serenity i Madonna kroїły, mieszały, siekały i kawałkowały tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd. Ale i tak ledwie dotrzymywały kroku Melanie.

Przynajmniej nie miały czasu myśleć o tym, że kuchnię, którą właśnie zabałaganīły, trzeba będzie posprzątać.

Patricia, pomimo tych próśb, nie chciała siedzieć bezczynnie. Darła sałatę, kroїła paprykę w krążki i co najmniej trzy razy wyjaśniła:

– Normalnie, to nie spędzam aż tyle czasu w kuchni.

Serenity miała wrażenie, że cała ta krzątanina – przygotowywanie posiłku, rozmowy, zajęcia, cała towarzyska otoczka – wszystko ma jedynie stłumić wrażenie, że wisi nad nimi jakieś nieszczęście.

Ale tylko jej tak się wydawało. Pozostali wyglądali, jak gdyby dobrze się bawili. Madonna mruzczała pod nosem jakąś piosenkę, Melanie się śmiała, Erie z wolna przełamywał wstyd, podjadał krojone warzywa i ciągle szukał bliskości Indianki.

Dla odmiany Serenity nie mogła się oprzeć chęci obejrzenia tej wyglądającej na jałową okolicy oraz samotnego domu. Nie rosło tutaj nic oprócz szarobrunatnych kolczastych krzaków. Martwe drzewo, spalone uderzeniem pioruna, przyciągało spojrzenie dziewczyny niemal w czarodziejski sposób. Cała dolina zdawała się wypełniona jakąś tajemniczą mroczną przeszłością.

Patricia w swojej ciemnej sukni z twarzą naznaczoną cierpieniem wręcz wzbudzała w Serenity grozę.

– Nie bronię ojcu czerpania z tego wszystkiego radości – powiedziała w trakcie posiłku, jednak zabrzmiało to całkiem inaczej, tak jakby każdego dnia złościła się z tego powodu. – Z powrotu do natury, do prostego życia i tak dalej. To cudowne. Pod warunkiem, że można sobie na to pozwolić... Jednak nie wszyscy mogą.

– Pani też tutaj mieszka całkiem blisko natury, prawda? – zapytała Melanie przyjacielskim tonem.

– Tak, ale do centrum miasta mam stąd dziesięć minut samochodem – odparła Patricia, składając usta w dzióbek. – Erie jest cukrzykiem. Gdybyśmy mieszkali w tych wszystkich lasach, toby już dawno... No, nawet nie przechodzi mi to przez gardło.

– To bym już nie żył – oznajmił Erie głośno.

Po obiedzie ponad połowa deseru pozostała nietknięta.

Popołudnie rzeczywiście spędziły na zmywaniu, sprzątaniu oraz czyszczeniu. Serenity skosiła trawę wokół domu. Madonna godzinami trzymała Erica na kolanach. Najwyraźniej tych dwoje złączyła jakaś szczególna więź.

Słońce zniknęło za zboczem pagórka, przywołując niesamowite cienie. Kiedy zrobiło się już ciemno, pojawiła się gęsta mgła, a gdzieś w oddali, jedno przez drugie,

skowyczały zwierzęta.

– To ferma lisów – ponurym tonem wyjaśniła Patricia. – Zwierzęta trzyma się tam w takich warunkach, że aż trudno to sobie wyobrazić.

Wieczorem nikt nie był szczególnie głodny. Wszystkie czuły się zmęczone. Wzięły prysznic i wcześniej położyły spać.

Serenity właśnie zasypiała, gdy nagle zadzwonił telefon. I nie wiadomo skąd, ale wiedziała, że coś się stało.

## WYMARSZ

**71** | Christopher oparł się głową o szybę i wyjrzał na ulicę. Popatrzył na rośliny porastające jej skraj, przesuwane się z jednorodną monotonią. Od kiedy pozostawili za sobą lasy, niewiele mieli do oglądania: okolica, którą przemierzali, była wręcz nadzwyczaj mało urozmaicona.

Jednak krajobrazy i tak go nie ciekawiły. Patrzył przez okno niewidzącym wzrokiem, zatopiony w myślach o swoim planie, o jego poszczególnych krokach. Takie ustawiczne wyobrażanie sobie przebiegu zdarzeń miało w sobie coś z magicznego rytuału. Coś z zaklinania losu...

Christopher poczuł ból w piersi. Zauważył, że to dlatego, iż wstrzymał oddech. Rozparł się w fotelu i głęboko odetchnął.

Uchwycił spojrzenie młodego Indianina, który siedział obok i któremu jego ojciec powierzył zadanie pilnowania Christophera Kidda.

Nazywał się George Angry Snake, nosił imię nie tylko całkiem fajne, ale także do niego pasujące. Miał mniej więcej tyle samo lat co Christopher i – nie dało się tego inaczej określić – był wręcz niesłychanie brzydki. Wyrazista twarz nosiła ślady licznych bijatyk, a nos wcale nie wyglądał jak nos krzywy od urodzenia. Włosy obciął na zapałkę – nietypowo jak na Indianina, który przywiązuje tak wielką wagę do tradycji. Nosił brązowy podkoszulek z wystylizowanym wizerunkiem ptasiego pióra oraz nóż myśliwski przy pasku. Z tego, co dostrzegł Christopher, nie miał innej broni. Przepuszczalnie uważał, że tyle mu wystarczy, by obronić podopiecznego.

Christopher ponownie wyjrzał na zewnątrz. To przecież i tak nic nie da. Nikt nie zdoła pójść z nim tam, dokąd się wybiera. Musi sam o siebie zadbać. Tak jak zwykle.

Obaj mężczyźni z przodu, Jeremiah Jones i Russell Stoker, prowadzili na zmianę. Teraz za kierownicą siedział pan Jones, a pan Stoker – zwalisty olbrzym o gęstej brodzie i prastarej, poszarzałej ze starości koszuli – stwierdził właśnie:

– Jerry, podejrzewam, że w życiu ci się nie śniło, że będziemy robić coś takiego, prawda?

Jones przytaknął.

– Dzisiaj rano też mi coś takiego przyszło do głowy. Jeszcze parę tygodni temu byłem po prostu eksprofesorem architektury, który napisał kilka książek, sprzeciwiając się w nich opętaniu techniką, a poza tym mieszkał sobie w lesie z kilkoma przyjaciółmi. Grabił grządki z warzywami i karmił drób.

– Tak jak pewnie robi z tysiąc innych pisarzy w tym kraju.

– Właśnie. A dzisiaj jestem wrogiem publicznym numer jeden, jadę samochodem z kiepsko sfalszowaną rejestracją i z jeszcze gorzej sfalszowanymi dokumentami...

– Nie zapominaj o broni i materiałach wybuchowych w bagażniku.  
– A to wszystko wiozę z mocnym postanowieniem wysadzenia w powietrze fabryki w San Francisco. – Jeremiah Jones pokręcił głową, zadziwiony. – Niesamowite są koleje losu.

– Tak jakby dało się cokolwiek przewidzieć, co?

– Tak. Coś w tym stylu. Wiesz co, Rus, oczywiście liczyłem się z tym, że pewnego dnia będę miał kłopoty. Zawsze ma się kłopoty, kiedy się płynie pod prąd. To normalne. Po tym właśnie się poznaje, że się płynie pod prąd. Ale sądziłem, że w najgorszym wypadku ktoś mnie oskarży o jakieś głupstwo, wiesz, na przykład, że zaciął się w moim obozie w kciuk czy coś w tym rodzaju. Że dostanę jakąś grzywnę, która będzie tak absurdalna, że mnie zrujnuje. Ale to, co się teraz dzieje...

– O czymś takim człowiek nigdy nie myśli – stwierdził Rus.

– Nie. Naprawdę nie.

W południe zrobili sobie postój na odludnym leśnym parkingu i zjedli kanapki od Irene. Panowie Jones i Stokes przestudiowali mapę. Zastanawiali się, czy jeszcze czekać na pozostałych. Okazało się jednak, że zarówno Finn, jak i Brian dotarli już do motelu Tremblestoke, sami znajdując drogę. Christopher z George'em siedzieli obok i nie odzywali się. Christopher zauważył, że George nie spuszcza go z oczu, nawet wtedy, gdy poszedł w krzaki za potrzebą.

O czym myślał? Tego Christopher nie wiedział. Oblicze Indianina było tak nieprzeniknione, jak gdyby miał sparaliżowane mięśnie twarzy. Uznał, że w jego spojrzeniu dostrzega ślad pogardy. Tak patrzy się na robactwo.

Jednak z drugiej strony – co on wie o spojrzeniach?

Zwyczajnie nie miał pojęcia, co myśli sobie tamten facet.

Christopher nie potrafił oprzeć się wspomnieniu czasów, kiedy stanowił część Koherencji i nie musiał zgadywać, co komuś siedzi w głowie. Po prostu to wiedział.

Czasem wspominał tamte czasy ze swoistą tęsknotą. Na przykład teraz.

**72** | Do motelu w Tremblestoke dotarli o zmroku. Ku ich zaskoczeniu kamper Briana stał już na parkingu.

– No tak – stwierdził Rus. – A myśleliśmy, że jesteśmy szybcy.

– Pewnie Brian prowadził.

Rus się roześmiał.

– Właśnie. A Finn, Nick i Kyle wciąż jeszcze trzęsą się ze strachu.

Właściciel motelu miał na imię Douglas. Był sympatycznym, tęgim mężczyzną w grubych okularach i o dudniącym śmiechu. Wszedł z głównego budynku, zaraz jak się przed nim zatrzymali, rozpostarł ramiona i zawołał:

– Jerry! No, nareszcie!

Rozpoczęło się wielkie, ogólne poklepywanie po plecach. Douglas dopytywał się, jak minęła podróż i czy jeszcze pamiętali, jak się tutaj jedzie.

„Na pewno pamiętali” – pomyślał Christopher. – „Przecież gdyby było inaczej, to jak byśmy się tutaj dostali?”. Inni wydawali się jednak nie dostrzegać absurdalności pytania. Głośno się zastanawiali, czy od ostatniej wizyty minęły trzy czy może cztery lata. Zupełnie jakby nie znali czegoś takiego jak kalendarz. Albo lista gości, na której wszystko można sprawdzić.

Christopher przyjrzał się motelowi. Składał się z głównego budynku z recepcją, dobudowanego skrzydła mieszczącego dwanaście pokoiów oraz jeszcze dwóch płaskich budynków z tyłu. Okolica była jałowa; z marnym rezultatem starano się posadzić koło zabudowań różne drzewa i krzaki. Roślinność wyglądała na zaniedbaną, a to, co miało być trawnikiem, wyglądało jak brązowy, częściowo piaszczysty ugór. Mizernymi zaroślami nie udało się ukryć przed wzrokiem gości rozciągających się wokół centrów handlowych, warsztatów naprawczych oraz supermarketów.

W dużej, przeszklonej i okrągłej przybudówce obok recepcji, gdzie mieściła się restauracja a może raczej jadalnia, wokół stolika na środku siedziało kilku mężczyzn. Kiedy zaczęli machać rękoma, Christopher rozpoznał w nich Finna, Nicka, Kyle’a i Briana.

Dyskusja nie przyniosła rozstrzygnięcia. Jeremiahs Jones obstawał przy tym, że ostatnio byli tutaj trzy lata temu, a Douglas, że minęły już cztery lata.

– Tak czy siak – stwierdził gospodarz pojednawczym tonem – w końcu jesteście. Najlepiej będzie, jak teraz szybko wrzucicie swoje rzeczy do pokoiów i przyjdziecie tutaj. Mona gotowała cały dzień, a inni już się czaili na wasze porcje.

– Jasne, chcieliby – zagrzemiał Rus i wyciągnął dłoń. – Gdzie jest nasz pokój?

Douglas już miał przy sobie klucze.

– Macie pokój numer osiem, chłopcy – numer dziewięć.

Jakoś dziwnie było znaleźć się w zwyczajnym budynku, w pokoju ze zwyczajnymi łózkami, telewizorem i telefonem na nocnym stoliku. Tak przyjemnie. Christopher usadowił się na łóżku, torbę z rzeczami położył u stóp i rozkoszował się wszystkim.

Wyruszyli. Obmyślił pewien plan, a teraz jechali, żeby go zrealizować. Nagle to wszystko nim wstrząsnęło.

George Angry Snake niestarannie położył torbę na drugim łóżku i wyczekując, stanął w drzwiach.

– Idź już – powiedział Christopher. – Zaraz przyjdę.

– Mam cię pilnować – odparł Indianin i nie przesunął się nawet o milimetr.

Christopher westchnął.

– Dobra. W porządku. Tutaj nic mi się stanie... Tak sądzę... – Uniósł głowę. W oknie z tyłu dostrzegł neon baru szybkiej obsługi, prześwitujący na czerwono-żółto poprzez wyschnięte gałęzie. – W takiej okolicy chyba nie ma wilków albo niedźwiedzi, prawda?

George nie odpowiedział i nadal stał nieporuszony.

Christopher westchnął.

– No dobra. Chodzi o to, że muszę iść do toalety. Po to, żeby załatwić sprawę naprawdę długo i gruntownie, wiesz, o co mi chodzi? I naprawdę mi się to nie uda, jeśli będę wiedział, że tutaj stoisz i mnie słyszysz, rozumiesz?

George się zastanowił. Wreszcie uniósł brwi, krótko skinął głową i odszedł.

Później, przy stole, Christopher również nie znalazł spokoju. Wszyscy byli nakręceni, przerzucali się dowcipami, zachwycali dawnymi czasami, a on nie rozumiał, o czym rozmawiają. Mona, żona Douglasa, drobna, o ciemnej karnacji, niemal w każdym calu stanowiąca przeciwieństwo męża, kilka razy stanowczo oznajmiła, że Douglas za dużo je. Że kiedyś z pewnością na nią upadnie i ją zgniecie.

– Po prostu za dobrze gotujesz – bronił się Douglas.

– Mężczyźni zawsze znajdą jakąś wymówkę – stwierdziła.

Wreszcie przyniosła ogromne parujące misy z ryżem i czymś, co nazywało się *gumbo* – ciemnobrązowym daniem z krewetkami i kawałkami okry – na którego widok pozostali wpadli w zachwyt.

– To kuchnia kreolska – wyjaśnił Rus. – Mona pochodzi z Luizjany.

– Aha – odparł Christopher, chociaż nic mu to nie mówiło.

Wstał, podszedł do okna, wyjrzał przez nie. Zapadła noc, jednak parkingi oraz liczne zabudowania były oświetlone tak rześmiście, że niełatwo było zorientować się, że nastał zmrok.

– Christopher? – Obok stał tata Serenity.

– Po prostu wyglądam na zewnątrz.

– Daj spokój. Proszę. Chętnie rozkoszowalibyśmy się już jedzeniem.

– Dobra. – Usiadł ponownie.

Mona przyniosła kolejny talerz, z jajkami w koszulkach na karczochach, podanymi ze szpinakiem i białym sosem.

Christopher jadł, nie spuszczać z oczu okna, ciemności poprzekanej światłami. Owszem, był głodny, a jedzenie nawet mu smakowało, jednak ze zdenerwowania

zjadł ledwie kęs.

Tam! Tamte światła? Zerwał się na nogi i ponownie przycisnął nos do szyby.

– Rany boskie, Christopher! O co chodzi?

– Ktoś idzie.

– To jest motel – odparł Jones. – Tutaj ciągle ktoś przychodzi.

– Christopher potrząsnął przecząco głową.

– To policja. Idą ze wszystkich stron.



**73** | Serenity błyskawicznie wyskoczyła ze śpiwora i znalazła się na korytarzu przy telefonie. Uniosła słuchawkę.

– Słucham?

To był Christopher, ledwie dyszał.

– Atak! Babcia ma atak! Wieziemy ją do szpitala!

Pospiesznie wysupłała z koperty listę szyfrów, wduszając łokciem przycisk uruchamiający kiepską lampę ze słabą żarówką. Kod oznaczał „wykryto nas”. A słowa „do szpitala”, że udało im się uciec.

– Dobra – rzuciła nerwowo. – Rozumiem. Ekhm... – Pospiesznie przemknęła spojrzeniem po liście kodów, szukając odpowiedniej, zaszyfrowanej odpowiedzi, niczego jednak nie znalazła. Nagle zrozumiała, co jej się nie zgadza.

– Jak to możliwe? Przecież jeszcze jesteście w drodze.

– Też nie wiem. – Jego głos brzmiał strasznie, brzmiał tak, jakby w każdej chwili mógł się załamać. – Jedliśmy, nagle pojawiła się policja, obsadziła teren, otoczyła dom... Na szczęście Douglas zareagował natychmiast, wyprowadził nas tylnym wyjściem i... – Jakiś gwałtowny hałas. Nic nie pozostało z jego pewności siebie. – Biegłem jak szalony. Uciekłem, ale nie wiem, co z innymi. Nie mam pojęcia.

Po plecach Serenity przeszedł zimny dreszcz. Przez jedno oszalałe uderzenie serca była pewna, że to tylko jakiś koszmar, z którego na pewno się obudzi.

– O mój Boże... – wyszeptała.

I znowu wiedziała, że nie śpi, a to, co się dzieje, jest rzeczywiste.

Czyżby nie docenili Koherencji?

– A wiesz, co przy okazji stało się dla mnie jasne? – zapytał Christopher drżącym głosem. – Jeśli Koherencja... jeżeli oni wysłali mojego ojca do Krzemowej Doliny...

Co się z nim dzieje?! Przecież powinien używać szyfru!

– Christopher! – zawołała Serenity. – Przypomnij sobie szyfr.

Nie słuchał jej.

– Jeśli będziemy tam w fabryce i stanie przede mną mój ojciec... – wyrzucił z siebie, ledwie dysząc – ...to ja nie będę w stanie. A potem znowu mnie dostaną, rozumiesz?

– Christopher!

– Ja tego nie wytrzymam, rozumiesz? Jestem całkiem pewien. Jeśli tam jest mój ojciec, to już po wszystkim.

Serenity nie rozumiała tych przemyśleń, jednak przepełniony grozą ton, jakim je wypowiedziano, przyprawił ją o dreszcze.

– Przecież twój ojciec jest w Anglii!

Obok niej ktoś wyłonił się z ciemności. Melanie. Miała zaspianą twarz, zmierzwione włosy i chciała się dowiedzieć, co się stało.

– Zostali wykryci – pospiesznie objaśniła Serenity, nie odrywając słuchawki od ucha. – Christopher musiał uciekać. Nie wiem, co z innymi.

Melanie zamrugła, jak gdyby trudem powstrzymywała się od snu.

– Lepiej nie mówcie przez telefon otwartym tekstem! Po co macie listę kodową?

– O cholera! – znowu usłyszała Christophera, a potem połączenie się urwało.

Melanie przyjrzała się jej uważnie. Wyciągnęła rękę.

– No, co się dzieje? Też mogę z nim porozmawiać?

– Rozłączył się – odparła Serenity i wręczyła jej słuchawkę. – Przynajmniej tak sędzę. Staralam się przypomnieć mu o liście kodów, ale był taki roztrzęsiony...

Melanie przez chwilę wsłuchiwała się w sygnał w telefonie.

– I co teraz? – jęknęła Serenity.

– Co dokładnie powiedział?

Serenity powtórzyła wszystko tak dokładnie, jak tylko mogła, pominęła tylko lęk Christophera przed ewentualnym spotkaniem z ojcem.

– Myślisz, że Koherencja ich dorwała?

Melanie przecesała włosy palcami.

– Koherencja może nie, może to było FBI.

– FBI? – Serenity spojrzała na telefon wiszący na ścianie. – A dlaczego mieliby się podpiąć akurat pod to połączenie?

– Bo Patricia jest córką Neala Lundkvista. A doktor Lundkvist przyjaźni się z twoim ojcem dłużej, niż jesteś na świecie. – Melanie skrzyżowała ramiona, najwyraźniej marzyła w cienkiej koszuli nocnej. – FBI wie o takich rzeczach. A oni cały czas pilnie poszukują twojego ojca, nie zapominaj o tym.

Serenity przełknęła ślinę.

– Czy to znaczy, że musimy opuścić ten dom?

– Całkiem możliwe.

– Ale wtedy tata i pozostali do nas nie dotrą!

Melanie zastanowiła się.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Jeszcze poczekamy. Jeśli do jutra rana niczego się nie dowiemy, będziemy musiały same zdecydować.

**74** | Christopher wyszedł z budki telefonicznej. Właściwie bardziej kuśtykał, niż szedł. Trząsał się. I co teraz? Gdzie pozostali. Czy uciekli? A może wszystko przepadło?

Stał teraz samotnie pod budką telefoniczną na rogu supermarketu, wielkiego jak stadion piłkarski. Obok obrzydliwie cuchnął kontener na śmieci. Przed Christopherem rozciągał się parking, na którym mógłby wylądować sportowy samolot, gdyby tylko było na nim pusto. Jednak nie było, bo supermarket zamykano dopiero o dwudziestej trzeciej, a najwyraźniej mnóstwo ludzi uznało, że pójście po zakupy na krótko przed północą ma sens.

Uginały się pod nim kolana. Chętnie by gdzieś usiadł, ale nie było gdzie. Jeszcze nigdy w trakcie całej swojej ucieczki z Londynu, nie czuł się tak zagubiony jak właśnie teraz. Wspaniały plan okazał się jedną wielką, śmiechu wartą, bzdurą. Wszystko zepsuł.

Kiedy zbierał się już do przemierzenia gigantycznego parkingu, pojawiło się przemożne pragnienie, żeby się po prostu poddać, znowu podłączyć do Pola, od którego uciekł. Aby znowu połączyć się z ogromną duchową potęgą Koherencji, znowu o wszystkim wiedzieć, znowu wszystko widzieć...

Wyczuwał Pole. Oczywiście, że je wyczuwał. Było tutaj, tak jak prawie wszędzie na świecie. I stanowiło pokusę. „Chodź – mówiło – po prostu chodź. Zrób ten krok. Chodź, a rozwiążemy wszystkie problemy. My... my... my...”.

Stanął, z wysiłkiem wciągnął powietrze. Miał wrażenie, że wokół piersi zaciska mu się stalowa obręcz.

To był strach. Zwyczajny strach.

Jednak ta świadomość wcale nie pomagała. Był sam i był słaby, a do tego realizował jakiś śmieszny, dziecinny plan. Strach stanowił po prostu coś logicznego.

Mógł mu przeciwstawić jedynie pewne swoje wspomnienie. Wspomnienie, o którym jeszcze nikomu nie opowiadał, którego trzymał się ze wszystkich sił. Wspomnienie, które ukrył nawet przed Jeremiahem Jonesem i jego ludźmi, bo stanowiło aż tak cenny skarb – najcenniejsze, co w ogóle posiadał.

I dlatego, że bał się, iż straci ten skarb, jeżeli z kimś się nim podzieli. Lękał się, że wspomnienie, jeżeli komuś o nim powie, straci swoją czarodziejską moc.

Tylko jedna sekunda, która wciąż stała mu przed oczami...

Jeden maleńki, prawie niedostrzegalny gest, o którym myśl dodawała sił...

Stalowa obręcz na piersiach się rozluźniła. Znowu złapał oddech i mógł iść dalej. Może jego plan się nie powiedzie. A może się powiedzie. Z planami już tak bywało.

Jednak nie miał co do tego pewności. Jeszcze nie. I nieważne, co się okaże, warto spróbować. Warto włożyć w próbę ten cały wysiłek.

Dobłą godzinę maszerował bez celu wzdłuż ulicy. Minął ogromny sklep z artykułami sanitarnymi, ciemny i opustoszały, stację benzynową z mnóstwem klientów, sklep meblowy z wyściełanymi meblami, na których rozsiadły się

włóczkowe kukły wielkości ludzi, sklep z artykułami sportowymi, gdzie nad wejściem wisiała gigantyczna pałka baseballowa niczym jakaś makabryczna groźba wobec klientów. Wszystko leżało na tak wielkiej przestrzeni, że bez samochodu właściwie nigdzie nie dałoby się dotrzeć. Czuł się jak mrówka człapiąca po lotnisku.

Samochody. Tak. Mimo późnej pory jeździło tędy mnóstwo samochodów, po dwóch pasach w jedną i dwóch pasach w drugą stronę.

I nagle obok zatrzymał się jeden z nich. Odsunęła się szyba, w której odbijały się neony sklepu z oponami.

– Tutaj jesteś. – Głos należał do Jeremiaha Jonesa. – No, dalej, wsiadaj.

Christopher się pochylił. Rzeczywiście, to był on.

– Jak pan mnie znalazł?

Jones westchnął.

– To wcale nie było takie trudne. Może zwróciłeś uwagę na to, ile osób, poza tobą, idzie tu piechotą?

Christopher spojrzał wzdłuż ulicy. Odpowiedź była prosta. Tylko on.

Wsiadł.

– A co z pozostałymi?

Jones poczekał na lukę w ruchu ulicznym, a potem zawrócił z rozmachem.

– Pozostali są już z powrotem w motelu. To był fałszywy alarm.

– Co to znaczy?

– To rzeczywiście była policja, ale szukali jakiegoś handlarza narkotyków. Dostali cynk, że ukrył się w motelu Douglasa.

Chłopak uniósł brwi.

– I co? Był tam?

– Nie. Fałszywy alarm, tak jak mówiłem. Zostali powiadomieni niewiele wcześniej, ale doniesienie się nie potwierdziło.

Christopher zastanowił się, jak należy to rozumieć.

– Akurat dzisiaj ich powiadomiono? – zauważył.

– Tak, dziwne. – Jones rzucił mu spojrzenie. – Tak jak to, że zauważyłeś, że idą. Nie byłeś może podłączony do policyjnej radiostacji przez ten swój chip?

– Nie. Nie mogę przez niego podsłuchiwać policji.

– Co to więc było?

Christopher tylko wzruszył ramionami,

– No tak – stwierdził Jones. – Jak zwykle. W każdym razie dobrze, że podniosłeś alarm odpowiednio wcześniej i Douglas zdołał nas po cichu wyprowadzić. – Odchrząknął, rozluźnił się. – Przynajmniej umiesz całkiem szybko biegać. Jak się stamtąd zmywałeś, to biegłeś prawie jak olimpijczyk.

– Po prostu się bałem – przyznał się Christopher. Odetchnął.

– Teraz pan musi zadzwonić do punktu kontaktowego i powiedzieć im, o co chodzi. Wszcząłem tam alarm.

Jones przytaknął.

– Zrobię to.

Niedługo potem znowu zasiedli przy stole, dokładnie w takim samym porządku jak przed incydem. Z kuchni dochodziły odgłosy krzątającej Mony odgrzewającej jedzenie, a Douglas opowiedział o szczegółach policyjnej akcji. Funkcjonariusze przyprowadzili psy do wywąchiwania narkotyków, z którymi obszukali wszystkie budynki. Oficer dowodzący akcją tłumaczył, że jakiś głos po prostu wyszeptał przez telefon: „Jeśli szukacie Lu Harvester, to jest teraz w Tremblestoke Motel”, a potem odłożył słuchawkę. Rozmowa trwała zbyt krótko, żeby dało się ustalić numer, z którego telefonowano.

– Kim jest ten Lu Harvester? – dopytywał się Kyle.

Douglas machnął ręką.

– Taki typ, którego szukają w okolicy już od paru tygodni.

Oficer zresztą powiedział, że funkcjonariusz, który miał wtedy dyżur, zaklinał się, że dzwoniła jakaś kobieta. Takie rzeczy często się zdarzały. Zazdrosne, porzucone albo w jakiś inny sposób rozczarowane kobiety donosiły na swoich mężów.

– W takim razie lepiej mnie nie rozczarowuj – oznajmiła Mona, wracając z kuchni i dźwigając gar – ale najpierw dopuść mnie do gości. Kochanie, dzisiaj już dosyć zjadłeś!

– Za dobrze gotujesz, przecież już mówiłem – bronił się Douglas.

– Tej wymówki możesz używać najwyżej raz na wieczór!

Drzwi do recepcji były otwarte. Jeremiaś telefonował stamtąd do kobiet w domu kontaktowym. Christopher słyszał, jak używają haseł szyfru oznaczających „fałszywy alarm – wszystko w porządku”.

– Dobra – oznajmił Jeremiaś, kiedy wrócił do stołu. – Obozowisko przeniesie się w inne miejsce. Dokąd, dowiemy się dopiero w drodze powrotnej. Przynajmniej tamci będą do pewnego stopnia bezpieczni – chwycił za widelec – a my działajmy dalej według planu.

**75** | Nazajutrz dotarli do San Francisco. Przetoczyli się zapchanymi ulicami Krzemowej Doliny, mijając siedziby wielkich, słynnych firm komputerowych. Jechali zarówno przez luksusowe, jak i wcale nie luksusowe osiedla, obok centrów handlowych nieróżniących się niczym od innych centrów handlowych, aż wreszcie dotarli do opuszczonego magazynu, którego przesuwne drzwi zdołali otworzyć dopiero wspólnymi siłami. Brian, Nick, Kyle i Finn byli tam już od godziny. Czekali w samochodzie.

– Skąd w ogóle wytrzasnąłeś tę budę? – zapytał Rus, cały spocony.

– Ja? – Jones wytarł kurz z czoła. – Wynajął ją dla nas pewien zaufany człowiek, którego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nikt nie powinien z nami powiązać.

– Chyba wszędzie masz znajomych, prawda?

– To jedna z zalet bycia sławnym pisarzem.

Christopher się rozejrzał. Budynek magazynu dzieliło od wyjazdu na najbliższą autostradę niecałe pięćset metrów – co może przydać się w razie ucieczki. W okolicy nikt nie mieszkał, a wyglądało na to, że i w pobliskich halach oraz innych budynkach za dnia dzieje się niewiele. Naprzeciwko drugie piętro budynków fabrycznych zajmowała jakaś podejrzana siłownia. Reszta była opuszczona. Przy ulicy na dole znajdowały się supermarket oraz bar przekąskowy. Właściwie można było powiedzieć, że to dosyć zapuszczona okolica.

Wjechali do magazynu, ponownie zamknęli bramę i po raz pierwszy rozejrzeli się po jego wnętrzu. W pomieszczeniach, które w lepszych czasach służyły jako biura, stały już łóżka kempingowe. Przygotowano także prowizoryczną kuchnię, z kawą, całymi skrzyniami butelek wody, dwupalnikową kuchenką turystyczną i cicho szumiącą lodówką. Był nawet prysznic wyglądający tak, jakby ktoś go świeżo wyszorował. Jednak na pewno od dawna nikt się pod nim nie kąpał – kiedy na próbę odkręcili wodę, dopiero po paru minutach z kranu pociekła rdzawa struga o paskudnym zapachu.

– W każdy razie ta buda nie dostałaby nawet jednej hotelowej gwiazdki – podsumował Russel.

– Długo tu nie zostaniemy – odparł Jones.

Rozgościli się. Wypakowali sprzęt, podejrzone rzeczy rozstawili w takich miejscach, aby nie było ich widać na pierwszy rzut oka, a możliwe, że i na drugi. Rozpostarli ciemny papier na tych oknach, przez które nocą dałoby się dojrzeć z zewnątrz światło. A Brian, jak zwykle milczący, przyrządził dla wszystkich obiad – całkiem niezłe *chilli con carne*.

Tak minęło popołudnie, a im później się robiło, tym częściej każdy spoglądał na zegarek.

Powód był prosty – wciąż jeszcze nie zjawił się medomobil.

– Dobra – oznajmił wreszcie Jones. – Jeden z nas musi pójść do najbliższej budki

telefonicznej i dzwonić do domu kontaktowego. Może coś ich zatrzymało.

Finn uniósł rękę.

– Ja pójdę.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim z powrotem wspiął się po schodach.

– Nie zameldowali się – objaśnił. – Jerry, od chwili, gdy się z nimi łączyłeś, telefon nie zadzwonił ani razu.

Jeremiah Jones głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Dobra. Damy im jeszcze trochę czasu. Przecież wszyscy wiedzą, że Bob to okropny kierowca, a Neal słabo czyta mapę.

Pozostali się roześmiali, ale zabrzmiało to jakoś sztucznie.

– Teraz jeszcze ci dwaj nie są nam potrzebni. Potrzebujemy jeszcze jednej nocy, żeby się rozejrzeć po okolicy fabryki.

– Co masz na myśli, mówiąc „teraz”? – dopytywał się Kyle.

Jones się zdziwił.

– Masz rację – przyznał po chwili. – Oczywiście mam nadzieję, że w ogóle nie będziemy ich potrzebować.

Wyruszyli w drogę po zapadnięciu zmroku. Finn został w bazie na wypadek, gdyby obaj lekarze mieli się jeszcze pojawić, a także na każdy inny wypadek. Pozostali odjechali dwoma autami.

Tak wczesnym wieczorem na ulicach panował jeszcze całkiem spory ruch: dotarcie pod adres podany przez Christophera zabrało dobrych czterdzieści minut.

– To tutaj? – zapytał podekscytowany Rus, kiedy znaleźli się na miejscu.

– Tak – oparł Christopher.

Po tych wszystkich siedzibach firm znanych na całym świecie, zbudowanych z rozmachem ze szkła i stali oraz pomalowanych na jaskrawe kolory, po tych wszystkich niemal pałacach otoczonych szeroko rozpościerającymi się trawnikami, ujrzeli teraz widok rozczarowujący i niepozorny. Wielki, pusty i rześkie oświetlony parking, przy którym nie rosła żadna roślina, ani jedno drzewo, krzak czy kępa trawy, lecz stał jedynie paskudny, pozbawiony okien prostopadłościan z blachy falistej. Dało się jeszcze dostrzec ślady po nazwie mieszczącej się tu kiedyś firmy: stare otwory po śrubach i kontury liter tam, gdzie intensywne światło słońca doprowadziło do wyblaknięcia farby. Można było odczytać słowo „Logistic”. Poprzedniego słowa już brakowało, tam blachę odnowiono i świeżo pomalowano.

Cały teren otaczało wysokie, solidnie wyglądające ogrodzenie, pod które powoli podjechali. Dwie bramy, o tej porze rzecz jasna zamknięte. Główne wejście, niewątpliwie dobudowane później, wydawało się mocno opancerzone. Ta część budynku najbardziej przypominała twierdzę. Wszędzie zainstalowano kamery.

Nieopodal wejścia znajdował się nowy szyld z nazwą firmy: A.D. Winston Cyberware. Przez lornetkę widać było jeszcze jeden napis pod spodem: A Coherent

Technologies Company.

– Kto to jest A.D. Winston? – zapytał Rus.

– To dwaj bracia: Aslan Winston i Dean Winston – wyjaśnił Christopher. – Jeden kiedyś zbudował dla Linusa pierwsze połączenie komputera z mózgiem, a drugi mu je wszczepił.

– Ach tak. Tamta historia.

– Spróbuję podjechać od tyłu – oznajmił Jones.

Skręcił w następną przecznicę. Światło jego latarki przesunęło się po domach mieszkalnych z wielkimi wjazdami do garaży, na których leżały dziecięce zabawki.

Kolejne rozgałęzienie poprowadziło ich na tyły budynku. Tam w jednym miejscu ogrodzenie było uszkodzone, jak gdyby niedawno zahaczyła o nie duża ciężarówka. Podtrzymywało je tylko kilka cienkich desek oraz mnóstwo grubego drutu.

Wzdłuż tyłu budynku ciągnęła się rampa wyładunkowa, za którą błyszczały przesuwne drzwi. I tutaj wszystko było oświetlone. Ani jednego zakątka na tyle ciemnego, żeby się prześlizgnąć niepostrzeżenie.

– Patrzcie! – Rus niemal skręcił kark, aby się czemuś przyjrzeć. – Tam, u góry.

Na dachu budynku coś błyszczało, chociaż, aby zobaczyć dokładnie co, trzeba było osłonić oczy przed jaskrawym światłem lamp parkingowych. I wtedy ujrzeli niezliczone anteny, różnorakiej wielkości i rozmaitych kształtów, wyciągające się ku nocnemu niebu.

– Do czego tego potrzebują? – zapytał Jones.

Christopher wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Kiedyś jednak miał. Wtedy, gdy jeszcze stanowił część Koherencji. Wówczas miał o tym pojęcie tak jak wszyscy, teraz jednak zapomniał, bo tamtej wiedzy nie przechowywał w swojej głowie.

Odetchnął głęboko. Pole było tutaj mocne, mocniejsze niż gdziekolwiek indziej. Potrzebowałyby tylko jednej myśli i jednej sekundy, aby się z nim połączyć i znowu wiedzieć wszystko.

Nie. Pamiętał pewną inną sekundę i to do niej przywarł, z całej siły. Do niej oraz do nadziei, że ten jego głupi plan mimo wszystko się powiedzie.



**76** | Nick i Brian zostali w furgonetce, aby sprawdzić, kiedy przychodzą strażnicy, reszta wróciła na kwaterę.

– Pierwszy patrol zjawił się o wpół do dwunastej – relacjonował Nick nazajutrz rano, przy śniadaniu. – Potem za pięć druga. A następny mniej więcej dziesięć po czwartej. – Wyglądał na bardzo niewyspanego, podobnie jak Brian, który miał głębokie cienie pod oczami.

– A jak to wygląda szczegółowo? – dopytywał się Jones. Siedział na odwróconej skrzynce i trzymał w dłoniach raport ze śledztwa, w którym wojskowi eksperci opisywali, jak rzekomo przeprowadzono atak na centrum komputerowe w Karolinie Północnej.

Nicholas gestykulował, jak gdyby przesuwając niewidzialne auta po niewidzialnej planszy.

– Pickup pomalowany na biało z logo firmy ochroniarskiej na drzwiach. Dwie osoby, obie w mundurach. Pasażer wysiadł, kierowca rozmawiał z kimś przez radio...

– Z centralą – mruknął Brian. Zabrzmiało to, jakby zagrzmiała góra. – Podaje im, gdzie są.

– Też tak myślę. – Nick przetarł zmęczoną twarz. – Facet, który wysiadł, miał wielką latarkę. Z paska zwisało mu radio, miał kaburę z pistoletem.

– I to jest jeden z tych gości, z którymi zdecydowanie nie chce się zadzierać – dodał Brian.

Jones pokiwał głową.

– Nie będziemy z nimi zadzierać. Ani razu ich nie spotkamy. – Zwrócił się ponownie do Nicka. – A potem? Jak wygląda kontrola?

– Podchodzi do głównego wejścia, świeci w okna...

– A jak przechodzi przez bramę?

– Ma klucz.

– Czy brama otwiera się automatycznie?

– Nie. Musi ją przesunąć. To bardzo prosta brama przesuwana.

Jones pokiwał głową.

– Dobra.

– Drugim kluczem otwiera jakąś małą skrzynkę obok wejścia i wystukuje, z tego, co dało się rozpoznać przez lornetkę, jakiś kod. Sądzę, że na dowód, że tam był. Na koniec jeszcze raz obchodzi cały budynek. Nie wiem, czy po drugiej stronie też musi podać jakiś kod, ale mógłbym się założyć, że tak. W drodze powrotnej raz jeszcze przejeżdżaliśmy z tyłu. Obok schodów na rampę rozładunkową jest taka skrzyneczka w murze, która wygląda dokładnie tak samo, jak ta przy wejściu.

– Dobra. A potem? Odjechali?

– Zgadza się. Zasunął bramę, zamknął ją, usiadł obok swojego kolegi, znowu złożył meldunek, a potem pojechali dalej. Wszystko trwało tak od siedmiu do jedenastu minut.

Jones pokiwał głową z zadowoleniem.

– Czyli że wszystko przebiega dokładnie tak, jak opisał nam Christopher. To uspokajające. Powiedziałbym więc, że dzisiaj...

– Jada! – zawołał Finn, który patrząc przez okno, pilnował ulicy.

Od razu wszyscy znaleźli się przy nim. Właśnie nadjeżdżał medomobil. Lekarze zaparkowali po przeciwległej stronie ulicy, bezradnie spojrzeli przez szyby, przypuszczalnie nie potrafili tak do końca uwierzyć, że właśnie tutaj jest cel ich podróży.

– Otwórz im, zanim odjadą – powiedział Rus.

Po kilku minutach oraz mnóstwie machania i nawoływania medomobil wtoczył się do hali przez otwartą bramę. Pozostali razem z Kyle'em złośliwie klaskali i gratulowali wysiadającym lekarzom.

– No, szacunek, szacunek! – zawołał Kyle wesoło. – Trzecie miejsce!

– Tak, tak – odparł Lundkvist, który wcale nie zdawał się dostrzegać w tym czegokolwiek zabawnego.

Na widok łóżek kempingowych lekarze wyraźnie poweseleli.

– To z pewnością miłsze niż nocleg w karetkie na dmuchanym materacu – oznajmił doktor Connery.

Czekając na nich kawę przywitali z jak największą radością.

– Początkowo mieliśmy całkiem niezły czas – odpowiedział doktor Connery na pytanie, gdzie tak zamarudzili. – Co prawda, pierwszego dnia nie dotarliśmy jeszcze do Oregonu...

– Nie wspominając o tym, że zgubiliśmy się w Boise – dorzucił doktor Lundkvist.

– ...tak, ale głównie dlatego, że musieliśmy tam pojechać, kiedy na Central Oregon Highway jakiś motocyklista miał wypadek, prawie na naszych oczach...

– No, ja widziałem, jak poleciał w powietrze – odezwał się doktor Lundkvist – a gdzie ty wtedy miałeś oczy, to już nie wiem.

– ...i oczywiście od razu udzieliliśmy mu pomocy lekarskiej. I zawieźliśmy do szpitala – westchnął doktor Connery – a potem musieliśmy wymknąć się policji, która strasznie chętnie sporządziłaby protokół zdarzenia, z naszymi personaliami i tak dalej. Boże, ze strachu spociłem się wtedy jak mysz.

Jer emiah Jones potarł nasadę nosa.

– Mogliście przynajmniej dać jakoś znać.

Doktor Lundkvist pokiwał głową:

– Chciałem...

– ...ale nie było żadnego szyfru na tego rodzaju zdarzenia – bronił się doktor Connery. – Daliśmy więc spokój.

Kiedy mężczyźni rozmawiali, Christopher znowu wyszedł do hali, aby raz jeszcze dokładnie przyjrzeć się medomobilowi. Dotąd jedynie słyszał o tym pojeździe. Okazało się, że wygląda inaczej, niż sobie wyobrażał.

Przede wszystkim bardzo rzucał się w oczy. Składał się głównie z kontenera, w którym mieściła się prawdziwa sala operacyjna, pomalowanego na śnieżnobiały kolor, z trudnymi do przeoczenia czerwonymi krzyżami z każdej strony oraz czterema masywnymi uchwytami, po jednym na każdy z górnych rogów, umożliwiającymi podwieszenie pod śmigłowcem transportowym. Przez okna dało się dostrzec szafki z lekarstwami, na ścianach mocowania różnych przyrządów oraz lampę operacyjną. Nieco przyciemniona dysza wskazywała miejsce, gdzie znajdował się agregat prądotwórczy.

Jeszcze sam transporter – przerobiona przyczepa niskopodwoziowa – którego z pewnością nie można było prowadzić, mając tylko zwyczajne prawo jazdy. Gigantyczne opony przypuszczalnie pozwalały przemieszczać się po trudnym terenie. Z przodu kołowrót z liną, po bokach siekiery oraz łopaty...

Na pewno nie był to samochód, po którym można byłoby przebiec spojrzeniem i o nim zapomnieć. Każdy, kto zobaczy jego zdjęcie, od razu będzie wiedział, czy natknął się kiedyś na coś podobnego. Niedobrze. O tym aspekcie planu nie pomyślał.

Jednak teraz było już za późno, aby cokolwiek zmieniać.

Christopher odwrócił się, chcąc odejść, i nagle zamarł, dostrzegając jakiś cień u stóp schodów. To George Angry Snake, właśnie on stał tam jak cień. Jak zdołał go aż tak bezszelestnie śledzić?

– O co chodzi? – zapytał Christopher z bijącym głośno sercem.

George przyjrzał mu się.

– O nic – powiedział i wspiął się z powrotem po schodach.

Christopher przesunął dłońmi po twarzy, czekał, aż uspokoi mu się serce. Czyli że wciąż mu nie ufali. I stąd ten strażnik.

Wspinając się po schodach, poczuł się straszliwie zmęczony. Zmęczony i bezradny. Już nigdy nic dobrego się nie stanie ani w jego życiu, ani w życiu innych. To było takie czarne, lepkie uczucie jak trucizna.

Później wszyscy razem ponownie ruszyli do „miejsca docelowego”, aby przyjrzeć się okolicy także w świetle dnia. Dzień był słoneczny, bezchmurny, nad asfaltem powietrze drżało od upału. Przed niebieskim budynkiem parkowało około dwudziestu aut. Za jedną z szyb hali dostrzegli głowę człowieka studiującego jakaś listę i coś na niej odznaczającego.

Christopher zaproponował, aby przez jeszcze jedną noc sprawdzać, kiedy zjawia się ochrona.

– Tak na wszelki wypadek – oznajmił.

Jednak Jeremiah Jones pokręcił głową.

– Z każdym następnym dniem, który tutaj spędzamy, wzrasta ryzyko, że nas wykryją. Dłużej nie czekamy, dzisiaj jest dzień X. Uderzamy w nocy.

## REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

77 | Resztę popołudnia spędzili na przygotowywaniu ładunków wybuchowych i załadunku ich do aut. Zajęli się również zapalnikami czasowymi oraz urządzeniami niezbędnymi do przedarcia się przez ogrodzenie. Na wypadek ataku Upgraderów rozmieścili broń palną tak, by znajdowała się pod ręką. Każdy z nich wziął mocną latarkę i krótkofalówkę.

– Krótkofalówka? – Kyle przyglądał się niewielkiemu urządzeniu trzymanemu w dłoni. – Jest zabezpieczona przed podsłuchem?

Nick uniósł głowę. Właśnie po raz setny sprawdził, czy materiały potrzebne do sabotażu urządzenia wentylacyjnego są w komplecie.

– Ani trochę – odparł, mrugając ze zdenerwowania. – Może je podsłuchać każdy, kto znajdzie się w pobliżu i złapie taką samą częstotliwość.

– Pytanie tylko, po co miałyby to robić – burknął Brian.

– Tego nigdy nie wiadomo – upierał się Nick.

Dyskusji przysłuchiwał się Jeremiah Jones. Podszedł i zapytał, zwracając się do Christophera:

– Jak z tym jest? Koherencja podsłuchuje rozmowy prowadzone przez walkie-talkie?

No, jak z tym naprawdę jest? Christopher rozumiał, o co chodzi, ale to były pierwsze krótkofalówki, jakie w życiu widział. Wyglądały, jakby ukradziono je z muzeum.

– Nie sądzę – stwierdził. – To proste radio. Nie ma tutaj żadnej sieci, żadnego połączenia z Internetem, nic takiego... Mało prawdopodobne, żeby Koherencja to podsłuchiwała.

– A te wszystkie anteny na dachu fabryki? Przez nie także nie?

Christopher wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem.

Jones wziął jedno z urządzeń, zważył je w dłoni.

– Musimy się ze sobą jakoś porozumiewać, to jest pewne. I wykluczone są telefony komórkowe, to również jest pewne. – Odłożył walkie-talkie z powrotem na miejsce. – Ograniczymy korzystanie w krótkofalówek do sytuacji, kiedy to będzie absolutnie konieczne. I używamy tylko szyfru. Krótco i zwięźle. Takie ryzyko już musimy podjąć.

Wspólnie wysprzątał magazyn, aby pozostawić możliwie jak najmniej śladów swojej obecności. Nie zamierzali tu wracać. Czas płynął dziwnie wolno. I nic nie pomogło, że zebrali śmieci do worków, pozamiatali, wszystko wymyli i starannie

złożyli posłania.

W jednej z szafek stał telewizor, który nawet działał, więc wspólnie oglądali telewizję. Zaczął się poprzerywany reklamami film, a w końcu, niedługo przed północą, serwis informacyjny, w którym była mowa głównie o jakimś strasznie ważnym meczu baseballowym. Christopher głowił się, jak wydarzenie sportowe może być aż tak ważne, by poświęcać mu więcej czasu antenowego niż wszystkim informacjom ze świata polityki razem wziętym.

W ostatniej z wiadomości podano, że niejaki Chuck Brakeman, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, który przed tygodniem zniknął bez śladu, właśnie się odnalazł, zdrów i cały. Jako powód zniknięcia podano załamanie nerwowe. Wyemitowany został krótki filmik, w którym mężczyzna usprawiedliwiał się przed rodziną i prezydentem.

Jeremiah Jones zmrużył oczy, spojrzał na Christophera.

– Pasuje do wzorca, o którym opowiadałeś. Czy to możliwe, że tego człowieka złapała Koherencja?

Christopher przytaknął.

– Przypuszczalnie.

– Po to, żeby mieć szpiega w bezpośrednim otoczeniu prezydenta?

– Tego mają już od dawna. To raczej wygląda tak, jakby przygotowywali się do przejścia prezydenta.

Spojrzeli zaszokowani. Ktoś jęknął. Christopher ze zdumieniem unióśł brwi. Co oni myśleli, że jak to niby będzie wyglądało?

Jones wstał, wyłączył telewizor.

– Dobra – powiedział. – Czas działać.

Unióśł lewą rękę, spojrzał na zegarek.

– Zsynchronizujmy zegarki. U mnie jest pięć po dwunastej.

– U mnie też – oznajmił Rus.

Kilka osób przestawiło wskazówki, pozostali tylko skinęli głowami.

– To do dzieła.

Christopher poczuł nagle trzepotanie w piersiach, jakby Jones wypowiedział właśnie jakieś powodujące je magiczne zaklęcie. Coś ścisnęło mu się w brzuchu, coś, co chyba postanowiło wywołać skurcze żołądka.

Zaczęło się. Właśnie tak. Teraz już ruszyło. Teraz się okaże, ile wart jest jego plan. Czy w ogóle jest cokolwiek wart, czy też poniesie druzgocącą klęskę.

Nie potrafił oprzeć się myśli o Serenity i o tamtej chwili, kiedy poczuł impuls, aby ją ratować i oszczędzić przyłączenia do Koherencji. Już sama ta myśl wydawała mu się teraz arogancka. Wręcz pełna megalomanii. Jeśli jego plan się nie powiedzie, Upgraderzy przejmą ich wszystkich, na miejscu. I wtedy Serenity doświadczy owego losu znacznie wcześniej, niż gdyby dalej ukrywali się w lesie.

Teraz jednak było już za późno, by się wycofać. Ludzie ruszyli do akcji, wręcz

szaleńczo zdeterminowani, aż promienieli energią – nic na świecie nie zdołaliby ich powstrzymać przed działaniem. A już na pewno nie on, ten, który zainicjował całe to przedsięwzięcie. Gdyby spróbował teraz wszystko zastopować, zwyczajnie by go wyśmiali.

Zatem ruszył razem z nimi, ponownie wsiadł do terenowego wozu Jeremiaha Jonesa i zajął miejsce za nim. George Angry Snake usiadł obok, a Rus na fotelu przy kierowcy, dokładnie tak jak dwa wieczory temu. Jechali jako pierwsi, a za nimi medomobil. Grupa Briana wyłączyła światło, pozamykała przesuwne bramy, ukryła klucz tam, gdzie go znaleźli, i w końcu dołączyła do pozostałych.

W drodze nikt się nie odzywał. Obok przemykały jakieś światła, ale Christopher ledwie je zauważał. Nie mógł pozwolić, aby zdenerwowanie go obezwładniło. Przede wszystkim musiał zachować kontrolę nad chipem. Jeżeli mu się nie uda, wszystko będzie stracone już na samym wstępie.

Nocne niebo zasnuwały chmury, nie widać było księżyca. Zrobiło się ciemniej niż poprzedniej nocy. Christopher podskoczył z przestachu, kiedy samochód zjechał na pobocze, a Jones wyłączył silnik.

Czy już dotarli na miejsce?

Wyjrzał na zewnątrz. Rzeczywiście, obok była fabryka z pustym, oświetlonym parkingiem.

Jones wziął do ręki walkie-talkie, włączył odbiór. Przez kilka chwil słyszeli tylko szumy, od czasu do czasu jakieś ledwie rozpoznawalne odgłosy, które brzmiały jak prowadzone w oddali rozmowy w obcych językach.

Wreszcie rozległ się trzask i głos Finna.

– Tutaj Bravo. Jesteśmy na pozycji.

To znaczyło, że ich szary kamper, wyglądający jak ciężarówka, znalazł się na tyłach zakładu.

Jones podniósł krótkofalówkę do ust, wcisnął klawisz nadawania.

– Tu Alfa. Zrozumiałem.

Rus sapał ciężko, ze wzrokiem skierowanym w stronę fabryki. Ostre światło wysoko zawieszonych reflektorów aż wyciskało łzy z oczu.

Znowu tylko szum. Christopher nieco się pochylił, starając się, by nikt się nie zorientował, że go całego aż skręca w środku. Obaj mężczyźni z przodu jednak niczego nie zauważyli. Jedynie George rzucił mu znaczące, pogardliwe spojrzenie, ale się nie odezwał.

Znowu trzaski w eterze.

– Tutaj Cezar – rozległ się głos doktora Lundkvista. – Jesteśmy na pozycji.

– Tutaj Alfa. Zrozumiałem – odpowiedział Jones.

Medomobil stanął na uboczu, w zatoczce jakiegoś przystanku autobusowego, na którym o tej porze na pewno nie zatrzyma się żaden autobus.

Potem rozpoczęło się oczekiwanie na samochód ochrony.

– Przecież nie zmienili planu obchodu – wymamrotał za dziesięć druga zniecierpliwiony Rus.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na cyfrach elektronicznego zegara na desce rozdzielczej. Druga. Dziesięć po drugiej. Kwadrans po drugiej.

– W każdym razie będą później niż zazwyczaj – cicho stwierdził Jones.

Wtedy nadjechał samochód, naprawdę pędząc, i z piskiem opon zatrzymał pod bramą. Czyli że ochroniarze się spóźnili. Gwałtownie otworzyły się drzwi od strony pasażera, wychylił się przez nie jakiś barczysty mężczyzna, jednak poczekał, aż kolega złoży meldunek. Zamienili kilka słów, potem ten umięśniony skinął głową i wygramolił się z auta.

Zamknął bramę. Słysząc było, jak po nocy niesie się stukot jego kluczy. Odruchowo wcisnęli się głębiej w siedzenia.

Pracownik ochrony pomaszerował wzdłuż parkingu do głównego wejścia i, nie poświęcając żadnej uwagi budynkowi, od razu wstukał kod. Potem pospieszył do rogu gmachu i zaraz za niego skręcił.

– Chcą nadrobić spóźnienie – wyszeptał chrapliwie Rus.

Bramę przesunięto i zamknięto. Strażnik wszedł do auta i odjechał.

– Tutaj Alfa – oznajmił Jones. – Odwiedziny zakończone.

Według planu, po obchodzie kontrolnym należało odczekać jeszcze pół godziny, aby mieć pewność, że w razie alarmu pracownicy ochrony będą już odpowiednio daleko.

A przede wszystkim było to właśnie to pół godziny, którego Christopher oczekiwał przez cały dzień. To najcięższe pół godziny. To, które nie chciało minąć.

– Dobra – powiedział z ulgą kiedy pół godziny w końcu minęło. – Idę.

Zarzucił na ramię torbę z narzędziami i otworzył drzwi.

Rzucił ostatnie spojrzenie na zegarek. Wskazywał godzinę 2:51.

**78** | Serenity aż podskoczyła z przestachu. Telefon! Czy zadzwonił?

Oddychając gwałtownie, usiadła wśród ciemności i przysłuchiwała się. Ciemnozielone cyfry na radiu z budzikiem stojącym na regale wskazywały godzinę 2:52.

Nic. Tylko cisza.

Ten dzwoniący telefon musiał się jej przyśnić.

Ale przecież nie można śnić dźwięku!

Z sąsiedniego materaca dochodził odgłos równomiernego oddechu Madonny. Czy ona po prostu mocniej spała, czy rzeczywiście nic nie zadzwoniło?

Nie dawało jej to spokoju. Tak cicho, jak tylko się dało, Serenity wyślizgnęła się ze śpiwora. Kiedy wstawiała, materac strasznie głośno skrzypiał i trzeszczał, jednak Madonna tego też nie usłyszała.

Serenity wyślizgnęła się na korytarz. Nad telefonem paliła się lampka, małeńka żółta twarz klauna.

Na wyświetlaczu automatycznej sekretarki jarzyło się czerwone zero. Podniosła słuchawkę. Zwyczajny sygnał.

O co chodzi? Dlaczego stoi wśród ciemności, boso i z walącym głośno sercem? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że teraz nie wróci już do łóżka. Nie znajdzie tam snu.

Wpatrywała się w wyszczerzoną żółtą twarz na nocnej lampce i rozmyślała o tym, co zrozumiała z planu Christophera.

Plany mogły się nie powieść. Plany najczęściej w jakimś stopniu się nie powodziły.

Nagle wyraźnie sobie uświadomiła, iż boi się, że już nigdy więcej nie zobaczy Christophera.



**79** | Christopher ruszył. Powietrze okazało się zaskakująco chłodne, pachniało kurzem, benzyną i zimnym, zjełczałym tłuszczem... a mimo to się pocił.

Przecież teraz już nie ma odwrotu. Nie może się zatrzymać. Teraz wszystko, co ma się stać, musi zdarzyć się w ramach jednego płynnego nieprzerwanego ruchu.

Dotarł do bramy, zdjął torbę z ramienia i wsunął się poprzez kraty do środka. Szybki rzut oka wzdłuż ulicy, ale tylko dlatego, że nie mógł się powstrzymać. Pilnowali go przecież pozostali i ostrzegliby, gdyby ktoś nadchodził. Chwycił górny kraniec bramy, która sięgała mu zaledwie do podbródka, odepchnął się i podciągnął. Dźwignął prawą nogę, usiadł okrakiem, wreszcie przeszedł całkiem i zeskoczył po drugiej stronie.

Dalej. Bez zastanawiania się. Po prostu według planu. Myśleć zacznie dopiero, gdy będzie już po wszystkim.

Unieść torbę z narzędziami, zawiesić na ramieniu, iść naprzód. Do głównego wejścia, do tego zwalistego czegoś ze stali i szkła, wystającego z budynku z blachy falistej niczym głowa jakiegoś żółwia.

Wziął głęboki oddech, ani trochę nie zwalnając. Pole dało się wyczuć aż za mocno.

Pięć kroków przed drzwiami aktywował swój chip.

Zachwiał się, jak gdyby uderzyły go wszystkie powracające myśli, zalała cała niemierzona duchowa moc Koherencji. Tysiące głosów, które usłyszał. Tysiące impulsów, które go przeszły. Tysiące oczu, które zaoferowały, by oglądać przez nie świat, niemal jednocześnie, wszystko naraz...

Jednak nie. Nie wolno mu. Będzie patrzył tylko własnymi oczyma, tylko na te dwie połowy grubego pancernego szkła, które się przed nim otworzyły.

Dalej! Stawiał stopę za stopą, a otoczenie rozpływało się, kontury rozmywały. Rzeczy przestawały mieć nazwy. Kroki automatycznie powiodły go przez drzwi. Głowa spuchła, dwukrotnie zwiększyła rozmiary, tak wiele do niej napływało i potrzebowało miejsca wewnątrz czaszki...

Czego właściwie chce? Coś zaplanował, tyle jeszcze pamiętał. Gdyby tylko te wszystkie głosy nie mówiły jeden przez drugi! W każdym razie przeszedł przez wewnętrzne drzwi, które tak chętnie się przed nim otworzyły. No jasne, a dlaczego nie?

I jeszcze coś, coś ważnego, coś, czego w żadnym wypadku nie chciał zapomnieć.

Gdyby jeszcze potrafił sobie przypomnieć, co!

Zamknęły się za nim wewnętrzne drzwi. Odwrócił się, spojrzął bezradnie na zewnątrz, zobaczył bramę... Przeskoczył przez nią. Tak.

Aha. Właśnie. Chip. Lepiej go już wyłączyć.

Dobra.

W następnej chwili Christopher zgiął się w pół i ciężko dysząc, oparł dłonie o kolana. Torba zsunęła mu się z ramienia, brzęknęła na podłodze. Nieważne.

Było blisko.

Jaką wielką moc przyciągania ma tutaj Pole! Jak długo działał chip? Pięć sekund? Dziesięć?

A on przy tym ani razu nie wyszedł z ukrycia. Pozostał za barierą. A jednak...

Wyprostował się, spróbował wziąć głębszy oddech. Nie było sensu się wahać. Teraz, skoro znalazł się już wewnątrz, nie miał żadnej innej możliwości, jak tylko w pełni zrealizować plan.

Przynajmniej został ostrzeżony.

Rzucił przelotne spojrzenie na drzwi do centrali bezpieczeństwa. Szkło zbrojone, za nim pulpit kontrolny, siedzenia dla dyżurnego, dwa tuziny monitorów pokazujących obraz z kamer.

Nic ciekawego. Od tej chwili wszystko dzieć się będzie inaczej niż podczas ćwiczeń w lesie.

Całkiem inaczej.

Christopher zdjął torbę z ramienia i położył na podłodze, narzędzia w środku cicho szczechnęły, jak gdyby wyrażały rozczarowanie tym, że już do niczego nie są potrzebne.

Zdjął latarkę z paska, włączył. Promień światła wdarł się w półmrok panujący w kiepsko oświetlonym holu i przesunął w kierunku pomalowanych na granatowo stalowych drzwi z napisem PRODUKCJA/WEJŚCIE.

Nie spoglądając już na dyżurkę, Christopher zdecydowanie podszedł do tych drzwi, nacisnął klamkę. Otworzyły się mimo oporu mechanizmu zamykającego. Zawiasy cicho skrzypnęły.

Za nimi – przebieralnia. Kosze na śmieci, w których leżały zużyte maseczki na twarz i czepki. Białe kombinezony na hakach, pudełka z lateksowymi rękawiczkami. Długa umywalka z sześcioma kranami. A po drugiej stronie jeszcze jedne drzwi, na nich tabliczka: WEJŚCIE DO POMIESZCZENIA O PODWYŻSZONEJ CZYSTOŚCI TYLKO W ODZIEŻY OCHRONNEJ!

Christopher przeszedł przez pomieszczenie, otworzył drzwi, nie przejmując się ostrzeżeniem. Serce waliło mu jak młot. Każdy odgłos – skrzypienie butów na wyłożonej płytką podłodze, szelest ubrania, jego własny oddech – w uszach chłopaka brzmiał niesamowicie głośno.

Następne pomieszczenie – właściwa hala fabryczna – było pogrążone w ciemnościach. Christopher pomacał obok drzwi, szukając włącznika światła tam, gdzie zawsze się go umieszcza. Przypomniawszy sobie jakoś tak słabo, obco – że tutaj nie ma włącznika.

Uniósł latarkę, jednak snop światła zniknął w ciemnościach. Przeszedł kilka kroków, poświecił dookoła ponad lśniąca podłogą pełną wywierconych dziur i kurzu.

Kurzu?

Poświecił dookoła. Co się stało z maszynami?

Christopher stanął, nasłuchiwał. Coś tam było. Jakiś ruch, jakiś ledwie słyszalny dźwięk. Wstrzymał oddech.

Ktoś włączył światło. Tylko jedną lampę ponad drzwiami, przez które wszedł Christopher. Chociaż jej blask zakreślał mały, blady krąg na podłodze, to wystarczało, by móc rozejrzeć się po reszcie hali.

I zobaczyć, że jest pusta. Wszystkie maszyny zniknęły.

– Witaj, Christopherze – powiedział ktoś stojący z tyłu.

Poznał ten głos. Poznałby go wśród milionów głosów i to o każdej porze. Christopher, jeszcze zanim całkiem się odwrócił, wiedział, kto za nim stoi.

Jego ojciec.

**80** | – Mógłby już dać znać – wymamrotał Rus.

– Zameldowałyby się, gdyby dotarł już odpowiednio daleko – powiedział Jeremiaś Jones. Krótkofalówka w jego dłoni była włączona, ale tylko szumiała.

– Może coś się stało?

– Pewnie drzwi do dyżurki ochrony przysporzyły mu większych trudności, niż się spodziewał. Miał je w końcu otworzyć tak, żeby nie uruchomić alarmu.

– A ty naprawdę sądzisz, że potrafi?

– On tak sądzi. A ja sądzę, że to całkiem bystry chłopak.

– Ja tam nie wiem. Może go przeceniasz.

Jeremiaś Jones podrapał się po brodzie.

– Może. Ale jeśli coś mu nie wyszło, to zaraz się zamelduje. Albo wróci.

Rzucił staremu przyjacielowi krótkie spojrzenie.

– Wyluzuj. To dopiero kilka minut.

Rus wypuścił z dłoni trzymany przez cały czas uchwyt drzwi i opadł na siedzenie.

– No dobra. Czekamy.

**80** | Tata wyglądał dokładnie tak, jak go Christopher zapamiętał. Przynajmniej tak mu się wydawało w tym dziwnym świetle. Ojciec po prostu stał przed drzwiami do przebieralni. Miał na sobie cienką skórzaną kurtkę, dżinsy i pasiastą koszulę. Nie miał broni. Nic. Ramiona luźno mu zwisały, uśmiechał się łagodnie.

– Christopherze – powiedział raz jeszcze.

Ruszył, ale nie sam. Towarzyszyło mu kilka innych osób, które na pewno czekały pod ścianami hali, a teraz wyłaniały się z ciemności i powolnym krokiem zaczęły się zbliżać.

I wszystkie mówiły chórem.

– *Christopherze, brakowało nam ciebie* – powiedziało siedem głębokich głosów z doskonałą zgodnością. – *Nawet nie wiesz, jak bardzo nam cię brakowało.*

Christopher obrócił się dokoła. Nie miał stąd żadnego wyjścia, żadnej innej drogi ucieczki. Były tylko jedne drzwi, przez które wchodziły kolejne osoby. Ustawiały się za ojcem i dołączały do chóru.

– *Chcemy, żebyś do nas wrócił* – mówiły głosy. – *Twój wszczep nie działa prawidłowo. Tylko dlatego wydarzyło się całe to zło. Tylko dlatego się zagubiłeś. Twój chip od początku był wadliwy, zdarzył się tylko jeden taki przypadek i to akurat u ciebie... Tak nam przykro, tak nam strasznie przykro...*

Christopher zobaczył, że jeden z mężczyzn trzyma w ręku iniektor, a drugi kłamry do unieruchamiania głowy ze skórzanym pasem.

– *Na szczęście łatwo można usunąć usterkę* – kontynuował chór. – *Wystarczy tylko, że zainstalujemy drugi chip. Taki, który działa prawidłowo. Tym razem o to zadbaliśmy, możesz nam wierzyć. Tym razem dołożyliśmy wszelkich starań. Dla ciebie, Christopherze.*

Ilu Upgraderów jest tutaj? Jeśli już nikt więcej nie wszedł przez drzwi, to naliczył dwudziestu. A niech to szlag.

Dwudziestu na jednego. Czyli że Koherencja czuje przed nim niezły respekt. Mógł to sobie całkiem dobrze wyobrazić.

– *Nie musisz się martwić o swoich przyjaciół na zewnątrz* – kontynuowały głosy. – *Nic im się nie stanie. Ich również przyjmujemy.*

Mężczyźni stali. Tata zrobił krok przed siebie i zachęcająco wyciągnął dłoń.

– Chodź – powiedział.

Christopher milczał.

– Już po wszystkim – kontynuował tata. – Sam spójrz. Twój plan sabotażu fabryki był tak łatwy do przewidzenia. I z góry skazany na klęskę.

Na twarzy ojca pojawił się szyderczy uśmiech, jakiego Christopher jeszcze nigdy u niego nie oglądał. Był to – co nagle zrozumiał – wcale nie uśmiech taty, lecz uśmiech samej Koherencji.

– Tę fabrykę – wyjaśniła Koherencja ustami jego ojca – zamknęliśmy jeszcze w dzień twojego zniknięcia i zaczęliśmy wywozić z niej maszyny. Implanty zostały

porozmieszczane w wielu miejscach na świecie. Od początku nie mieliście żadnych szans.

– Wiem – powiedział Christopher.

Potem zamknął oczy i uruchomił swój chip.

**82** | Tym razem w ogóle nie starał się pozostawać pod osłoną bariery. Pomknął jak strzała, którą popchnęła puszczona wreszcie cięciwa, z luku zbyt długo napinanego aż do granic wytrzymałości.

Koherencja zareagowała w przeciągu ułamka sekundy, praktycznie natychmiast. Całe Pole się przeformowało, wypiętrzyło się naprzeciwko i runęło na niego.

Computer Kid był jednak szybszy.

Pomknął przez wirujące orkany informacji, poprzez błyszczące siatki z myśli, umknął błyskawicom zamiarów. Na jego drodze pojawiały się pułapki, same z siebie wznosiły się mury. Usiłowały zacisnąć się na nim pętle wnyków. Uchodził jednak pułapkom, przeskakiwał mury, zmykał przed każdą pętlą.

Jego dusza pędziła poprzez Internet, niknęła w głębinach, wkraczając do dalekich rejonów, miejsc, gdzie nie sposób dotrzeć ani nawet ich odnaleźć żadną przeglądarką. Cel Christophera stanowiły niepozorne rozdzielnie elektryczności, podłączone do Internetu przez wzgląd na kontrolę i konserwację.

Celem Christophera była nie sieć komputerowa, lecz energetyczna.

Ludzie, którzy zainstalowali w tych skrzynkach interfejsy, aby móc sterować nimi przez Internet z odległych centrali, wychodzili z założenia, że nikt do tego nie dotrze. W sieci istniały setki milionów adresów, z których większość była znacznie ciekawsza. A na wypadek gdyby ktoś niechcący natknął się jednak na taki dostęp konserwacyjny, przewidzieli zabezpieczenie hasłem, jak sądzili, zapewniającym dostateczną ochronę.

Pomylili się.

Christopher potrzebował mniej niż pół godziny, aby przy pomocy specjalnych programów poszukiwawczych uzyskać adresy wszystkich takich miejsc w Kalifornii. Hasło nie stanowiło problemu, zwłaszcza że wszędzie użyto tego samego.

Nie minęło pół sekundy od kiedy zanurzył się w Polu, a już wyłączył pierwszą elektrownię. Była to elektrownia gazowa Moss Landing w Monterey – co nagle odebrało sieci ponad dwa tysiące megawatów.

Jedno mrugnięcie oka i przestała działać elektrownia atomowa Diabło Canyon w San Luis Obispo. W ten sposób sieci zabrakło kolejnych dwóch tysięcy megawatów.

Ostatnimi czasy Kalifornijczycy często doświadczali wyłączeń prądu, jednak to miało być większe. To miało stać się blackoutem<sup>3</sup>, który przejdzie do historii.

Energia jest rzeczą delikatną. Energia, na którą jest akurat zapotrzebowanie, musi zostać dostarczona skądkolwiek, od razu. Jeżeli potrzeba więcej energii, niż znajduje się w sieci, zmniejsza się jej napięcie, a jeśli napięcie spadnie poniżej określonego poziomu, wiele urządzeń przestaje działać prawidłowo.

Sterowany komputerowo system monitoringu, który zarejestrował to wyłączenie, automatycznie natychmiast przesłał dodatkową energię z sieci sąsiednich stanów – i wszczął alarm.

Jednak ten alarm nie dotarł do odpowiedniej centrali. Bo właśnie w tej chwili, w której wyszedł sygnał, Christopher unieruchomił sąsiedni system.

Nocna zmiana początkowo tego nie zauważyła. Wyłączenie prądu objawiło się tylko poprzez zgaśnięcie dwóch światełek na ekranie pokazującym całą sieć elektryczną zachodnich stanów, pozostając praktycznie niezauważalne. Operatorzy przy pulpitych kontrolnych popijali kawę i cieszyli się ze spokojnej nocy.

Nadal nic się nie działo, bo potrzebny prąd został dostarczony automatycznie.

Jedno uderzenie serca później Christopher unieruchomił przełącznik zabezpieczający przed przeciążeniami sieci, umieszczając poza obiegiem linię przesyłową z napięciem trzystu czterdziestu sześciu kilowoltów.

Jak już wspomniano, energia to rzecz delikatna. Kiedy zostaje wytworzona, musi gdzieś popłynąć. Teraz, kiedy przestały działać najważniejsze linie przesyłowe, obciążenie zostało rozłożone na pozostałe linie.

I przeciążyło je.

Amerykańską sieć energetyczną często nazywano największą maszyną świata. Niezależnie od tego, czy to prawda, owa maszyna znajdowała się w kiepskim stanie. Ze względu na wysokie koszty przez całe dziesięciolecie nie remontowano składających się na nią urządzeń, nie przebudowano także zbyt słabych linii. Nie odnawiano również przestarzałych mechanizmów.

Nastąpił fatalny efekt domina.

Tym razem wyłączyła się linia przesyłowa z napięciem stu trzydziestu ośmiu kilowoltów nad jeziorem Salton. Spowodowany przez to skok napięcia doprowadził do wyłączenia kolejnych siedemnastu linii o napięciu stu trzydziestu ośmiu kilowoltów, a w związku z tym również dwóch linii wysokiego napięcia z napięciem trzystu czterdziestu pięciu kilowoltów. Z kolei te wyłączenia doprowadziły do unieruchomienia w południowej Kalifornii jeszcze jedenastu mniejszych elektrowni, zasilanych gazem lub ropą, które nie miały dokąd przesyłać wytwarzanej przez siebie energii.

Na ulicach zgasły pierwsze światła.

Koherencja rozbrzmiała czymś na kształt krzyku, pojmując, do czego zmierza Christopher.

Za późno.

Teraz i w centrali dostrzeżono, że coś się nie zgadza. Operatorzy odstawili kubki z kawą, rozsiedli się wygodnie, sięgnęli po słuchawki telefonów.

Za późno.

Wyłączenia miały miejsce – oczywiście na pewno nie przypadkowo – w najwrażliwszym punkcie kalifornijskiej sieci energetycznej. Nim ktokolwiek zdołał coś zrobić, rozpoczęła się reakcja łańcuchowa, której nikt już nie mógł powstrzymać.

Nagłe skoki napięcia wyłączały bezpieczniki, te wyłączenia powodowały kolejne skoki napięcia i tak dalej. Cios za ciosem. W elektrowniach, jedna po drugiej,



pryskały iskry i wśród trzeszczących świetlnych łuków ogromne pręty awaryjnych wyłączników ustawiały się w pozycji „wyłączone”. Miasto za miastem tonęły w ciemnościach.

Koherencja wrzeszczała, odchodząc od zmysłów, a ciemne plamy na monitorach kontrolnych stawały się coraz większe.

Za późno.

W domach gasły cyfrowe wskaźniki na radiach z budzikiem, milkły lodówki, zamrażarki i klimatyzatory. W fabrykach pracujących na nocną zmianę zrobiło się ciemno, podobnie w supermarketach otwartych całą dobę. W szpitalach oraz centrach obliczeniowych uruchomiły się agregaty awaryjne.

Koherencja nadal krzyczała, krzyczała i krzyczała. Jednak chór jej głosów stawał się coraz cichszy i cichszy, słabł.

Centra komputerowe obsługujące telefonię komórkową zostały wyposażone w zasilanie awaryjne – jednak nie miały go stacje bazowe. Wszystkie maszyny przekaźników były zasilane ze zwyczajnej sieci energetycznej i w chwili, gdy zabrakło prądu, zamilkły też powiązane z nimi komórki radiowe.

Kolejno wyłączała się cała kalifornijska sieć telefonii komórkowej. A wraz nią Pole.

Innymi słowy – Koherencja traciła swoją potęgę.

Christopher otworzył oczy, nie będąc już dłużej w stanie powstrzymać naporu. Widział zbliżających się Upgraderów, patrzył także ich oczami. Stopił się z nimi, z ich myślami, ich zamiarami, został wessany.

To już nie miało znaczenia. Zniknięcie Pola stanowiło jedynie kwestię czasu.

Potem zrozumiał, o czym myśleli ci ludzie, czego chcieli, co zamierzali.

I pojął, z nagłym przerażeniem, że wyłączenie prądu co prawda jest nie do uniknięcia – jednak dzieje się zbyt wolno!

Za późno...

**83** | Serenity nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Stała bezradnie w ciemnym korytarzu, marzły jej bose stopy, a wraz z każdą mijającą minutą robiło jej się coraz bardziej nieprzyjemnie.

Dopiero teraz dostrzegła, że przez okno na krańcu korytarza patrzy wprost na martwe drzewo. Błyszczało w świetle księżyca jak czarny kościotrup.

Nie pozostało jej już nic innego. Musiała jak najszybciej wrócić do pokoju i szarpaniem obudzić Madonnę.

– Madonna...!

– O co chodzi? – wymamrotała zaspana przyjaciółka.

– Nic nie słyszałaś?

– A co miałam słyszeć?

– Mogłabym przysiąc, że zadzwonił telefon. Ale nic się nie nagrało.

Obie nasłuchiwały wśród ciemności, jak gdyby chciały zmusić aparat, by zajął jakieś stanowisko w tej sprawie. Czego oczywiście nie uczynił. Było tak cicho, iż zdawało się, że obie ogłuchły.

– Niczego nie słyszałam, naprawdę niczego – powiedziała Madonna. Uspokajająco spojrzała na Serenity. – Co z tobą? Jesteś blada jak ściana!

– Myślę, że właśnie teraz wszystko poszło nie tak – wyszeptała Serenity.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tak po prostu. Obudziłam się i... – Umilkła, przepełniona strachem, którego nie potrafiła nazwać.

Madonna wyciągnęła ramiona, przytuliła ją do siebie. Dobrze było poczuć ciepło drugiej osoby.

– Trzęsiesz się.

– Jest zimno – wymamrotała Serenity.

– Ale nie aż tak zimno.

Serenity poczuła, że nawet jej oddech drży. Nie chciała płakać, lecz niewiele brakowało.

Madonna westchnęła bezradnie.

– Gdybym tylko wiedziała, co mogłybyśmy zrobić.

**84** | Młody Indianin, który do tej pory w milczeniu siedział z tyłu, nagle poderwał się z miejsca.

– Musimy iść – oznajmił. – Christopher jest w niebezpieczeństwie.

George Angry Snake zachowywał się dotąd tak cicho, że Jeremiah Jones i Russel Stoker całkiem zapomnieli o jego obecności. I nagle rozbrzmiały słowa Indianina sprawiły, że obaj się wzdrygnęli.

– Co? – zapytał zaskoczony Jones.

– Natychmiast – odparł George, złapał swoją torbę, otworzył drzwi, wyskoczył i pobiegł.

– Cholera – wyrwało się Rusowi. – Jemu całkiem...

Jones trzymał już swoją krótkofalówkę przy ustach, naciskał guzik.

– Alfa do wszystkich. Dłużej nie czekamy. Wchodzimy, tak szybko, jak się da.

Zobaczył, jak George skacze przez bramę jednym potężnym i zgrabnym ruchem.

– To właśnie jedna z takich chwil, kiedy wszystko zaczyna iść nie tak – mruknął Rus.

Jones przytaknął.

– Kiedyś w końcu przychodzi taka chwila.

Potem sięgnęli po swoje narzędzia i ruszyli w ślad za chłopakiem.

**85** | – *Gratulacje* - powiedziały głosy. – *To było całkiem sprytne, niemal szkoda, że się przeliczyłeś.*

Czy teraz słyszał Koherencję w swojej głowie, czy w swoich uszach? Nie miał pojęcia. Budynek fabryki wydawał się tonąć we wszechogarniającej czerni. Pozostał tylko ten stożek bladego światła, w którego środku stał on, w którym stali otaczający go i zbliżający się szybko ludzie. Dalej była już tylko ciemność.

Huczało mu w głowie. Chciał wyłączyć chip. Wydać polecenie, jednak mu się nie udawało. Zewsząd spadały lawiny danych, paliły, przewalały się ponad barierą, kręciły myślami, rozszczepiały je na tysiące strzępków. Myśli? Nie, już nie był w stanie myśleć. Stał się bezradny i zdany na to, co się działo.

Wiedział, że tak będzie. Wiedział, że plan się nie powiedzie. Bo żaden plan wymierzony przeciwko Koherencji nie miał prawa się powieść. Nikt nigdy nie mógł stawić jej czoła.

Nawet Computer Kid.

Jeremiah Jones się na nim zawiódł.

I Serenity...

– *Przecież my tylko chcemy, żebyś wrócił do domu* – mówiły głosy. – *Nie chcemy cię dlatego, że jesteś taki sprytny. Sami jesteśmy sprytni. Chcemy cię, bo jesteś jednym z naszych ojców. Czy nie potrafisz tego zrozumieć?*

Teraz zobaczył męczyznę trzymającego strzykawkę. Wąska końcówka błyszczała brązem w bladym świetle halogenowej lampy.

– *Zanim dosięgnie nas brak prądu, miną jeszcze dwie minuty i siedemnaście sekund. Wystarczająco dużo czasu, abyś wrócił do domu.*

Dwaj mężczyźni złapali go od tyłu za ramiona. Jeden otworzył drzwi do przebieralni, inny przyśrubował do ościeżnicy drzwi imadło trzymające głowę.

Podnieśli go w górę, zaciągnęli w tamtą stronę. Nie miał siły się bronić. Zresztą, po co? Przecież to i tak nic nie pomoże.

Wszystko przebiegło bardzo szybko. Spieszyli się, dało się to zauważyć. Każdą czynność wykonywali jednak starannie. Postawili Christophera pod ramą drzwi, przycisnęli mu głowę do imadła. Napięli skórzane rzemienie. Pojawił się człowiek trzymający środek znieczulający w aerozolu.

„A więc to już koniec” – pomyślał Christopher. „Kres ucieczki”.

W głowie szeptały mu tysiące głosów. Zbliżył się do niego iniektor o ciemnym, błyszczącym otworze, czarna dziura w otaczającym go mrocznym kosmosie.

Christopher zamknął oczy.

„Przynajmniej – pomyślał – teraz już nigdy nie będę samotny”.

**86** | Jones i Rus spieszyli się, jak mogli, żeby dotrzymać kroku George'owi, jednak nie byli w stanie iść tak zwinnie jak chłopak ani tak jak on przesadzić stalowej bramy. Nie mogli mu więc przeszkodzić, kiedy stanął przed głównym wejściem do fabryki, wyjął z kieszeni gruby łom, a potem zaczął wściekle walić nim w szybę.

Bez efektu. Szkło nieco popękało, ale nie ustąpiło. Ponadto włączył się alarm: ogłuszająco zawyła syrena, zaczęły obracać się żółte, ostrzegawcze światła.

– Szyba pancerna! – wydyszał Rus, kiedy stanął obok George'a. – To było przecież jasne, co?

W oczach chłopaka migotały skry.

– Musimy tam wejść! On jest w niebezpieczeństwie!

– Tak, tak. Jasne. – Rus rozglądał się coraz bardziej nerwowo. W niektórych okolicznych domach pozapalały się już światła. – Ale jeśli się zjawi policja, to wcale niczego nie polepszy.

George zrezygnował z prób osiągnięcia łomem tego miejsca na zewnętrznej ścianie, gdzie na wysokości około czterech metrów wył alarm. Za to tuż przed ścianą wykonał zapierający dech w piersiach skok, cisnął młotem – i trafił w urządzenie. Roztrzaskało się, zamilkło, na ziemię spadły części obudowy. Coś jeszcze brzęczało na dachu, jednak znacznie ciszej.

– Szybko! – krzyknął Jones – Musimy znaleźć jakąś inną drogę do środka!

Podbiegł do okna, zaświecił przez nie latarką. Za drugim oknem, przy głównym wejściu mieściła się centrala bezpieczeństwa. Było tam pusto, drzwi, również z pancernego szkła, zamknięte, a za nimi...

– Co to jest? – zapytał Rus.

– Torba z narzędziami Christophera – krótko rzucił Jones. Podniósł walkie-talkie do ust.

– Alfa do Bravo. Gdzie jesteście? Odbiór.

– Przy ogrodzeniu – odpowiedział Finn. – Przecinamy mocowanie w tym zreperowanym miejscu w płocie. Odbiór.

– Weźcie auto i przebijcie się. Spotykamy się przy rampie. Bez odbioru. – Machnął do George'a, żeby ruszał za nim, po czym pognał do przodu.

Wkrótce usłyszeli trzask, gdy samochód ciężarowy przewalił się przez ogrodzenie. Jones, biegnąc, spojrzął na zegarek. Minuty pędziły nieubłagane.

Ogarnął go lodowaty, nienaturalny spokój. Wiedział, że powtarzano mu, aby w sytuacjach krytycznych zachowywać zimną krew, naprawdę jednak, to taki stan był u niego odmianą paniki. Wszystko, poza konkretnym zagrożeniem, rozmywało się, a myśli płynęły z maksymalną szybkością.

Dotarli na tyły budynku. Finn i Brian trudzili się przy przesuwanych drzwiach, ale bez rezultatu. Na gładkich, prawie pozbawionych spojeń płytach nie sposób było znaleźć oparcia dla narzędzi.

Nick stał obok, trząsł się i głośno wsysał powietrze przez zęby.

– To jakaś cholerna twierdza! – wysapał Brian.

– Materiał wybuchowy! – Ton głosu Jonesa wykluczał jakikolwiek sprzeciw. – On na pewno da radę.

– Ale przecież maszyny! – Głos Nicka prawie się załamał. – Nie wystarczy materiału wybuchowego na maszyny, jeśli teraz...

– Do cholery z maszynami – odparł Jones. – Musimy wyciągnąć Christophera! A potem już tylko stąd spadać!

Finn znalazł się przy aucie, szarpnięciem otworzył tylne drzwi, po czym wyciągał pierwszą skrzynię z puszkami napełnionymi materiałem wybuchowym. Kyle skoczył z fotela pasażera, aby mu pomóc.

– Bierzcie dużo! – krzyknął Rus. – Wejście musi od razu wylecieć w powietrze, a jeżeli ktoś się za nim czai, nie może mieć żadnych szans.

– Jasne – mruknął Finn i rozwinął pierwszy lont.

Jones miał wrażenie, że całą wieczność zabrało tej dwójce rozstawienie puszek, przyłączenie drutów oraz rozwinięcie ich w stronę urządzenia zapłonowego. Przynajmniej ze trzy razy zerknął na zegarek, bo uspokajało go, że sekundnik też poruszał się tak wolno, jak gdyby przedzierał przez gęsty syrop. Brian w końcu uniósł kciuki. Ładunki zostały uzbrojone.

Jeremiah zwrócił się do Kyle'a:

– Zajmiesz pozycję tutaj, na zewnątrz. Kiedy tylko pojawi się policja, a to się stanie za kilka minut, to nas ostrzeżesz. – Chciał od razu zawrócić, jednak zatrzymał się w połowie ruchu. – Kyle, jeszcze coś. Jeśli się nie zjawimy, to uciekaj stąd. Obiecuj mi, dobra?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył ukryć się wraz z pozostałymi.

Potem Rus odpalił ładunki.

Eksplozja szarpnęła tak mocno, jak gdyby na środek parkingu spadła część Jumbo-Jeta. Ziemia zadrżała pod nogami, huk rozszedł się we wszystkie strony. Na pewno obudziła się co najmniej cała Dolina Krzemowa.

Wszędzie wokół spadały małe odłamki, a w górę uniosła się chmura białego dymu. Za nią, w zewnętrznej ścianie budynku ziała wielka, ciemna dziura. Przesuwana brama zniknęła.

Czy było już słyhać pierwsze syreny policyjne, czy tylko dźwięczało mu w uszach? Nieważne.

Rus, trzymając pistolet, przesunął się z boku w stronę wyrwy, przyciśnięty plecami do ściany. Chociaż wciąż miał na sobie swój szary wyświechtany sweter, nagle zupełnie przestał wyglądać sympatycznie.

Zajrzał do hali, na jedno uderzenie serca zamarł przykucnięty, gotowy do skoku, aby potem raptownym susem wpaść do środka i w zapierający dech w piersiach sposób przetoczyć za najbliższą osłonę.

Przez chwilę – która jednak wydawała się wiecznością – nie działo się nic.

Wszyscy spoglądali na wyrwany eksplozją otwór, w którym zniknął Rus. Potem Rus się wyłonił, zmierzwiony i przykurzony, pomachał w ich stronę.

– Wszystko w porządku. Nie ma tu nikogo. Chodźcie.

**87** | Kyle Forrester Jones, dwudziestodwulatek i student ochrony środowiska, pełen niedobrych przeczuć patrzył, jak pozostali znikają w ciemnej dziurze prowadzącej do wnętrza hali magazynowej. Ojciec nakazał stworzyć dwuosobowe grupy. On i Rus poszli jako pierwsi, potem Brian z George'em, wreszcie Nick i Finn jako straż tylna. Uznał, że taki podział będzie najbezpieczniejszy, bo jak się wyraził, w każdej grupie „znajdzie się co najmniej jeden walczący”.

Kyle zauważył, że nieświadomie wstrzymał oddech. Teraz gwałtownie wypuścił powietrze.

Niech to szlag! Wszystko, po prostu wszystko, poszło nie tak. Cholerny Christopher. A przecież czuł, że ten chłopak schrzani sprawę.

Znowu wstrzymał oddech.

Dobra. Dobra. Dobra. Dadzą radę. Po prostu muszą. W jakiś sposób stamtąd wyjdą. Wszyscy. Cali i zdrowi.

Obszedł samochód, rozejrzał się na wszystkie strony. Nie usłyszał żadnych syren policyjnych, nie zobaczył migających błękitnych świateł, żadnego ruchu. Nic nawet nie drgnęło. Co samo w sobie było dziwne. Alarm uruchomił się przecież prawie dziesięć minut temu. Przynajmniej według jego zegarka. Policja powinna była już się tutaj dawno zjawić. A co z mieszkańcami okolicy, którzy na pewno słyszeli eksplozję? Tam także nic się nie poruszało.

W powietrzu wisiało coś niesamowitego.

Przy czym... mogło chodzić tylko o jego nerwy. Już kilkakrotnie płatały mu podobne figle. Na przykład w trakcie egzaminów. Nikomu o tym nie opowiadał.

Wzdrygnął się jak rażony prądem, kiedy nagle ryknęła trzymana w dłoni krótkofalówka.

– Tam daleko! Bierzemy... – zagrzmiała krótkofalówka, a potem znowu ucichła.

Prawie ją upuścił, spojrzał na nią, a potem zrozumiał. Nie on jedyny się tutaj denerwował. Ktoś inny także trzymał walkie-talkie i przypadkowo wcisnął klawisz nadawania.

I znowu.

– ... za to. Prawdziwe koszary. – To chyba był Finn, a może nie? Potem nerwowy kciuk miał też Nick:

– Tutaj musiało czekać na Christophera co najmniej dwadzieścia osób...

W ułamku sekundy Kyle pojął wszystko.

Czyli że to rzeczywiście była pułapka, od samego początku! Ostatecznie okazało się, że Christopher jest z nimi w zмовie!

Kyle poczuł swędzenie w brzuchu, takie uczucie, jakby zaczęły mu wibrować wnętrzności.

Zamknął drzwi kierowcy, skoczył za kierownicę, żeby być gotowym w każdej chwili. Silnik zamruczał szybko na jałowym biegu.

– ...tak. Ostrożnie. Tam daleko. – Kto to był? Nie można było rozpoznać tego



głosu, zagłuszały go pospieszne kroki oraz metaliczny szczepek.

– Tutaj. Tutaj. Tam, weź... Zamknięte. Idź z tamtej strony.

Rus. Ten miły Rus. Dzisiaj w nocy pokazał się od nieznanej dotąd strony. Przepuszczalnie od tej, o której, jak mówił, wolałby zapomnieć.

– Są w środku. Wygląda na to, że wszyscy. – To Jones.

– Co to jest? Hala maszyn? – Rus.

– Tak. Nick? Możesz te drzwi...?

I znowu cisza. Kyle wstrzymał oddech. Do diabła, co działo się tam w środku?

Nagle dostrzegł w tylnym lusterku coś, co wzbudziło jego czujność. Ktoś tam był? Odwrócił głowę, wyjrzał przez wszystkie okna, a poczucie coraz większego osaczenia stało się jeszcze mocniejsze.

Nikogo nie było. Coś mu jednak nie pasowało!

Kyle otworzył drzwi, wyjrzał na zewnątrz. Przez okna kampera nie widziało się wszystkiego, a może to była jedynie gra światła na szybach.

– ... tak, jak myślicie! – wrzasnęła krótkofalówka. – Wszyscy ręce do góry!

– Rus, oni mają Chrisa!

– Wy cholerni...

– George! – Głos taty. – George, nie!

Tam coś było! Cień w kącie oka, drgnięcie, migniecie... Kyle pospiesznie odwrócił głowę, milczał.

A potem coś zobaczył.

– O mój Boże – wymamrotał.

Oparł nogę o fotel kierowcy i podciągnął na górnej krawędzi drzwiczek, tak by móc spojrzeć ponad dachem pojazdu.

Miasto, nocne San Francisco, migoczące klejnoty setek tysięcy ulicznych latarni, jasno oświetlonych biurowców i błyszczących kolorami reklam – gasło. W ciemności pogrążały się ulica za ulicą, części miasta, jedna po drugiej, zapadały się w czerni.

Pędziła ku nim ściana ciemności.

**88** | Christopher zobaczył drgające w ciemności snopy światła, latarki, przemykające postaci. Obok niego wyłonił się ktoś zdyszany, rozpiął rzemienie krępujące mu głowę. Wreszcie mógł opaść. Osunął się na ziemię, ktoś go złapał.

W głowie miał ciszę. Uniósł dłoń, pomacał się po nosie. Pół twarzy odrętwiało od środka znieczulającego wstrzykniętego w nozdrza. Pomacał górną wargę, tam poczuł wilgoć. W niespokojnym, bladym świetle latarek usiłował sprawdzić, co to było. Krew?

Nie, to nie wyglądało jak krew, a z jakiegoś powodu, o którym akurat teraz nie pamiętał, wiedział, że to dobrze. Nawet bardzo.

Potem w świetle latarki zobaczył mężczyznę leżącego obok na podłodze. Zobaczył nóż sterczący w nadgarstku tego mężczyzny i wszystko mu się przypomniało.

To, jak już miał iniektor przed twarzą. Moment, w którym, jakby znikąd rozległ się okrzyk, głośny i przeszywający. I jak nagle, w ostatniej chwili, coś nadleciało, odtrącając urządzenie w bok.

Christopher znał ten nóż. Ostatnio widział go przy pasku George'a Angry Snake'a.

Otrząsnął się. Już wiedział, co ma robić, jak należy postąpić. I to szybko.

Szum w jego uszach się uspokoił. Usłyszał, że ktoś wzywa lekarzy, ktoś inny dziwi się widokiem ludzi leżących nieruchomo na ziemi, ze szklanymi spojrzeniami wbitymi w pustkę.

Ale czy czegoś można było tu nie zrozumieć? Pole zniknęło, zarówno tutaj, jak i w prawie całej Kalifornii, a to z tego prostego powodu, że w stanie zabrakło prądu. Upgraderzy powypadali z Koherencji. Oczywiście ich chipy wciąż działały, lecz bez połączenia z siecią radiową nic im to nie dawało. A brak owego połączenia sprawił, że początkowo ich mózgi nie mogły normalnie funkcjonować.

Christopher, dysząc, podniósł się, chociaż miał wrażenie, że kolana są z gumy.

– Powoli – powiedział podtrzymujący go człowiek. Brian, ten typ, który prawie w ogóle się nie odzywał.

– Nie – stwierdził Christopher. – Nie powoli. Szybko.

W ogóle go nie rozumiał. Nieważne. Christopher zataczając się, ruszył poprzez półmrok. Jeremia! Gdzie jest Jeremia Jones?

I wtedy on nagle przy nim stanął.

– Potrzebujemy medomobilu – rzucił Christopher. Miał wrażenie, że z odrętwiałą połową twarzy tylko bełkocze.

– Są już w drodze. – Ojciec Serenity przeszył go spojrzeniem. – To była pułapka!

Christopher pokiwał głową.

– Można tak powiedzieć.

Tam. Dwie postaci biegły przez pusty magazyn. Doktor Lundkvist ze swoją skórzaną torbą i doktor Connery niosący latarkę.

– Gdzie jest ranny? – dopytywał się Lundkvist.

– Nie ma czasu – ponaglił Christopher. Złapał neurologa za ramię, pociągnął za

rękę, wskazując jakąś nieruchomą sylwetkę na podłodze.

– To mój ojciec – wyjaśnił. – Musicie go zabrać i usunąć mu implant. Tak szybko, jak to możliwe!

Mężczyźni spojrzeli na niego skonsternowani.

– To twój ojciec? – upewnił się Jones.

– Tak – oznajmił Christopher.

Czy aż tak trudno było go zrozumieć?

Doktor Connery zaświecił tacie w twarz.

– Zgadza się, teraz go rozpoznaję. To James, nie ma żadnych wątpliwości.

– Dobra... – zastanowił się Jeremiah Jones. – A co z pozostałymi?

Christopher wzruszył ramionami,

– Zwiążemy ich i zostawimy.

– Ale wszyscy to przecież Upgraderzy, prawda? Co z innymi implantami?

– Trzeba je także usunąć.

– Tak, ale tylko jeśli można byłoby to zrobić w przeciągu pięciu minut.

– To znaczy?

Christopher wciągnął powietrze, poruszył dolną szczęką, którą ledwie czuł, i językiem, który wydawał się napuchnięty.

– Implant trzeba wydobyć albo przynajmniej dezaktywować, zanim wróci prąd. To się stanie za dwie, najpóźniej za trzy godziny. A jak tylko będzie prąd, wróci Pole.

– Potrząsnął głową. – Jak sądzę, czasu wystarczy tylko na jedną operację.

Doktor Connery nagle zrobił się blady, ale oczywiście mogło to być skutkiem oświetlenia przez latarkę.

– Rzeczywiście – powiedział.

Jones przytaknął.

– Rozumiem, że zaraz zwrócą się przeciwko nam.

– Nie, nie w tym problem. Związani nie zdołają niczego zdziałać – oznajmił Christopher. – Problem polega na tym, że w tym momencie staną się nadajnikami. Koherencja zaraz będzie widzieć, gdzie są.

Mężczyzna, przez media ochrzczony Prorokiem, spojrział na Christophera, szeroko otwierając oczy. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale najwyraźniej nic nie przychodziło mu do głowy i znowu zamknął usta.

– W takim razie – rzucił doktor Lundkvist – zajmę się teraz tamtą krwawiącą ręką. A wy możecie już zabierać stąd twojego ojca.

Pojawił się Rus, który trzymał dużą rolkę mocnej taśmy klejącej.

– Ładne, co? Leżała tutaj. Raz-dwa wszystkich nią zwiążemy. – Z jego głosu zniknął wesoły ton. – A potem powinniśmy stąd zjeżdżać.

**89** | Wyłączenie prądu sparaliżowało wszystko. Najwyraźniej także na policji zapanował bałagan, bo opuszczenie miasta nie stanowiło w ogóle żadnego problemu. Zatrzymali się na parkingu, w miejscu, z którego widać było całe San Francisco. Tam lekarze rozpoczęli operację. Reszta czekała.

Christopherowi przyszło wreszcie do głowy, że należy podziękować George'owi. Kosztowało go to sporo wysiłku, a i nie pomagało to, że George uważnie mu się przyglądał.

– Było blisko, prawda? – odezwał się wreszcie.

– Tak – przyznał Christopher. – W samą porę.

– Dobrze – stwierdził młody Indianin i zdawało się, że na tym sprawa się dla niego kończy.

Usiedli na jakimś niewysokim murku i przyglądali się, jak gdzieniegdzie, po niewidzialnej siatce ciemnych ulic, porusza się migoczące błękitne światełko. Żadne nie zbliżało się w ich kierunku. W zatoce odbijały się gwiazdy.

W pewnej chwili z ciemności wyłonił się most Golden Gate, a potem jedna po drugiej zapalały się kolejne lampy, oświetlając niekończące się płataniny ulic.

Powróciła elektryczność, a Christopher poczuł wracające Pole.

Awaryjny agregat medomobilu wciąż jeszcze buczał. Przez jasno oświetlone małe okienka widać było trudzących się lekarzy. Poważne oczy nad zielonymi maskami na ustach.

Zaczynało świtać. Pozostali wsiedli do samochodów, próbowali zasnąć na fotelach, nawet George zdołał się jakoś wycofać do auta – bezgłośnie, jak to miał w zwyczaju.

Tylko Christopher wciąż siedział na murze i przyglądał rozdzielającym się wodzie, ziemi oraz niebu.

Uniósł wzrok, kiedy ktoś do niego podszedł.

To Jer emiah Jones z ręką w kieszeni kurtki.

– Od samego początku miałeś taki plan, prawda? – powiedział tata Serenity. – Uwolnić ojca.

Christopher przytaknął automatycznie.

– Tak.

– Stad twoje nalegania, żeby zabrać medomobil. Wiedziałeś, że będziemy go potrzebować. Wiedziałeś, że Koherencja zastawi na nas pułapkę.

Christopher objął się ramionami.

– To było logiczne. Fabryka stanowiła jedyne możliwe miejsce ataku.

– Ale ich przechytrzyłeś.

– Tak.

Jones milczał dłuższą chwilę, a potem powiedział:

– Gdybym nie był taki zmęczony, to nieźle bym się na ciebie wkurzył. To było totalnie nie w porządku, że nas nie wtajemniczyłeś.

Christopher się zastanowił.

– Racja – odparł po jakimś czasie. – Może powinienem tak zrobić. – Zawahał się, nagle poczuł się całkiem bezradny. – Nie jestem do tego przyzwyczajony.

– Do czego?

– Do tej pory zawsze wszystko robiłem sam.

Jones usadowił się obok.

– Tym razem wszystko poszłoby nie tak.

– Tak. – Christopher znowu pomacał się po nosie. Jednak przez znieczulenie i tak niczego nie poczuł.

– Gdyby George nie znalazł się na miejscu w odpowiedniej chwili, miałbyś teraz drugi chip.

Albo gdyby George chybił.

– Jak było z tą policją w Tremblestoke? – zapytał Jones. – Coś mi mówi, że to nie był przypadek.

Christopher potrząsnął głową.

– To ja do nich zadzwoniłem. Z telefonu w pokoju. Mówiłem całkiem cicho, krótko i zmienionym głosem.

– A skąd wiedziałeś o tym... jak się nazywał tamten facet? Lu Harvester?

– Natknąłem się na niego, kiedy szukałem informacji o Tremblestoke. W jakiejś gazecie był artykuł, że jest tam poszukiwany już od kilku miesięcy.

Jones westchnął.

– Ale po co? Dlaczego sprowadziłeś na nas wszystkich niebezpieczeństwo?

– Potrzebowałem jakiejś wiarygodnej okazji, żeby móc komuś powiedzieć, że się boję, że spotkam tam swojego ojca. Że wtedy byłbym bezbronny. I musiałem to powiedzieć przez telefon. To miało wyglądać, jakby mi się wymknęło, tak ze zdenerwowania.

– Chciałeś nakłonić Koherencję, żeby wysłała twojego ojca do Los Angeles?

– Właśnie tak.

Jones zadziwiony pokręcił głową.

– Założyłeś, że podsłuchają rozmowę telefoniczną? Jakąkolwiek rozmowę telefoniczną, gdziekolwiek na świecie?

Christopher uniósł głowę.

– Naturalnie. Kiedy jeszcze byłem przyłączony, też tak robiłem. To się robi tak przy okazji, jak słuchanie radia. – Spojrzał ponad zatokę, na miasto, którego kontury stopniowo wyłaniały się z półmroku. – Linus, kiedy po raz pierwszy przyjechał do USA, żeby wszczepić sobie połączenie z Internetem, miał taką przyjaciółkę, stewardessę. Jej ojciec pracował dla tajnych służb, NSA. Później, dzięki tym dwojgu, Koherencja uzyskała dostęp do systemu Echelon<sup>4</sup>, ogromnego urządzenia komputerowego, które podsłuchuje wszystkie rozmowy telefoniczne na świecie. To był pierwszy czysto komputerowy system, z którym Koherencja bezpośrednio się połączyła.

– O mój Boże – wymamrotał Jones.

– Nie byłem pewien, czy tata zdoła dotrzeć na czas. Podróż z Londynu do San Francisco jednak trochę trwa...

– A potem doprowadziłeś do tego, że w całej Kalifornii wysiadła sieć elektryczna. Tak po prostu – powiedział Jones. Ton głosu w połowie wyrażał dezaprobatę, w połowie podziw.

– Tak łatwo nie było – stwierdził Christopher. – Sieć musiała nie tylko wysiąść, ale też odpowiednio długo nie działać. Większość moich poszukiwań w Internecie poświęciłem szukaniu niezbędnych szczegółów.

To, że trafił na różne plany awaryjne, okazało się, rzecz jasna, niesamowicie przydatne. Jednak nikt nie chciał znać aż takich szczegółów.

Jones się zastanowił.

– Okej – powiedział w końcu. – Ostatecznie twój plan się powiódł. Jednak to nie był dla Koherencji tak dotkliwy cios, na jaki mieliśmy nadzieję, prawda?

– Ale był to cios – odparł Christopher. – Strata jednego członka to dla niej naprawdę poważny cios, proszę mi wierzyć. Jest teraz cholernie wściekła.

– No to świetnie – stwierdził Jones znużonym głosem. – Ale nie możemy przeprowadzać tysięcy takich akcji. Oczywiście zakładając, że myślisz: „Dzisiaj uwolnię swojego ojca, jutro matkę, a pojutrze cały świat”.

Christopher nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Nie wybiegał planami aż tak daleko w przyszłość. Zresztą, po co? Gdyby nie udało się teraz wyrwać ojca z Koherencji, gdyby tata nie mógł im teraz pomóc swoimi pomysłami, informacjami, jakoś... rozmyślanie o przyszłości nie miałyby żadnego sensu. Wtedy byłoby całkiem jasne, jak ta przyszłość by wyglądała.

Wtedy Koherencja odniosłaby zwycięstwo. A czy doszłoby do tego już w przyszłym roku, czy może za dwa lata, nie miałyby znaczenia.

Odgłos otwierania hermetycznych drzwi medomobilu – nie do pomylenia z niczym innym – uwolnił go od konieczności zastanawiania się nad odpowiedzią. Odwrócili się i zobaczyli, jak doktor Connery, jeszcze w zielonym kitlu chirurgicznym, schodzi po wąskiej drabince. Na jego szyi luzem zwisała maseczka. Gdy się zbliżył, dostrzegli, że fartuch ma poplamiony krwią.

– Zrobione – oznajmił głosem, w którym brzmiało śmiertelne znużenie. Wcisnął Christopherowi w dłoń kilka ciemnych, poplamionych kawałków metalu.

– To resztki chipa. Musieliśmy go złamać. Twój tata dobrze to zniósł, o ile można tak w tym momencie powiedzieć. Oczywiście jeszcze dosyć długo pozostanie nieprzytomny, a co będzie dalej... No. Na to trzeba poczekać.

– Kiedy będziemy mogli jechać? – dopytywał się Jones.

Doktor Connery machnął ręką zniecierpliwiony.

– Och. W zasadzie, to zaraz. Pacjent opatrzony, bezpiecznie przypięty, krążenie stabilne... Oczywiście jeden z nas musi przy nim zostać. Dobrze by było, gdyby ktoś

inny usiadł za kierownicą, bo jak sędzę, obaj nie jesteśmy już w stanie prowadzić.

Christopher spojrział na leżące na dłoni trzy kawałki silikonu i metalu – powyginane i wydające się jakieś takie brudne. A więc tylko tyle pozostało z pieczęci Koherencji. Wyglądało na śmiesznie maleńkie. Ledwie dawało się uwierzyć, że wystarczy, by obrabować człowieka z indywidualności.

I obdarzyć niewyobrażalną mocą i wszechwiedzą.

Zamknął dłoń. Rozwścieczony tą ostatnią myślą, zamachnął się i cisnął odłamkami tak daleko, jak tylko zdołał.

Jeremiah Jones mruknął karcąco.

– Christopherze. Nie trzeba było. Analiza tych resztek dałaby nam cenne informacje.

Chłopak sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął stamtąd futerał i wcisnął Jonesowi w dłoń.

– Proszę – powiedział. – Zanim wyszliśmy, zabrałem to jednemu z Upgraderów. To chipy, które Koherencja przeznaczyła dla nas. Dwadzieścia sztuk. Wystarczający materiał do analizy.

## **PRZYJACIELE**

**90** | Nowe obozowisko podobało się Serenity właściwie bardziej niż poprzednie. Rozbili namioty w płaskim zakolu górskiej rzeki, która szumiała, szemrała i połyskiwała srebrem. Teraz znaleźli się w jeszcze głębszym lesie.

I najwyraźniej w miejscu, gdzie jeszcze nigdy nie byli, bo Irene z kuchni ciągle sarkąła, skąd teraz weźmie zioła.

Kiedy przyjechał pilot, aby odebrać Melanię, Madonnę i ją samą od Patricii, a potem zaprowadzić je do nowego obozowiska, Serenity poprosiła, żeby po drodze zatrzymali się przy jakiejś budce telefonicznej. Zadzwoiła do matki, próbując się wytłumaczyć, nie zdradzając przy tym niczego – co okazało się prawie niemożliwe – a potem jeszcze znieść stosowne kazanie. Matka początkowo była szczęśliwa, że córka zadzwoniła, potem była na nią wściekła, potem znów zatroskana i tak na przemian.

A humor bynajmniej jej się nie poprawił, kiedy Serenity oświadczyła, że musi jeszcze pozostać tu, gdzie jest.

– Ty i twój ojciec może wiecie, że jest coś takiego jak szkoła? I że zaczyna się pojutrze? – Głosem matki dałoby się wiercić dziury w betonie.

– Tak, dobrze wiem. A jednak. To teraz nieważne. Mamo, proszę, uwierz mi, po prostu muszę teraz zostać.

Matka przynajmniej nie zapytała o powód i w ten sposób zaoszczędziła Serenity konieczności mówienia, że nie może tego tłumaczyć przez telefon.

– No dobrze – powiedziała w końcu tonem, którym jasno wyrażała, że tak w rzeczywistości za dobre uważa wszystko inne. – Dam ci usprawiedliwienie w szkole. Ale powiedz swojemu ojcu, że ma znaleźć jakiś sposób, żeby się u mnie zameldować. I to najszybciej, jak się da. Bo to tak wiecznie nie może wyglądać.

– Wcale nie mówiłam, że będzie tak wiecznie – odparowała Serenity.

Kiedy jednak się rozłączyła i wyszła z budynku, od razu poczuła się tak, jak gdyby już nigdy więcej nie miała zobaczyć swojej szkoły.

Tata, Christopher oraz pozostali trzy dni temu wrócili z San Francisco. Zjawili się dwoma autami i kamperem Briana. Wieźli nim ojca Christophera leżącego na dole piętrowego łóżka. Z krawędzi górnego łóżka zwisała kroplówka. Medomobil musieli po drodze odstawić na miejsce.

Zabrali tatę Christophera do namiotu ustawionego obok namiotu doktora Lundkvista. Tam przeleżał pierwsze dni, nieruchomo, przez większość czasu z zamkniętymi oczyma. Kiedy czasem na krótko je otwierał, wyglądał przerażająco. Po prostu patrzył gdzieś przed siebie, nieruchomo wpatrywał się w pustkę i wcale nie



odnosiło się wrażenia, że za tym spojrzeniem ktoś się kryje. Równie dobrze mógłby być lalką.

Doktor Connery wyjaśnił, że to nie śpiączka. To było coś innego, stan, w jakim jeszcze nikt do tej pory się nie znalazł i w związku z tym nie opisywała go fachowa literatura medyczna.

Owszem, całkiem możliwe, że James Kidd, chociaż został uwolniony z Koherencji, nigdy już nie dojdzie do siebie.

Christopher nie odstępował ojca. Całymi dniami siedział przy jego łóżku, a nocą spał obok na nadmuchiwanym materacu. Serenity od czasu do czasu przynosiła mu coś do jedzenia, jednak Christopher ledwie coś uskubał. Próbowala też z nim porozmawiać, ale w najlepszym wypadku odpowiadał monosylabami. Najczęściej jednak po prostu tylko zdawkowo kiwał albo kręcił głową, lub mówił „Mhm” i sama miała uznać, co chciał tym wyrazić.

Nastroje w obozowisku stawały się coraz gorsze. Wieść o tym, że w San Francisco Koherencja rzeczywiście mogła doznać porażki, początkowo wywołała szal triumfalnej radości, ale teraz zapanowała frustracja.

Czy wszystko było na próżno? No dobrze, nie zadali rozstrzygającego ciosu, na jaki liczone – jednak czy miało się skończyć tylko na małym zwycięstwie, uwolnieniu jednego człowieka ze szponów Koherencji?

Strasznie było patrzeć na Christophera siedzącego z pobladłą twarzą, nieruchomo jak posąg. Serenity wydawało się, że wraz z każdą upływającą godziną staje się coraz bardziej podobny do ojca. Jak gdyby i jemu niewiele brakowało do zapadnięcia w śpiączkę.

– Nic nie wiemy o tym, jak zmieniają się mózgi, kiedy długo funkcjonują w połączeniu z Koherencją – wyjaśniał doktor Connery, gdy zasiedli do obiadu. – Dla neurologii to całkiem nowe tereny. W najlepszym wypadku Jamesowi po prostu trzeba czasu. Może jego neurony muszą się zrekonfigurować, a kiedy to się skończy, nagle się obudzi i wszystko będzie po staremu. Teraz to się może wydawać naciągane, jednak zasadniczo jest możliwe. Ludzki mózg stanowi twór o niewiarygodnie wielkich możliwościach przystosowawczych.

– A jeśli nie? – zapytał tata. – Jeśli tak może się stać w najlepszym wypadku, to co stanie się w najgorszym?

Uwadze Serenity nie uszło, jak drgnęły oczy doktora Connery’ego. Może pomyślał o swojej siostrze.

– Równie dobrze może się okazać, że jego samodzielność, wszystko, co definiuje go jako osobę, za sprawą długiej przynależności do Koherencji zostało po prostu wymazane. Poniekąd nadpisane, w taki sposób, w jaki nowymi danymi nadpisuje się dysk twardy. Wtedy stare dane przestają być dostępne.

Nastała długa chwila milczenia. Wszyscy zaczęli gmerać w swoich talerzach. Tak naprawdę nikt nie miał apetytu.

– Może nawet się okazać – zauważył ponuro doktor Lundkvist – że pozostanie w końcu tylko jedna jedyna możliwość uratowania ojca Christophera, a mianowicie zwrócenie go Koherencji.

**91** | Nazajutrz rano, kiedy Serenity przyniosła do namiotu Christophera i jego ojca tacę ze śniadaniem, zjawił się tam również Neal Lundkvist.

– No, moi mili – oznajmił. – Pora, żebyście zaznali nieco świeżego powietrza. Muszę zbadać pacjenta i żadnego z was nie będę potrzebował.

– Ale ja... – odezwał się Christopher.

– Ty też, młody człowieku – przerwał mu lekarz i władczy gestem postawił na łóżku swoją skórzaną torbę. – Zwłaszcza ty. – Skinął głową ku Serenity. – Najlepiej idź z nim i przypilnuj, żeby nie wpadł do rzeki!

Christopher ani drgnął. Serenity pociągnęła go za rękaw. Spojrzał zdziwiony, potem powoli, jak lunatyk wstał i wyszedł z namiotu. Serenity chwyciła tacę i ruszyła za nim.

Christopher nie chciał dołączyć do pozostałych, znaleźli więc sobie spokojne miejsce nad rzeką i kamień, na którym dało się postawić tacę, tak by nie rozlewać herbaty.

Czy stało się to za sprawą świeżego powietrza, czy może dlatego, że Christopher nie miał już przed oczyma nieprzytomnego ojca, w każdym razie wreszcie zaczął pałaszować z apetytem, po raz pierwszy od wielu dni.

Po drugiej kanapce powiedział:

– Wiem, co sądzą lekarze. Sądzą, że przez Koherencję z mojego ojca nic już nie zostało.

Serenity poczuła się nieswojo.

– Tak to wygląda, sam musisz przyznać.

Christopher rzucił jej krótkie, badawcze spojrzenie, potem wypił spory łyk herbaty i zatonął w myślach.

– Prawda? – zapytała Serenity po jakimś czasie.

Może nie powinna tego mówić? Zastanowiła się, ale doszła do wniosku, że jeśli Christopher nie potrafi pogodzić się z prawdą, to już jego problem. A dla niej właśnie tak to obecnie wyglądało.

Zresztą, do licha ciężkiego, czuła się rozczarowana. Rozczarowana, że zachowywał się jak gdyby wszystko, co dla niego robiła, stanowiło coś oczywistego, że nie poświęcał jej większej uwagi niż... niż jakiemuś meblowi!

Ach, do diabła z nim. Już się nie zmieni.

Christopher położył dłonie na kubku, jak gdyby musiał je w ten sposób ogrzać, i spojrzał na dziewczynę. Wpatrywał się w nią badawczo, zamyślony...

Zraniony?

Siedzieli tak przez jakiś czas, w milczeniu, chociaż w porównaniu z tym całym milczeniem, jakie do tej pory panowało między nimi, to akurat stanowiło coś nowego. W jakiś tajemniczy sposób moment był magiczny. Tak jak gdyby nagle zniknęli wszyscy inni ludzie, a zostali tylko oni.

– Wtedy, gdy wszczepiali mi chip – odezwał się wreszcie Christopher cichym

głosem – miało miejsce zdarzenie, o którym dotąd nikomu nie opowiadałem. Nic wielkiego, kiedy się o tym mówi, ale dla mnie... dla mnie to było coś wielkiego.

I dlatego zachowałem to tylko dla siebie. Bo bałem się, że jeśli o tym komuś opowiem, może się okazać, że w ogóle nic nie znaczyło.

Serenity wpatrywała się w niego w milczeniu. Nie wiedziała, do czego zmierza, czuła jednak, że nie powinna przerywać.

– Kiedy dokonuje się wszczepienia chipa – kontynuował – to umieszcza się go w iniektorze dopiero w ostatniej chwili. To dlatego, że otulony jest pewną bioaktywną substancją, czymś w rodzaju takiej rzadkiej galaretki, która dba o to, żeby jak najszybciej powstały więzy między łączami interfejsu a drogami nerwowymi. Ta substancja nie może wyschnąć, bo wtedy chip przestanie działać.

– Rozumiem – powiedziała Serenity, chociaż tak naprawdę niczego nie rozumiała. Ale może jeszcze zrozumie.

– W moim przypadku to tata wkładał chip do iniektora. Jakaś kobieta podała mi znieczulenie miejscowe. Iniektorem operował taki mężczyzna, który przed upgradowaniem był laryngologiem. Ale to właśnie tata miał wyjąć chip z pudełka i go załadować. – Głos Christophera stał się wyprany z emocji. Spojrzeniem powędrował nad spienionymi wodami rzeki, w stronę lasu po drugiej stronie. Ku przeszłości. – Wciąż mam to przed oczami, jak gdyby zdarzyło się wczoraj. To, jak jego palce sięgają po chip leżący pośrodku, ten, który wisiał na uchwycie. Jak nagle się zatrzymuje. Jak drżą mu końce palców, tak jakby musiał się wręcz niewiarygodnie wysilać... i jak dłoń drga w bok, wyciąga inny chip. Ten, który leżał z boku, na wpół ukryty. Chip z oznaczeniem.

Zaskoczona Serenity gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Z oznaczeniem?

– Małą, złotawą ryską. Jak gdyby ktoś przejechał po nim szpiczastym przedmiotem. – Christopher przenikliwie wpatrywał się w dziewczynę. – Wiadomo, że mój chip jest wadliwy. I sądzę, że to nie przypadek.

– Myślisz, że twój ojciec...?

Przytaknął.

– Mam to dokładnie przed oczami, rozumiesz? To, jak trzymał etui, żebym mógł dokładnie widzieć, co się dzieje, chociaż miałem już głowę w imadle. I od tamtej pory powtarzam sobie, że tak zrobił, by dać mi znak. Po to, żeby mi pokazać, że jeszcze nie całkiem zatonął w Koherencji, że została jeszcze odrobina niego...

Serenity aż zakręciło się w głowie, kiedy to zrozumiała.

– Dlatego wierzysz, że twój ojciec jeszcze dojdzie do siebie!

Przytaknął ze znużeniem, a zdawał się przy tym taki kruchy, że w skrytości ducha prosiła, by to wszystko wytrzymał.

– Teraz i ja w to wierzę – oznajmiła, właściwie ze względu na Christophera. Westchnęła. – Chciałabym wiedzieć, jak to się dalej potoczy.

– To wielka zagadka – przyznał Christopher. Spojrzał ku namiotom i przyczepom kempingowym, ledwie widocznym pomiędzy drzewami. – Sądzę, że teraz to zależy od twojego ojca i pozostałych.

– Są rozczarowani, że niczego więcej nie wskórali.

Christopher wydał z siebie cichy odgłos, jak gdyby bólu.

– A czego się spodziewali? Że wyłączymy Koherencję jednym, jedynym ciosem? Jak w hollywoodzkim filmie, gdzie do pokonania wroga wystarczą dwie i pół godziny, a potem znowu wszystko jest dobrze? – Zdecydowanie potrząsnął głową, a w tej właśnie chwili, w tym niezwykłym świetle sączącym się przez szczyty drzew i odbijanym przez powierzchnię rzeki, wyglądał jak zwiastun złej nowiny. – Nie. Jeśli będziemy dalej walczyć z Koherencją, to będzie oznaczało wojnę. Wojnę, w której dysponujemy kiepską bronią.

Serenity poczuła dreszcze. Tutaj, tak blisko spienionej wody było chłodno.

– Przynajmniej wygraliśmy pierwszą rundę – przypomniała. – Mimo wszystko.

– Dlatego, że byli zaskoczeni. Tylko dlatego. Ale drugi raz to się nie uda. Koherencja dostała ostrzeżenie – westchnął. Wziął nóż z tacy i przyglądał mu się tak, jak gdyby potrafił wyczytać z niego przyszłość. – Koherencja nie wybacza. Nigdy. Co przypuszczalnie oznacza, że nie mamy nic do powiedzenia w sprawie kontynuowania walki. Koherencja, tak czy siak, będzie nas ścigać, i to z całą mocą. – Rozejrzał się. – Zaskoczenie stanowiło naszą najważniejszą broń. Teraz ta broń się stępiła. A walka dopiero się zaczęła.

Wypuścił nóż – też tępy, bo przeznaczony jedynie do rozsmarowywania masła i marmolady – który z brzękiem upadł na tacę.

Dziwne, myślała Serenity, wspominając później ten dzień, dziwne, że wydarzyło się to dokładnie wtedy, kiedy wspomniał o zaskoczeniu.

To musiał być jakiś dobry znak, prawda?

Gdy nóż brzęknął, z krzaków wyłonił się George, spojrzął na Christophera i oznajmił, jak zwykle zwięźle:

– Twój ojciec się zbudził. Chce się z tobą widzieć.

**92** | Christopher podskoczył. A jednak! Rzucił Serenity spłoszone spojrzenie, następnie pobiegł z powrotem do obozowiska. Pędził na przełaj przez las, nie bacząc na gałęzie siekące go po twarzy, skacząc nad wszystkimi korzeniami, kamieniami i odłamanymi konarami chcącymi go przewrócić.

Kiedy dotarł przed namiot, właśnie wychodził stamtąd doktor Lundkvist.

– Ach, dobrze że przyszedłeś – powiedział i złapał chłopaka za ramię. – Postaraj się, żeby pozostał jak najdłużej przytomny. Im dłużej z nami pozostanie, tym lepiej.

Christopher przytaknął.

– Pozostanie z nami – stwierdził tak, jak gdyby był tego absolutnie pewien.

– Mamy taką nadzieję. Jest z nim Bob, a ja zaraz wrócę. – Odszedł pospiesznie.

Christopher stał przez chwilę, wstrzymując oddech. Serce waliło mu jak oszalałe, ale jakaś tajemnicza siła kazała mu zwlekać.

Za nim stanęła zasapana Serenity o dziko zmierzwionych lokach, w których miała niewielkie gałązki.

– Co się dzieje? – rzuciła. – Dlaczego nie wchodzisz?

Tylko wzruszył ramionami, a potem odsunął plandekę namiotu.

Tata był przytomny. Leżał. Obok niego siedział doktor Connery. Ojciec spojrzał na Christophera.

Chłopiec podszedł do łóżka.

– I jak? – zapytał. – Znowu samotny w swojej głowie?

Tata skrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Dziwnie się czuję.

– Ale dobrze?

– Ale dobrze.

Ktoś podsunął krzesło i Christopher usiadł.

– Jak tam?

– Jakoś. Bywało lepiej.

– Martwiłem się. Długo tak tutaj leżałeś.

Tata przytaknął z trudem.

– Musiałem się... Hmm. Musiałem się poskładać na nowo.

– Pamiętasz, co się stało?

– Aż za dobrze – odparł tata. Ton jego głosu wskazywał wyraźnie, że wspomnienia nie były miłe. Potem się uśmiechnął. – Wyłączenie prądu to był pomysł, na który tylko ty mogłeś wpaść!

Christopher nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Miał wrażenie, że z serca spadł mu głaz.

Tata spoważniał.

– Ale co będzie dalej?

– A co ma być? – Christopher starał się, by jego głos brzmiał możliwie jak najbardziej beztrzesko. – Ciebie już uwolniliśmy. Potem uwolnimy mamę, a potem

resztę świata. Całkiem logiczne, prawda?

Tata przyjrzał mu się powoli i uważnie.

– To nie będzie... takie proste. Tak się obawiam.

Christopher chwycił go za dłoń i ścisnął ją całkiem mocno. Nie wiedział dlaczego i tak naprawdę nie miał ku temu żadnego rozsądnego powodu, ale po raz pierwszy, od kiedy się to wszystko zaczęło – może nawet w ogóle po raz pierwszy w życiu – poczuł coś takiego jak nadzieja. Okazała się czymś tak dobrym, że postanowił już nigdy więcej nie tracić tego uczucia.

– Tato, zrobimy to – stwierdził. – Jeszcze nie wiem jak, ale w jakiś sposób to zrobimy.

Uniósł wzrok ku Serenity stojącej po drugiej stronie łóżka. Zobaczył, że odwzajemnia jego spojrzenie i od razu zrozumiał, skąd bierze się ta cała wiara.

Jeszcze mocniej ścisnął dłoń ojca.

– Teraz mamy przyjaciół, wiesz?

## KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

---

<sup>1</sup> *To go to J.J.* – w tym kontekście: Aby dotrzeć do J.J. (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Czyli podnoszenie liczby 2 do kolejnych potęg:  $2^2 = 4$ ;  $2^3 = 8$ ;...  $2^5 = 32$ ;...  $2^{14} = 16384$  itd. (przyp. red.).

<sup>3</sup> Blackout – awaria systemu elektroenergetycznego, utrata napięcia w sieci elektroenergetycznej na znacznym obszarze (przyp. red.).

<sup>4</sup> Echelon – globalna sieć wywiadu elektronicznego, która gromadzi i analizuje przekazy elektroniczne z całego świata: faksy, e-maile, transfery plików i rozmowy telefoniczne. To nie fikcja, Echelon istnieje i działa naprawdę (przyp. red.).